TWÓRCZOŚĆ

8

SIERPIEŃ

ROK IX 1953

Zakłady Graficzne i Wydawnicze Dom Słowa Polskiego, Warszawa
Zamówienie 3460/c z dnia 6.7.53 r. Nakład 4.060. Druk ukończono w sierpniu 53 r. 4-B-18081

Nagrody Państwowe w dziale literatury za rok 1952

NAGRODA I STOPNIA

Zofia Nałkowska — za całokształt twórczości literackiej w związku z 50-leciem twórczości.

NAGRODY II STOPNIA

Jerzy Putrament — za powieść pt. „Wrzesień".
Adam Ważyk — za twórczość poetycką i przekłady w dziedzinie poezji.

NAGRODY III STOPNIA

Helena Bobińska — za powieść pt. „Soso".
Mirosław Żuławski — za powieść pt. „Rzeka czerwona".
Stefan Srebrny — za przekład „Tragedii" Ajschylosa.
Stanisław Zieliński — za powieść pt. „Ostatnie ognie" i „Jeszcze Polska" (I i II tom).
Aleksander Maliszewski—za sztukę pt. „Droga do Czarnolasu".
Wojciech Żukrowski — za powieść pt. „Dni klęski".
Marian Brandys — za tom opowiadań pt. „Dom odzyskanego dzieciństwa".

Przemówienie Jarosława Iwaszkiewicza na sesji Światowej Rady Pokoju w Budapeszcie

Panie! Panowie!

Jak już zauważono, zagadnienia omawiane na obecnym posiedzeniu Światowej Rady Pokoju są ze sobą ściśle powiązane i w gruncie rzeczy jeden i ten sam cel im przyświeca. Celem tym jest porozumienie między narodami i ich braterska współpraca.

Pragniemy również, aby każdy naród rozwijał własną kulturę. Każdy z narodów ma swoją historię, swoje tradycje, swoje obyczaje, swoją sztukę i swoją literaturę. Wartość poszczególnych kultur polega właśnie na ich odrębności. Chcielibyśmy, aby wszystkie narody świata potrafiły podnosić swe własne dziedzictwo do skali światowej i tym samym tworzyć razem z innymi bratnimi narodami ową barwną mozaikę najróżniejszych wartości kulturalnych i artystycznych, która w skali globalnej może i musi stanowić największą wartość dla całej ludzkości.

Nie chcemy bynajmniej, aby łączył nas jakiś kosmopolityzm, w którym najcenniejsze wartości poszczególnych narodów gubiłyby się bez reszty. Pragniemy, aby łączyło nas wzajemne zrozumienie w prawdziwym znaczeniu tego słowa. We wzajemnym szacunku, we współpracy między poszczególnymi narodami chcielibyśmy odnaleźć ów ton ufności i przyjaźni, który jest najbardziej twórczym pierwiastkiem ludzkości.

Ta właśnie cecha przeciwstawia nas w sposób bardzo wyraźny wszelkim zapędom agresorskim, opartym nie na współpracy między narodami, ale na władaniu narodami. Widzieliśmy jeszcze niedawno, do czego prowadzi bezmyślne przecenianie własnej kultury, a niedocenianie kultury innych narodów. Chcemy, aby wszystkie narody rozwijały się swobodnie i w duchu własnych tradycji udoskonalały wrodzone im instynkty twórcze i wzbogacały nas swymi darami. Wiemy, że każdy naród posiada skarby, które się mogą stać dziedzictwem całej ludzkości.

Podczas mojej ostatniej podróży do Chile miałem sposobność przekonać się, jak ogromne skarby kultury drzemią w łonie wyzyskiwanych i wymierających pod naciskiem pseudocywilizacji plemion indiańskich Ameryki Północnej i Południowej.

Podkreślając uzdolnienia Indian i ich poziom umysłowy, nasz znakomity pisarz Henryk Sienkiewicz zaznaczył jeszcze w roku 1878, że „nie stoją one na przykład wcale niżej od Kałmuków, Baszkirów i innych plemion koczujących na stepach Rosji i Azji". „Plemiona te — pisze dalej Sienkiewicz o Indianach — bądź co bądź wyrobiły już pewną cywilizację, mogłyby więc postąpić i dalej, mogłyby stanąć przy mądrej pomocy i na wysokości naszej cywilizacji, gdyby nie to, że nasza cywilizacja wynalazła postępowanie o wiele krótsze i zamiast słabszego popierać i wzmacniać — zabija".

— Jakiej przejmującej wymowy nabiera w naszych oczach — dodaje tu Bolesław Bierut, który cytował niedawno ten ustęp — użyte przez Sienkiewicza zestawienie Indian i Baszkirów!

Na szczęście w łonie postępowych twórców amerykańskich świadomość

wartości tych kultur znalazła zrozumienie i wielu najwybitniejszych z nich czyni wysiłki, aby wszystkie te wartości zachować i włączyć w tradycje kultury swego kontynentu.

Z powyższych rozważań wynika jasno jedna rzecz: że każdy rozwój kulturalny poszczególnych narodów, wnosząc duchowy dorobek ludzkości na coraz wyższe szczeble, związany jest nierozerwalnie z zagadnieniem niepodległości narodów. W rzeczy samej nie można sobie wyobrazić harmonijnego rozwoju wszystkich kultur narodowych bez zapewnienia narodom niepodległości. Tylko w świetle słońca wolności mogą się rozwijać te najpiękniejsze kwiaty człowieczeństwa, służąc całej ludzkości.

Kraje podległe, wyzyskiwane, kolonialne i półkolonialne nie mogą się zdobyć na najprostsze kroki w dziedzinie postępu kulturalnego, chociażby na walkę z analfabetyzmem, która jest przecie jednym z najpoważniejszych zagadnień.

Widzieliśmy na naszych kongresach, a zwłaszcza na Światowym Kongresie Narodów, który odbył się w końcu zeszłego roku w Wiedniu, jak już samo spotkanie przedstawicieli najróżnorodniejszych narodów, najrozmaitszych ras, kierunków myśli i przekonań religijnych wiąże nici przyjaźni i sympatii pomiędzy narodami. Spotkanie wiedeńskie rozeszło się szerokim echem po całym świecie i na pewno przyczyniło się ogromnie do porozumienia pomiędzy poszczególnymi krajami. Tak np. nie ulega wątpliwości, że kontynentalny kongres kultury, jaki odbył się w kwietniu br. w Santiago de Chile i gdzie miałem zaszczyt być jedynym reprezentantem Europy, narodził się z ducha Kongresu Wiedeńskiego.

Na tym niezwykle ważnym kongresie chilijskim mogliśmy się przekonać, jak hasła Kongresu Wiedeńskiego, realizowane na terenie Ameryki Południowej, pozwoliły po raz pierwszy w dziejach tego kontynentu na spotkanie przedstawicieli pracowników kultury wszystkich republik Ameryki Łacińskiej i na wspólne rozważenie wszystkich zagadnień tego wielkiego świata, dotychczas podzielonego zręczną ręką obcej polityki na narody nie znane sobie i nie rozumiejące się nawzajem, choć przecież prawie wszystkie mówią jednym językiem.

Wszelkie przejawy porozumienia, odprężenia, kontaktu odbijają się szerokim echem wśród narodów świata. Dlaczego? Dlatego, że wszystkie narody świata pragną pokoju. W państwach najbardziej przodujących pod względem kulturalnym i ekonomicznym jest jeszcze mnóstwo rzeczy do zrobienia. Cóż dopiero mówić o państwach opóźnionych w swoim rozwoju!

Jednocześnie jest rzeczą jasną, że każde odprężenie międzynarodowe, każde zahamowanie wydatków na zbrojenia odbić się musi pozytywnie na sytuacji ekonomicznej obywateli i na stanie kulturalnym kraju. Zależność pomiędzy tymi dwiema dziedzinami jest tak wyraźna, że nie potrzebujemy chyba tego podkreślać. Stoją one do siebie w zależności wprost proporcjonalnej. Wartość pokoju dla ludzkości możemy wyliczyć cyframi — pomijając nawet niewymierne wartości szczęścia.

Wynika stąd, że przede wszystkim zadaniem naszym jest rozbudzenie poszanowania dla niepodległości wszystkich narodów małych i dużych. Tylko taka niezależność może im zapewnić pełny i płodny rozwój ich kultury i ich gospodarstwa.

Musimy dążyć do przekreślenia polityki ekonomicznego władania jednych państw nad drugimi, która prowadzi do nieludzkiej niwelacji kultur, do zatracania wewnętrznego bogactwa każdego narodu i jego najdroższych tradycji. Ta niezależność kultur nie oznacza odosobnienia. Dlatego też z najwyższą radością powitaliśmy tutaj tak pełne ludzkiej treści oświadczenie wielkiej pisarki radzieckiej Wandy Wasilewskiej o najszerszym zastosowaniu wymiany kulturalnej przez Związek Radziecki. Udostępnienie osiągnięć Związku dla najszerszych rzesz świata, pragnących nauki, kochających sztukę, zainteresowanych postępem technicznym, rozwojem kultury i cywilizacji, może być powitane tylko entuzjastycznym aplauzem. Moja ojczyzna przywiązuje również najwyższą wagę do jak najszerszej wymiany dóbr duchowych i materialnych. Wymiana książek i wykładów, wystaw, literatury, nauki i sztuki — naszym zdaniem — jest najwyższą formą wzajemnej pomocy między narodami. Wymiana kultury jest równie ważna jak wymiana towarów — jest jedną z form jej obrony.

Kongres w Santiago był dla nas znakomitym przykładem narad w obronie kultury. Powinniśmy ten przykład naśladować. Dlaczego nie zorganizować takich kontynentalnych kongresów kultury i w innych częściach globu, na przykład w Afryce i w Azji? Europa także jest kontynentem! Jeżeli z inicjatywy Światowej Rady Pokoju zbieramy się na uroczyste posiedzenie celem uczczenia rocznic wielkich twórców kultury Leonarda da Vinci czy Wiktora Hugo, Kopernika czy Rabelais — dlaczego nie mielibyśmy się zebrać celem uczczenia naszej kultury w ogóle i pomówienia o jej słabych stronach, o niebezpieczeństwach, które jej grożą i o drogach, które się przed nią otwierają?

W rozmowach przedstawicieli krajów, które wydały Szekspira czy Leonarda da Vinci, z przedstawicielami krajów, które wydały Petöfiego czy Mickiewicza — na pewno nie będzie zgrzytów. Jeśli będziemy rozmawiali językiem tych wielkich ludzi, nie zabrzmi w naszych słowach ani szczęk oręża, ani słowo nienawiści.

Ci wielcy twórcy, których imionami znaczy Światowa Rada Pokoju etapy swojej pracy, walczyli zawsze o pokój i postęp — i na tym polegało ich znaczenie. Bo twórczość, bo wielkość, bo ludzkość — są zawsze postępem i pokojem.

Listy Ethel i Juliusza Rosenbergów

10 kwietnia 1951 r.

Ethel, kochanie moje,

Ty jesteś naprawdę kobietą z charakterem, jesteś wspaniała i urocza. Mam łzy w oczach, kiedy usiłuję przelać na papier to, co czuję. To tylko powiem, że warto było żyć, dlatego że ciebie miałem przy sobie. Jestem najgłębiej przekonany, że staliśmy się lepsi, już przez to samo, że mieliśmy siły, by znieść ten wyczerpujący proces i barbarzyński wyrok. A to wszystko dlatego tylko, że jesteśmy niewinni.

Ludziom źle poinformowanym i ludziom bez serca trudno zrozumieć naszą siłę. Nasze wychowanie, wielka wartość naszego życia, na którego uformowanie złożyły się nasze dziedzictwo amerykańskie i nasze dziedzictwo żydowskie, które oznaczają dla nas wolność, kulturę i godność ludzką, wszystko to uczyniło nas takimi, jakimi jesteśmy. To całe bagno, te kłamstwa i oszczerstwa niedorzecznego, z góry ukartowanego procesu nie tylko nas nie złamią, ale będą nam jeszcze dodawać nowych sił aż do chwili, kiedy zwycięży sprawiedliwość.

Nie chcieliśmy tego wszystkiego; chcieliśmy życie nasze przeżyć spokojnie. Padliśmy ofiarą z góry ukartowanego planu i ze wszystkich sił, jakie nam jeszcze zostały, będziemy walczyć, dopóki nie odzyskamy wolności. Myślę o tobie ciągle, tęsknię za tobą, z tobą być pragnę. Mękę moją, tortury, które znoszę, zrozumiesz, bo wiesz, że kocham cię wszystkimi fibrami mojej duszy. Mogę tylko powtarzać ciągle i znowu, że myśl o tobie, o szczęściu, jakie tobie, żonie mojej, zawdzięczam, ten ból mi całkowicie równoważą. Kochanie, nie mogę się od ciebie oddalić, tak mi jesteś droga. Jeśli znajdziesz we mnie bodaj część tej pomocy moralnej, jaką ty mi dajesz, jestem pewien, że będziesz miała dość siły, by znieść te nasze cierpienia.

Otrzymałem niezwykły list od Michasia, który mnie głęboko poruszył. Natychmiast mu odpisałem, zapewniłem go znowu o naszej miłości i odpowiedziałem na wszystkie jego pytania tak, ażeby mógł mnie zrozumieć. Powiedziałem, że uznano nas za winnych i wyjaśniłem, co to jest apelacja. Zapewniłem go, że w końcu wszystko się ułoży. Powiedziałem mu, jak bardzo go nam brak i że czynimy wszystkie możliwe starania, by uzyskać od sądu pozwolenie na zobaczenie naszych dzieci. Po zastanowieniu sądzę, że Michaś będzie mógł zrozumieć to wszystko. Nie napisałem mu, jaki wydano wyrok. Powiedziałem, że pomówimy o naszej sprawie przy spotkaniu. Wszystko to wydaje się tak nierzeczywiste — rozłąka z własnymi dziećmi — ale żelazne kraty są bardzo rzeczywiste. Jem, śpię, czytam, przemierzam celę — cztery kroki naprzód, cztery w tył. Dużo myślę o tobie i o dzieciach.

Rodzina moja jest całkowicie z nami, to mi dodaje otuchy. Wiem, że z biegiem czasu coraz więcej ludzi stanie w naszej obronie i pomoże nam wyzwolić się z tego koszmaru. Ściskam cię czule, wiedz, jak bardzo cię kocham.

Twój mąż Juliusz

17 kwietnia 1951 r.

Mój najdroższy, najukochańszy mężu,

Nie przypominam sobie, by mi było kiedykolwiek tak trudno pisać. Mąci mi się w głowie, uginam się pod ciężarem tysięcy wrażeń, które spadały na mnie chwila po chwili, godzina po godzinie, odkąd wprowadzono mnie do celi skazańców. Czuję nieprzezwyciężoną potrzebę podzielenia się z tobą tym, co przytłacza mi umysł i serce, i zniweczenia w ten sposób okrutnej rzeczywistości naszej rozłąki.

Jak widzisz, kochanie moje, rozpoczęłam nowy etap naszej historycznej podróży. Widoczne są już pierwsze oznaki mojej wzrastającej dojrzałości. Ustawiłam książki w mojej wielkiej celi. Śliczne kolorowe pocztówki, które zbierałam w więzieniu (wśród nich piękny prezent urodzinowy od ciebie), postawiłam na górnej półce nad stołem, będą radością moich oczu i bodźcem moich myśli.

Naklejone na kawałku kartonu, który im służy za „ramkę", fotografie dzieci ślą mi najsłodsze uśmiechy, ilekroć tego zapragnę. Zdołam znaleźć w sobie „dzielność, ufność i siłę", które mi będą potrzebne, by przetrzymać te dni i te noce pełne bezgranicznego przerażenia, by opanować krzyk rozpaczy, którego nie powinnam wydawać, szalone pragnienia, których nie mogę zaspokoić! Juliuszu najdroższy, jakże czekam końca tej podróży i tryumfalnego powrotu do naszego tak pięknego życia! Najmilszy, kocham ciebie

Ethel

18 kwietnia 1951 roku.

Najdroższa Ethel,

Otrzymałem dziś rano twoje cudowne listy z Ossining.*) Czekałem z wielką niecierpliwością na nowiny od ciebie. Podczas każdej swej bytności Manny **) opowiada mi wszystko, co wie, opisuje wasze życie, mówi, jak ciężko jest w Sing-Sing osobie tak wrażliwej jak ty.

Kochanie, przeniesienie ciebie do Sing-Sing jest złośliwe i okrutne. Ale my wiemy, że Ministerstwu Sprawiedliwości nie uda się ta kampania przeciwko nam rozpętana, która polega na wywieraniu presji fizycznej i moralnej, abyśmy dali użyć się jako pionki na szachownicy politycznej.

Pomimo wstrząsu moralnego i uczucia przytłoczenia, jakiego musiałaś doznać na początku, list twój dowodzi wielkiej jasności umysłu i wspaniałej siły ducha. Rzecz to niezwykła, że tak szybko potrafiłaś tam zorganizować sobie życie. Twoje ukochanie doskonałości w drobnych nawet rzeczach powinno ci być bardzo pomocne!

Teraz, kiedy już przystosowałaś się fizycznie, tak jak się do tych warunków można przystosować w ogóle, radzę ci bardzo dokładnie rozłożyć sobie czas: lektura, pisanie i jakieś studia, muzyka lub coś innego. To jedyny sposób, by wytrzymać tę ciężką próbę i zachować równowagę.

Jeśli naszym adwokatom nie uda się uzyskać twego przeniesienia do

*) Miejscowość w stanie Nowy York, gdzie się znajduje więzienie Sing-Sing.
**) Obrońca Rosenbergów — Emanuel H. Bloch.

więzienia kobiecego na 10-ej ulicy, poruszę niebo i ziemię, ażeby mnie także wysłano do Sing-Sing, w ten sposób będę bliżej ciebie. Zaklinam cię, byś nie usiłowała odwieść mnie od tego zamiaru, powinienem tak postąpić.

Sam twój list dowodzi, że jesteś niezwykłym człowiekiem, że masz dość dzielności i siły, by wyjść z podniesioną głową z tego piekła. Żono moja, stoję przy tobie pokorny, dumny i pełen otuchy.

Niesposób ukryć przed ludźmi prawdy i okoliczności naszej sprawy. Wcześniej czy później prawda wyjdzie na jaw. Wiele osób, które pragną nam przyjść z pomocą zgłosiło się już do naszych adwokatów i mojej rodziny. Odwagi, pamiętaj, że nie jesteśmy sami!

Potworny wyrok, który w pierwszej chwili zaskoczył ludzi, wywoła z czasem lawinę protestów; te protesty i nasza walka przed sądem przywrócą nam wolność.

Kochanie, nie chcę wcale pomniejszać przykrości, jakie musisz znosić — wierz mi, zdaję sobie całkowicie sprawę z koszmaru, w którym żyjemy, z twego zmartwienia i twych cierpień. Chcę chronić ciebie, być z tobą, trzymać cię w objęciach. Jestem jednak pewien ciebie i ta pewność daje mi wiarę, że pewnego dnia wrócimy do naszego pięknego życia i naszej uroczej rodzinki.

Za dwa dni Wielkanoc, święto, będące przypomnieniem walk, które lud nasz toczył o wolność. To dziedzictwo kulturalne ma szczególne znaczenie dla nas dwojga rozdzielonych murami więzienia, rozłączonych z naszymi dziećmi przez dzisiejszych faraonów.

Staraj się nie martwić zbytnio losem naszych dzieci, robi się dla nich wszystko, co leży w granicach możliwości.

Ethel, jesteś moją żoną i tego nic na świecie zmienić nie zdoła. Twój na zawsze

Juliusz

19 maja 1951 roku

Najdroższy mój,

Jakże mi smutno było przy rozstaniu z tobą i z jakim obrzydzeniem powróciłam do mojej celi. Ale ona czekała na mnie, czekała milcząca, nieubłagana, pogardliwa, pozornie nieświadoma odejścia swojej lokatorki, lecz pewna siebie i mojego powrotu.

Według kalendarza dopiero trzy dni minęło od owego dnia, w którym widziałam ukochanego od dawna człowieka, człowieka zadziwiająco bliskiego mi i zadziwiająco obcego, przy którego boku spoczywałam przez tyle nocy. I oto wydaje mi się, że minęły wieki, że śniło mi się nasze spotkanie. Widzę twoją wychudłą, bladą twarz, błagalny wyraz twych oczu, twoją szczupłą i młodą sylwetkę, bruzdy zorane cierpieniem. Mój mężu kochany, jakaż to radość i jaka rozpacz — wiedzieć, że jesteś w Sing-Sing, gdzie czekają cię tylko monotonne dni i beznadziejne noce — pragnienie bez granic i niesprawiedliwość bez granic. A jednak zamurowana tutaj cegłami, betonem i stalą miłość nasze puści mocne korzenie i wyda śliczne kwiaty, stąd także rzucimy wyzwanie naszym wrogom i stoczymy walkę...

Nie mogłeś oczywiście wyrazić wszystkich myśli i wszystkich uczuć, które się kłębią w tobie, nie mogłam tego ja także zrobić. Czy przypuszczałeś, że łatwo przyjdzie otworzyć serce w takich warunkach? Muszę się przyznać, że spodziewałam się jakiejś wielkiej ulgi, a ulgi tej nie odczułam. Pozostało mi nieokreślone wrażenie jakiegoś braku, podobnie jak ty czułam się zgnębiona i oszukana. Do chwili nadejścia twego listu nie mogłam nawet zdobyć się na pisanie.

Twoja żona, bardzo osamotniona
Ethel

24 maja 1951 r.

Najdroższa,

Powoli odprężam się i przyzwyczajam do monotonnej rutyny życia tutaj. Przemyślałem minione zdarzenia naszego życia. Nie zamierzam żyć przeszłością, ale chcę zaczerpnąć z niej otuchy i siły, które pomogą mi znosić tę egzystencję niewolnika.

Pochodzę z rodziny żydowskiej, przywiązanej do tradycji, wychowałem się w ubogich dzielnicach East Side, wspomnienia mego dzieciństwa to wspomnienia trudności, z którymi musieli walczyć moi rodzice, ażeby wyżywić i ubrać pięcioro dzieci. Pamiętam, że długo strajkował mój ojciec, robotnik krawiecki, kiedy wyzyskiwano robotników w krawieckich zakładach. Jako prezes związku zawodowego i działacz zawodowy trafił na czarną listę i z wielkim trudem wiązał koniec z końcem.

Pamiętam jak dziś wieczną walkę ze szczurami i robactwem. W szkole żydowskiej mnie przypadło wygłoszenie mowy pożegnalnej na koniec roku. Byłem dobrym uczniem, poza tym bez trudności przyswajałem sobie kulturę mego narodu, poznawałem walki, jakie staczał, żeby się wyzwolić z niewoli egipskiej. Podobnie wielkie tradycje znalazłem także w historii Ameryki. Jest rzeczą naturalną, że jako Żyd amerykański wychowany w takim środowisku wybrałem drogę wytyczoną mi przez moich przodków i starałem się pracować dla polepszenia losu człowieka z ludu.

W tobie znalazłem pełną zrozumienia, uroczą towarzyszkę życia. Dla mnie byłaś stworzona. Nasza wspólna przyszłość stała się jaśniejsza, a życie nabrało pełniejszego sensu.

Do jutra, przesyłam ci moją miłość i moje serce.

Juliusz

27 maja 1951 r.

Najdroższy Juliuszu,

List twój zachwycił mnie. Czyż moglibyśmy zapomnieć kiedykolwiek podniecenie i walkę, radość i piękno czasów naszego narzeczeństwa? Usiłowaliśmy rozstrzygnąć wspólnie wszystkie nierozwiązalne pozornie problemy, jakie istnieją w społeczeństwie rozdartym i pozbawionym serca. Rozwiązania, które znaleźliśmy wówczas, wytrzymały próbę czasu i zmian, mają one nadal sens dla tych wszystkich, którzy nie boją

się szeroko otworzyć oczu i podobnie jak my patrzeć w przyszłość. Dlatego właśnie, że nie wahaliśmy się głosić naszych poglądów, jesteśmy teraz w Sing-Sing.

A jednak właśnie z powodu tych poglądów oraz w interesie demokracji amerykańskiej, w imię sprawiedliwości, braterstwa, chleba, kwiatów i śmiechu dziecięcego wytrwamy tutaj godnie i dumnie, świadomi naszej niewinności wobec Boga i ludzi. Wytrwamy aż prawda wyjdzie na jaw i cała ludzkość ją pozna.

Żył niegdyś mędrzec, nie mogę sobie przypomnieć jego imienia, który podziwiał „niezniszczalność natury ludzkiej". Kochanie, dowiedziemy, że miał rację; może wówczas inni ludzie uwierzą również w swoją niezniszczalność i przyjdą z pomocą nam i sobie samym. Twoja żona,

Ethel

29 maja 1951

Najdroższy,

Nie zapomnij, proszę, przysłać mi w swoim następnym liście wiersza, który Michaś napisał na twoje urodziny. Nic mnie nigdy tak nie wzruszyło. Jakżeż mnie podniósł na duchu twój głos, który usłyszałam podczas żydowskiego nabożeństwa. Twoja wypowiedź w ogólnej dyskusji po kazaniu była naprawdę bardzo ciekawa. Czy zgadzasz się z moimi uwagami? Wydaje mi się, że rabin jest człowiekiem młodym, inteligentnym, dobrym, szczerym. Jaka była reakcja innych? Poczułam, że odnoszą się doń ciepło, że są pełni dobrej woli, taki sam zresztą mają — wydaje mi się — stosunek do mnie. Dzisiaj odczułam, że darzą cię również sympatią. Odnoszę wrażenie, że stałeś się prawdziwym filarem społeczeństwa C.C.*)

Nie mogę powstrzymać się od myślenia o tych artykułach i o dziennikarskich insynuacjach, że jakoby nie chcemy, by odwiedzali nas krewni, że odwiedziny nie interesują nas w ogóle. Mam głęboką pogardę dla tych rzeczy.

Kochanie, jakaż to tortura — być bez ciebie! Przesyłam ci całą moją miłość.

Ethel

20 czerwca 1951

Ethel kochanie,

Kiedy otrzymasz ten list, wiosna już będzie oficjalnie skończona. Na wiosnę nie tylko myśl ludzi młodych zwraca się ku miłości. Wiosna rozpaliła jeszcze silniej nieopanowaną miłość tego starego i dawno żonatego człowieka, jakim jestem. Jakże piękne spędzaliśmy razem wakacje! Spring Glen 1939. Czy pamiętasz fotografie z naszej podróży poślubnej? Dzisiaj jesteś — wierz mi — jeszcze ładniejsza i bardziej pociągająca niż wówczas. Mimo że zamknięto cię na czas jakiś w tym

*) Cela skazańców.

grobie, urok twój wcale się nie zmniejszył. Kochanie, po naszym dzisiejszym widzeniu czuję się znacznie silniejszy. Ile dałaś mi z siebie, w jak mądry sposób kierowałaś naszymi dziećmi...

Chwilami czuję się dość silny, aby zerwać z naszego życia tę potworną maskę. Ale nie mam złudzeń. Wiem, że musimy być twardzi jak stal, by nie złamała nas egzystencja pozbawiona wszystkich uroków i swobody, jakie daje życie kulturalne. Nie o to chodzi, byśmy walczyli z wiatrakami i wołali na pustyni. Prawda i sprawiedliwość są równie potężne jak piorun. Wcześniej czy później wyjdzie na jaw oczywistość, że jesteśmy niewinni, że padliśmy ofiarą okrutnych, ukartowanych z góry rozgrywek politycznych. Najczulej

Juliusz

21 czerwca 1951

Najdroższy mój mężu,

Przybiła mnie wiadomość o tej niczym nieusprawiedliwionej napaści na całkiem legalną polityczną partię amerykańską! Na horyzoncie ukazuje się ogromne i groźne widmo faszyzmu, przygotowują się obozy koncentracyjne. O! bracia moi i siostry, ilu z was rozumie, jakie potworne niebezpieczeństwo zawisło teraz nad waszym życiem?

Ethel

22 czerwca 1951 roku.

Ethel kochanie,

Jestem także oburzony kierunkiem, który uwidocznia się w posunięciach Ministerstwa Sprawiedliwości. Czy nie jest już teraz rzeczą jasną, że sprawę naszą wykorzystano, aby wpoić w lud przekonanie, że wyznawcy pewnych poglądów politycznych zajmują się szpiegostwem? Wzrastająca fala aresztowań, wygórowane kaucje, wyroki skazujące na długoterminowe więzienie, wyroki śmierci — wszystko to służy do tego, by przyzwyczaić lud amerykański do takiego stanu rzeczy i wpoić mu przeświadczenie, że są to rzeczy całkiem normalne. Takich wybiegów używali hitlerowcy. I oto teraz apelację naszą, która ma nas uratować od śmierci, będą rozpatrywali ci sami sędziowie, którzy uważali za stosowne dla celów politycznych mijać się z prawdą i szukać wybiegów, ażeby zniszczyć pierwsze odwołanie.

Miejmy nadzieję, że nie uda im się sterroryzować ludu. Jeśli nasza apelacja będzie sprawiedliwie rozpatrywana i decyzja zapadnie zgodnie z prawem, uzyskamy unieważnienie wyroku. Mimo tych niepowodzeń mam w sobie żołnierską wolę walki. Wiele czułości.

Juliusz

19 lipca 1951

Najdroższa,

Jest ósma trzydzieści wieczorem. Spędziłem dzień na czytaniu „Look Homeward" Tomasza Wolfe. Piękna to proza. Grałem w piłkę, dopóki nie zaczął padać deszcz. Czy zauważyłaś, jak przyjemnie jest czytać,

kiedy szumi deszcz? Myślałem o cudownym świecie, w którym żyjemy, i o tym, co mogłaby zrobić jeszcze twórcza praca człowieka.

Oburzyłem się czytając w gazecie, że rząd nasz zamierza wejść w porozumienie z Hiszpanią. Faszysta Franco stanie się więc obrońcą demokracji! Wielu powinno się zdumieć, że w obronie demokracji musimy ciągle wchodzić w układy z elementami skrajnie reakcyjnymi, najbardziej feudalnymi i najbardziej faszystowskimi. Coś się psuć zaczyna w królestwie duńskim!

Patrzę w tej chwili na uśmiechnięte fotografie naszych synków. Bezbronne dzieci nie powinny być narażone na ponure szaleństwo i brutalność. Nikt nie ma prawa tak postępować. Nie możemy pozwolić, aby te wypadki wyżarły ślad w naszych dzieciach.

Rozłąka nasza trwa już przeszło rok. Jedynie dlatego, że związek nasz jest tak całkowity, mogłem znieść tę rozłąkę, a nawet grozę śmierci... Tak, fakty, prawda i prawo przemawiają na naszą korzyść i apelacja powinna zakończyć się tryumfem. Jestem pewien, że adwokat nasz zrobi wszystko, co leży w jego mocy, by nie dopuścić do wydania nowego wyroku politycznego, by uzyskać wyrok oparty na przesłankach prawnych. W tobie cała moja nadzieja. Czuję się dumny, że jestem twoim mężem.

Juliusz

25 lipca 1951

Mój Juliuszu kochany,

Zbyt byłam wstrząśnięta dziś rano, by mówić o niektórych sprawach związanych z odwiedzinami dzieci w przyszłym tygodniu.

Najważniejsze jest, by chłopcy pogodzili się z tym, że nie będziemy mogli dać im wyczerpujących odpowiedzi na wszystkie pytania i że ta ich wizyta — to tylko początek szeregu podobnych odwiedzin. Jeśli zdołamy nie okazać im naszego przygnębienia, wówczas opanujemy także ich reakcje.

Oto jak sobie wyobrażam próbkę ewentualnej rozmowy. Podaję ją tobie jako monolog: — Oczywiście trudno jest wiedzieć, że się jest skazanym na śmierć, i nie niepokoić się od czasu do czasu myśląc o tym. Spójrzmy jednak na całą sprawę w ten sposób: wiemy, że samochód może nas przewrócić i przejechać, ale to nie znaczy, że co chwila drżymy ze strachu na widok samochodu.

Widzicie, jesteśmy zupełnie tacy sami jak dawniej, nie mieszkamy tylko pod jednym dachem z wami. Smuci nas ta rozłąka, ale wiemy, że jesteśmy niewinni, że padliśmy ofiarą niesprawiedliwości ludzi, którzy naopowiadali kłamstw o nas, ażeby wybrnąć z własnych kłopotów. Możecie myśleć o tych ludziach, co chcecie, byleby uczucia Wasze nie sprawiały wam smutku i bólu.

Nie są to oczywiście te właśnie słowa, jakimi będę prawdopodobnie zwracała się do dzieci, kiedy przyjdą. Ale musiałam podzielić się z tobą moimi myślami.

Ethel

25 lipca 1951

Dzień dobry, śliczności moja,

Czas nie zatrzymuje się nigdy. W tej właśnie chwili cieszę się na myśl, że zobaczę moich synów, których nie widziałem od roku. Chociaż trzeba jeszcze czekać cały tydzień, napięcie wzrasta i trzeba mi będzie wszystkimi siłami trzymać się w ryzach, aby opanować wzburzenie.

Cieszę się, że będziesz pierwsza rozmawiała z malcami, gdyż jestem pewien, że poradzisz sobie doskonale i przygotujesz ich do odwiedzin u mnie. Wiesz, wpadłem na świetny pomysł. Narysuję dla nich pociągi, statki i autobusy, spodobają się na pewno Michasiowi a zwłaszcza Robbiemu.

Kochanie, jest ktoś, kto upomina się o ołówek. Tej nocy, najmilsza, będziesz mogła spać spokojnie, zrobiliśmy postępy. Ufamy, że czeka nas zwycięska przyszłość, że będziemy znów razem z naszymi dziećmi.

Całym sercem jestem przy tobie

Juliusz

29 lipca 1951

Dzień dobry kochanie,

Zrobię wszystko, co jest w mojej mocy, by dzieci czuły się dobrze i były przygotowane na spotkanie z tobą. Tymczasem postaraj się jakoś uśmierzyć wzburzenie. Możesz mi wierzyć, że sama robię wszystko, aby się opanować.

Nie jestem zazdrosna o twoje statki i pociągi. Mam całą kopertę rzadkich okazów starannie zebranych przez nieustraszoną łowczynię owadów, jaką jest twoja żona.

Twój prezent jest doskonały, zwłaszcza dla Robbiego, który będzie może trochę nieśmiały i obcy w stosunku do nas.

Jeśli Michaś nie zapyta mnie, w jaki sposób odbywa się egzekucja ludzi skazanych na śmierć, ty będziesz musiał mu to wytłumaczyć. Powiedz mu wówczas w kilku słowach, że uśmierca się ich bez bólu prądem elektrycznym, że jednak nie uważamy, oczywiście, aby to nas miało spotkać kiedykolwiek.

Jeśli potrafimy myśleć bez grozy o możliwości naszego stracenia, chłopcy pójdą za naszym przykładem. Żadne z nas nie będzie oczywiście rozwodzić się dłużej na ten temat. Ale nie lękajmy się, oni także wówczas nie będą się lękać.

Cała miłość moja przy tobie, kochanie.

Ethel

1 sierpnia 1951

Kochanie,

Tylko krótkie streszczenie wydarzeń dnia dzisiejszego. Obudziłem się dziś rano wzburzony, pełen podniecenia i niepokoju. Kiedy dźwięk ich głosów dotarł do mojej celi, niepokój zaczął powoli znikać. Krzyki Roberta, to była prawdziwa muzyka dla moich uszu.

Po śniadaniu poszedłem do sali obrońców, malcy schowali się za

drzwiami. Kiedy wziąłem ich w ramiona, wydali mi się bardzo mali i jacyś dalecy. Straciłem nawet głowę. Dusiłem się, łzy mi kapały z oczu, a Michaś powtarzał ciągle: „Tatusiu, masz inny głos niż dawniej".

Opanowałem się po kilku minutach. Ucałowaliśmy się i uściskali raz jeszcze. Robby usadowił mi się na kolanach. Podniósł na mnie wychudłą swoją twarzyczkę i wielkie oczy i powiedział: „Tatusiu, dlaczego nie wracasz do domu?" Wyjaśniłem mu to starannie. „A dlaczego nie odwiedziłeś nas w niedzielę?" Wyjaśniłem mu to także. Malec nie był oczywiście w stanie zrozumieć. Zaczął skakać po pokoju i bawić się krzesłami.

Dałem chłopcom torebkę cukierków, pokazałem im rysunki pociągów, autobusów, samochodów. Michaś spędził większość czasu na rysowaniu ołówkiem ciężarówek. Starszy nasz chłopiec jest nieśmiały i pełen rezerwy. Zaledwie patrzył na mnie. Stosownie do twojej rady zapytałem, o czym mówiliście. W końcu Michaś zaczął mi trochę mówić o Dawidzie, twojej matce i Ruth.

Dopiero wtedy poczuliśmy się wszyscy naprawdę bliscy sobie, kiedy porozmawialiśmy o twojej rodzinie. Wówczas Michaś wyszedł ze swojej skorupy: „Czy miałeś jakiegoś przyjaciela na procesie? Kto oprócz p. Blocha świadczył w twojej obronie?" To pewne, że obaj chłopcy są niespokojni.

Michaś powiedział rzecz zdumiewającą: lepiej byłoby, żeby to on był tutaj, a nie ja. Nie mogłem oczywiście wiele im wyjaśnić podczas tej pierwszej wizyty. Kilka piosenek i rozmowa o zabawach wprawiły malców w dobry humor.

Nadałaś właściwy ton tym odwiedzinom i wszystko odbyło się znacznie lepiej, niż się spodziewałem. Czy wiesz, że chłopcy nalegali, by ich zrewidowano? Malcy powiedzieli mi, że wydałaś im się mniejsza. Zwróciłem im uwagę na to, że nie mam wąsów i Robby zapytał: „A gdzie one poszły?"

Sądząc z tego, co mówili, nie bawią się klockami, koleją, konstrukcjami i innymi zabawkami. Może to wszystko zginęło?

Trzeba będzie to wyjaśnić. Kochanie, jesteśmy potrzebni naszym dzieciom, mam nadzieję, że rozłąka nasza nie potrwa już długo. Michaś opowiadał mi o twoim pokoju, który na ciebie czeka i o tym, że babcia przeniosła się do salonu. Kiedy chłopcy odeszli, miałem takie uczucie, jakby mi wyrwano kawał serca.

Najczulej Juliusz

3 września 1951

Kochanie moje,

Odwiedziny dzieci przeszły doskonale. Malcy byli bardzo ożywieni od chwili przyjścia i tak się świetnie bawili, że wcale nie mieli ochoty odchodzić. Michaś powiedział, że chce zaraz wrócić. Dzięki twojemu dobremu wpływowi spotkaliśmy się w atmosferze serdecznego rodzinnego zebrania.

Chłopcy schowali się pod biurkiem, ale dziecinne chichoty Robbiego

zdradziły ich. Malcy rzucili mi się wówczas w ramiona. „Cudownie!" powiedział Michaś, kiedy dałem mu ołówek oraz blok rysunkowy, i od razu zabrał się do rysowania. Pokazałem im moją kolekcję owadów i położyłem na stole dwa banany i dwa batoniki czekolady Hershey'a. Nasz starszy syn powiedział: „Tatusiu, proszę cię, nie opychaj nas słodyczami." Robby natomiast uważał za swój obowiązek zająć się czekoladą i jednym bananem. Nasz mały synek skakał i krzyczał jak prawdziwe dziecko. Wziąłem go w ramiona, uściskałem i nosiłem, żeby móc spokojnie rozmawiać z Michasiem.

Większą część tej godziny zużyliśmy na poważną rozmowę. Zaczęło się od wyroku śmierci, o którym Michaś czytał w jakiejś gazecie. Powiedziałem mu, że to nas nie niepokoi, jesteśmy niewinni i mamy wiele możliwości apelowania. On także nie powinien się tym niepokoić, powinien starać się być duży i silny.

Michaś spytał mnie, jak się umiera — odpowiedziałem mu na to pytanie. Spytał mnie, czy jest tu krzesło elektryczne, odpowiedziałem: t a k. Zapytał mnie jeszcze o apelację i o to, co będzie, jeśli przegramy ostatecznie i będziemy musieli umrzeć. Uspokajałem go, jak mogłem, ale zdałem sobie sprawę, że chłopiec jest głęboko wstrząśnięty.

Zadał mi masę pytań w związku z tym, co czytał o raportach FBI i orzeczeniu przysięgłych. Wyjaśniłem, jak umiałem, a Manny przyszedł mi z pomocą i obiecał, że po powrocie do domu wytłumaczy mu wszystko szczegółowiej.

Wówczas chłopiec powiedział: „Tatusiu, może będę się uczył, by zostać adwokatem i pomogę ci w twojej sprawie?" Odpowiedziałem mu: „Nie chcemy tak długo czekać, chcemy być z tobą, chcemy widzieć, jak rośniesz." Michaś tak pragnie dopomóc nam, zrobić coś i mieć pewność, że wszystko dobrze się skończy.

Ach, kochanie, przytłacza go ciężar wszystkich tych za poważnych dla niego problemów, jest za bardzo wrażliwy. Gdy zapytałem go, jak się czuje babcia Zosia, odpowiedział mi: że „nie bardzo dobrze", ponieważ on sprawia jej dużo kłopotu. Rozumiesz, chłopiec hałasuje, sąsiedzi się skarżą i dziecko czuje się winne.

Podczas wizyty zdarzyło się coś, co daje małe pojęcie o problemie Robbiego. W ożywieniu mały trącił tacę, jedna szklanka spadła i stłukła się. Robby natychmiast schował się za Manniego, a Michaś powiedział: „Patrz, coś zrobił." Ale zbagatelizowałem całą sprawę i uspokoiłem małego.

Robby i Michaś obaj są zastraszeni, jedynie nasz szybki powrót może usunąć całe zło, jakie im uczyniono. Kiedy się zobaczymy, powiem ci jeszcze wiele innych rzeczy. Brak mi ciebie ogromnie.

Całym sercem przy tobie

Juliusz

16 września 1951

Kochanie moje,

Zapomniałem opowiedzieć ci o czymś, co zdarzyło się podczas ostatnich odwiedzin dzieci. Mówiliśmy o artykule w piśmie Guardian, nagle

Michaś jakoś zabawnie spojrzał na mnie i powiedział z wyrazem zamyślenia i smutku: „Tatusiu, nie widziałem nigdy, żebyście się całowali, ty i mamusia.“ Przypuszczam, że widział w gazecie fotografię, która przedstawiała nas całujących się w karetce więziennej.

W sposobie mówienia dziecka, w gorącym pragnieniu, które wyczytałem w jego oczach, czuło się wołanie: „Moi rodzice są mi potrzebni. Zabrano mi ich miłość, ich pomoc, bezpieczeństwo.“

Dlatego właśnie, że tak bardzo brak mu tego wszystkiego teraz zwłaszcza, Michaś zapomniał, jak bardzo okazywaliśmy sobie nasze uczucia. Myśl o krzywdzie, jaką wyrządzono naszym dzieciom, dręczy mnie najbardziej...

Około trzech miesięcy temu jeden więzień posadził pestkę pomarańczy na skrawku ziemi między dwoma płytami cementu. Wszystko, co żyje, interesuje nas w tym ponurym miejscu, toteż podlewaliśmy tę pestkę, pielęgnowaliśmy ją, aż wypuściła korzenie i zaczęła rosnąć. Obecnie roślinka ta ma już około dwudziestu centymetrów wysokości. Czy wyobrażasz sobie ten kontrast? Kraty, beton, mury i drzewko pomarańczowe rosnące w jakiejś szczelinie. Świeżość, piękno i życie rozkwitłe w tym grobie.

My także będziemy się jednak rozwijać w tej ponurej atmosferze. Myślę o przyszłości, kiedy będziemy się znów cieszyli naszym domem i naszymi dziećmi.

Całym sercem z tobą

Juliusz

30 września 1951

Kochanie moje,

Skończyłam więc trzydzieści sześć lat. W te drugie urodziny, które spędzam za kratami, otrzymałam mnóstwo ślicznych kartek od rodziny mego najdroższego męża, od jego synów i od niego samego, tego najcudowniejszego człowieka.

Myślę teraz o smutnych ulicach East Side, wczesnym rankiem tłumy ludzi pójdą do synagogi na modlitwę. Pragnę z całego serca, by modły ich były wysłuchane, ale życie nauczyło mnie, że teoria bez praktyki jest dość pustym, pozbawionym sensu gestem. Same słowa nie stworzą pokoju, dobrej woli i bezpieczeństwa, których tak pragnie ludzkość. Modlitwa do Wszechmocnej Istoty nie powinna być dla nas pretekstem do ucieczki od odpowiedzialności w stosunku do ludzi w codziennej walce o sprawiedliwość społeczną. Żydzi i nie Żydzi, czarni i biali, wszyscy muszą trzymać się razem, być solidarni i mocni!

Wygląda na to, że zima spadła na nas bez uprzedzenia. Dziś niebo było ciężkie i przypominało całkiem niebo styczniowe — to niesprawiedliwe. Z nachmurzonymi brwiami przemierzałam pokryte cementem podwórko pogrążona w myślach, gardząc lodowatymi podmuchami wiatru. Zwycięstwo Dodgersów nad Philiesami *) przywróciło mi szyb-

*) Ekipy Base-ball.

ko moją zwykłą energię. I oto dzień, który wydaje mi się zwykle dłuższy od każdego innego, dobiega końca. Witam nadejście poniedziałku z nową siłą i nowym zdecydowaniem, ostatecznie skoro poniedziałek nadchodzi, środa nie jest daleko. Jak pięknie byłoby mieć tydzień wypełniony samymi środami tylko.

Ethel

2 października 1951

Kochanie,

Skarbie mój, artykuły w National Guardian są świetne. Nie przypominam sobie, bym była kiedykolwiek tak pewna możliwości naszego uwolnienia.

Z powodu Dodgersów obgryzłam sobie wszystkie moje przeklęte paznokcie; 10 : 0, co za klęska! To właśnie dzięki niezłomnej postawie tylu ludzi ich kocha. Ale okryli się chwałą przede wszystkim dlatego, że tak bardzo przyczynili się do tępienia przesądów rasowych.

A teraz, na Rosh Hoshanah *) czy mogę życzyć nam i naszym dzieciom, by skończyły się te wszystkie straszne rzeczy, te męki?

Byłam niewymownie wzruszona, kiedy usłyszałam dźwięk Shofar **) w naszych złowieszczych murach podczas dzisiejszego nabożeństwa żydowskiego. Dumą napawa mnie naprawdę świadomość, że jestem córką tego starego narodu, który od tysiącleci przyczyniał się do rozwoju cywilizacji. Dumna jestem, że będę z nim zawsze identyfikowana.

Dobranoc, kochanie moje. W ramionach twoich spełnią się wszystkie moje marzenia!

Wiele czułości.

Ethel

4 października 1951

Najdroższy Juliuszu,

Nie przypuszczałabym nigdy, że poznam kiedyś tak silny głód i będę płonęła tak namiętnym pragnieniem. Życie rozpłomienia mnie tym gorącej, bym mocniej odczuła popioły śmierci. Tak, prawdą jest to, że groźba śmierci roznieca we mnie jeszcze okrutniej płomień życia, który mnie pożera, potęguje pragnienie zwycięstwa i życia.

Ach! kochanie, jakaż otchłań nędzy roztwiera się przede mną, kiedy myślę o tobie i o dzieciach. Coraz trudniej jest tłumić moje pragnienia, pragnienia matki i człowieka, uzbrajać się przeciw całkowitemu zniszczeniu naszych nadziei, co może się nam jeszcze zdarzyć.

Pomóż mi, mój mężu kochany, jestem twoją kochającą żoną.

Ethel

---

*) Żydowski Nowy Rok.
**) Kozi róg zwiastujący Nowy Rok.

11 października 1951

Moja Ethel cudowna,

Kochanie, dzień dzisiejszy był ciężki dla mnie. Oczywiście każde widzenie się z tobą dodaje mi dużo siły. Poruszyło mnie wspaniałe exposé, które nam przeczytał nasz adwokat.

Cudowna jest świadomość, że mnóstwo uczciwych ludzi śpieszy nam z pomocą, że tworzy się komitet w naszej obronie. Ogromnie pragnę zobaczyć się z tobą, żeby omówić szczegółowo wszystkie te nowe zdarzenia. Odwagi! Czas przejdzie szybko teraz, kiedy poczyniono już konkretne kroki w sprawie naszego uwolnienia.

Twój zawsze kochający cię mąż

Juliusz

11 października 1951

Najdroższy Juliuszu,

Po naszej wczorajszej wyjątkowo obiecującej rozmowie z Mannym nie mogę się po prostu uspokoić. Chociaż wielkim rozczarowaniem była dla mnie wiadomość, że możemy być uniewinnieni tylko orzeczeniem przysięgłych, zdołałam już nadać moim myślom nowy kierunek, skierowałam je na drogę bardziej realną. Nie mogłam jednak uczuciowo pogodzić się z obecnym stanem rzeczy, nie przyzwyczaiłam się do niego i naiwnie trzymam się moich marzeń.

Serce mi dosłownie pęka z pragnienia, pragnę przekroczyć ten próg wsparta na twoim ramieniu i słyszeć radosne okrzyki dzieci na nasz widok. Trzeba, żebym odpędziła od siebie tę urzekającą myśl jakimś nieludzkim wysiłkiem woli, żebym zniosła Bóg raczy wiedzieć ile jeszcze miesięcy więzienia, aż cała ta machinacja polityczna rozsypie się w proch. Jak dotąd „duch jest mocny, ale ciało mdłe."

„Cierpliwości i siły moralnej" — jak mówił Buttch La Guardia; tak, ale jakże jesteśmy nieszczęśliwi! Przesyłam tobie moją tkliwość całą — twoja żona.

Ethel

14 października 1951

Kochanie moje,

Miałem dziś rano długie i przyjemne odwiedziny mojej siostry Ethel. Przyjemna wiadomość dla nas — w domu wszystko w porządku, sprawy nasze także uporządkowano, zapanowała większa harmonia. Moja matka jest w lepszym nastroju i czuje się lepiej, dużo osób ją odwiedza i okazuje jej sympatię.

Nie wiem, czy Ethel opowiadała ci smutną przygodę, jaka się zdarzyła Michasiowi. Będąc u jednego ze swych kolegów opowiedział naszą historię matce chłopca, a ona wypędziła go z domu, co straszliwie wzburzyło malca. Po powrocie do domu płakał, ale mu wyjaśniono, że bywają ludzie nieświadomi, mający przesądy i uspokojono go. Po jakimś czasie Michaś odzyskał równowagę.

Według wszystkich sprawozdań, Michasiowi dobrze wiedzie się w szkole. Lubi swego nauczyciela i naukę. Teraz, kiedy powstaje komitet jestem pewien, że będzie można poprosić go o opiekę nad naszymi chłopcami. Kiedy znajdzie się dość przyjaciół dających dowody serdeczności, zrównoważy to skutki zła.

Pilno mi przeczytać Guardian z tego tygodnia i zobaczyć, co tam się mówi o tworzącym się komitecie.

Spędziłaś już półtora roku w CC. Najbliższe sześć miesięcy przyniosą nam lepszą przyszłość. Twój mąż

Juliusz

15 października 1951

Jestem chora na myśl o tym, co się zdarzyło Michasiowi. Dziecko jest takie małe, zbyt małe, by przeżywać tak potworne okrucieństwa. Przerażająca jest ta nieludzka postawa, kara spadająca na małego bezbronnego chłopca, który nigdy nie zrobił nikomu nic złego. Nie powinno to w gruncie rzeczy być dziwne, kiedy się zważy, jak wzrastająca fala pogardy wobec elementarnych praw człowieka zalewa dziś ten kraj!

Natkliwiej

Ethel

7 września 1952

Ethel, radości moja,

Rozpoczynając ten list czuję się dużo lepiej, ale muszę powiedzieć, że przez cały dzień byłem nieswój, niepokoiłem się o dzieci i tęskniłem za tobą. Męczył mnie katar sienny, który mnie zawsze wyczerpuje. Ale dość rozpaczy. Oto już prawie środa.

Mam wrażenie, że wielu ludzi dostrzega polityczny sens naszego procesu, rozumie jego głębokie powiązania i pracuje nad uzyskaniem sprawiedliwości dla nas z poczuciem, że w ten sposób przyczynia się w wielkim stopniu do obrony praw obywatelskich i walki o pokój.

Jest to walka ciężka, ale my będziemy na wysokości zadania. Wymagania obecnej chwili i słuszność naszej sprawy zobowiązują nas do walki aż do zwycięskiego końca.

Powoli, ale pewnie, zbliżamy się do przyszłej, wielkiej próby, wydania certiorari *). Jestem optymistą, ale nikt nie może przewidzieć postępowania sądu.

Niezbędna mi jesteś bardziej niż wszystko na świecie. Jestem z tobą.

Juliusz

15 września 1952

Juliuszu mój najdroższy,

Coraz bardziej zamykam się w sobie, odprężam się wtedy tylko, kiedy jesteś przy mnie. Z dnia na dzień rozłąka nasza staje się coraz

*) Orzeczenie wydane przez sąd wyższej instancji nakazujące ponowne rozpatrzenie sprawy.

bardziej nie do zniesienia. Z dnia na dzień umysł mój i serce muszą znosić coraz straszliwsze wstrząsy. Wiem, że żadna, najcięższa nawet presja nie zmusi nas nigdy do wyrzeczenia się naszych zasad, ale nie zmniejsza to w niczym rozdarcia uczuciowego, które cierpimy.

Najdroższy, kocham cię z żarem, który przewyższa mój ból. Weź mnie w ramiona, serce mam tak bardzo ciężkie, tak bardzo cię pragnę. Żona twoja na zawsze

Ethel

25 września 1952

Najdroższa Ethel,

Nie wiem, czy potrafisz wykrzesać z siebie kilka chwil radości w ten dzień urodzinowy, który po raz trzeci spędzasz w więzieniu wbrew wszelkiej sprawiedliwości i prawu.

Niemniej jednak święcimy ten dzień, dzień twoich urodzin obiecując sobie znowu, że będziemy walczyli z całych naszych sił dla dobra dzieci naszych, naszej rodziny i wszystkich rodzin.

Życzę ci radosnych urodzin, kochanie, mam niezłomną nadzieję, że przyszłe twoje urodziny spędzimy razem z dziećmi, w domu.

Zdołałem wreszcie przeczytać wszystkie akta naszego procesu. Moim skromnym zdaniem adwokat nasz dobrze bronił naszych praw, proces zaś nasz nie był ani słuszny, ani bezstronny z powodu postawy sędziego i D.G.*) Najgorsza jest przy tym decyzja sądu apelacyjnego sprzeczna z precedensami prawnymi i zawarowaniem praw obywatelskich przez konstytucję. Sąd nie odpowiada na żadne z pytań, które postawiliśmy.

Obyś miała wiele jeszcze dni urodzin, obyś je spędziła w szczęśliwszych warunkach. Całym sercem jestem z tobą.

Juliusz

29 września 1952

Kochanie,

Po twoim odejściu we środę wrócić znów na ziemię — co za wstrząs brutalny! To, co mi powiedziałeś o swoich trudnościach, oczywiście przygnębiło mnie bardzo. Okrucieństwo człowieka wobec człowieka zawsze mnie bolało. Na szczęście tym razem był to tylko ból chwilowy, poczułam znów przypływ energii i siły. Zwłaszcza ta myśl, że mam ukochanego męża, że otrzymałam tak czułe życzenia urodzinowe.

Najdroższy, najdroższy mój, jakże cię kocham! Jakże bym chciała mieć te wszystkie zalety, które mi przypisujesz, jakże bym chciała okazać się godna ciebie.

Jeszcze raz dzięki ci, kochanie, za piękną pocztówkę. Całym sercem należę do ciebie. Twoja kochająca cię żona

Ethel

---

*) Dawid Greenglass.

2 października 1952

Dzień dobry, najdroższa,

Jakaż to pociecha dla mnie, że jesteś w tak dobrej formie, tak naprawdę urocza. Jestem całkowicie szczery, kiedy mówię, iż na sam twój widok czuję, że nasz związek dodaje mi sił i pewności zwycięstwa.

Nie lękajmy się bliskiej już decyzji Sądu Najwyższego i starajmy się raczej czynić nadal wszystko, co leży w naszej mocy, aby stąd wyjść. Nie powinniśmy poddać się rozpaczy. Mamy dobrych obrońców, nie możemy ulec.

Jeśli chodzi o mnie, to zaprzągłem się znów do czytania aktów naszego procesu, robię wiele notatek na marginesie, pomówimy o tym z naszym adwokatem. Udało mi się dobrnąć do szóstej części, zanim przeszkodziły mi w pracy międzynarodowe zawody, walka zapowiada się bardzo ciekawie. Z pewnością oboje stawiamy na Dodgersów.

Spodziewałem się oczywiście, że znajdę jakieś przychylne dla nas komentarze bodaj w prasie liberalnej. Ale musimy realnie patrzeć na rzeczy. Horyzont polityczny nie rozjaśnił się bynajmniej, strach paraliżuje wielu dawnych liberałów, a nawet ludzi o poglądach postępowych skazuje na milczenie. Jestem jeszcze nastrojony optymistycznie, ale przygotowany na każdą ewentualność.

W tej chwili czuję się bardzo sam, bardzo mi ciebie brak. Gdybym mógł wziąć ciebie w ramiona! Twój

Juliusz

9 października 1952

Najdroższa Ethel,

Jestem pewien, że ostatni list naszych synów dodał ci otuchy. Nie ulega wątpliwości, że rosną pod serdeczną opieką wspaniałych ludzi. Udało im się zapisać Robbiego do ogródka dziecięcego, dowodzi to, że szybko spełniają nasze życzenia. Mógłbym może napisać do nich w sprawie lekcji muzyki dla Michasia.

Chcę zaczekać z odpowiedzią do przyszłego poniedziałku, do decyzji certiorari. Jeśli natomiast sądzisz, że możesz do nich napisać, zrób to, proszę.

Może zobaczymy się przed przyszłym poniedziałkiem. Jeżeli nie, ten list musi wystarczyć. Stacja WFAS będzie nadawała w poniedziałek o 11.45 komunikat, który poda prawdopodobnie wiadomość o decyzji Sądu Najwyższego.

Pamiętaj, kochanie, że niezależnie od tego, jaka zapadnie decyzja, nie zmieni ona w niczym faktu, że jesteśmy niewinni i zdecydowani walczyć ze wszystkich sił i zgodnie z tymi samymi co zawsze zasadami o całkowite zwycięstwo.

Rzecz to pewna, że klimat polityczny tego kraju jest przesycony strachem, prawdziwa histeria rozpętała się przeciwko wszystkim, którzy nie chcą ulec. Wzrastająca wciąż działalność komitetu będzie stanowiła przeciwwagę. Nasze zachowanie jest takie, że mamy sumienie

czyste i nie utraciliśmy nic z godności. Kochanie, możemy być dumni z siebie.

Jestem przekonany, że przyszłość usprawiedliwi naszą wiarę w demokratyczne podstawy ustroju naszego kraju i w nasz naprawdę wspaniały naród. Jakże pragnąłbym otoczyć cię miłością teraz właśnie. Wiedz, że zajmujesz pierwsze miejsce w moim sercu i w myślach moich. Twój bez reszty.

Juliusz

13 października 1952

Dzień dobry, kochanie,

Tylko słówko otuchy, zanim cię zobaczę. We mnie żadnej zmiany. Moja odwaga, moja postawa, moje poglądy są takie same, jak były. Wydaje mi się, że Sąd Najwyższy dopuścił się poważnego aktu pogwałcenia sprawiedliwości w naszym wypadku.

Dowiedziałem się o wszystkim z radia o 12.45, ale nic nie powiedziałem mamie, bo chciałem, żeby zła nowina dotarła do niej wtedy, kiedy już znajdzie się w domu, wśród swoich. Musimy w miarę możliwości oszczędzać jej bólu, bo jest bardzo uczuciowa i zupełnie złamana. Starałem się ją uspokoić, ale to rzecz bardzo trudna podczas takich odwiedzin, jakie mamy tutaj.

Postępowanie Sądu w naszym wypadku ujawnia wymowniej niż wszelka propaganda wywodząca się z Waszyngtonu prawdziwy charakter naszego rządu. Pilno im uśmiercić nas, zanim sąd opinii publicznej nie zaprotestuje przeciw temu oszustwu politycznemu. Sądzę, że ten ostatni postępek najwyższej instancji sądowej naszego kraju zachęci jeszcze więcej ludzi do czynnego udziału w naszej obronie. Walka nie jest zakończona, trzeba jeszcze wysłuchać głosu ludu.

Rozumiem oczywiście, że droga nasza staje się trudniejsza za każdym razem, kiedy odmawia się nam nowej możliwości obrony prawnej. Ale patrzymy na rzeczy realnie i wiemy, że w takim wypadku jak nasz odgrywają rolę inne także czynniki.

Zdaję sobie sprawę, że powinienem napisać do dzieci, ale nie wiem czemu, nie mogę się zabrać do tego — zazwyczaj tak przyjemnego zajęcia. Może po rozmowie z tobą będę mógł do nich napisać.

Kochanie, musimy teraz rozważyć wiele kwestii podczas naszych spotkań, gdyż wypadki potoczą się szybko. Dobrze byłoby podczas następnej rozmowy przed naszą ulubioną kratą wrócić raz jeszcze do planów dotyczących naszych spraw osobistych.

Muszę ci powtórzyć raz jeszcze, moja słodka, urocza żoneczko, że myślę o przyszłości z „odwagą, ufnością i wiarą" ze względu na to, czym wy dla mnie jesteście, ty i dzieci.

Wiara nasza w zasady demokratyczne i godność natury ludzkiej każą mi myśleć, że zwyciężymy ostatecznie.

Całym sercem twój

Juliusz

1 stycznia 1953

Dzień dobry, kochanie,

Szczęśliwego Nowego Roku, Ethel najmilsza. Oby ten rok przyniósł nam więcej szczęścia niż ubiegły. Sąd apelacyjny rozpoczął nowy rok pokazując raz jeszcze, jak to się dzieli włos na czworo. Sądząc jednak na podstawie tego tylko, co przeczytałem w gazetach, zdano sobie chyba sprawę z krzywdy, którą nam wyrządził reklamiarski rozgłos, jaki zrobiono wokół naszego procesu.

Zdaniem obu sądów wbrew krzywdzącej nas atmosferze obrońcy „zaniedbali" we właściwym czasie poczynić wymagane przez procedurę sądową kroki. Toteż sąd nie może rozpatrywać naszej prośby. Na to wszystko odpowiem: zawracanie głowy.

Prawdziwą sprawiedliwość interesują rzeczy najważniejsze, a nie formy — kruczki procedury sądowej. Jeśli zaczęto od niesprawiedliwości, jakie znaczenie ma czas w tej historii?

Bardziej niż kiedykolwiek jestem zdecydowany walczyć aż do ostatniego tchu, aby wyszła na jaw ta potworna niesprawiedliwość sądowa. Jestem pełen ufności i nadziei, że życie nie zostanie nam odebrane.

Najukochańsza moja, brak mi było ciebie ogromnie w wilię Nowego Roku i przez cały dzień dzisiejszy. Moja najmilsza, duszą i sercem jestem przy tobie. Zawsze twój

Juliusz

3 stycznia 1953

Drogi Manny,

Dzisiaj dzieci nasze przyszły nas odwiedzić i przeżyliśmy znów dwie godziny w rodzinie. Widziałem ufność w oczach małego Robbiego. Przez wszystkie jego słowa i gry, w które bawiliśmy się razem, płynął nurt ciepłej i czułej miłości. Oglądaliśmy przez zakratowane okno mewy i holownik ciągnący galary na Hudsonie. Malec przerwał nagle rysowanie, którym był pochłonięty, przeszkodził mi w rysowaniu i ucałował mnie w oba policzki obejmując za szyję swymi drobnymi ramionami. Syn mój czuł się szczęśliwy w towarzystwie swego ojca. Nasze dziecko rozumie nas.

Michaś był wzburzony, pełen niepokoju. My, jego rodzice, wiedzieliśmy dobrze, co go niepokoi. Żona moja umiała tak dobrze przemówić do niego! Wyjaśniła mu cierpliwie, starannie i stanowczo wiele rzeczy i zdołała całkowicie go przekonać. Ile potrafiła okazać mu zrozumienia! Obiecałem Michasiowi, że zagram z nim kiedyś w szachy, mam nadzieję, że dotrzymam tej obietnicy.

Wreszcie dzieci musiały odejść. Pomagałem Michasiowi włożyć paletko, gdy nagle chłopiec objął mnie i wyszeptał ze spuszczoną głową: „Musicie wrócić do domu. Przez cały dzień jest mi bardzo smutno, nawet kiedy idę spać." Uściskałem go szybko, gdyż mogłem powiedzieć mu tylko: „Wszystko się ułoży."

Kiedy wróciłem do samotnej celi i kiedy drzwi zatrzasnęły się za mną, załamałem się i płakałem jak dziecko nad wielkim cierpieniem

moich dzieci. Oparty o kraty, patrząc na mury betonowe, w których jestem zamknięty, nie ujarzmiałem już bólu, od którego pękało mi serce i wiele wylałem łez.

Juliusz

3 stycznia 1953

Drogi Manny,

Wobec Boga i ludzi muszę głosić te prawdy:

1. Jesteśmy całkowicie niewinni. Tego zmienić nie można.
2. Piekielne machinacje dla celów politycznych sfałszowały proces Rosenbergów.

Sędzia i attorney powiatowy sfałszowali od początku rozprawę wprowadzając doń komunizm i poglądy polityczne, ażeby zaciemnić sprawę i rozpętać przeciw nam namiętności przysięgłych.

Sędzia zajmował zawsze stanowisko sprzeczne z naszymi interesami, ilekroć rozprawa przybierała korzystny dla nas obrót, i w ten sposób dołożył wszelkich starań, by uzyskać od przysięgłych wyrok skazujący. Pozwolił na pogwałcenie naszych praw, przeszkodził naszemu adwokatowi bronić nas w sposób odpowiedni i nie dopuścił do tego, by przysięgli rozpatrywali przestępstwo tak, jak ono było określone w akcie oskarżenia na podstawach słusznych i bezstronnych.

Jesteśmy przekonani o słuszności naszej sprawy i nie chcemy, by posługiwano się nią w walce z tymi, którzy walczą o pokój, wolność i prawo.

Nie spieszcie się tak panowie z przekręcaniem kontaktu. Pamiętajcie, że nóż ma dwa ostrza. Świat śledzi uważnie postępowanie naszego rządu w tej sprawie, okrutny wyrok i niesprawiedliwość w procesie Rosenbergów boleśnie wstrząsnęły sumieniem ludzi dobrej woli.

Czas nagli. Pozostaje nam tylko dziesięć dni życia. Zrobię, co będzie w mojej mocy, by dokonać w tym czasie jak najwięcej. Zawsze oddany Panu

Juliusz

9 stycznia 1953

Drogi Manny,

Nie ulega wątpliwości, że sędzia Irving R. Kaufman zapewnił sobie wreszcie nieśmiertelność. Przyszłe pokolenia będą przytaczały jego decyzję odrzucenia naszej prośby o ułaskawienie jako uderzający przykład zręcznego fałszu i nieuczciwości myśli.

Specyficzny sposób rozumowania tego niezwykle nieścisłego i powierzchownego człowieka nadaje pozory prawdopodobieństwa, fałszywej interpretacji faktów. Usiłuje być głęboki — a jest tylko dziecinny.

Jakkolwiek nasz dobry sędzia przepada za cytatami, ośmielę się powiedzieć, że po przestudiowaniu następujących fragmentów z „Joanny d'Arc" Shawa nie próbowałby on użyć ich przeciw Rosenbergom. Jak pan sobie przypomina John de Stogumber, kapelan angielski, który ze szczególną zawziętością żądał spalenia Joanny d'Arc, wybiegł z placu

stracenia targany wyrzutami sumienia, wołając jak szalony: „Nie wiecie. Nie widzieliście. Jak łatwo mówić, kiedy się nie wie. Upajajcie się słowami. Skazujecie się sami na potępienie, bo podoba wam się dolewać oliwy do płonącego piekła waszych serc. Ale kiedy dotykacie sprawy palcem, kiedy widzicie, coście uczynili, kiedy rzecz ta oślepia wasze oczy, uderza nozdrza i rozdziera wam serce, wtedy, wtedy! O, Boże, niech nie patrzę na to. O Jezusie, wyzwól mnie z tego ognia, co mnie pali. Ona wśród kaźni zawołała: „Jezusie! Jezusie!" Teraz ona jest na twoim łonie, a ja jestem skazany na wieczyste piekło."

Tam też pójdzie sędzia Kaufman za zbrodnię „gorszą od morderstwa."

Ethel

19 stycznia 1953

Drogi Manny,

Sporo upłynęło wody pod mostami od czasu mego ostatniego listu. Spokojne przewidywania Rosenbergów, że naród nie da aprobaty na morderstwo legalne, potwierdziły się tysiące razy....

Istnieją przecież wspomnienia, których się nie zapisuje w żadnym kalendarzu. Są to wspomnienia naszych przeżyć, które olśniły nas niczym szybko po sobie następujące meteory, a teraz z pewnej już odległości przypominają zgasłe gwiazdy, blade, bezbarwne i zapomniane jak one. Spoglądając znów na przeszłość przez ramię teraźniejszości, która tak szybko ucieka, przypominam sobie bardzo wyraźnie, jak się rozciągały, wydłużały nieskończenie tamte dni pełne obietnic. Pisałam do mego męża: „Walka wre, ale jestem spokojna". A dzieciom moim wysłałam zamiast życzeń na święto Chanukah wesoły i uroczy wierszyk wycięty z „Sunday Times".

Wszystko to należy już do przeszłości i decyzja się zbliża. Nam, którzy tu jesteśmy zamknięci i walczymy o życie w zwężających się ciągle granicach czasu, decyzja ta wydaje się mglista i daleka, bezbarwna i bezkształtna na gigantycznym tle stulecia gwałtu. A przecież w istocie swej jest to decyzja prosta, oparta na kilku prostych przesłankach.

Po pierwsze: niezależnie od uzasadnienia procesu miliony ludzi na całym świecie a wśród nich najwybitniejsze osobistości naszych czasów uważają obecnie, że odrzucając prośbę Rosenbergów o rewizję procesu sądy potwierdziły to, co od dwóch prawie lat twierdzimy w tym domu śmierci, to mianowicie, że jesteśmy ofiarami politycznymi zimnej wojny. Skutkiem czego miliony ludzi przeciwstawiły się stanowczo wykonaniu wyroku.

Po drugie: zasięg tego protestu, a właściwie samo jego istnienie ukazuje tak wyraźnie aspekt polityczny procesu, że pewne sfery poczuły się w obowiązku czynić rozpaczliwe wysiłki, by go zbagatelizować wyolbrzymiając znaczenie naszych oszczerców, lub określić wszystko jako „spisek komunistyczny".

Po trzecie: podczas gdy cały świat niepokoi się, rzuca gromy, lub wezwania i mowy obronne, jesteśmy świadkami najbardziej zdumie-

wającego widoku: najpotężniejszy naród świata jest bezsilny, ma ręce i nogi skrępowane i nie może odzyskać sił, gdyż łatwiej zawsze popełniać nowe błędy niż naprawiać stare.

Po czwarte: reasumując wszystko w słowach prostszych i — prawdę mówiąc absurdalnych — pytam w dobrej wierze: „Czy warto zniszczyć dwie młode i płomienne istoty, których wina według powszechnej opinii jest wątpliwa, by ratować honor Stanów Zjednoczonych?"

Decyzja jest prosta. Albowiem „stracić honor" ułaskawiając Rosenbergów, to znaczy dowieść w sposób najbardziej namacalny, że sprawiedliwość jest czymś innym niż bezlitosnym obracaniem się trybików, które wprawione w ruch, niczym potworny Frankenstein, stają się potężniejsze od kierującej nimi ręki i pędzą na ślepo w swoim szaleńczym biegu.

Czekamy pod chmurnym niebem groźnego fatum. Czekamy i mamy nadzieję i nie tracimy pewności, że słońce zabłyśnie jeszcze nad tą ziemią, na której urodziliśmy się, nad tą „słodką ziemią wolności" — Ameryką.

Ethel

21 stycznia 1953

Drogi Manny,

Kilka słów, by powiedzieć Panu, że matka moja była tu w poniedziałek. Z rozmowy naszej zapamiętałam to, co powiem dalej i co Pana zapewne zainteresuje. Jestem jeszcze zdumiona jej bezwstydną amoralnością.

Powiedziałam, że mimo nieuzasadnionego zresztą strachu przed represjami, jaki może odczuwać Dawid,*) moje a nie jego życie jest w niebezpieczeństwie, że ponadto czekając na krzesło elektryczne nie lękam się głosić, iż jestem niewinna, i zaprzeczać jego kłamstwom. Czemuż więc on, który znajduje się w o wiele lepszej sytuacji, nie może zachować się po męsku i przyznać się do kłamstwa? Dopomoże mi w ten sposób do uratowania życia, nie pozwoli na zniszczenie go dla uratowania pozorów.

Rozmowa nasza toczy się dalej, przytaczam ją mniej więcej słowo po słowie:

Ona: „Cóż by w tym było strasznego, gdybyście potwierdzili jego historię?" Zdumiałam się bezgranicznie. „Jak to — powiedziałam — mam się pozwolić oskarżać o przestępstwo, którego nie popełniłam, mam pozwolić na obrzucanie błotem mojego imienia, imienia mego męża i moich dzieci, ażeby jego ochronić? Jak to, mam opowiadać zmyśloną historię, wplątywać w to mego męża i siebie? Zaczekaj chwilę, może cię dobrze nie rozumiem. Co ty właściwie chcesz powiedzieć?"

Niech mi pan wierzy lub nie, ale odpowiedziała: „Tak, doskonale mnie zrozumiałaś. Chcę powiedzieć, że nawet jeśliby to było kłamstwem, powinnaś była mówić, że to prawda! Czy sądzisz, że wysła-

*) Dawid Greenglass.

noby cię wówczas tutaj? Nie, gdybyś potwierdziła słowa Dawida, nawet kłamliwe, nie spotkałby cię ten los!"

Zaprotestowałam do żywego dotknięta, jak to może sobie pan wyobrazić: „Ależ, mamo, chciałabyś, żebym krzywoprzysięgała?"

Wzruszyła obojętnie ramionami i powtórzyła z uporem: „Nie byłabyś tutaj!"

Czy mógłby pan przyprowadzić dzieci w sobotę 31 rano? Juliusz i ja uważamy oboje, że powinniśmy je zobaczyć, nawet jeśli nasza prośba o ułaskawienie zostanie odrzucona. Proszę powiedzieć im o odwiedzinach dopiero w przeddzień — w przeciwnym razie Michaś będzie to za mocno przeżywał. Serdeczności

Ethel

1 lutego 1953

Mój słowiczku uroczy,

O radości nad radościami! Usłyszałem dwa takty Ave Maria i Alleluja, które śpiewałaś. Pomyśl tylko, jak świetny urządzilibyśmy koncert, gdyby drzwi były otwarte! Przez chwilę wspominałem, jak często śpiewałaś pieśni ludowe i ulubione moje arie.

Moja siostra została do wpół do czwartej, gdyż inny odwiedzający przywiózł ją samochodem. Powtórzę ci przy następnym spotkaniu wiadomości, których nie zdążyła tobie powiedzieć. Cieszę się, że Lena ma się dobrze.

Wierz mi, kochanie, że muszę walczyć ze sobą, by nie myśleć za dużo o naszych kochanych dzieciach. Serce mi pęka z bólu, tak bardzo pragnę być z nimi. Ach, kochanie, jakże by to było cudownie, gdybyśmy znów byli razem z całą rodziną. Myślę o radosnych chwilach, które spędzaliśmy razem. Ty brałaś na barana Robbiego, ja — Michasia i tak biegaliśmy. Czy pamiętasz, jaki urządzaliśmy pochód, kiedy malec miał iść spać? Maszerowałaś pierwsza, trzymając go za nogi, ja go brałem za ramiona, a Michaś szedł między nami podpierając głową plecy brata. Jakie to były cudowne zabawy! Te biedne niewinne dzieci okrutnie i niesłusznie cierpią. Żadne z nas nigdy tego nie zapomni. Miejmy nadzieję, że wygramy wreszcie ten proces i postaramy się, by nasze dzieci były znów szczęśliwe.

Muszę ci zdradzić pewną tajemnicę, żono moja, jestem bardzo w tobie zakochany. Twój mąż

Juliusz

9 lutego 1953

Drogi Manny,

W ostatnich tygodniach zaczęła krążyć okropna nowina. Mówi się, że mam być oszczędzona, że wyrok w stosunku do mnie zostanie zmieniony ze względów humanitarnych, gdyż jestem kobietą i matką. Mąż mój zaś ma być stracony na krześle elektrycznym. Jest także nadzieja, że w ten sposób moje „tajemnice szpiegowskie" nie zginą wraz ze mną i że będę miała możność odwołać moje zeznania. Wreszcie złożonoby

w ten sposób na moje barki los mojego męża, krew jego splamiłaby moje ręce, gdybym odmówiła.

Tak więc darowuje mi się teraz życie w zamian za życie mojego męża. Mam tylko iść drogą, którą mi po rycersku wytyczono, i pozwolić, ażeby on umierał. Cóż za diabelskie machinacje!

Opanowała mnie zimna wściekłość. Mogłabym wymiotować z przerażenia i wstrętu. Ci zbawiciele zamierzają teraz zbudować mi grób, w którym będę żyła nie będąc żywą i umrę nie będąc umarłą.

W dzień nie zaznam żadnej nadziei, w nocy nie zaznam spokoju. Będę zawsze miała w oczach ukochaną twarz, będę słyszała dźwięk ukochanego głosu. Będę zawsze powtarzała łkając ostatnie rozdzierające słowa pożegnania, będę się chwiała pod ciężarem nieodwołalnego morderstwa.

A nasze dzieci! Czegoż warta taka litość, która ma zabić ich ukochanego ojca i uwolnić matkę, skazując ją na wieczystą pustkę! Wolę towarzyszyć mojemu mężowi w śmierci, niż pędzić haniebne życie darowane mi przez taką łaskę.

Nie zbeszczeszczę więzów naszego małżeństwa, szczęścia i niepodzielności naszej miłości, aby odgrywać rolę prostytutki przed prokuratorami politycznymi. Mąż mój jest niewinny podobnie jak i ja, nie ma potęgi, która by mogła nas rozłączyć tak w życiu jak i w śmierci.

Ethel

12 lutego 1953

Drogi Manny,

Poinformowano nas i jestem pewien, iż jest to zgodne z rzeczywistością, że pod koniec tygodnia p. Lyons, pardon — attorney, prześle jedyny kompletny protokół naszej sprawy attorneyowi generalnemu. Wszystkie pisma podały, że o 4.30 po południu p. Herbert Brownell jr. zaniósł akta procesu do Białego Domu. O 5.07 po południu ogłoszone zostało gotowe już oświadczenie. Dowodzi to, że prezydent Eisenhower nie czytał wcale akt naszej sprawy i nie miał w ręku naszej prośby o ułaskawienie. Niemniej jednak niespokojna prasa dodaje skwapliwie, że prezydent zastanawiał się długo i „wywnioskował, że przestępstwo było brzemienne potwornymi następstwami w erze atomowej i zdecydował, że nie wolno mu zmienić wyroku"!

Nie potrzeba żadnych protestów. Przemoc występuje bez maski. Przemilcza się nasze twierdzenie, że wyrok jest wynikiem stronniczego prowadzenia sprawy, że odwołano się do przesądów i do zupełnie innych źródeł niż akta procesu, że wyrok nie opiera się zatem ani na faktach, ani na prawie.

Poza powtarzanymi od dawna komunałami oświadczenie Prezydenta zawiera grube nieścisłości:

1. Prezydent nie mógł „zastanawiać się uważnie i wnikliwie nad aktami sprawy", skoro attorney generalny zaniósł mu akta o 4.30 i w pół godziny później ogłoszono gotowe już oświadczenie;

2. Sąd bynajmniej nie uwzględnił wszystkich okoliczności i nie do-

puścił wszystkich świadków. Kiedy prosiliśmy o przesłuchanie, by dowieść, że skazano nas wbrew prawu, sędzia Ryan odmówił nam możliwości przedstawienia dokumentów *sub poena* i powołania świadków, którzy by mogli poprzeć nasze twierdzenia;

3. Przysięgli byli podburzeni i uprzedzeni przeciw nam przez wrogie stanowisko prasy, niewłaściwy sposób prowadzenia sprawy i oskarżenie o komunizm, w zasadzie nie należące do procesu a tak bardzo sprzyjające rozpętaniu namiętności;

4. Sąd Najwyższy nie zatwierdził wyroku i nie przejrzał pod kątem prawnym procesu. Takie jest zdanie zastępcy sędziego Frankfurtera.

Miliony ludzi, a wśród nich uczeni, wybitni prawnicy, znakomici przedstawiciele duchowieństwa, literaci i artyści, znani przywódcy polityczni wszystkich odcieni najlepiej powołani, by wypowiadać się w takich sprawach, wyrazili poważną wątpliwość co do słuszności wyroku. Miłość do naszych dzieci, nasza miłość wzajemna każą nam z całych sił trzymać się tej prawdy, aż do śmierci nawet, która rozbije naszą małą rodzinkę.

Nie jesteśmy pierwszymi ofiarami przemocy. Sześć milionów naszych współwyznawców i miliony innych ofiar faszyzmu zostały skazane na śmierć. Zbrodniarze wojenni, którzy brali czynny udział w tych morderstwach, są co dzień uwalniani przez przedstawicieli naszego rządu. Obecnie tutaj w imieniu suwerennego narodu Stanów Zjednoczonych Administracja chce splamić dobre imię naszego kraju krwią Rosenbergów. Ufamy, że naród zacznie wołać na trwogę wobec tego nowego i poważnego niebezpieczeństwa, które od chwili skazania dwojga niewinnych Amerykanów zawiśnie nad milionami niewinnych istot.

Teraz sprawa jest na oczach wszystkich. Departament Sprawiedliwości ukrył przed Prezydentem i przed ogółem apel papieża o miłosierdzie. Ukrył również przed ogółem prawdziwy przebieg procesu i uczucia milionów ludzi. Od samego początku Departament Sprawiedliwości realizował plan spisku przeciwko nam. Pośpiesznie podsunięto Prezydentowi do podpisania oświadczenie, ażeby zatrzeć całkowicie tę potworną niesprawiedliwość sądową, której ofiarą ma paść dwoje niewinnych Amerykanów. Zawsze oddany panu

Juliusz

15 marca 1953

Kochanie moje,

Możesz sobie wyobrazić mój niepokój podczas tej ciężkiej próby (odwiedziny matki — przyp. red.). Ale jeżeli dobrze zrozumiałem, wyszłaś z tego obronną ręką. My, którzy mamy czyste sumienie i uczciwe reakcje, musimy jeszcze znosić męki potępieńców w obronie naszych zasad. Jesteśmy chwilowo w pierwszej linii zasadniczej walki i mam niezłomne przekonanie, że znajdziemy w sobie nadal dość siły, by wytrwać pomimo potwornego nacisku osobistego, jaki się na nas wywiera. Ludzie uczciwi nie mogą wprost uwierzyć, ażeby umysł nasz i serce wystawione były na ataki barbarzyńskiego terroru. Metody takie oburzają człowieka cywilizowanego. Ci, którzy nie są ślepi, powinni sko-

rzystać z lekcji politycznej, jaką im się daje: tylko zorganizowanie opozycji przeciw podżegaczom do nienawiści może uratować pokój i wolność.

Ach, najmilsza moja, kocham cię bardzo i tak chciałbym być z tobą! Wyobraź sobie, że oni nie mieli odwagi spojrzeć mi w oczy. Rodzina twoja nawet nie próbowała zobaczyć się ze mną. Czekają pewno na dodatkowe instrukcje F.B.I. albo attorneya okręgowego, zanim się odważą zaproponować mi swój haniebny targ. Chociaż nie znam szczegółów, muszę ci powinszować sposobu postępowania.

Wiesz, kochanie, pomimo wzrastającego napięcia i pogmatwania sytuacji międzynarodowej czuję się nadal spokojny. Jestem niezłomnie przekonany, że słuszność jest po naszej stronie i że spełniamy naszą rolę w tej walce. Że cierpię męki niepokoju z twojego powodu i z powodu dzieci, to chyba naturalne. Nie przewidzieliśmy nowych odwiedzin naszych dzieci, ale myślę, że wolno nam będzie je zobaczyć, kiedy Manny złoży naszą prośbę o ułaskawienie. Pomyśl o tym i postaraj się, aby dzieci przyszły nas odwiedzić, zanim poznamy decyzję Sądu Najwyższego. Uwielbiam cię, Ethel, moja żono najdroższa, przyciskam cię do mego serca. Na zawsze twój

Juliusz

27 maja 1953

Drogi Manny,

Załączam list, który Juliusz przysłał mi na dzień przedtem, kiedy nas zawiadomiono, że apelacja została odrzucona. Wydaje mi się, że list ten zawiera wyjątkowo jasną analizę przyczyn, które skłoniły Sąd Najwyższy do tej kapitulacji. Mam jeszcze kilka innych listów Juliusza, lecz zachowuję je na razie, aby mieć pewność, że ten przejdzie szybko przez cenzurę i będzie do Pana natychmiast wysłany.

Heil Mac Carthy! Czy Pan to sobie wyobraża? Dwoje bezwstydnych i nieostrożnych heretyków ośmieliło się przeciwstawić linii, którą wytyczył nasz gnädige Gauleiter, ażeby nie pozbawiać dwojga skromnych obywateli naszego kraju regularnego procesu. Jest to prześladowanie polityczne, bezwstydne, oczywiste, cyniczne. Nie powinno to jednak upoważniać do pesymizmu: pod pozorami doskonałego zdrowia kryje się niekiedy przegniły organizm. Brawura i popisywanie się siłą to jeszcze nie jest prawdziwe zwycięstwo. Przeciwnie, przez należytą ocenę czysto psychologicznego charakteru ataku, odbierze mu się moc paraliżowania obrony.

Tylko nieustającą walką o życie można zwyciężyć śmierć! Inaczej mówiąc klasycznie: „Nie należy niczego się lękać oprócz samego lęku!" Proszę powiedzieć B. *), że powinni sami pamiętać o tej wielkiej prawdzie, by natchnąć naszych chłopców swoją i naszą odwagą! Jeśli my, ich rodzice, nie pozwoliliśmy sobie na luksus uczuciowości, oni również nie powinni sobie na to pozwolić. Trzeba, a to jest jeszcze trudniejsze, ale konieczne, aby oni stali się naszym głosem, naszą siłą i naszą miło-

*) Rodzina opiekująca się dziećmi Rosenbergów.

ścią. Okrutnie rozpętana nienawiść, która godzi w tych dwoje niewinnych dzieci, jak o skałę rozbije się o dumę naszej postawy.

Proszę tylko pocieszyć moich malców, brak mi sił by opanować moje cierpienie za nich.

Z całą serdecznością i oddaniem

Ethel

31 maja 1953

Ethel najdroższa,

Zastanawiam się biorąc pióro do ręki. Cóż powiedzieć ukochanej mojej w obliczu tego okrutnego faktu, że wydano rozkaz uśmiercenia nas za osiemnaście dni, w czternastą rocznicę naszego ślubu? Bliska już najczarniejsza godzina naszego procesu i wielkie niebezpieczeństwo, które nam zagraża, wymagają od nas zmobilizowania wszystkich sił naszych, byśmy nie wpadli w rozpacz i krasomówczy patos. W tej rozstrzygającej dla nas chwili musimy zachować spokój i równowagę. Większa część ciężaru spadnie raz jeszcze na naszego wiernego przyjaciela i doradcę Manniego, któremu ufamy bez zastrzeżeń.

Najukochańsza moja, nie przestałem jak najobiektywniej analizować powodów, które skłaniają rząd do takiego postępowania. Znalazłem tylko jedną odpowiedź. Zgodnie z pragnieniem niektórych szaleńców proces ten stał się czymś w rodzaju potężnej pałki policyjnej uderzającej we wszystkich „nieprawomyślnych". Rząd amerykański zostanie na zawsze okryty hańbą za tę niesprawiedliwość sądową i okrutny wyrok wydany na dwie niewinne istoty. Nigdy nie będziemy mogli zaprzeczyć tej najprostszej prawdzie, że jesteśmy niewinni.

Wiem, kochanie, że nasze dzieci i nasza rodzina cierpią teraz ogromnie, jest rzeczą naturalną, że niepokoi nas ich stan. Sądzę jednak, że powinniśmy zebrać i zachować wszystkie siły nasze dla nas. To jest moim zdaniem najlepsza forma troskliwości o nasze dzieci. Najukochańsza moja, niedzielny numer New York Times zawiera świetny artykuł wstępny, którego autor unaocznia materialne wprost piękno wspaniałej zieleni, która nas otacza. Ten miesiąc jest naszym miesiącem, gdyż właśnie w czerwcu zostaliśmy mężem i żoną, poznaliśmy niewypowiedziane szczęście ogromnej miłości. Jesteś szlachetną i niezwykłą kobietą, twoim będę do końca. Cała miłość, do jakiej jestem zdolny, należy do ciebie.

Juliusz

18 czerwca 1953 r.

Drogi mój Manny,

Spisałem ostatnią moją wolę. Nie da się więc podważyć faktu, że Panu zleciłem uregulowanie wszystkich naszych spraw i Pana obarczyłem odpowiedzialnością za nasze dzieci, podobnie jak to było dotychczas. Ethel jest w tej sprawie całkowicie zgodna ze mną i ze swojej strony potwierdza te dyspozycje własnoręcznie.

Dzieci nasze są źrenicą naszych oczu, dumą naszą, naszym najdroż-

szym skarbem. Niech Pan kocha je całym sercem i chroni, niech Pan im pomoże stać się normalnymi, szczęśliwymi dziećmi.

Nie chcę przedłużać tego „do widzenia", gdyż pewien jestem, że dobro, którego się dokonało, żyje wiecznie. Kochałem życie po to jedynie, by zobaczyć, jak piękna będzie przyszłość. Czuję, że w moim skromnym zakresie postępowałem zgodnie z tym pragnieniem, moje dzieci i miliony innych dzieci będą z tego czerpały.

Brak mi słów, by wypowiedzieć całą szlachetność i wielkość towarzyszki mego życia, mojej ukochanej, pełnej poświęcenia żony. Miłość nasza była miłością wielką i szczęśliwą. Opromieniła ona i wzbogaciła moje życie.

Niemłoda już i schorowana matka moja była zawsze dla mnie wielką podporą, łączyło nas wzajemne i głębokie przywiązanie. Z jakże wielkim poświęceniem robiła wszystko, aby nam dopomóc. Bracia moi i siostry również bez wahania śpieszyli nam z pomocą i nie szczędzili do końca swych wysiłków. Możemy z całą wdzięcznością stwierdzić, że w tej ciężkiej próbie rodzina moja była całkowicie i zawsze z nami.

Pana zaś, drogi Manny, uważamy nie tylko za członka naszej rodziny, ale także za bliskiego, całkowicie oddanego nam przyjaciela. Więzy braterstwa i przywiązania, które nas łączą, zostały ukute w walce o nasze życie, w walce o to wszystko, co wyraża nasza sprawa. Był Pan dla nas źródłem siły moralnej. Niech Pan będzie silny za nas, bardzo drogi przyjacielu, życzymy Panu długiego życia, zdrowia i pomyślności, by mógł Pan prowadzić nadal swoje tak piękne dzieło, jest Pan naprawdę człowiekiem godnym podziwu, szczerym przyjacielem i serdecznym obrońcą ludu. Żegnam Pana serdecznie i ściskam z całej duszy.

Niech Pan broni zawsze prawdy naszej niewinności.

W imię pokoju, chleba i wolności, z godnością i prostotą czekamy na naszych oprawców, odważni, ufni, pełni niewzruszonej wiary w przyszłość.

Na zawsze pański

Juliusz.

19 czerwca 1953 r.

Najdroższy Manny, proszę oddać ten list moim dzieciom.

Moje dzieci najukochańsze,

moi najdrożsi synkowie,

Jeszcze dziś wydawało się nam, że będziemy mogli znowu być wszyscy razem. Ponieważ jednak nie jest to już możliwe, tak bardzo chciałabym przekazać wam wszystko, co wiem. Muszę niestety ograniczyć się do kilku słów, ale samo życie nauczy was tego, tak jak nauczyło mnie.

Z początku będziecie oczywiście bardzo cierpieli z naszego powodu, ale nie będziecie cierpieli sami. Myśl ta, która dodaje nam wiele otuchy, powinna was także pocieszyć.

Kiedyś, później dojdziecie również do przekonania, że życie warte

jest życia. Niech pocieszy was świadomość, że w tej chwili, kiedy tak niewiele tego życia nam pozostało, w wartość jego wierzymy niezachwianą wiarą, która jest wyzwaniem rzuconym samemu oprawcy.

Życie nauczy was także, że dobro nie może naprawdę zakwitnąć wśród zła, że za wolność i wszystko, co stanowi o wartości życia, trzeba niekiedy płacić bardzo drogo. Niech was pocieszy myśl, że zachowaliśmy pogodę ducha, gdyż wiemy doskonale, iż cywilizacja nie osiągnęła jeszcze tego stopnia rozwoju, kiedy za wszelką cenę ratuje się życie dla samego życia. Pociesza nas pewność, że inni trud ten podejmą, kiedy nas już nie stanie.

Ogromna byłaby to radość i ogromne byłoby to szczęście, gdybyśmy życie nasze mogli przeżyć z wami. Wasz tatuś, który jest przy mnie w tych ostatnich i tak ważnych chwilach, przesyła wam całą przepełniającą mu serce miłość do swych najukochańszych dzieci. Pamiętajcie zawsze, że jesteśmy niewinni i nie mogliśmy postąpić wbrew naszemu sumieniu.

Przyciskamy was do serca i całujemy ze wszystkich sił.

Do was należy cała nasza miłość

tatuś i mamusia

Juliusz i Ethel.

P. S. — Dla Manniego:

Pragnę, by oddał Pan dzieciom w dowód naszej wieczystej miłości medalion z Dziesięciorgiem Przykazań wraz z łańcuszkiem oraz moją obrączkę.

Niech Pan pozdrowi, proszę, w moim imieniu S. M.... Niech mu Pan powie, że kocham go i szanuję całą duszą. Czuję, że podziela on mój tryumf. Chciałabym, żeby o tym wiedział, proszę mu to powiedzieć, nie odczuwam bowiem ani lęku, ani żalu. Żałuję jedynie, że nie zdołałam rozwinąć do maksimum zalet, które mieć mogłam. Chciałabym, żeby wiedział, jak wiele on znaczy dla mnie i jak ogromnie mi dopomógł w moim rozwoju, żeby się z tego cieszył.

Serdecznie myślimy o wszystkich kochanych przyjaciołach naszych.

Z serdecznym uczuciem przyjaźni

Ethel.

Tłum. W. i Z. B.

ETHEL

*

Prócz tej, na której trwamy, nie ma innej drogi
Nie boję się niczego, oprócz samej trwogi.

Chciałabym dzieci taką przepoić odwagą,
ażeby zrozumiały śmierci prawdę nagą.

Ażeby zrozumiały, że walka o życie
przekreśla plany śmierci. Że róża w rozkwicie,

chociaż ścięta — zostawia smugę jasnej woni,
nad którą się przechodzień w zamyśleniu skłoni.

Nie wolno nam się ugiąć i prawdzie zaprzeczyć,
choć nie ma nad ból matki bardziej ludzkiej rzeczy.

Synkom naszym i wszystkim smutnym dzieciom świata
sprawiedliwość i pokój niosą przyszłe lata.

Juliuszu, ziarnko prawdy rzucone nie ginie.
Tak jak wyrzut sumienia zabrzmi nasze imię.

*

Zagłusz mój smutek,
żałosna mowo,
niech mnie wypowie
niełatwe słowo.

Nazbyt bolesne
sprawy się dzieją,
walczy nienawiść
z naszą nadzieją.

Śmierci nie pojmę
niezawinionej,
w mrok się zapadam,
w ciemności tonę.

Za sprawców zbrodni,
za ich nienawiść,
gorycz okrutna
wstydem mnie dławi.

Obłędny świecie,
ziemio daleka,
w której kat nosi
miano człowieka.

Gdzie zbrodnia skryta
pod nazwą prawa,
ziemio obłędna,
smutna i krwawa.

Czymże byłabyś,
ziemio bez serca,
gdyby nie ludzie,
których uśmiercasz?

Któż by twój naród,
ziemio, obudził,
gdyby nie cienie
straconych ludzi?

Krew nadaremno
w ziemię nie wsiąka.
Rozkwitnie wolność
w różanych pąkach.

Ludmiła Mariańska

DROGI

I

„...Wyganiała Kasia wołki
Rozwidniało się. Raz. Dwa.
Rozwidniało sięęęęę..."

„Wiła wiankiiii
I rzucała je do falującej wody,
Wiła wianki i rzucała je do wody..."

„...Bo artyleria
Siódma bateria..."

Przelewały się pieśni
Po obozie strzeleckim.
Ciężko brnęły po piachu
Szare pułki strzeleckie.

Pełzły czołgi zdyszane
Głusząc pieśni jazgotem.
Szła co rano Dywizja
Na żołnierską robotę.

Szły kompanie kaemów
Przeciągały moździerze.
Budowali „przeprawę"
Niestrudzeni saperzy.

Rozwijały baterie
Swoje szyki „bojowe"
Niosło echo wystrzały
Na strzelnicach polowych.

Hartowały się pułki
W ciężkim trudzie i znoju,
Bo gdy pot szczodrze się leje —
Mniej popłynie krwi w boju.

W deszcze, chłody i mrozy
Wiele dróg się przemierzy,
Wiele ziemi się zryje,
Aby zostać żołnierzem...

Dzień mijał jak barki na Oce,
Cichnął gwar obozowy,

Zmierzch spowijał namioty
Ukryte w lesie sosnowym.

Twardy jest sen żołnierza
po dniu mozolnym.
Nieraz nocy nie starczy
Na drogach wojny.

Dowódca baterii odłożył zeszyt.
Raz jeszcze w myśli powtórzył:
Polsza — eto Polska, swoboda — wolność,
Zdmuchnął kaganek i zasnął
zaledwie oczy zmrużył.

Śpi Dywizja
Pogrążona w ciszy i ciemności.
Tylko pedałówka stukocze
w redakcji „Żołnierza Wolności".

I jeszcze w sercu Dywizji —
W Oświatowym Wydziale
Za szczelną płaszcz-pałatką
Długo lampa się pali.

W gęstym dymie machorki
Nad stołem chyliły się głowy
Tych, co nieśli Polskę
Przez więzień szlak bojowy.

Nie zgnębiły ich Wronki,
Nie złamała Bereza,
Wyrwali kraty Rawicza,
By dziś prowadzić żołnierza.

Widziałem wiele rzek,
Wiele dróg przemierzyłem
Od dnia, kiedy rzuciłem
Wiślany brzeg.

Pluszcze rzeka szeroka,
Siwa, ojczysta, wiślana,
Jakby od dziecka znana.
Oka.

*

Pociąg dudni i dudni
Na zwrotnicach łomoce

Na platformach czernieją
Lufy armat w pomroce.

Poprzez wioski spalone,
Miasta z ziemią zrównane,
Jadą pułki na zachód
Drogą bojem zoraną.

Droga, droga żołnierska,
Koleiny, wyboje,
Wiedziesz szoso warszawska
Nasze pułki na boje.

Drogo z wszystkich najkrótsza.
Drogo z wszystkich najcięższa.
Sławią ciebie żołnierze
W pieśniach i wierszach.

Nas na piaskach Sahary
Złudny miraż nie kusił.
Nas do kraju prowadzą
Wstęgi dróg Białorusi.

Rzędy smukłych topoli,
Szare wierzby płaczące,
Rzewnym szumem witały
Wojsko drogą idące.

A gdy niebo szarzało
Przed nowego dnia świtem,
Las przyjmował w gościnę
Pułki pyłem przykryte.

I dziwiły się brzozy,
Szeleściły ciekawie,
Patrzcie, jacyś żołnierze
Śpią na leśnej murawie?

Jakież czapki rogate.
Mowa inna, a swojska.
Broń ta sama co naszych,
Bardzo dziwne to wojska.

Zapachniała mi ziemia
Jesienną wilgocią.
Parsknął koń brodząc w suchym
Listowiu paproci.

Żołnierzowi, co we śnie
Mocniej wtulił się w płaszcz,

Szeptał młody zagajnik
— Tyś nasz. Tyś nasz.

Droga, droga żołnierska.
Koleiny, wyboje.
Wiedziesz szoso warszawska
Nasze pułki na boje.

*

Front na Bugu pękł
Jak belka spróchniała,
Gdy pod Turzyskami
Uderzyły działa.
Gdy biły jak młoty
Salwy artylerii —
Zgodny chór radzieckich
I polskich baterii.

I gdy w wyłamane
Ławą czołgów wrota
Poszła wpław do szturmu
Czerwona piechota,
Jak rzeka co burzy
I przerywa tamy.

Zakwitły lubelskich
Pól złociste łany
Makami sztandarów
Gwardyjskich dywizji.

Zagrzmiało nad wojskiem
— Do Wisły. Do Wisły.
I ciągnął nieprzerwanie
W pyle dróg kredowych
Najeżony potok —
Bagnetów stalowych,
Huczący szczękiem lawet
I pancernych brygad,

Który z nas wtedy
Z szeregów nie wypadł,
Aby wyciągnięte
Objąć dłońmi ręce,
Co chleb i sól niosły
Ze szlochem w podzięce,
By piersi braterskie
Do własnych przytulić.

Szedłem szpalerami
Roztęsknionych ulic,
Przyciskając pęk kwiatów
Rękami obiema.

I bezwładnie szeptałem:
— Moja, moja ziemia...

Zda się, że rozprysło
Lubelszczyzny serce
Stu barwami tęczy,
Kwiecistym kobiercem
Ścielonym pod stopy
Czerwonoarmistów.

Szły z lasów oddziały
AL-owskich „Gwardzistów"...

Rozdzwonił się Lublin
Tysiącem wiwatów.
Rozkwitły sztandary
Jak pęki szkarłatów.

Razem z Manifestu
Fanfarą płomienną
Szedłem z dywizjonem
Porą brzemienną,
Kiedy każda chwila
Mierzy krok stuleci.

Jeszcze odblask pożarów
W przemarszu nam świecił
I nie zmatowiała
Czerwień krwi przelanej
Zakładników na Zamku
Rankiem rozstrzelanych.

*

Ziemia głucho dudniła.
Już zza horyzontu
Dobiegał z oddali
Ciężki łoskot frontu,
Co swój masyw stalowy
Na zachód przetoczył.

Wróg cofał się śpiesznie.
I chociaż krwią broczył —
Zażarcie osłaniał

Wiślane przeprawy,
By przejść na brzeg lewy.
A już na brzeg prawy
Wyszły w ciężkich bojach
Pancerne zagony —
Wolność zwiastująca
Straż Armii Czerwonej.

I myśmy szli nad Wisłę
Z bronią jak piorun,
Z pieśnią jak wicher.
Leciało przez wioski
Ustronne i ciche:
„Ruszaj pierwszy korpus nasz,
Salut daj na wschód
Na zachód marsz..."
I zaraz jak echo
„Spoza gór i rzek
Wyszliśmy na brzeg..."
„...Wychadiła na biereg Katiusza..."

Drogo, drogo żołnierska,
Koleiny, wyboje,
Wiedziesz na brzeg wiślany
Nasze pułki na boje.
Spoza wydm piaszczystych
Wyjechał dywizjon.
Baterie zajmowały
Pozycje nad Wisłą.

Mocno, mocno biło serce,
Ostrożnie rozchyliłem nadbrzeżne łoziny...
Wisła płynęła, cicha i spokojna,
Taka jak w ciężką rozłąki godzinę.
A jednak nie taka.
Dwa razy nie wejdziesz
Do tej samej rzeki.
Cztery lata minęły
A każde jak wieki,
I niemało ubyło
Z dna rzecznego piasku...
W zachodzącego słońca
Ciepłym blasku
Długo leżałem na brzegu
W fale ojczyste wpatrzony.

Wisła — wodny szaniec
Nieprzyjacielskiej obrony.

Widziałem wiele rzek,
Wiele dróg przemierzyłem,
Zanim znów powróciłem
Na wiślany brzeg.

Drogo, drogo żołnierska,
Koleiny, wyboje,
Polskie armie prowadzisz
Wraz z Czerwoną na boje.

Wał Pomorski, Wybrzeże,
Szturmem wzięty Kołobrzeg,
Tędy ciągnął Popławski
Do przyczółków na Odrze.

Hej, wy góry Sudeckie,
Hej, wy lasy Saksońskie,
Szedłem wami ja, szedłem
Dzień i noc z Polskim Wojskiem.

Drugiej Armii Dywizje
Wiódł generał Świerczewski
Na brzeg Łaby, na Drezno,
Wolność niósł Ziemi Czeskiej.

Hej, ty Nyso zielona.
Hej, ty Odro błękitna.
Śmierć żołnierska nam nieraz
Krwi szkarłatem zakwitła.
Rzeki chwały bojowej,
Drogi twarde i znojne,
Mogił bratnich strzeżecie
Z gwiazdą czerwoną. Z orłem.

Łabo, Łabo szeroka.
Szmaragdowe masz tonie.
Poiliśmy w twych wodach
Nasze zdrożone konie.

Nocne szturmy berlińskie...
Kościuszkowska legendo...
Nieśli chłopcy na rękach
Działa z piętra na piętro.

A gdy sztandar Kantarii
Zapłonął nad Reichstagiem,
Zatknęli kościuszkowcy
W Berlinie polską flagę.

*

Szlaki chwały żołnierskiej,
Dni bojowe, mozolne,
Nie zapomną was nigdy
Ludzie dzisiaj już wolni.

Na wertepach frontowych
W lejach, strzeleckich rowach,
Rosła Rzeczpospolita,
Polska, nasza, Ludowa.

Choć nam nieraz mierzono
Z „Visa" w plecy, z ukrycia,
Krzepła w ogniu klasowym
Rzecz chłopska, robotnicza.

We krwi wspólnie przelanej
Na trudnych drogach wojska
Rosło wieczne braterstwo —
Przyjaźń Radziecko-Polska.

Stalin — słowo jak płomień.
Stalin — słowo jak wiosna.
Sławi imię Stalina
Moja ziemia radosna.

Pną się piętra ku słońcu.
Partia uskrzydla myśli.
Choć ciężko, sił nie zbraknie,
Jak mocy Wiśle.

Kwitnij kraju wiślany,
Nadodrzański, bałtycki.
Kraju walki i pracy,
Ziemio najmilsza z wszystkich.

Drogi, drogi żołnierskie...
Pieśni, co nie ulecą...
Dalej marsz wyznaczacie
Nowym dziesięcioleciom.

Henryk Hubert

DANUTA BIEŃKOWSKA

DACH NAD GŁOWĄ*)

MIESZKANIE DUNIACZKI

Duniaczka dawno rzuciłaby pracę w Biurze Projektów, gdyby nie spodziewała się stamtąd mieszkania. Sprzątaniem ani się wiele nie zarobi, ani do czego lepszego nie dojdzie. Bolek powtarzał to matce każdego dnia. Nikt wprawdzie w biurze nie wiedział, że inżynier Duniak jest synem Duniaczki, nawet personalny w tym się nie połapał, gdy Bolek przyniósł skierowanie z Politechniki, ale już same spotkania na korytarzu były nieprzyjemne. Co innego, gdyby matka pracowała w fabryce, przy krosnach, frezarce, tym można by się nawet chwalić. Sprzątaczka nie jest ani robotnicą, ani urzędniczką, wpisuje się ją do rubryki „fizyczni", najgorszej z wszystkich rubryk.

Jako przedstawicielkę tych fizycznych wybrano Duniaczkę do egzekutywy Podstawowej Organizacji Partyjnej i stąd urosło jej znaczenie. Siedziała na zebraniach obok dyrektorów, wiedziała o najważniejszych sprawach, chętnie dzieliła się wrażeniami z przyjaciółmi. Na pogwarki schodzono się w introligatorni, u Makowskiego, kiedy pierwsza zmiana kończyła robotę, a sprzątaczki czekały, aż pracownie opustoszeją. Przychodził Tomczyk z kopiarni, Dulębina, ze wszystkich sprzątaczek najstarsza, czasem wpadał któryś z szoferów, jeśli nie wysłano go do miasta. Rozwijali swoje śniadania i popijali herbatę, zgotowaną przez Duniaczkę. Biurowej nie pili nigdy; była droga i kiepska w smaku, musiała do niej Hemerska dodawać karmelu.

Introligatornia mieściła się w suterenie, jasnej wprawdzie, lecz nieco wilgotnej. Od kamiennej posadzki ciągnęło i Makowskiemu dokuczał stary reumatyzm. Często narzekał, że w nowym budynku nie powinno być wilgotnych suteren i że w ogóle przy tej budowie inżynierowie pokpili sprawę. Klatki schodowe za ciasne, rano przepchać się nie można, kotły centralnego ogrzewania całkiem nieodpowiednich rozmiarów, tak że trzeba je było wymieniać, a mogli od razu obliczyć, jak się należy, Widać, że już zawsze szewc bez butów chodzi.

— Młodzi — mówił Tomczyk. — Pewno nie umieją.

— Jak młodzi, to niech się tym bardziej starają — żądał Makowski. —

---

*) Patrz Twórczość numer poprzedni.

Jakby ich przyciśnięto, zobaczylibyście jacy by z nich byli specjaliści. Za lekko im wszystko przychodzi.

— Kto ma ich pilnować? — Tomczyk wzruszał ramionami. — W tym biurze nikt niczego nie pilnuje. Choćby z mlekiem. Pracownikom z kopiarni należy się mleko, ale czy nam je dają? Owszem, zwracają pieniądze, zawsze z tym mniej kłopotu. Co mnie z tych paru groszy, kiedy zapadam na zdrowiu. Moglibyście o tym powiedzieć na egzekutywie — zwrócił się do Duniaczki.

Obiecała, ale nikt jej na zebraniu nie chciał słuchać. Gorzkowski, patrząc na zegarek, przypominał, że późno, że lepiej odłożyć do następnego razu. I tak z zebrania na zebranie.

Duniaczce szczególnie zależało na tym, żeby Tomczyk dostawał to mleko. Raz, że naprawdę nie miał zdrowia, natyrał się w tej Francji, nim go jak dziada wypędzono. Trzydzieści lat tam przepracował, a jak do kraju wracał, cały swój dorobek w jednym kuferku wywiózł. Ale i osobista ambicja Duniaczki wchodziła w grę: niech wiedzą ludzie, że może coś dla nich zrobić, że nie na próżno siedzi w tej egzekutywie.

Było sporo bolączek, o których chciała mówić. Choćby dzieci. Sprzątaczki pracowały po południu, kiedy przedszkola już zamknięte i niejedna nie mając gdzie zostawić dziecka ciągnęła je ze sobą do biura. Bawiły się w kurzu, w przeciągach, przeszkadzały matkom. Duniaczka poszła z tym do sekretarza. Ale Gorzkowski nie okazał żadnego zrozumienia:

— Nie możemy dla kilkorga brzdąców zakładać tutaj przedszkola. Niech sobie matki znajdą robotę w rannych godzinach. My zatrudnimy takie, co dzieci nie mają.

Więc kobiety prosiły Duniaczkę, żeby już dała spokój, bo jeszcze stracą zajęcie, niech lepiej wszystko zostanie po staremu. Tylko Makowski mówił, żeby nie ustępować, że można by dzieci zebrać w jednym pokoju i wziąć kobietę jaką do nich na parę godzin. Niech Fundusz Socjalny zapłaci. Duniaczka znów zaczepiła Gorzkowskiego. — Nie, Fundusz Socjalny był już na ten kwartał wyczerpany.

— Pewno! — oburzał się Makowski — urządzili z tych pieniędzy wycieczki. Dla architektów oczywiście, szkoleniowe. Całą Polskę objechali i to w jakich warunkach! Luksusy! Dla sprzątaczek paru groszy zabrakło.

Mówił jeszcze, żeby choć dobrowolne dyżury urządzić, z pięćset kobiet pracuje w biurze, dla nikogo by to nie było zbyt uciążliwe. Zwrócił się do Rady Kobiecej i do zetempówek. One znowu do Gorzkowskiego. Coś tam sobie uradzili, dość że dyżurów nie wprowadzono.

Nie wygrali także z Wienciarzem, intendentem, chociaż niby to był swój człowiek, z awansu i partyjny, przedwojenny robociarz, za okupacji przez hitlerowców postrzelony. Tak przynajmniej mówił o nim Gorzkowski, póki się nie pokłócili. Bo Tomczyk i Makowski od razu nie mieli do niego zaufania. Najpierw, że wcale nie po robociarsku przemawiał na zebraniach. Nikt nie wymaga, żeby to było uczone, ale skoro, jak mówił, przed wojną był blisko KPP, to każda wypowiedź musi mieć sens i cel. A on tylko się podlizywał, że wstyd słuchać, albo rozrabiał, że złość brała. Wszystko na jakieś tematy uboczne, osobiste; pókiś go nie rozgryzł, nawet nie wiedziałeś dlaczego. Każdy mu był wrogiem, kto mu wniosku o premię, albo o awans nie podpisał. Dla świętego spokoju awansowano go zresztą często, znacznie częściej niż innych, którzy lepiej pracowali. Ale on nigdy nie miał dość, biegał po całym biurze i odgrażał się, broń nawet pokazywał. Jedni się z tego śmiali, inni woleli z nim nie zadzierać; bezpartyjni, zwłaszcza nieprzekonani, mówili: „Widzicie, tacy są ci partyjniacy." Gdyby chociaż robił swoje! Gdzie tam! O konserwację budynku nie dbał. Woda ciekła z kranów w umywalniach, a że zatkane, więc i na podłogę się wylewała, kapała przez sufit i Tomczyk sam ratował, kiedy był na popołudniowej zmianie, choć to nie jego rzecz. Najgorzej obchodził się intendent z ludźmi, zwłaszcza ze sprzątaczkami. Ani powierzchni nie wymierzył, ani za nadliczbowe metry nie płacił. Może chował do własnej kieszeni?

Tyle na niego naklęto, że Tomczyk z Makowskim postanowili na własną rękę dowiedzieć się, jak to z nim było przed wojną. Poszli do ludzi, na których się powoływał, wypytali. No i dowiedzieli się.

Kręcił się tam Wienciarz koło fabryki, używano go nawet do werbowania łamistrajków. Ale robotnikiem żadnym nie był. I z tym KPP także się nie potwierdziło. W czasie wojny postrzelono go, kiedy coś ze straganu ściągnął, nawet ludzie pamiętali, jak później wyrywał. Taki to działacz i lewicowiec. Makowski opowiedział Gorzkowskiemu, który się wcale nie ucieszył, jeszcze naurągał, że się mieszają w nieswoje sprawy, od tych rzeczy jest kontrola partyjna. Mówił, że nie może ich oświadczeń wziąć za pewne i tak czy owak sprawę przekaże do KW. Zresztą Wienciarz nic złego w Biurze nie popełnił, to nawet nie ma powodu zajmować się nim specjalnie.

Po roku takich rządów fizyczni już nie mieli złudzeń. Jak trzeba dekorować salę przed akademią, szyć sztandary i chorągwie zawieszać — to się do nich zwracano, choć nikt za to nie płacił, mówiło się: praca społeczna. Ale przy rozdzielaniu wczasów nigdy fizycznym nie wypadła Krynica albo Zakopane, chyba w listopadzie lub w kwietniu.

Duniaczkę tak to wszystko rozeźliło, że wygarnęła swoje żale na naradzie produkcyjnej wobec tysiąca ludzi. Zrobiło się bardzo cicho, Gorzkowski dawał znaki, żeby przestać, ona jednak raz dorwawszy się do głosu nie umiała się powstrzymać.

— Nikt nie szanuje naszej pracy, nie pomyśli, żeby nam jej umniejszyć. Popiół i niedopałki sypią na podłogę, albo do wiklinowego kosza, że ich później z parkietu wydrapać nie można. A w ustępach, wstyd powiedzieć, to nie jak inteligencja, tylko jak zwyczajne świntuchy...

Strasznie się o to rozgniewał sekretarz i powiedział po zebraniu:

— Dziwię się wam, Duniaczka, że okazujecie taki brak wyrobienia. Narady produkcyjne są sprawą planu, widzieliście, że sam minister zaszczycił nas swoją obecnością i inni towarzysze z Ministerstwa i Komitetu Warszawskiego. A wy — o ustępach! Nie wiedziałem, gdzie oczy podziać ze wstydu! Jakby wam naprawdę działa się krzywda. Umieściłem was wśród pierwszych, co mają dostać mieszkanie.

To prawda, od roku była już na liście, ale jak przyszło do przydziałów, to mieszkanie otrzymał dyrektor administracyjny, Fecikowa z rozliczeń i kilku architektów, świeżo przyjętych do pracy, wcale nie wpisanych na listę.

Gorzkowski pięknie to Duniaczce wytłumaczył.

— Rozumiecie, że musimy przede wszystkim dbać o pracowników produkcyjnych. Oni wykonują plan. Bez sprzątaczki też byśmy plan wykonali. Ja nie mówię o was, tylko tak, ogólnie. Zresztą, co by pomyślano, gdybyśmy w pierwszej kolejności dali mieszkanie członkowi egzekutywy?

Duniaczka wróciła do domu jak struta. Nie tylko dlatego, że ją pominięto przy rozdziale mieszkań. Bardziej jeszcze czuła się urażona sposobem, w jaki sekretarz mówił o pracy sprzątaczek. Że niemal niepotrzebna, nieważna. Nie każdy zdoła być architektem. Ale jak swoją robotę wykonuje, że nie można lepiej, czy mu się już nie należy szacunek? I dlaczego sekretarz to mieszkanie obiecywał, a później figę z makiem pokazał? To ma być po partyjnemu?

Jeszcze w czterdziestym piątym przygarnął Duniaczkę z synem znajomy jeden z tej samej wsi, który pracował w wodociągach. Mieszkał na Złotej w oficynie przeznaczonej na zburzenie. Z żoną i córką zajmował pokój, a Duniaczce odstąpił kuchnię, w której gotowano wspólnie. Później dziewczyna wyszła za mąż, urodziła syna i wszyscy tak gnieździli się na kupie, czekając na mieszkanie, każdy od swojego zakładu pracy.

Z dzieckiem, jak to z dzieckiem: pieluszki, kąpiel, pranie, wstawanie

po nocach. Coraz ciężej mieszkało się Duniaczce. Jeszcze póki zdrowa, pół biedy. Ale jak dostała róży w nodze — to zupełna niedola.

Leżała w kuchni za parawanem, Bolek skoczył po lekarza przerażony wysoką gorączką, bo matka miała serce słabe. Gospodyni gotowała obiad, wnuczek bawił się na podłodze przykrytej kocem i zarzuconej szczątkami zabawek. Duniaczkę aż mdliło z gorąca i zaduchu, okna nie można było otworzyć bo malec niedawno chorował. Naraz ktoś zapukał do drzwi. Duniaczka usłyszała młody, trochę zadyszany głos kobiecy.

— Czy tu mieszka inżynier Duniak?

— Tak — odpowiedziała gospodyni. — A co takiego?

— Z biura przyszłam dowiedzieć się, dlaczego nie zjawił się u nas od dwóch dni. Może chory?

— Matka jego choruje.

— Matka? — młoda kobieta jakby się czemuś dziwiła. — Czy mogłabym ją zobaczyć?

— Leży tutaj za parawanem — powiedziała gospodyni podchodząc do łóżka — Duniakowa, macie gościa.

Duniaczce zrobiło się przykro, że ją koleżanka syna w takiej sytuacji odwiedza. Nie dość, że mieszkają nędznie, to jeszcze Duniaczka miała na sobie połatany i wyblakły kaftan flanelowy, a na pierzynie obleczenie stare, choć czyste, jednak od częstego prania poszarzałe, biednie wyglądające.

— Dzień dobry — powiedziała panna. — Ależ my się znamy! Pani u nas pracuje, prawda? — I obie zakłopotały się tą znajomością.

Agnieszka zawsze była uprzejma dla sprzątaczek, chętnie rozmawiała z nimi, kiedyś pytała nawet, czy Duniaczka nie może jej polecić jakiej praczki, bo od nich gosposia odeszła. Nie, Duniaczka o nikim takim nie wiedziała, a sama za nic w świecie do prania by się nie zgodziła, tak obrzydliwe wydało się jej grzebanie w cudzych brudach. W biurze, to co innego: posada. Nie najlepsza, ale człowiek u nikogo nie służy, nie ma się za gorszego niż ten, co mu pracę zleca.

Teraz, kiedy wyszło na jaw, że Bolek jest jej synem, stara kobieta nie umiała podjąć rozmowy. Nie sprzątaczką chciała się gościowi okazać, tylko matką inżyniera. Sprostałaby temu, gdyby nie to nędzne otoczenie, w którym ją Agnieszka znajdowała, gdyby nie choroba, odbierająca człowiekowi jasność myśli i ochotę do jakiegokolwiek wysiłku.

— Ma pani wysoką gorączkę — powiedziała Agnieszka ujmując jej rękę. — Twarz taka rozpalona...

— Syn poszedł po lekarza. — Duniaczka bała się, że ta panna posądzi Bolka o brak opieki nad matką.

— Czy mogłabym pani czym usłużyć? — zapytała dziewczyna. — Coś podać albo przynieś z miasta?

— Dziękuję, nic mi nie potrzeba — odrzekła Duniaczka i zaraz pożałowała swej oschłości, bo Agnieszka posmutniała i bezradnie jęła poprawiać wciąż rozsypujące się włosy. Były tak jasne i obfite, jak warkocze Duniaczki, kiedy miała te same lata.

— Niech mnie pani nie uważa za obcą — powiedziała ze spuszczonymi oczyma. — Dawno chciałam panią odwiedzić.

— Mnie? — zdziwiła się Duniaczka.

— Prosiłam Bolka, żeby mnie przedstawił swojej matce — Agnieszka zaczerwieniła się gwałtownie.

— Ach tak! — dorozumiała się stara kobieta i innym okiem spojrzała na dziewczynę. — A on nie chciał?

— Odkładał z tygodnia na tydzień.

Stała zmieszana, czerwona, z błyszczącym nosem, drgającymi ustami, jakby za chwilę miała się rozpłakać. Nic a nic nie zostało w niej z wykształconej architektki. Widziało się, że gdyby nie jakiś wewnętrzny mus, dawno by stąd uciekła, tak się tu czuła obco i nieswojo.

— Niechże pani siądzie na łóżku. — Duniaczka posunęła się, aby zrobić jej miejsce — Bolek powinien wkrótce wrócić...

Uśmiechnęła się do dziewczyny, żeby jej dodać odwagi, pogładziła po ręku. I choć niewiele mówiły później ze sobą, już to najgorsze znalazło się poza nimi.

Kiedy Bolek dowiedział się o tych odwiedzinach, nie umiał ukryć rozżalenia.

— Widzi mama, trzeba już było dawno rzucić pracę w tym biurze! Dosyć zarabiam na nas dwoje. Co sobie teraz Agnieszka pomyśli. Jej ojciec jest znanym architektem! Życie mi mama zawiązuje! O te parę set złotych mamie chodzi!

Ale Duniaczka wiedziała, co wiedziała. Musi mieć własne mieszkanie, przez siebie samą wysłużone, z przydziałem na swoje imię. Raz już wyzuto ją ze wszystkiego, życie jej dało nauczkę! Własne rodzeństwo skrzywdziło, bracia, siostry. Komuż to wierzyć, jeśli nie najbliższym?

Kiedy szła za mąż do miasta, ułożyli się ją spłacić, sami siedząc na gospodarce. Raz i drugi sypnęli groszem, przysłali worek mąki, wóz ziemniaków. Później ogień mieli, to znów pomór na świnie, susza im zboże wypaliła, buraki nie obrodziły — i Duniaczka więcej pieniędzy nie widziała. Wzięła nawet adwokata i wszczęła proces, ale w pierwszej instancji przegrała, bo umowy na piśmie nie mogła przedstawić, a spłaty to w gotowiznie, to w naturze dawane trudno było obliczyć.

Bracia twierdzili, że wysłali więcej i postawili na to świadków, Duniaczka mówiła, że mniej otrzymała, lecz dowieść swego nie dowiodła, kwitów przecież żadnych nie pisała, ani nawet jakichś dla siebie notatek.

Duniak machnął ręką na ten jej posag, nie chciał się po sądach włóczyć, nie miał do interesów żadnej smykałki. Owszem, dobry był z niego ślusarz, ale na codzień byle czym się zadowolił więcej zajęty polityką niż sprawami rodziny. Jeśli już został wieczorem w domu, to czytał takie swoje książki, które potem skrzętnie chować należało, żeby ich kto obcy nie zauważył. Z żoną o tym czytaniu nie rozmawiał. Tyle że, kiedy schodzili się do niego inni towarzysze, Duniaczka siedziała w kuchni, wyglądając oknem, czy kto podejrzany nie kręci się przed bramą.

Jeszcze jak Bolek był malutki, mówiła, żeby go wszelkimi siłami pchać do nauki, że może-może, będzie kiedyś inżynierem. Nie myślała, żeby komukolwiek lepiej mogło być na świecie niż inżynierowi. Znała kilku: mieli własne wille, samochody, cieszyli się ogólnym szacunkiem.

Duniak nie sprzeciwiał się jej planom. Dobrze, niech się Bolek uczy, póki się tylko da. Inna rzecz, że w tym ustroju pewno się niczego nie dochrapie. A w socjalizmie, to i robotnik może mieć auto i własny domek.

Mimo że psioczył na kapitalistów, na sanację, na wszystkie przedwrześniowe porządki, pierwszy poszedł bronić Warszawy w 1939. Ledwie zdobył broń, przecież nikt go do wojska nie ciągnął, młodsi odchodzili z kwitkiem. Duniaczka miała nawet żal do niego, że się tak dał zabić niepotrzebnie i zostawił samą z dzieckiem bez żadnego zaopatrzenia. Inni uciekli zawczasu, a po powrocie robili dobre interesy.

Pisała do rodziny w Lubelskie, wybierała się tam jechać. Odradzili jej, że im samym ciężko i że ludzi od nich wywożą na roboty. Została więc w Warszawie i rozejrzała się za pracą.

Do handlu nie miała głowy, na służbę iść nie chciała, czuła się zawsze gospodarską córką, żal jej też było dziecka, żeby nim kto poniewierał. Koledzy męża znaleźli jej zajęcie na Żoliborzu, Bolka wprowadzili na tajne komplety. Wciąż wspominali Duniaka i tak się jakoś zrobiło, że — choć zmarły — roztaczał opiekę nad rodziną rękoma dawnych towarzyszy. Myśleli, że wtajemniczył żonę w więcej spraw, niż się naprawdę rzecz miała, więc rozmawiali z nią otwarcie i jeszcze przed powstaniem warszawskim wciągnęli do partii.

Choć Duniaczka zarabiała grosze, ledwie mogąc wyżywić siebie i chłopaka, nie narzekała i nawet była ze swego życia zadowolona. Raź-

niej zrobiło się jej, odkąd uznała, że można świat odmienić i że wbrew temu, co mówił ksiądz każdej niedzieli, nie trzeba z pokorą znosić wszelkich niesprawiedliwości dla wysłużenia sobie wiekuistego szczęścia.

Żałowała nieraz, że mąż jej wcześniej oczu nie otworzył, o to jedno chowała do niego urazę. Bo z biegiem lat jakby go lepiej rozumiała i czuła się dumna, że takiego, nie innego, miała męża.

Znajdowała też zadowolenie we własnej pracy. Choć się jej w domu nie przelewało, przecież dawała sobie radę nie oglądając się na cudzą pomoc. Zasmakowała w tej samodzielności. Nikomu innemu nie chciała powierzyć troski o własną starość. Nawet Bolkowi. Ożeni się, dzieci przyjdą, młodym nigdy dość pieniędzy. Tak mu też powiedziała:

— Nie rzucę teraz pracy, kiedy lada miesiąc spodziewam się mieszkania.

— Wierzy w nie mama?

— Wierzę.

— Gorzkowskiemu?

— Gorzkowski, to jeszcze nie cała partia.

Bolek nie sprzeciwiał się matce, bo chora. Rzekł tylko na zakończenie:

— Mieszkanie i ja kiedyś dostanę. Może nawet prędzej niż mama.

Duniaczkę aż kolnęło w sercu.

— Dlaczegoż to prędzej? Czy się czym zasłużyłeś? Młodziak jesteś, sam jeden, poczekasz jeszcze.

Teraz Bolka poniosło:

— Jestem inżynierem, a inżynierowie są potrzebni, mama zresztą dobrze o tym wie. I gdybyśmy nie mieszkali tak wszyscy na kupie, zaraz bym się z Agnieszką ożenił.

Duniaczka rozgniewała się na dobre. Najwięcej o to, że sama przed laty mówiła, że politechnika zapewni człowiekowi powodzenie. Ale ustrój się zmienił i zgodnie z tym, co twierdził Duniak, powinno się lepiej dziać zwykłemu robotnikowi, nawet sprzątaczce, zwłaszcza pod koniec życia, kiedy niewiele dobrego może się spodziewać. Toteż powiedziała ze złością:

— Nie zawracaj sobie głowy tą dziewczyną. Profesorska córka, wychuchana, wypieszczona, nie pachną jej nasze kąty. Zobaczysz, że się tutaj więcej nie pokaże...

Tymczasem już następnego dnia Agnieszka zaszła do Duniaczki, przynosząc pomarańcze i kwiaty, których nie było w co wstawić. Wymyła więc szklankę po musztardzie i umieściła z fiołkami na szafie, żeby Duniaczka miała je przed oczyma. Zadomowiła się już, bez zapro-

szenia przysiadła na łóżku, jakby się znały od dawna. Obrała pomarańczę i dawała chorej po cząsteczce.

Duniaczce było lepiej po zastrzykach i pastylkach, ale dopiero w tej chwili poczuła wyraźnie, że zdrowieje. Bardzo jej ulżyło, że nic nie trzeba ukrywać. Bolek najdłużej siedział skrępowany, lecz i on odtajał pod ciepłym uśmiechem Agnieszki. I wszystko złe zrzucili na mieszkanie. Jakże tu z ludźmi współżyć, jak ich do siebie prosić.

Tak właśnie tłumaczył się Bolek Agnieszce na schodach, kiedy ją odprowadzał do tramwaju. Niech nie myśli, że się matki wstydził. Wziął dziewczynę pod rękę i prowadził ostrożnie przez podwórko, bo po ciemku łatwo się tu potknąć lub pośliznąć. Przez ciemną bramę wyjść już mieli na ulicę, gdy policzek Agnieszki znalazł się tak blisko, że Bolek dotknął go wargami. Wtedy odwróciła twarz, objęła go za szyję i mocno pocałowała w usta.

— Kochany! — szepnęła radośnie.

Chociaż nie widział jej oczu, był pewien, że się uśmiechają.

— Jagulko! — całował jej rękę skrępowany, że to tak w bramie się zaczęło, kędy ludzie przejść mogą i Bóg wie co pomyśleć. Powiedział jej o tym, kiedy się do niego przytuliła.

— No, to co? To co? — powtarzała w jego nieco sztywnych ramionach. — Dawno czekałam, ach jak dawno! Cieszysz się? Bolku, powiedz, że się cieszysz!

Pewno, że się cieszył, ale i kłopotał równocześnie. Bo jakże tu życie sobie ułożyć bez mieszkania? Ojca Agnieszki o nic prosić nie chciał, ani tym bardziej z nim mieszkać, nawet gdyby się na to zgodził. Z ciężkim sercem wrócił do siebie na górę i więcej z matką o dziewczynie już nie rozmawiał.

Duniaczka domyśliła się sama, że sprawa jest poważna, nie jakieś tam przelotne sympatie. Nic nie miała przeciw Agnieszce, chyba to jedno, że z inteligenckiego domu i może się kiedyś nad Bolka wynosić. Po namyśle i to zastrzeżenie odrzuciła: ludzie chętnie się dziś chlubią takim ojcem, jakiego miał Bolek. I słusznie.

Bardziej gnębiła ją myśl, że kiedy otrzyma własne mieszkanie, to się młodzi do niej sprowadzą. Nie chciałaby mieszkać samotnie, bała się jednak, że synowa zechce być u świekry gospodynią.

Na wiosnę biuro zaczęło cherlać jak chory na przednówku. Nie pomagały zebrania ani narady. Gorzkowski odczytał na egzekutywie pismo z KW, że wysłali specjalną komisję celem przeprowadzenia kontroli i proszą aktyw partyjny o ułatwienie jej zadania. O mieszkaniu trudno było wspominać w takiej sytuacji.

W kilka dni później Duniaczka poznała towarzyszkę Jaworską, całkiem siwą, choć jeszcze nie starą kobietą. Przyszła po południu do sprzątaczek, aby sprawdzić, ile ich jest i w jakich warunkach pracują. Kazała obliczyć na planie powierzchnię, jaką każda z nich codziennie sprząta. Więcej tam wypadło niż po dwieście metrów, a Duniaczce zebrało się aż trzysta pięćdziesiąt.

— Płacili wam za dodatkową powierzchnię? — pytała towarzyszka z KW.

— Nie płacili — odparła powściągliwie Duniaczka, bo Gorzkowski powiadomił w tajemnicy członków egzekutywy, że cała ta kontrola wymierzona jest przeciw nim i dyrekcji, że jeśli wypadnie źle — wszystkim grożą najstraszliwsze konsekwencje.

Duniaczka nie wytrzymała i zwierzyła się z tym Makowskiemu.

— Głupstwo! — rozgniewał się stary introligator. — Wam to już doprawdy nic nie grozi. Przeciwnie, powinniście powiedzieć towarzyszom z KW wszystko, co wiecie, żeby stosunki w biurze uzdrowić. Wcale bym się nie martwił, gdyby Gorzkowskiego stąd zabrano.

— Gdyby go zabrano! — westchnęła Duniaczka. — A jeżeli zostanie? Wiecie, że mi obiecał mieszkanie...

— Już to mieszkanie przesłania wam cały świat! — oburzył się Makowski. — Tu chodzi o znacznie więcej, o to, żebyśmy wszyscy mogli pracować z sensem, żeby nasz wysiłek się nie marnował, żeby wykonać więcej dokumentacji technicznej bez takiej szarpaniny. Gospodarskie porządki po prostu. Jeśli nawet zmieni się dyrektor...

— Nasz dyrektor nie jest zły — broniła Duniaczka. — Tyle, że ma wiele spraw na głowie i dostęp do niego trudny, bo go otoczyły różne dranie...

— Nie wiem, czy zły, czy dobry. Ale biurem nie umie kierować. Nie stworzył kolektywu, z organizacją partyjną się nie liczy, sam jeden wszystkim rządzi. Powiedzcie, czy was choć jeden raz wysłuchał na zebraniu? Czy można załatwić cokolwiek bez jego podpisu! Ujmujecie się za nim, bo z wami grzecznie rozmawia, rękę podaje na dzień dobry i do widzenia, pierwszą was przez drzwi przepuszcza, sam widziałem. To wszystko plewa, a ziarno całkiem inne.

Podobnie mówili na zebraniu aktywu członkowie komisji z KW. Potem były wybory do władz partyjnych. Z dawnych ludzi tylko Duniaczka weszła do nowej egzekutywy. Nawet nie spodziewała się tego, że ją towarzysze wysuną, a dzielnica poprze.

Ucieszyła się okazanym jej zaufaniem, spodziewając się w nowej egzekutywie przeprowadzić to, czego nie udało się dokonać za czasów

Gorzkowskiego. Rychło też zaprzyjaźniła się z Gawrysiem i to nie tak jak z sekretarzem Podstawowej Organizacji Partyjnej, ale jak ze zwykłym sobie człowiekiem.

Przychodził nawet czasem na pogwarki do introligatorni, częstował Dulębinę miętówkami, żeby nie kaszlała, pił herbatę i zjadał swoje śniadanie, które przynosił w płóciennym woreczku wyszywanym w czerwone maki.

— Córka mi go dała na imieniny — powiedział Duniaczce — chodzi do czwartej klasy.

— Taka mała! — zdziwiła się Duniaczka, bo Gawryś wydawał jej się starszy.

— Najmłodsza — uśmiechnął się sekretarz. — Mam już syna po wojsku, niedługo będzie się żenił. Spójrzcie na jego fotografię. Nie chciał się uczyć, niestety. Mógł przecież iść na uniwersytet. Ale został w fachu. Stolarz, tak jak i ja.

— Nie szkodzi, nie szkodzi — mówiła Duniaczka, choć ją aż korciło, żeby się własnym synem pochwalić, który skończył politechnikę. — Nie wszyscy muszą się uczyć.

Gawryś spojrzał na nią z ukosa.

— A wy, Duniaczka, nie chcielibyście przyłożyć się do nauki?

— Żartujecie chyba! — roześmiała się. — Gdzie mnie na stare lata! Czytać i pisać umiem, to mi już do śmierci wystarczy.

— Albo i nie wystarczy. Nie musicie wiecznie sprzątać. W kopiarni, w introligatorni lepsza robota, więcej można zarobić. I w administracji znalazłoby się coś dla was. Macie otwartą głowę, czemu by do niej trochę wiadomości nie wtłoczyć?

Kiedy powtórzyła Bolkowi tę rozmowę, nie tylko nie wydziwiał, ale się do projektu sekretarza zapalił i obiecał matce w nauce dopomóc. Trochę ją ta gotowość ubodła: — Wszystko by zrobił dla swojej Agnieszki — pomyślała nie bez goryczy. — Nawet matkę by wykształcił.

Oczywiście, nie było mowy o żadnej szkole. Gawryś zachęcił Duniaczkę, aby zapisała się na kurs Wszechnicy Radiowej, przyniósł zawczasu skrypty z ubiegłego roku, niech sobie powoli czyta i gimnastykuje myśli. Pierwszy zeszyt przerobił z nią razem.

— Prawda, że to wcale nie trudne? — pytał przy każdej stronie. — Prawda, że ciekawe?

Dla Duniaczki było to przede wszystkim zupełnie nowe i tak dalekie od jej codziennej krzątaniny, że ją we własnych oczach odmieniało, czyniło kimś godniejszym. Przywykła wcześniej przychodzić do biura, żeby spokojnie poczytać w świetlicy.

Od jakiegoś czasu świetlica naprawdę zaczęła ludziom służyć. Dawniej, za Gorzkowskiego, odbywały się w niej różne biurowe konferencje i zebrania, człowiek nie miał po co tam zaglądać.Teraz stała otworem o każdej porze, zaciszna i wysprzątana. Ze Związku przysłano bibliotekarkę, młodą dziewczynę, do której Duniaczka zrazu nie miała przekonania, bo nosiła grzywę włosów na czole, jak koń, i malowała się jaskrawo. Z tym wszystkim okazała się ludziom życzliwa. Widując Duniaczkę prawie co dzień, zagadnęła ją raz i drugi, poradziła, żeby wypożyczyć od niej jaką powieść.

Duniaczka nigdy książek nie czytała. Jeszcze Przyjaciółkę przejrzała czasem w niedzielę. Ale na czytanie jakichś wymyślonych rzeczy zawsze żałowała czasu. Wolała coś tam naprawić z garderoby, sweter dla Bolka zrobić na drutach, albo tak sobie w niedzielę posiedzieć na słońcu, myśli puszczając luzem.

Pierwszą jej książką była „Marta" Elizy Orzeszkowej. Chociaż kobieta, o której tam pisano, z innego wyszła domu niż Duniaczka, przecież podobnie walczyć musiała o życie swego dziecka i swoje, podobnych doznając upokorzeń.

— Dziś by już taka Marta nie zmarniała — dzieliła się wrażeniami z Gawrysiem. — Szkoda gadać, dużo się zmieniło.

O tych właśnie zmianach Gawryś zaczął z nią mówić coraz częściej. Po zebraniach egzekutywy szedł z nią razem do tramwaju, osądzając wystąpienia wszystkich towarzyszy. Dziwny był z niego człowiek. Do każdej rzeczy przykładał szczególną miarkę: przydatności społecznej, słuszności partyjnej. Nie chciało się to Duniaczce w głowie pomieścić, że ludzka sprawa, na pozór jednoznaczna i prosta, może się wydać całkiem inna, gdy ją pod tym kątem oglądać. Jakby dwie były prawdy: osobista i ogólna, na użytek powszechności.

— Ależ nie! — prostował Gawryś — Jedna jest, tylko wy źle do niej podchodzicie. Patrzycie przez wąskie okienko, zamiast ją z góry całą wzrokiem ogarnąć. Tym wąskim okienkiem są codzienne potrzeby każdego z nas. I przez nie kawałek życia się zobaczy. Ale szerokie widzenie daje tylko znajomość potrzeb całego społeczeństwa.

Mówił z nią o budowach sześciolatki i o trudnościach gospodarczych, godził z przejściowymi brakami i otwierał oczy na wielkie osiągnięcia. Ani się spostrzegła, jak innym zaczęła te sprawy wyjaśniać, najpierw w biurze, później tam, gdzie mieszkała.

Na zebraniach wszyscy cichli, gdy zabrała głos. W egzekutywie liczono się z nią coraz bardziej i Gawryś nie potrzebował nikogo skłaniać do posłuchu, kiedy wykładała swoje argumenty.

We wrześniu na porządku dziennym znalazła się sprawa przydziału mieszkań. Zamiast obiecanych dwudziestu — biuro otrzymało zaledwie pięć, a ponad sto rodzin czekało już na nie od paru lat.

Dyrektor Bostel milczał nachmurzony. Od czasu komisji z KW zawsze czekał, aż sekretarz wypowie swoje zdanie i często z nim się godził. Tym razem i Gawryś był w kłopocie, bo jak sprawiedliwie dokonać przydziału — nie wiadomo.

— Przynajmniej dwa muszę mieć dla instalatorów — żądał dyrektor techniczny. — W przeciwnym razie odejdą najlepsi specjaliści od centralnego ogrzewania. W Biurze Budownictwa Przemysłowego zaraz dadzą im mieszkanie. Tam dyrekcja bardziej się stara o pracowników.

— I myśmy o mieszkania zabiegali — żachnął się Bostel. — Cofnięto je nam w ostatniej chwili.

— Bo plan nie był wykonany w pierwszych dwóch kwartałach — chłodno oświadczył Gawryś.

— Tak czy owak, proszę o dwa mieszkania.

— Ci dwaj nie są na liście.

— A kto jest na początku?

— Czernak, Duniaczka, dwaj architekci z pracowni Brejwy, Rzepińska z administracji...

— Czernak odpada — kategorycznie stwierdził Bostel. — Wydaliliśmy go z partii, o mało nie usunęli z biura...

— Został jednak — powiedział Gawryś. — I pracuje coraz lepiej.

— Dalej idą Macieszek i Goryczka od Brejwy — dyrektor prześliznął się nad uwagą sekretarza. — Znam ich. Bardzo potrzebni. Muszą dostać.

— Macieszek i Goryczka — powtórzył protokólant zapisując te nazwiska.

— No i Rzepińska — szybko dodał ktoś z egzekutywy. — Mieszka w okropnych warunkach, ma dwoje małych dzieci, sam tam chodziłem z komisją, żeby sprawdzić.

— Przede wszystkim instalatorzy! — bronił swego dyrektor techniczny.

— A Duniakowa? — zapytał sekretarz szczególnym tonem.

Duniaczkę aż ciarki przeszły. Nie wiedziała, czy ma przemówić za swoją sprawą, czy dalej trwać w milczeniu, tylko wzrokiem wisząc u ich ust.

— Tak — rzekł przeciągle Bostel patrząc w szyby znowu zasnute kurzem, choć nie minęły jeszcze dwa tygodnie, jak je Duniaczka szorowała. — Czeka już ze dwa lata, wiem. Jednakże — zwrócił się ku niej

i serce jej ścisnęło się pod tym spojrzeniem zimnym i kłującym — jednakże potrzeby biura...

Zaczęli spierać się między sobą, gdyż kilku towarzyszy wystąpiło w obronie Duniaczki. Ale ona straciła już nadzieję. Skuliła się w sobie, głowę opuściła, myśląc, że już jej nic dobrego w życiu nie spotka. Czegóż może oczekiwać, nieuczona, stara, tylko z tą parą spracowanych rąk? W twardym Gawrysiowym rachunku na poślednim znalazła się miejscu.

Niespodziewanie dla niej, kiedy zdanie dyrektora zdawało się przeważać, Gawryś wstał z miejsca, choć inni przemawiali siedząc.

— Wiem, że biuro potrzebuje inżynierów, architektów, instalatorów, że im przede wszystkim pragnie ułatwić życie. Ale partia potrzebuje ludzi, nawet takich, którzy szkoły nie skończyli, ale z rosnącym zrozumieniem spełniają polecenia partyjne. Plan nie jest tylko dziełem inżynierów i techników. Jest także wynikiem atmosfery, przekonań, nastrojów całego zespołu, w którym obok inteligencji technicznej mają swój udział introligatorzy, woźni i sprzątaczki. Nie każdy inżynier i nie każda sprzątaczka warci są naszego zachodu. Nie w zawodzie, ale w postawie człowieka mieści się jego wartość. Spytajcie Duniaczkę, dyrektorze, jak dopięła tego, żeby z pracy własnych rąk syna wam wychować na kolegę.

Bostel spojrzał na starą kobietę, nie bardzo wiedząc, o czym sekretarz mówi.

— Inżynier Duniak z pracowni siedemnastej jest jej synem — i jednym z przodujących architektów. Mieszkają razem. Nie dla niego jednak, lecz właśnie dla jego matki stanowczo proszę o mieszkanie.

W dwa tygodnie później Duniaczka otrzymała klucze od mieszkania w osiedlu muranowskim. Kiedy znalazła się sama w pokoju jeszcze pustym, ale już urządzonym w myślach, ogarnęła ją radość tak wielka i takie rozczulenie, że oparłszy się o ramę okienną — zapłakała. Dzień był deszczowy, jesienny, dróżki w osiedlu rozkopane, błoto wszędzie, ludzie ostrożnie stąpali po deskach, chlupiących w wodzie. Młoda kobieta z trudem przepychała wózek dziecięcy do bramy. Ktoś ją zagadnął, przystanęła pokazując śpiące dziecko, poprawiła na nim różową kołderkę.

— Ile tu mieszkań — zaczęła liczyć Duniaczka. — W każdym domu chyba po kilkadziesiąt. W oknach firanki, kwiaty, każdy się stara, żeby się jak najładniej urządzić.

Zatroskała się, że tak niewiele miała do przewiezienia na swoje gospodarstwo. Jedną dorożką zabierze się bez trudu. Trzeba by meble wziąć z Centrali Drzewnej na spłaty, ale o to niech już Bolek się postara. Stołowy kombinowany z gabinetem najlepiej by się nadał. Jasny, z niebieskim pokryciem. I jeszcze kredens do kuchni. Tylko czy są w sprzedaży takie małe, dopasowane do nowych mieszkań?

Zaczęła liczyć, ile na to potrzeba pieniędzy i posmutniała, bo nawet przy pokaźnych zarobkach Bolka długo wypadnie czekać, zanim wszystko będzie po jej myśli.

Całą niedzielę poświęciła na domowe porządki. Było jej na rękę, że Bolek od rana gdzieś wyszedł i w samotności mogła nacieszyć się mieszkaniem. Z nabożeństwem wzięła się do mycia okien. Pierwszy to raz od wielu lat trudziła się dla siebie. Gazetą wycierając szyby aż do blasku zaczęła śpiewać tak jak dawniej, w Bochotnicy:

Oj, trzy nas córek matka miała,
oj, i wszystkim nam wiano dała.
A jednej dała konie wrone,
a drugiej dała dwa cyrwone,
a trzeciej dała igielnicek
oj, na jej bidny wyrobecek.

Zrazu melodia dobywała się trwożliwie z jej piersi odwykłej od śpiewania, rychło jednak nabrała mocy. Mówiono niegdyś Duniaczce, że pięknie śpiewa, na druchnę ją proszono. Później zabrakło do śpiewu okazji i ochoty.

Dopiero teraz, myjąc to swoje okno, tak się zapamiętała, że ludzie przechodzący koło domu zadzierali głowy i pewnie się dziwili, widząc ją starą i steraną, ale Duniaczka jakby dogoniła swoją młodość.

Inżynier Duniak został zaproszony na godzinę jedenastą przez ojca Agnieszki Doraczyńskiej, lecz już od dziewiątej nie mógł usiedzieć w domu. Ruszył więc pieszo na Żoliborz, próbując jak najwięcej czasu po drodze zmitrężyć. Obejrzał postęp robót w swoim osiedlu, długo patrzył przez wysoki prześwit na Arsenał i trasę W-Z, na której połyskiwał mokry asfalt. Zaszedł później do ogrodu Krasińskich, aby z niewielkiego wzgórka spojrzeć na Muranów. Mimo wszystkich krytyk, jakich się o nim nasłuchał, osiedle to podobało się Bolkowi. Może dlatego, że kompozycja wydawała mu się czytelna, przestrzeń uporządkowana, bryły dobrze rozmieszczone. Z bliska traciły wiele wskutek

braku tynków i niestarannego wykonania. Z daleka, dzięki samej liczbie, robiły duże wrażenie.

Było parno, jakby deszcz miał lunąć lada chwila. Zawiewał ciepły niemal wiosenny wiatr. Od Cytadeli niósł się zapach zgniłych liści, ziemi nawilgłej i dymu. Młody architekt szedł szybko w rozpiętym płaszczu. Czuł się jak po ogromnej porcji kawy, podniecony i trochę niespokojny.

O wpół do jedenastej znalazł się na XII kolonii WSM-u zastanawiając się, czy wejść przed umówionym terminem, czy też przeczekać pół godziny na dziedzińcu. — Jeśli mnie dojrzą z okna, że się tak przechadzam, dopiero będą się śmieli — pomyślał. — Lepiej wrócić na ulicę. A może mnie już zobaczyli? — spojrzał z przykrością na okna przysłonięte firankami, za którymi kryć się mogły oczy domowników. Wreszcie zdecydował się wejść do mieszkania.

Drzwi otworzyła mu Agnieszka, jak zwykle nie dość starannie uczesana. Pocałowawszy go ukradkiem, zawołała w stronę pokoju:

— Tatusiu, Bolek przyszedł.

Wysoki mężczyzna zbliżył się na powitanie. Duniak widywał go już w Stowarzyszeniu Architektów i na politechnice, zawsze podziwiając jego wdzięk i swobodę obejścia.

— Niech pan pozwoli do mnie, kolego — zaprosił gościa płynnym ruchem ręki. — Może nam zrobisz kawy, Jagulko?

Duniak wszedł do pokoju, podobnego do klasztornej celi. Przy ścianie bielonej wapnem stał wąski tapczan, przykryty tkaniną w szare i fiołkowe prążki. Pod oknem rajzbret, obok półka z książkami, wysoki stołek i krzesło ze sznurkowym oparciem. W oczy rzucały się dwa piękne szkice architektoniczne, oprawione w czarną wąską listwę.

— To chyba Noakowski? — zapytał młody inżynier.

— Tak. Byłem jego uczniem — odparł z uśmiechem gospodarz. — Proszę, niech pan zobaczy moją robotę. Elewacja typowej szkoły wiejskiej.

— Dla Lubelszczyzny? — zapytał Duniak uderzony regionalnym charakterem budynku.

— Zgadł pan. Zna pan tamte strony?

— Trochę. Matka moja jest spod Kazimierza... — urwał spłoszony obawą, że dał okazję do pytań, których w tej chwili pragnął uniknąć. Ale profesor Doraczyński zaczął z innej beczki:

— Nad czym pan teraz pracuje?

— Kończymy z Agnieszką osiedle w Kamionce. Projektuję ośrodek osiedlowy: dom kultury, szkołę i ambulatorium.

— Ma pan szczęście, że dostał się pan do Orańskiego. W siedemnastce młodzi najprędzej zdobywają samodzielność.

— Szef złożył rezygnację z pracy...

— Na pewno wróci po urlopie! — roześmiał się profesor — Bardziej niż wilka do lasu ciągnie architekta do projektowania.

— Kiedy go naprawdę skrzywdzono! — uniósł się Bolek — Nie wiadomo dlaczego Bostel odebrał mu projekt Nowej Rudni. To było naprawdę świetne, znacznie lepsze od szkiców Erwina, wystawionych w politechnice. Może urbanistyka jeszcze niedociągnięta, ale architektura! Znakomita!

— Taki pan tego pewien?

— Jak tego, że oddycham.

Gospodarz uderzył go z lekka po ramieniu.

— Ech, młodość, młodość!

Duniak trochę się odsunął. Nie lubił, gdy mu wypominano jego lata.

— Niech pan nie sądzi, żem taki pochopny do zachwytów. Gdyby pan miał projekt przed sobą, wykazałbym i udowodniłbym, na czym polegają jego bezsporne zalety.

Doraczyński spoważniał. Częstując gościa papierosem powiedział ogólnikowo:

— Może się o tym sam przekonam...

Chwilę palili w milczeniu.

— Jak pan wyobraża sobie swoją przyszłość? — zagadnął znowu stary architekt.

Bolek nie wiedział, jak na to odpowiedzieć. Czy mówić o Agnieszce, czy o trudnościach mieszkaniowych, czy o swoich uczuciach, wreszcie Doraczyński przyszedł mu z pomocą:

— Agnieszka tyle naopowiadała mi o panu, że uważam pana za dobrego znajomego. Jednego wszak nie wiem: dokąd pan zmierza w swoim zawodzie. Urbanistyka czy architektura, czy też jedno i drugie razem? Mieszkalnictwo czy wielkie założenia biurowe i społeczne? Spokojna, codzienna robota u Orańskiego, czy jakie szalone pomysły, udział w konkursach, rywalizowanie ze starymi?

Mówiąc to żartobliwie, patrzył na Bolka wzrokiem badawczym i przenikliwym. Przygładził siwiejące, lekko sfalowane włosy i oparł brodę na dłoni. Miał twarz pociągłą, o wysokim czole, nosie cienkim, choć wydatnym, twarz człowieka, którego rodzice na pewno więcej ślęczeli nad książkami niż nad jakąkolwiek inną robotą. Ręce jego, białe i długopalce, nie trudniły się niczym innym niż rysowaniem. Teraz nawet, z nawyku obracał ołówek, gruby czarny automat czeski.

— Na razie terminuję u szefa — powiedział Bolek. — Ledwie zrobiłem dyplom, niewiele jeszcze umiem. Ale i do konkursów mnie już ciągnie, choćby tak poza pracą, wieczorami...

Doraczyński uśmiechnął się nieznacznie.

— Słyszał pan o konkursie na klub robotniczy? Ogłoszono go przed kilkoma dniami...

— Nie wiedziałem o nim. A jaki termin?

— Trzy miesiące. Wspominam o tym, ponieważ pan już projektował dom kultury...

— To konkurs otwarty czy zamknięty?

— Otwarty.

— W takim razie...

Bolek zawahał się. Stary architekt zaczął coś gryzmolić na szkicówce przypiętej do rysownicy.

— Oczywiście — ciągnął beznamiętnie — konkurs to niewielki, nie daje szans wybicia się do pierwszych szeregów. Zawsze jednak na zwycięzcę wszyscy zwrócą uwagę. Tego rodzaju temat jest dobrym sprawdzianem talentu.

— Sądzi pan, że mógłbym... — Bolek przerwał sam sobie. — Skądże, nie widział pan żadnej z moich prac...

— Myślę, że powinien pan spróbować — ożywił się Doraczyński i uśmiechem powitał nadchodzącą córkę. — No, Jagulka wreszcie przyniosła kawę.

Spojrzał porozumiewawczo na córkę, która od razu poweselała. Za to Bolek stał się mrukliwy i nie rozpogodził się do końca wizyty. Zaczęła go dręczyć myśl, że między Agnieszką a owym konkursem zachodzi ściślejszy związek, niżby się na pozór wydawało.

Nie dziwił się Doraczyńskiemu, że stawia mu wymagania właśnie w zakresie twórczości, to jest przecież najważniejsze w człowieku. Chce przed całym światem pokazać, ile ten jego zięć jest wart. Bolek także pragnął się zmierzyć z tematem i wypróbować swe siły. Tym razem jednak przeląkł się, że stawką w tej walce ma być Agnieszka.

Gdyby mu się bowiem nie powiodło, gdyby przypadkiem sknocił konkursowy projekt, czy nie straciłby przez to kochanej dziewczyny? Czy miłość jej wytrzymałaby próbę niepowodzenia, koleżeńskich docinków i złośliwości? Czy do ich przyjaźni nie wkradłaby się odrobina lekceważenia?

— Nie mam żadnych szans! — martwił się w drodze do domu. — Za mało jeszcze umiem. Zwalają na nas ciągle zbyt odpowiedzialne zadania. Zagranicą architekci w moim wieku dopiero terminują u sławnych

mistrzów. Nie musi to być słodkie, oczywiście, ale czego się nauczą, tego im nikt nie odbierze. Na całe życie starczy.

Tak sobie myślał, chociaż w głębi serca wcale mu się dalsze terminowanie nie uśmiechało. Francuzi, z którymi rozmawiał w czasie Kongresu Pokoju, bynajmniej nie chwalili swego losu. Przeciwnie, kiedy ich oprowadzał po warszawskich budowach, narzekali, że u nich tylko sławni architekci mają zamówienia, a młodzież całymi latami czeka na taką gratkę.

— Owszem — mówił z goryczą młody brunecik z Paryża. — Rysujemy wielkie założenia i monumentalne gmachy... Dla wprawy... Wszystko pozostaje na papierze i nigdy nie doczeka się realizacji. Nie ma koniunktury dla budownictwa. Czasem się jakąś willę postawi. Choć i to coraz rzadziej.

Bolek myślał, że tamten trochę się zgrywa, że tak mu wypada mówić, kiedy do Polski przyjechał. Zdziwił się prawdziwie, gdy francuski kolega zwrócił się do niego z prośbą:

— Przyjmijcie nas na parę lat do pracy. Nie chodzi nam nawet o zarobek, ale o zużytkowanie naszych sił i umiejętności. Chcemy wreszcie zobaczyć domy własnoręcznie przez nas rysowane. Czy nie wie pan, kto by nam mógł dopomóc w załatwieniu formalności paszportowych?

Chwycił Bolka za guzik marynarki i omal go nie urwał, tak się zapalił do swego pomysłu. Oczy mu się śmiały, gdy wyjaśniał:

— Ja nie tylko we własnym imieniu... Mam kolegów, którzy podobnie czują... Chodzimy do klubu przyjaźni francusko-radzieckiej, widzimy lepiej niż inni, jakie przemiany dokonują się w Związku Radzieckiem i w krajach demokracji ludowej. Z punktu zdecydowalibyśmy się na przyjazd do was...

Bolek wiedział, że tamten mówi szczerze. I kiedy go tak sobie przypominał jadąc tramwajem z Żoliborza, doszedł do przekonania, że za nic by się z nim nie zamienił. Lepszy nadmiar odpowiedzialności, niż beznadziejna pustka wyczekiwania.

— Cóż z tego, że zbłaźnię się na jednym konkursie? — pomyślał o najgorszym. — Za rok, ba, za pół roku rozpiszą następny i znowu będzie okazja wypłynięcia na szersze wody. Zresztą dlaczego miałbym ten projekt spartolić? Agnieszka na pewno mi pomoże, co dwie głowy, to nie jedna. Dotąd wiodło mi się z wszystkim nienajgorzej...

Pogodniej spojrzał na świat. Po krótkim deszczu wyjrzało blade słońce. Wiatr dął przeraźliwie, ze wszystkich stron naraz, zwłaszcza na skrzyżowaniu trasy W—Z z ulicą Nowotki. Coraz to zrywał komuś

kapelusz z głowy i toczył go prosto w najgłębsze kałuże. Życzliwi przechodnie próbowali go pochwycić, sami wciskając mocniej czapki i przytrzymując rozwiane poły płaszczy. Chwilami wichura uciszała się zupełnie, aby w następnej minucie ze zdwojoną siłą rzucić się na piechurów, którym pył zasypywał oczy i zgrzytał między zębami.

Duniak wszedł z ulgą do zacisznej sieni swego domu. Przed drzwiami matka położyła nową słomiankę. Ledwie nacisnął klamkę zapachniało pastą do podłóg i świeżością niedawnego szorowania. Na białej ścianie lśniły czarne przełączniki elektryczne.

— To ty, Bolku? — zapytała matka.

— Ja, mamo, a któż by inny? — zażartował wieszając płaszcz w przedpokoju. Poprawił nieco przekrzywiony krawat. Stanął na progu i rozejrzał się, nie poznając izby, którą opuścił rankiem.

Matka zawiesiła nad oknem wąską firaneczkę, na ścianach ręczniki wyszywane, łóżko przykryła narzutą, dawno temu utkaną własnoręcznie.

— Ładnie tu! — pochwalił Bolek. — Wcale nie pusto.

I dopiero teraz spojrzał na Duniaczkę.

W świetle dogasającego dnia siedziała przy stole z książką na kolanach. Lecz jakże odmienna wydała się synowi! Zamiast ciemnej sukni, w którą ubierała się co niedziela, miała na sobie koszulę z bufiastymi rękawami i gorsecik sukienny, zielonkawy, a fałdzista spódnica spływała aż na podłogę. Jedwabna chustka zsunęła się jej na tył głowy, odsłaniając nie posiwiałe jeszcze włosy. Na jasnym tle rysowała się ostro koścista twarz.

Przez lata całe matka zamykała ten swój odświętny ubiór w skrzyni, która jedna tylko z ich dobytku ocalała po powstaniu. Z dzieciństwa pamiętał Bolek, jak co pewien czas trzepało się te suknie i przekładało rozmarynem, żeby się mole nie wdały.

— Ładnie by ci w tym było, mamo! — powiedział kiedyś. Spojrzała na syna ze smutkiem i w milczeniu potrząsając głową zawarła wieko skrzyni. Nie przypominał sobie, aby zaglądała do niej więcej. Może czyniła to ukradkiem, rozmyślając nad ukrytymi w niej pamiątkami.

Nie w stroju mieścił się jednak sekret dzisiejszej odmiany, ale w rozpogodzeniu rysów, w rozluźnieniu wiecznie napiętych mięśni, w jasności oczu, które śmielej zaczęły patrzeć przed siebie. Pierwszy raz, odkąd pamiętał matkę, Bolek patrzył na nią bez tej żałosnej tkliwości, jaką budziła w nim jej rezygnacja; więcej, patrzył na nią z podziwem, tyle w niej było godności, piękna, szlachetnego wyrazu.

Podszedł do niej wzruszony i pocałował w rękę.

— Nie cofnie pan swej zgody na zwolnienie Orańskiego?

— Ani myślę.

— Wyrzeka się pan zatem jednego z najlepszych pracowników?

Bostel niecierpliwie wzruszył ramionami.

— Nie widzę celu przedłużania tej rozmowy.

Halemba poprawił wciąż zsuwające się okulary i rzekł z naciskiem:

— W takim razie udam się do Gawrysia.

Bostel uśmiechnął się ironicznie.

— Doszliście więc do porozumienia? Bardzo mnie to cieszy.

— Nie wygląda pan na uradowanego — cierpko stwierdził Halemba wstając z krzesła. — Ze zdrowiem chyba gorzej, prawda?

— Przeciwnie, czuję się znacznie lepiej — odparł urażony dyrektor. Nie znosił, gdy mu przypominano o chorobie.

— Powinien pan wyjechać na urlop.

— Żeby wam zostawić wolną rękę w sprawie Orańskiego?

Halemba uśmiechnął się przekornie.

— Właśnie.

— Ani myślę! — powtórzył Bostel z pasją.

Halemba przypatrywał mu się w milczeniu. Potem ukłonił się z przesadną grzecznością i ruszył do sekretariatu. Stojąc w drzwiach powiedział żartobliwie:

— Czasem nie zawadzi się zastanowić...

Przez długą chwilę Bostel słyszał jego oddalające się kroki, szybsze i cięższe niż zwykle. Wreszcie wmieszały się w tupot innych nóg na schodach, w hallu, w pracowniach na wszystkich piętrach.

— Piekielna akustyka! — objął rękoma obolałe skronie. Zdawało mu się, że gmach cały tętni obcym ruchem, jakby wzrastała w nim siła jeszcze niewidoczna, lecz już wyczuwalna, groźna i wciąż potężniejąca.

Wyjął pastylkę Gardanu, popił paroma haustami wody. Czekając, aż lekarstwo zacznie działać zbliżył się do okna i wyjrzał na ulicę.

Słońce było dziś blade i osowiałe, po niebie snuły się niemrawe chmurki. Dym chylił się ku dachom, na niepogodę.

— Do tego więc doszło — pomyślał Bostel — że taki Halemba zwraca się przeciw mnie. Halemba, który dotąd trzymał się na uboczu i nie stawał w niczyjej obronie. Przyjaźń z Orańskim nie przeszkodziła mu przez kilka miesięcy przyglądać się życzliwie wysiłkom Erwina, nie ona go też dzisiaj przywiodła. Więc co? Przekonanie o wyższości tamtego projektu?

— Czyżby on był naprawdę znacznie lepszy? — zapytał się dyrektor. — Trzeba go w każdym razie obejrzeć, skoro i tak dostaje się na szersze forum. Będzie to jednak wyglądało, że ulegam sugestiom Halemby. I co dalej? Przypuśćmy, że koncepcja Orańskiego jest istotnie więcej warta. Przecież Rudni Erwinowi nie zabiorę. Podniósłby rwetes na całe miasto. Za późno na taką decyzję.

— Za późno! — stwierdził raz jeszcze wracając do biurka. Opadł na krzesło, zapalił papierosa. — Gdybym dziś zaczynał pracę w tym biurze, wiele rzeczy można by inaczej ułożyć. Teraz jednak trzeba się trzymać raz obranej linii postępowania. Ustępstwa nie zdadzą się na nic.

Zaostrzył ołówek, przygotował papier, aby skreślić plan przemówienia na zebraniu kierowników pracowni. Dawniej lubił do nich przemawiać, wiedział, czym trafić do każdego. Teraz myślał o naradzie z niepokojem. Niby ci sami ludzie, niby nic się nie zmieniło od tych paru lat, które przepracowali razem, a przecież nic nie pozostało po dawnemu. Zbliżał się do nich po omacku, poruszał niepewnie, jak w znajomym mieszkaniu, w którym poprzestawiano meble w ciągu nocy.

— Czy to Gawryś jest wszystkiemu winien? — zaczął się zastanawiać. — Nie. Gdyby go odwołano, ludzie nie wróciliby na dawne miejsca.

Ogarnęło go zniecierpliwienie podobnie jak przy rozwiązywaniu krzyżówki, gdy braknie ostatniego wyrazu.

— Ani to sprzysiężenie, ani zmowa, ani nawet świadomie przeciw mnie skierowana akcja — próbował zwalczyć dojmujące uczucie osamotnienia. — Jakoś tak: oni sobie, a ja sobie.

To stwierdzenie znowu nic nie wyjaśniało. Nie miał jednak odwagi dalej dochodzić prawdy. Póki niebezpieczeństwo nie przybierało określonego kształtu można było uważać je za wytwór chorobliwych lęków, spychać na dno świadomości.

— Halemba już się ze mną nie liczy — wrócił do przykrego tematu. — Nie pozwoliłby sobie przed pół rokiem na podobne wystąpienie. Co go wreszcie skłoniło do tego? Skąd ta zmiana?

Ujrzał go tak wyraźnie na progu swego gabinetu, widział tak dokładnie jego uśmiech, że aż dłonią zacisnął powieki, nakazując spokój wzburzonym nerwom. Jakże się jednak uspokoić wśród stuku tysiąca kroków na suficie i pod podłogą, w skrzypie zamykanych drzwi, we wrzawie głosów dobiegających z ulicy?

Zaraz po trzeciej Halemba udał się na poszukiwanie sekretarza. W Kontroli Wykonania Planu powiedziano, że zeszedł do pokoju orga-

nizacji partyjnej. Tam znowu dwaj zetempowcy zajęci dekorowaniem ścian wyjaśnili, że Gawryś jest na pewno w bibliotece.

— Zaprowadza ład w księgozbiorze! — pomyślał Halemba. — Co za niespokojna dusza!

Tymczasem sekretarz najspokojniej w świecie czytał pisma przy stoliku pod oknem. Widząc, że inżynier rozgląda się niepewnie, zagadnął go pierwszy:

— Kogo pan szuka? Mnie czy bibliotekarki?

— Pana! — odparł Halemba z uśmiechem — Nie chciałbym jednak przeszkadzać. Nie wiedziałem, że pan się tym interesuje — wskazał numery Architektury — A co to za skarby? — spytał zaciekawiony widząc otwarte pudło z fotografiami.

— Zabytki z Kielecczyzny i z okolic Lublina.

— Kto by przypuścił, że mamy w biurze takie dobre odbitki. Niech mi pan pozwoli obejrzeć. Ładne! — zapomniał zupełnie po co tutaj przyszedł, oglądając jedną fotografię po drugiej.

— Ładne! — westchnął ponownie. — Tylko że diabelnie trudno zastosować coś z tego do naszych potrzeb. Albo się wpada w naśladownictwo, albo w nieudolną sytuację. Przyznam się panu, że nie wierzyłem dotąd w możność wykorzystania tradycji rodzimej architektury. Dopiero przykład Orańskiego dał mi do myślenia.

Poczęstował Gawrysia papierosem, sam zapalił i zaciągnął się łapczywie.

— Dlatego właśnie przychodzę do pana z prośbą, aby organizacja partyjna raz jeszcze rozważyła podanie Orańskiego. Moim zdaniem, nie powinien on rzucać projektowania.

— Czy wie pan, co go skłoniło do rezygnacji z zajmowanego stanowiska?

— Domyślam się tylko, bo nigdy ze mną o tym nie rozmawiał. Odebranie mu projektu Nowej Rudni.

— Bostel cofnął mu zlecenie przed paru miesiącami...

— Tak... Ale Mikołaj ciągle jeszcze łudził się nadzieją, że odzyska utraconą robotę. Rysował dalej. No, a później ta wystawa w politechnice...

Gawryś uważnie strzepnął popiół z papierosa.

— Czemu przypisać, że dopiero dzisiaj mówi pan ze mną o tym?

Halemba zawahał się, przygryzł wargi, wreszcie zdecydował się mówić otwarcie.

— Dopóki szło o sprawy personalne, mało mnie to obchodziło. Erwin czy Orański, nie moja rzecz. Teraz ważą się losy miasta. Jaka, do licha,

ma być tu Nowa Rudnia? Zależy mi na tym, aby ją ukształtować pięknie i roztropnie.

Z wysiłkiem formował krótkie zdania, pragnąc, aby Gowryś dokładnie pojął jego myśli.

— Widzi pan, każdy z nas przeżywa po swojemu, głębiej lub powierzchowniej, przejście do nowego projektowania, do tego, co się nazywa realizmem socjalistycznym w architekturze. Nasze próby potrzebują potwierdzenia, pierwsze kroki zawsze stawia się niepewnie. Chciałbym wiedzieć, kto wybrał słuszniejszą drogę: Erwin czy Orański? Do kogo mogę się zbliżyć we własnych poszukiwaniach? Po czyjej stronie jest słuszność?

— Słuszność? — zastanowił się Gawryś i nagle dodał — Czyżby spokojne życie straciło dla pana swe uroki, skoro podejmuje pan walkę o zasadnicze problemy?

— To za wiele powiedziane! — zażartował Halemba — Sprzeciwiam się po prostu oczywistym dla mnie nonsensom...

— A przed wojną? Także się pan buntował?

— Byłem na bakier z ogólnie głoszonymi hasłami. Endecy nazywali mnie komunistą, lewicowcy mieli mnie za liberała. Teraz przylepiono mi inną etykietkę. „Formalista". Może i byłem nim kiedyś... Człowiek się jednak zmienia... Czy mój formalizm zresztą nie płynął z najlepszych pobudek?

Gawryś uśmiechnął się wyrozumiale.

— Jakież to były pobudki?

— Nie znoszę tandetnej roboty! — uniósł się Halemba — Tymczasem pod płaszczykiem walki z formalizmem kryje się w naszym biurze często zaniedbanie zasad kompozycji, zupełna nieporadność plastyki, nihilistyczny stosunek do architektury jako sztuki. Dyrektor administracyjny przedstawiając na początku roku plan finansowy przedsiębiorstwa, stwierdził, że najistotniejszą cechą budownictwa socjalistycznego jest masowość i szybkość wykonania, co zwalnia nas od szczególnej troski o wygląd naszych osiedli. „Produkcja architektoniczna upodobniła się do fabrykacji ciężarówek — mówił. — Chodzi tylko o to, aby zaspokoić potrzeby mieszkańców jak najmniejszym kosztem w najkrótszym okresie czasu".

— Czy pan trochę nie przesadza? — przerwał Gawryś.

— Bynajmniej. Tenże sam dyrektor uważa wręcz za niepotrzebny wydatek urządzenie zieleńców wewnątrz osiedla. „Robotnicy nie umieją uszanować ich — uzasadniał swoje stanowisko — Trzeba najpierw ludzi wychować, a później inwestować w teren."

— Jakże prowadzić pracę wychowawczą w nieporządnych, niezagospodarowanych dziedzińcach? — oburzył się Gawryś — W ładnie urządzonej stołówce czy świetlicy każdy rozejrzy się za popielniczką, zamiast rzucić niedopałek na podłogę. Więcej, w pięknych sklepach i kupujący i obsługa są bardziej uprzejmi wobec siebie.

— Znalazłem w panu sojusznika! — roześmiał się Halemba.

— To raczej pan sprzymierzył się z nami — odparł poważnie sekretarz — zwłaszcza odkąd pokazał pan na przykładzie współzawodnictwa, że walka o jakość architektury może iść w parze z walką o dotrzymanie terminów. Co zaś do etykietki, którą panu dano, dawno już nie określa ona waszej postawy, inżynierze. Nie ma teraz w naszej twórczości rozdźwięku między wyrazem zewnętrznym, a ideologiczną treścią, przynajmniej tak mi się wydaje...

Halemba milczał, mnąc w palcach skrawek papieru. Gawryś ciągnął dalej:

— Szuka pan wzorów... Erwin czy Orański? Czy może jeszcze kto inny... Wszyscy wzorujemy się na jakichś przykładach. Czy zastanawiał się pan kiedy, w jaki sposób kształtują się upodobania? Co wpływa na sposób urządzenia mieszkań, na stosunki w rodzinie, w pracy? Myślę przede wszystkim o ludziach ze społecznego awansu, których życie odmieniło się z gruntu. Czy pan widział, jak urządza się zbrojarz na Muranowie albo włókniarka na Ochocie? Oczywiście, przywozi swój dorobek. Ale co kupuje, co pragnie mieć w przyszłości?

Halemba uniósł brwi na znak, że nic o tym powiedzieć nie może.

— Dość często widzi się zjawisko, nazwane nie pamiętam już przez kogo, „awansem ku drobnomieszczaństwu". Dążenie do stylu życia, właściwego klasie niegdyś uprzywilejowanej. Dla wielu moich znajomych szczytem marzeń wydaje się posiadanie takich mebli, jakie widzieli w domu aptekarza, kupca czy urzędnika. Mówię dla przykładu o urządzeniu mieszkania, choć dotyczy to i stosunków między ludźmi i pojęć moralnych. Stworzenie nowych wzorów, nowej kultury życia codziennego jest sprawą pilną. Mówię z panem o tym właśnie dlatego, że sztukę pojmuje pan jako sprawę najbardziej osobistą. Jeśli twórczość pana może nam wychować ludzi, nikt nie zarzuci panu formalizmu.

Halemba stracił zwykłą sobie ironię i rzekł cicho, ze wzruszeniem.

— Gdybym tylko potrafił...

Gawryś uśmiechnął się życzliwie, zachęcająco.

— Raz jeszcze wrócę do mebli — rzekł, jakby się tłumacząc. — Stolarzem byłem, zanim wzięto mnie do Szkoły Partyjnej. Otóż pamięta pan, czego widziało się najwięcej w Centrali Drzewnej, kiedy jej skle-

py otworzono? Sypialni małżeńskich, jadalek z oszklonym kredensem. Taki sprzęt zajmował pół pokoju po to tylko, żeby w nim trzymać kryształy i porcelanę, kupowane z wysiłkiem i ze szkodą dla istotnych potrzeb. Wyciągano te skorupy raz, dwa razy do roku...

Zaciągnął się papierosem i dokończył swoją myśl.

— Teraz już bufetów mało się robi, za to półek na książki znacznie więcej, niedrogich, ładnych, potrzebnych w najmniejszym mieszkaniu. Bo jakże tu bez książek?

Halemba czuł, że słowa te w ustach sekretarza nie miały charakteru sloganu. Były świadectwem wdzięczności, jaką żywił dla druku człowiek, który z dniem każdym pomnażał swoją wiedzę.

OSACZENI

W najbardziej zdyscyplinowanej komórce Biura Projektów, w pracowni budynków typowych rozgorzała zaciekła walka między kierownictwem a grupą młodych inżynierów i kreślarzy. Powody jej sięgały głębiej niż współzawodnictwo cyklowe, które stało się bezpośrednią przyczyną, chociaż Frankowski ani słowem nie sprzeciwił się jego wprowadzaniu. Uniemożliwiał je po prostu takim rozdzieleniem pracy między członków zespołu, że nie starczyło im czasu na wykonanie zleceń zgłoszonych do współzawodnictwa. Jeszcze inżynierowie z biedą mogli oszczędzić kilka godzin, lecz kreślarze wykorzystani byli do granic swoich możliwości. Jeśli kosztem ogromnego wysiłku wcześniej uporali się z robotą, stary architekt zawsze się do czegoś przyczepił, żądając poprawek i przeróbek. Nawet bezbłędne wykonanie rysunków nie mogło ich zabezpieczyć przed złą wolą szefa: uśmiechając się pobłażliwie oświadczał, że pragnie ulepszyć elewacje, wprowadzając pewne, choćby drobne zmiany. Znowu trzeba było skrobać i wyciągać na czysto.

Kreślarze daliby już za wygraną, gdyby nie przykład Oli Górzyńskiej, która ze spokojem znosiła wszelkie szykany Frankowskiego, a w godzinach popołudniowych rysowała uparcie projekt włączony do współzawodnictwa cyklowego.

— Niech nam go tylko zatwierdzą — odgrażała się — niech będzie gotowy w krótszym czasie, niż przewidziano, zobaczycie, jak nam Frankowski spokornieje i jak odmieni się nastrój w zespole.

Wszystkim ciążyło już to nieżyczliwe milczenie, ten pogardliwy stosunek szefa, który z nikim się nie liczył. Ulegali mu, póki organizacja

partyjna i ZMP nie stworzyły jakiejś przeciwwagi dla autorytetu Frankowskiego, teraz jednak coraz śmielej podnosili głowę przeciw niemu. Przegrywając codziennie potyczki spodziewali się wygrać walną bitwę.

Ola Górzyńska goniła już ostatkiem sił. Nie wykorzystała przysługującego jej urlopu, w tym bowiem czasie wypadły egzaminy wstępne na politechnikę. Zanim zdążyła się nacieszyć przyjęciem na wydział architektury, rozpoczęła się w pracowni wściekła orka. Koniec tygodnia bywał szczególnie ciężki, ledwie wykonywała formatki, które sobie na te dni wyznaczyła.

Właśnie w piątek pod koniec pracy Sulatycka wywołała Olę na korytarz. Górzyńska wyszła niechętnie, bo nie zdążyła dziś jeszcze uporać się z rysunkami, a i Frankowski patrzył złym okiem na pracowników, którzy w godzinach biurowych załatwiali prywatne sprawy.

Sulatycka przywitała ją serdecznie, chociaż od kilku miesięcy widywały się jedynie z daleka i nie rozmawiały ze sobą. Podczas urlopu mocno się opaliła, krótko ścięła włosy i jakby odmłodniała. Ola patrzyła na nią z podziwem i odrobiną zazdrości.

— Ślicznie pani wygląda — powiedziała szczerze.

— Zdaje się pani. — Monika podziękowała za miłe słowa uśmiechem, który czynił ją bardziej jeszcze ujmującą. — Tym razem ja proszę panią o przysługę.

— Pani? — zdziwiła się kreślarka. Monika wydawała się jej osobą tak pewną siebie, tak ustosunkowaną, że nie mogła potrzebować jej pomocy.

— Nie dla siebie — pośpiesznie wyjaśniła Sulatycka — dla Marka.

— Nic mnie z nim nie łączy — twardo zastrzegła się Ola unikając spojrzenia tamtej. Na policzkach i szyi poczuła nieznośne gorąco.

— Wiem o tym. Toteż zwracam się do pani bez upoważnienia z jego strony, nawet bez jego wiedzy. Myślę jednak, że zachowała pani dla niego dosyć życzliwości, może i przyjaźni, aby go w ciężkiej sytuacji poratować...

— Co się stało? — zaniepokoiła się młoda kobieta.

— Marek ma kłopoty w ZMP. Grozi mu usunięcie z organizacji.

— Dlaczego?

— To cała historia... Zna go pani przecież. Samo pojęcie dyscypliny jest dlań nieznośne. Natura zbyt porywcza, zbyt wrażliwa, żeby ją trzymać w ryzach...

— Cóż więc zrobił?

— Nic strasznego. Podjął się urządzenia jakiejś wystawy w Ursusie,

dekorowania czegoś tam na 22 lipca. Ale zniechęcił się do tego i nie opowiadając się nikomu czmychnął sobie nad morze.

— A wystawa?

— Nie wiem. Chyba nie została urządzona...

— Czegóż pani spodziewa się po mnie w tej sprawie?

— Że się pani ujmie za nim wobec władz zetempowskich. Wiem, że jest pani członkiem stołecznego zarządu... Liczą się z pani zdaniem...

— Marek nigdy nie traktował poważnie swojej pracy w ZMP — powiedziała cicho Ola.

— Usunięcie z organizacji złamie jego karierę.

— Skoro tylko o to chodzi... — obruszyła się kreślarka.

— Źle mnie pani zrozumiała. Marek przeżyje to bardzo serio, zniechęci się do wszystkiego...

— Czy on cokolwiek przeżywa na serio? — gorzko uśmiechnęła się Górzyńska. — Wszystko po nim spływa jak woda po gęsi...

— Nie może więc liczyć na pani pomoc?

— Może. Ale nie w tej sprawie.

— Bardzo się pani zmieniła od wycieczki do Kazimierza.

— Na szczęście.

— Naprawdę jest pani szczęśliwa? — zapytała Sulatycka z niespodziewaną gwałtownością — Niech mi pani szczerze odpowie. Wiem, że pani haruje, widzę, że nie dba o siebie, przypuszczam, że nigdzie pani w lecie nie wyjeżdżała. Więc jakże?

— A pani? — odpowiedziała pytaniem Ola — Mając to wszystko, czego mnie brakuje, czy jest pani zadowolona z życia? Z siebie samej?

— Mam zbyt wielkie wymagania.

— Moje są nie mniejsze, choć odmienne — uśmiechnęła się młoda kobieta i podała rękę na pożegnanie.

Frankowski przyjął kwaśnym humorem jej powrót do pracowni.

— Jak tam — zapytał ironicznie — umówiłyście się z Sulatycką do krawcowej?

— Nie stać mnie jeszcze na takie wydatki.

— Ejże — roześmiał się Frankowski. — Zgarnie pani w tym miesiącu kupę forsy. Chociaż mi pani żal. Zamęcza się pani, młodość swoją marnuje. Mąż powinien więcej zarabiać.

— Nie pracowałabym tyle, gdyby pan inżynier nie utrudniał nam współzawodnictwa.

— Wiele wam z tego przyjdzie! — oburzył się stary architekt — Jeśli nawet skrócicie czas wykonania dokumentacji technicznej, to wam tylko normy podniosą i nic na tym nie zarobicie. Zawsze znajdzie

się jakiś Orański, któremu nie spodoba się wasz projekt, oczerni was przed dyrekcją i nawet nikt waszego wysiłku nie oceni.

— Orański nikogo nie oczernia — ujęła się Ola.

— Może pochwalacie to w waszym partyjnym pojęciu? Przed wojną usunięto by go ze Stowarzyszenia Architektów za intrygi przeciw koledze...

— Jakie intrygi? Pan inżynier jest w błędzie...

— Ja jestem w błędzie! — wybuchnął — Wiem dobrze, co wy tam knujecie między sobą. Doszło do tego, że Bostel musiał już go wyrzucić.

— Orański sam zgłosił rezygnację. Żadnych zarzutów nie było przeciw niemu.

— Dyplomacja! Miał nieczyste sumienie. Nawet nie w mojej sprawie. W normalnych rozliczeniach miesięcznych.

— Skąd pan ma te informacje?

— Wszyscy o tym wiedzą. Tylko wy zatykacie uszy, bo o partyjnego chodzi.

— Nie zatykamy uszu! — uniosła się Górzyńska — Niech pan opowie o tym sekretarzowi.

— Nie jestem donosicielem.

Kreślarka podniosła się znad rysownicy.

— Pozwoli pan, że ja sama przedstawię sprawę Gawrysiowi.

— Od dawna obywa się pani bez mego zezwolenia.

— Co pan chce przez to powiedzieć? — Ola z trudem mogła pohamować oburzenie.

— Ja? Nic, droga pani. — uśmiechnął się zgryźliwie — To pani zmusza mnie do niepotrzebnych dyskusji i odrywa od roboty.

Przyłożył rajszynę do rysunku w takim skupieniu, jakby mu tylko na robocie zależało. Nieznacznie zerknął na współpracowników, po czyjej stanęli stronie. Ale na ich twarzach nie przejawiło się żadne wrażenie, tak już przywykli do ukrywania swych poglądów wobec szefa. Za wiele zresztą mieli roboty, aby tracić czas na utarczki słowne, które niczego dobrego nie mogły na nich ściągnąć.

Ola pobiegła do sekretarza podstawowej organizacji. O tej porze przebywał zwykle w pokoju partyjnym. Zanim zdążyła opowiedzieć mu o rozmowie z Frankowskim, wpadła Rogóyska tak zdenerwowana, że trudno było zrozumieć, o co jej chodzi.

— Co wy robicie! — zawołała — Tak dobieracie ludzi do kolegium, że utrąca prace zgłoszone do współzawodnictwa. W ten sposób nie dopniemy swego!

— Czyj projekt odrzucono? — przerwał Gawryś.

— Mój. Pierwszy raz mi się to zdarza. Bez żadnych szczególnych zarzutów. Dawniejsze kolegia zatwierdzały mi zwykle bez poprawek. Po co więc powoływać nowe, skoro nam tylko bruździą?

Gawryś zatelefonował do Klonowicza. Oczekując połączenia poczęstował obie kobiety miętówkami. Olę trochę to rozśmieszyło, Rogóyska nie mogła opanować rozdrażnienia:

— Nie jadam cukierków — odmówiła. — To dobre dla dzieci — i zapaliła papierosa.

Gawryś porozumiewawczo uśmiechnął się do Oli. Zrobiło się jej raźniej, czuła, że myślą podobnie o Rogóyskiej, że jej tak samo nie lubią.

— Inżynier Klonowicz? — zapytał Gawryś — Cześć, wiecie, kto mówi? Co dziś było z koleżanką Rogóyską?

Słuchał uważnie, notując sobie w niebieskim zeszyciku. Z przeciwległej strony biurka nie można było zorientować się w tych zapiskach, tak były drobne i skracane w sposób zrozumiały jedynie dla autora. Rogóyska jednak nie spuszczała z nich wzroku.

— Jaki to był projekt? — zapytała Ola, byle odwrócić uwagę od notesu sekretarza.

— Budynek mieszkalny — odpowiedziała niechętnie architektka — z przedszkolem w parterze.

— Dobrze! — mówił Gawryś w słuchawkę telefonu. Myślę, że postąpiliście słusznie. Dziękuję.

— Podobno praca była nie na poziomie — zwrócił się do Rogóyskiej — zwłaszcza, że budynek, o który chodzi, ma stanąć przy głównej arterii komunikacyjnej. Ma być naszym biletem wizytowym.

— Gorsze projekty zatwierdzano w tym biurze.

— Ale was stać na lepszy. Ten zrobiliście, aby zbyć.

— Kryteria oceny powinny być jednakowe dla wszystkich autorów i dla wszystkich rysunków. Albo coś jest złe, albo dobre. W ogóle od pewnego czasu nie wiadomo już, czego się trzymać w tym biurze. Wprowadzacie tylko chaos, towarzyszu.

Nie oglądając się na odpowiedź wyszła z pokoju.

— Gotowa zrazić się do współzawodnictwa — zatrwożyła się Ola.

— Chyba nie. Nawet jeśli zraniono jej ambicję, potrafi dostosować się do nowych wymagań. Za nic nie chce znaleźć się na uboczu. Z kimkolwiek, byle w pierwszych szeregach.

Zadzwonił przeciągle telefon. Sekretarz podjął słuchawkę i trzymał ją z dala od ucha, póki nie ucichł w niej warkot.

— Międzymiastowa czy co? — zdziwił się — Nie, słychać rozmowę

w naszej centrali. Hallo? Tak. Przyjdzie zaraz. No, wolny to ja nigdy nie jestem...

— Poczekacie chwilę, dobrze? — zwrócił się do Oli — Koniec pracy za kilka minut, więc pogadamy dłużej. Muszę dowiedzieć się od Jankowskiego, co zaszło w siedemnastej pracowni. To łączy się z waszą sprawą.

Młody inżynier wszedł z marsową miną, jaką przybierał stale, odkąd jego pieczy powierzono współzawodnictwo cyklowe w całym biurze. Koledzy twierdzili, że struga ważniaka, lecz Oli nie wydawało się to prawdą. Myślała, że dla dobra samego współzawodnictwa chciał sobie dodać powagi, której nie zapewniał mu ani wiek, ani nawet zawodowe doświadczenie. Zawsze małomówmy, teraz jeszcze oszczędniej cedził słowa. Można było jednak polegać na każdym jego zdaniu. Toteż ci, co z nim bliżej pracowali, zwolna nabierali doń sympatii, choć na pierwszy rzut oka raczej odstręczał ludzi.

— Dzień dobry! — bez uśmiechu podał rękę sekretarzowi i kreślarce. — Nie przeszkadzam?

— Nie. Siadajcie, proszę. — Gawryś wskazał mu krzesło. — Co tam z pracownią XVII?

— Jak najgorzej. — Jankowski często przeceniał trudności — Rozprzęga się całkowicie.

— Byłem tam przed tygodniem i nie odniosłem takiego wrażenia.

— Przed tygodniem! — zawołał Jankowski, jakby ten okres czasu wydawał mu się niezmiernie długi — Więc jeszcze przed historią z Sarneckim!

— Z Jasiem? — sekretarz zabębnił palcami w sosnowy stół. — Cóż on znów zmalował?

— Wiecie, że pierwszy zgłosił się do współzawodnictwa, zaawansował nawet projekt...

— I co dalej?

— Kiedy konstruktor wytknął w nim kilka poważnych usterek, Sarnecki się obraził i robotę cisnął do diabła. Przez trzy dni w ogóle się w biurze nie pokazał.

— Może chorował? — zapytała Ola.

— Gdzie tam! Wrócił opalony, jakby cały ten czas spędził na spacerach. Zabrał się do starych rysunków, poprawek czy uzupełnień, nie wiem. Dość, że tamtego zlecenia nie ruszył. Przychodzę zgodnie z harmonogramem po rysunki robocze, żeby nanieść na nie instalacje. Mowy nie ma. W ogóle nie tknięte!

— Nie odwołaliście się do brygady młodzieżowej? Niechby przypilnowali chłopaka.

— Ani słyszeć o tym nie chcą, taki u nich zamęt. Duniak ledwie zdąży z własną robotą, bo wieczorami przygotowuje się do konkursu. Doraczyńska mu pomaga, nieoficjalnie wprawdzie, w dodatku musi kończyć pracę zaczętą przez Noskiewicza. To był nie tylko najlepszy z nich wszystkich mieszkaniowiec, ale i człowiek, który w potrzebie mógł pokierować całym zespołem.

— Bostel osobiście wysłał go do Erwina! — mruknął niechętnie sekretarz — Dowiadywałem się w personalnym.

— Nie słyszeliście żadnych plotek o rozliczeniach w pracowni XVII? — Ola nie mogła dłużej milczeć.

— Nie. Dlaczego?

— Frankowski wspomniał mi dzisiaj o rzekomych nadużyciach...

— Nadużyciach? Mowy nie ma. Może o drobnych nieporządkach? Czekajcie, niech sobie przypomnę... Po wyjeździe Orańskiego arkusze sprawozdawcze miała sporządzić jego sekretarka...

— Zaraz sprawdzę — przerwał sekretarz znowu ze słuchawką w dłoni. Centrala długo się nie odzywała.

— Proszę rozliczeniową — rzucił wreszcie. — Towarzyszka Mrożek? Tu Gawryś. Czy zakwestionowaliście w tym miesiącu rozliczenia pracowni XVII? Nie? Tylko pomyłki, które z punktu wyjaśniono... Dziękuję, towarzyszko.

— Zełgał stary — powiedział sekretarz mnąc w dłoni kartkę zapisanego papieru. — Trzeba się z nim będzie porachować.

Ola nigdy nie widziała sekretarza tak zawziętym. Polubiła go za serdeczną dobroć. Ale ten tłumiony gniew czynił go jej bliższym. Frankowski tylekroć dotkliwie ją uraził, że go nienawidzieć poczęła także z osobistych pobudek.

Po schodach do suteryny zbiegli szybko jacyś ludzie i bez pukania wpadli do pokoju partyjnego. Byli to Klonowicz i Zwoliński, obaj niesłychanie wzburzeni.

— Co wam? — zaniepokoił się Gawryś, bo główny urbanista aż wąsy kąsał z irytacji, a inżynier niechętnie spojrzał na Górzyńską i Jankowskiego, jakby nie chciał przy nich mówić.

— Mnie nic — odbruknął Zwoliński — ale plan diabli wzięli.

— Jak to?

Klonowicz rozprostował złożony w czworo arkusz papieru i podał go sekretarzowi.

— Przeczytajcie.

Cała strona zapisana była gęsto rzędami drobnych cyfr.

— Nie rozumiem — Gawryś podniósł oczy na głównego urbanistę — Co to za zestawienie?

— W lewej rubryce podana jest ogólna kubatura budynków, na którą w tym roku otrzymaliśmy zlecenia. Dalej ilość izb, jakie mieliśmy dostarczyć zakładom pracy. W następnej ilość izb, jaką rzeczywiście im oddamy. W końcowej kolumnie ogólna kubatura budynków przez nas wykonanych. Porównajcie pierwszą i ostatnią rubrykę.

— Zgadzają się z niewielkimi różnicami...

— Spójrzcie teraz na cyfry dotyczące izb. Tu różnice są ogromne!

— Jak się to stało?

— Zapytajcie Frankowskiego, który dostarczył znacznej liczby sekcji i projektów typowych...

— Przecież opierał się na zatwierdzonych standardach? — Gawryś wciąż nie mógł się połapać w tym, co zaszło.

— Właśnie! — roześmiał się Klonowicz — Na górnej granicy standardów.

— Co z tego wynika?

— To, że dostarczymy ludziom znacznie mniej mieszkań za te same pieniądze.

— Może mieszkania będą lepsze, większe? — pytała Ola, nie rozumiejąc, w jaki sposób tak znaczna liczba izb mogła niepostrzeżenie zniknąć z obrachunku.

— Niestety! — westchnął Klonowicz — Po rozpatrzeniu całego katalogu sekcji typowych i wielu budynków Frankowskiego twierdzę, że przekroczenie standardów nie poprawiało mieszkań, lecz marnowało się na sionki, zawiłe korytarze, rozmaite schowki bez szczególnego przeznaczenia i wynikało nie z chęci ulepszenia czegokolwiek, ale z nieporadności czy niesumienności projektanta.

— W jaki sposób doszliście do tych spostrzeżeń? — zapytał Gawryś.

— Badając gęstość zaludnienia w nowych osiedlach inżynier Zwoliński obliczył przede wszystkim rzeczywistą liczbę izb... — wyjaśnił Klonowicz.

— Mówiliście już o tym z Bostelem?

— Nie jeszcze — odparł główny urbanista — Lecz to na jego wyraźne polecenie przekraczano systematycznie standardy.

— W jakim celu? — zdziwiła się Ola.

— Nie wiem. Może pragnął, aby nasze biuro dostarczało nieco większych mieszkań niż inne Zjednoczenia projektowe, i tym zyskało sobie przychylność mieszkańców...

— Poproszę go, aby zeszedł do nas — Gawryś raz jeszcze sięgnął do telefonu. — Jak można wybrnąć z tej historii?

— W każdym razie od dzisiaj projektować zgodnie z przepisami. Pociągnie to za sobą przeróbkę sekcji i projektów typowych. Dalej, w miarę sił, poprawić rysunki, dotąd nie są wysłane na budowę.

— Mnóstwo roboty! — Jankowski chwycił się za skronie — Zmieni się nie tylko układ mieszkań, lecz wszystkie projekty instalacji wodnych, kanalizacyjnych, elektrycznych i gazowych!

— Wolisz, aby przy końcu roku wybuchnął skandal o zaprzepaszczenie paruset mieszkań?

— Skądże! Przeraża mnie myśl o zmarnowanym trudzie. Przepracowaliśmy tyle wiosennych wieczorów, żeby teraz projekty wyrzucić do kosza i wszystko zaczynać od nowa!

— Czemu tego dotąd nie wykryto? — zapytała Ola.

— Bo dawne kolegia najmniej troszczyły się o standardy. Uważano je za zło konieczne. Mógł się o kolumienkę kłócić Halemba aż do wieczora, mógł Kościński mówić przez całą noc o realizmie socjalistycznym w architekturze. Ale nikt nie wnikał w to, czy nie dałoby się obniżyć współczynników przy zachowaniu wszystkich zalet mieszkania. Dyrektor oburzył się na mnie, gdy mu proponowałem, aby ogłosił konkurs na oszczędniejsze rozwiązanie sekcji narożnej i trójtraktu. „Kubaturę — powiada — musimy robić, a nie teoretyczne zadania."

— O wilku mowa — przerwał Gawryś.

Szybkim krokiem wszedł Bostel, bardzo blady i tak wychudzony, że skórzana kurtka zwisała mu z ramion jak z drewnianego wieszadła. Przywitał się po kolei ze wszystkimi, zastępując uśmiech bolesnym skrzywieniem ust. Siadł naprzeciw sekretarza, po drugiej stronie szerokiego stołu.

— Co powiecie o tym, towarzyszu? — sekretarz podał mu zestawienie.

Bostel trzepnął się po kieszeniach i nie znajdując papierosów, ruchem ręki poprosił o nie kolegów. Jankowski poczęstował go swoimi. Dyrektor pośpiesznie zapalił i przez mgnienie próbował określić nastrój zebranych. W milczeniu czekali, aż przeczyta.

Nad nimi rozległo się szuranie krzeseł, sufit nie tłumił należycie odgłosu kroków ani trzaskania drzwiami na wyższej kondygnacji. W wysokim, pod powałą umieszczonym oknie sutereny zaczęły się przesuwać nogi wychodzących z biura pracowników, przekreślone na krzyż żelazną kratą.

Dyrektor wlepił w nią wzrok i wargi mu zbielały. Opanował się jed-

nak, wciągnął głęboko powietrze i całkiem spokojnie odłożył zestawienie na brzeg stołu.

— I cóż? — zapytał Gawryś — Zgadza się?

Bostel badawczo spojrzał na głównego urbanistę.

— To wasze dzieło?

— Moje — odparł tamten zgarniając butem niedopałki papierosa, które przed chwilą wysypał z popielniczki.

— Rachunek jest na pewno prawidłowy — skłonił się dyrektor w stronę Gawrysia.

— Kto pokryje niedobór izb?

— Nie wytrząsnę ich z rękawa, to pewne — zażartował Bostel jak w przyjacielskiej pogwarce i chudą dłonią wykonał ruch prestidigitatora. Nagle wpadł w odmienny nastrój, nasrożył się i rzekł gwałtownie:

— Nigdy nie mogłem zgodzić się na budowanie klitek.

— Trzeba to było oświadczyć przed objęciem kierownictwa.

— Działałem w najlepszej wierze — uspokoił się znowu Bostel — Zezwoliłem na przekroczenie standardów tylko w koniecznych wypadkach.

— Frankowski przekraczał je niemal w każdym projekcie — surowo stwierdził Klonowicz.

— Pociągnijcie go więc do odpowiedzialności. Łącznie z członkami kolegium, którzy jego projekt zatwierdzili.

Górzyńskiej wydało się, że dyrektor odzyskał pewność siebie i wybrał już linię obrony.

Gawryś bezskutecznie próbował połączyć się z pracownią projektów typowych. Mimo silnego pukania w widełki, mimo obracania tarczy, nikt z centrali się nie zgłaszał. Wreszcie sekretarz dał za wygraną i zwrócił się do Klonowicza:

— Skoczcie po Frankowskiego, towarzyszu. Może jeszcze nie wyszedł.

Czekali na starego architekta w milczeniu, które ciążyło wszystkim. Gawryś wybijał palcami jakiś marszowy rytm. Zwoliński zebrał do popielniczki rozsypany popiół, Jankowski przewracał ostentacyjnie kartki nowego tomu „Sprawocznika Architiektora". Ola wygładzała na spódnicy zagięcie materiału dla niej jedynie widoczne.

— Nie przekroczyłem moich kompetencji — odezwał się dyrektor — Jestem w porządku wobec prawa.

— Lecz zarządzenia wasze okazały się społecznie szkodliwe — poważnie stwierdził sekretarz podstawowej organizacji.

Z daleka po głośnej rozmowie poznali Frankowskiego. Szedł z nim

ktoś jeszcze w skrzypiących butach. Pierwszy w drzwiach ukazał się Rączka.

— Chyba nie przeszkadzam panom? — zapytał od progu — Zebranie jest dość liczne.

— Prosiłem inżyniera Frankowskiego w sprawie, która i was dotyczy. Chodzi o dostosowanie sekcji i projektów typowych do średnich standardów.

— Absurd! — rzekł Frankowski szukając dla siebie krzesła — Roboty co najmniej na pół roku.

Obaj inżynierowie siedli obok dyrektora. Po przeciwnej stronie stołu młodzi skupili się wokół sekretarza. Tylko Klonowicz stał jeszcze przy drzwiach.

— Jeśli zabierzemy się do poprawek, opóźni się bieżąca produkcja — stwierdził Rączka.

— Ledwie uporaliśmy się z tegorocznym planem — dorzucił Frankowski.

— Panowie w dużym stopniu ponoszą odpowiedzialność za to, że przerabianie projektów stało się konieczne.

Zaprotestowali prawie równocześnie.

— Ja? — wołał Rączka — Co mnie obchodzą standardy? To rzecz architektów.

— Projektuję zgodnie z instrukcjami dyrekcji — tłumaczył Frankowski. — Zajmuję się pojedynczymi budynkami i nie do mnie należało wykonywanie bilansu osiedlowego. Nie mogłem przewidzieć tych wyników, o jakich powiadomił mnie inżynier Klonowicz. Zwoliński powinien był wcześniej...

— Czy nie powtarzałem przy każdej okazji, że dopytacie się biedy swoim marnotrawstwem? — przerwał główny urbanista — To jest w protokółach. Nie liczyliście się z moim zdaniem. Siła złego na mnie jednego.

— Pamiętacie, dyrektorze, pierwsze kolegium, na które zostałem wezwany? — wmieszał się Klonowicz — Tak jakoś na wiosnę... Mimo sprzeciwów z mej strony zatwierdziliście projekt typowy ze znacznymi usterkami.

— W takich warunkach nie podobna pracować! — wybuchnął Frankowski — Jeden do Sasa, drugi do lasa. Kogo mamy słuchać: dyrekcji, czy egze-ku-ty-wy? — Ostatnie słowo wymówił przeciągle, jakby się nim brzydził.

— Oczywiście swojej władzy bezpośredniej — spokojnie oświadczył Gawryś.

— Nawet jeśli jej polecenia są sprzeczne z wolą partii?

— Taka rozbieżność utrzymać się nie może.

Bostel podniósł się z krzesła.

— Odłóżmy do jutra dalszą rozmowę na ten temat. Źle się dziś czuję, towarzyszu.

— Zgoda! — rzekł sekretarz — Jutro z samego rana zwołam zebranie aktywu. Oczekuję panów z gotowymi wnioskami, w jaki sposób najszybciej usunąć uchybienia.

— Na mnie proszę nie liczyć — hardo oświadczył Frankowski.

— Ani na mnie — dodał z lekkim ukłonem Rączka.

Wyszli równocześnie z dyrektorem, odprowadzani do drzwi spojrzeniami rozgniewanych towarzyszy.

— Dranie! — wycedził Jankowski.

— Niczego nie mogą zrozumieć! — dodał Klonowicz.

— Braknie już cierpliwości...

Gawryś uspokoił ich wymownym ruchem ręki.

— Przedstawię całą sprawę egzekutywie. Nie ulega wszakże wątpliwości, że musimy te projekty...

— Przerobić! — wpadł mu w słowa Klonowicz — Oczywiście!

— Obok normalnej produkcji bieżącej — dodała z westchnieniem Ola. — Trzeba to będzie postawić na zebraniu aktywu ZMP.

— Kto się tego podejmie? — zapytał sekretarz — Wy? Dacie radę?

Spojrzała nań wzrokiem zmęczonym, lecz nieustępliwym.

— Dam radę.

Jankowski poparł ją z całym przekonaniem.

— Niech mówi Górzyńska. Wszyscy mają do niej zaufanie. I wiecie, co? Musimy ściągnąć z powrotem Orańskiego. Nikt tak jak on nie zna się na sekcjach typowych. Szkoda go dla wykonawstwa. Znacie jego urlopowy adres?

— Nie. Ale dowiem się od jego żony. Mieszka niezbyt daleko ode mnie. Macie rację: Orański jest nam potrzebny jak nigdy.

— Frankowskiemu i Rączce trzeba natychmiast odebrać kierownictwo pracowni! — gwałtownie wtrącił Klonowicz — Dość już namącili wody!

— Nie róbcie od razu przewrotu! — osadził go w miejscu sekretarz — Do jutra zdążymy się nad wszystkim powolutku zastanowić.

— Miałem być dzisiaj w komitecie dzielnicowym! — przypomniał sobie Jankowski — Która to godzina?

— Czwarta.

— Już mnie nie ma! Do widzenia.

— Czekaj, idę z tobą! — wybiegł za nim Klonowicz.

Gawryś rozmawiał jeszcze ze Zwolińskim o standardach. Ola podeszła, aby się pożegnać.

— Wracam do pracowni — powiedziała cicho.

Sekretarz zajęty rozmową nie zwrócił na nią uwagi. Machinalnie uścisnął podaną rękę. Odeszła trochę zasmucona tym brakiem zainteresowania, chociaż zdawała sobie sprawę z powagi dzisiejszych wypadków.

Kazimierę Orańską znalazł Gawryś w jadalni zajętą szyciem dziecięcego płaszcza. Po całym pokoju walały się ścinki burego materiału i białej watoliny, kawałki krawieckiego płótna i nici wyprute ze szwów. Pachniało starzyzną i środkami przeciw molom. Z głośnika ustawionego na oknie dobywała się przyciszona muzyka.

— Dobry wieczór — rzekł od drzwi — Gawryś jestem, sekretarz partyjny w Biurze Projektów. Pewno mąż wspominał pani o mnie.

— Owszem — zdjęła z krzesła sfastrygowane rękawy, aby gościowi zrobić miejsce. — Proszę, niech pan spocznie.

— Jaki jest adres pani męża?

— Chcecie mu przerwać wypoczynek?

Westchnęła nie podnosząc głowy znad szycia.

— Wymaga tego dobro biura.

— Ach! — splotła ręce nad robotą leżącą na kolanach — Przez okrągły rok o tym słyszę! Kiedyż zaczniemy żyć normalnie?

— Co pani przez to rozumie? — uśmiechnął się Gawryś patrząc na nią wyrozumiale. Twarz jej wyblakła: włosy straciły połysk i puszystość, martwo przylegały do czaszki; oczy nie miały blasku, jakby ich błękit nadmiernie się rozwodnił.

— Żeby po pracy mąż wracał zaraz do domu, żebym z nim mogła wybrać się do kina albo na spacer. Przecież ja go prawie nie widuję. Ciągle tylko te dzieci, garnki, zakupy, to szycie, którego nie cierpię!

— Czemu pani nie weźmie się do pracy poza domem?

— Dobre pytanie! — zawołała — A kto zajmie się dziećmi? Jeszcze ze starszymi pół biedy. Ale to? — wskazała ręką malca mocującego się z wiklinowym kojcem. — Myśli pan, że się do życia nie wyrywam, do nauki? Niech pan powie, jak to zorganizować? Żłobka nie mamy w pobliżu...

Gawryś nie od razu odpowiedział.

— W domu, w którym mieszkam — rzekł z namysłem — kobiety sobie same poradziły. Dwie pracują po południu, trzecia rano, a dzie-

ćmi zajmują się na zmianę. Czy tutaj nie dałoby się tego podobnie urządzić?

— Nie wiem — wzruszyła ramionami Kazimiera i pośliniła nitkę, aby nawlec igłę. — Ja tu nikogo nie znam.

— Dawno się tu pani sprowadziła?

— Po powstaniu.

Spojrzał na nią z politowaniem.

— To będzie trudniej. Ale niech pani spróbuje.

— Ach, panie! Gdybym miała warunki!

Gawryś poczęstował ją miętówkami, sam wziął jedną i zakręcając wieczko blaszanego pudełka powiedział:

— Można by ludzi podzielić z grubsza na dwie grupy: takich, którzy coś osiągają, i takich, którzy do niczego nie doszli. W pierwszej grupie nie ma znowu tak wielu, którym by zawsze warunki sprzyjały.

Obrócił cukierek w ustach i mówił dalej:

— W naszych czasach zwalanie odpowiedzialności za własny los na otoczenie jest po prostu tchórzostwem. Tyle jest różnych szkół, że każdy może się uczyć, choćby wieczorem, korespondencyjnie lub przez radio. Tyle jest pracy, że każdy znajdzie dla siebie odpowiednią.

— Aby się w niej zakopać, jak mój mąż.

Powiedziała to z taką goryczą, że Gawryś zwlekał z odpowiedzią.

— Mąż pani wznosi nowe miasto — rzekł wreszcie. — Czy była pani w Ostrzynie? Czy widziała pani plac budowy?

— Nigdy. Mikołaj mnie tam nawet nie zapraszał. Nie dba o moje zdanie. Dla mnie na pewno nie skróciłby ani o dzień swego pobytu w górach. Ale na wasze wezwanie powróci zaraz, wiem...

Wytarła nos i zwilgotniałe oczy.

— Odbiera listy na Hali Gąsienicowej.

— Dziękuję — Gawryś wstał z krzesła, ale nie odchodził. Żal mu było tej kobiety i szczerze chciał jej dopomóc. Wszakże możliwości ludzkie są ograniczone.

— Gdybyście postanowili pracować poza domem, to się ze mną naradźcie, może będę mógł coś dla was zrobić. Zostawię wam swój adres.

Wydarł kartkę z niebieskiego notesu i wyraźnie napisał na niej nazwę ulicy i numer domu.

Wyszedł w mokrą, głęboką ciemność. Dopiero po chwili, gdy wzrok się do niej przyzwyczaił, Gawryś ruszył naprzód, wymijając kałuże, coraz większe od deszczu, który nie ustawał od paru dni. Przechodząc na drugą stronę ulicy obejrzał się i w oknie oświetlonej jadalni dostrzegł rozpływającą się w słocie postać Kazimiery.

W połowie września pogoda tak się pogorszyła, że o wspinaczce nie było mowy. Kiedy ustawał drobny deszcz, podnosiła się mgła, gęsta i przejmującą wilgocią do szpiku kości. Czasem, jak na urągowisko, przejaśniało się u schyłku dnia. Przez kłęby ciemnych chmur przedzierały się czerwone blaski zachodu, zapowiedź wietrznej nocy. Nim sciemniło się na dobre, podnosił się wicher i aż do świtu przeganiał po niebie stada wełnistych obłoków. Między nimi raz po raz ukazywał się księżyc, przesłaniany ponownie przez pędzące chmury. Nad ranem uciszało się, jakby zza gór miało się wychylić słońce. Gdzie tam! Widnokrąg zasępiał się stopniowo, malała widoczność, zaczynał siąpić dokuczliwy kapuśniaczek.

— Długo tak będzie? — zapytał Orański towarzysza, który podobnie jak on wyszedł przed schronisko i oparty plecami o ścianę patrzył przed siebie zrezygnowanym wzrokiem.

— Bo ja wiem — mruknął tamten nie zdradzając chęci do rozmowy. Dobiegał już sześćdziesiątki, ale trzymał się krzepko. Siwizna podkreślała jeszcze ogorzałość jego cery. Nosił się niedbale, jak taternicy starej daty. W całym jego ekwipunku nie znalazłoby się nic nowego. Buciory, choć troskliwie natłuszczane, mocno się wykrzywiły, szary sweter gęsto był pocerowany, spodnie zaś odznaczały się takim krojem, jakiego powstydziłby się dziś nawet prowincjonalny krawiec.

— „Pim" obiecuje rozpogodzenie — zagadnął znowu Orański pragnąc nawiązać znajomość z jedynym współlokatorem.

— Uhm — wymamrotał tamten przez zęby.

Inżynier zrobił kilka kroków, aby się przekonać, czy bardzo pada, przeciągnął się i stwierdził głośno:

— Można by się trochę przejść, mimo wszystko.

Ale siwy turysta zniknął już w sieni. Rad nierad Mikołaj ruszył samotnie w stronę Czarnego Stawu.

Nie był zadowolony z tegorocznego urlopu. Nie o pogodę szło. Przed osiemnastu laty spędził cały miesiąc w Roztoce nie skarżąc się wcale na rozpaczliwą pluchę. Przeciwnie, odpoczął wtedy za wszystkie czasy.

W górach zawsze czuł się dobrze. Jeden dzień w Tatrach większą miał dla niego wartość niż tydzień urlopu na nizinach. Tym razem jednak nie doznawał zwykłego odprężenia.

— Czyżbym się tak postarzał? — zastanowił się po drodze — Prawda, że zmęczyły mnie pierwsze w tym roku wycieczki. Wziąłem

trochę za ostre tempo. No, ale teraz siedzę spokojnie, wysypiam się, ile wlezie, a samopoczucie pod psem...

Szedł po oślizłych głazach, rzadko się rozglądając, bo deszcz przesłaniał wszystko na odległość pięćdziesięciu kroków.

— Schroniska już nie te same, co niegdyś — westchnął. — Murowaniec tak przebudowali, że nie można poznać starych kątów. Roztoka cała w drutach. Nastrój się zupełnie odmienił... Młodzi skłonni są tylko do wyczynów sportowych. Ani źdźbła sentymentu... Pędzą jak dziki tabun!

Ostatecznie mógł Mikołaj wybrać szlak mało uczęszczany, na którym jak dawniej byłby zdany tylko na siebie. Za młodu lubił włóczyć się samotnie. Teraz jednak brakowało mu towarzysza, z którym można by podzielić się myślami.

Od spotkania z Ireną w Politechnice borykał się wciąż z chęcią powrotu do Biura Projektów.

— Mógłbym przecież cofnąć prośbę o zwolnienie — powtarzał sobie każdego dnia — wróciłbym do zespołu, do projektowania. Choćby tylko ratusz w Ostrzynie wykończyć... Całe osiedle zyskałoby na tym. Smukła wieża z miedzianym hełmem górowałaby nad miasteczkiem. Schody nie takie pyszne jak w Zamościu, ale dość okazałe, aby ślubny orszak zaprezentował się odpowiednio — wyobraził sobie pannę młodą w welonie spływającym z czterdziestu czterech stopni — Co za głupstwa! — skarcił się ze złością — Koniec z projektowaniem. Widocznie źle to robiłem, skoro mnie odsunięto. W wykonawstwie także brak fachowców. Może się nawet bardziej przydam. Zorganizuję dobrze plac budowy, postaram się o mechanizację.

Im więcej starał się myśleć o swej przyszłej działalności, tym mniej miał do niej przekonania. Ciągle jeszcze przypominał sobie o różnych pracownianych kłopotach.

— Jak tam Duniak rozwiąże beze mnie centrum osiedla w Kamionce? — niepokoił się poważnie — Ma chłopak skłonność do wysuszania rysunku. Boi się wydatniejszego ryzalitu, ucieka od bogatszego detalu. Chyba że Agnieszka mu pomoże...

Z jej imieniem nadbiegło sto nowych zmartwień. Czy poprawiła windy w restauracji hotelowej? Lokal na dwieście osób, a dźwigi kuchenne jak w przedszkolu. Dwa razy wspominał jej o poprawce. Może już projekt poszedł do zatwierdzenia? Czy będzie umiała go obronić? Rozwiązanie plastyczne bardzo śmiałe, hall piękny, jadalnia świetnie pomyślana....

— Co mnie to zresztą obchodzi! — otrząsnął się ponownie — Zło-

żyłem rezygnację, nie będę jej odwoływał jak sztubak, ani się przed nikim tłumaczył. Niech się obejdą beze mnie.

Podciągnął kaptur skafandra, bo wiatr silniej zacinał koło Czarnego Stawu. Drobne fale biegły gwałtownie do brzegu i cofały się szybko, zostawiając za sobą bryzgi białej piany. Bliżej środka stawu zmącona deszczem woda ciemniała w mglistym powietrzu.

Mikołaj usiadł na chwilę pod osłoną wielkiego kamienia.

— Pewno, że się obejdą beze mnie — pomyślał z żalem. — Ja zaś przez całe życie nie daruję sobie tej ucieczki. Słusznie mówiła Irena, że wziąłem na kieł i wyrywam przed siebie na oślep. Ze szkodą dla własnej twórczości.

Ostry podmuch wiatru przedarł się przez kępy kosówki zmuszając Mikołaja do odwrotu.

— Trzeba przyznać, że projekt Nowej Rudni był ambitną próbą. Więcej: był osiągnięciem. Czemuż więc nie odwołałem się do oceny zespołu, czemu nie zażądałem omówienia go na specjalnym kolegium? Jeśli nie łatwo by mi z tym poszło w chwili cofnięcia zlecenia, to obecnie byłoby całkiem możliwe. Gawryś nie odmówiłby poparcia. Młodzi koledzy okazaliby życzliwość.

Schodził raźnym krokiem, dla rozgrzewki, pewną nogą skacząc z kamienia na kamień.

— Właśnie! — rozżalił się — Sąd młodych nie zadowalałby w pełni mej ambicji. Albo uznanie architektów, którzy się liczą, albo nic! I to uznanie całkowite, nie wymuszone żadną argumentacją. Dobra rzecz winna się sama obronić. Nie tylko wobec młokosów takich jak Agnieszka czy Jasiek.

Zatrzymał się, aby odetchnąć pełną piersią. Powietrze było ostre od zapachu mokrej kosówki.

— Wybrałem owo dumne nic! — stwierdził z odrobiną zadowolenia. Zaraz się jednak zreflektował — Gdybym częściej rozmawiał z Ireną nie powziąłbym tak bzdurnej decyzji. Trzeba być skończonym osłem, żeby się wyrzec projektowania!

Przypomniał sobie Irenę, stojącą w pracowni na wprost okna. Twarz jej miała szczególny urok, właściwy ludziom o bogatym życiu wewnętrznym. Zapamiętał też jej rękę, niedużą i delikatną, niedoskonałą w spoczynku, lecz jakże piękną w każdym ruchu. Ścięgna widoczne pod cienką skórą i zbyt wypukłe żyły świadczyły o tym, że Irena brała się do niejednej pracy.

Mimo woli porównał ją z Kazimierą i porównanie to nie wypadło na korzyść jego żony. Im bardziej musiał jej współczuć, tym większą miał

do niej pretensję, że nie umie sobie życia zorganizować. Nie czuł się na siłach, aby jej w tym pomóc, bezbronny wobec własnego losu.

— A jednak — westchnął — powinienem ją pchnąć na jakieś kursy, a później do roboty poza domem. Odżyłaby z dala od codziennej krzątaniny.

Zapragnął widzieć ją szczęśliwą, jak w pierwszych tygodniach małżeństwa, kiedy byle drobiazg ją cieszył i pobudzał do pogodnego śmiechu. Jakże mu się wtedy zdawała powabna, jak się do niej spieszył, nigdy nie syty widoku. Gdybyż można przywrócić tamte czasy! Pokazywałby jej każdą kreskę nowego projektu, woziłby ją z sobą na budowę! Mając w niej oparcie, łatwiej zniósłby niepowodzenia. Zawsze człowiekowi lżej, jak się wyskarży...

Zrzucał na nią część dopowiedzialności za decyzję opuszczenia biura, za utratę Nowej Rudni. Przyszło mu na myśl, że Irena byłaby lepszą towarzyszką życia. Mądrzejszą, bardziej doświadczoną, więcej okazującą zrozumienia.

— Czymże ja sobie zaprzątam głowę! — otrząsnął się nagle — Nie mam do tego prawa! Cóż winna Kazimiera, że jestem miękki, ustępliwy, że nie umiem obronić swego stanowiska! Niańki mi potrzeba widocznie.

Poczuł do siebie obrzydzenie. Przyszłość wydawała mu się przykra, wyzuta z wszelkich nadziei.

Zwolnił kroku, bo już schronisko widać było niedaleko.

— Wszystko się przeciw mnie sprzysięgło! — pomyślał — Nawet pogoda. Nie będę się przecież dłużej włóczył po deszczu.

W Murowańcu przygotowywano właśnie obiad. Mikołaj spotkał w jadalni mrukliwego turystę i dwie kobiety, które dopiero co przyszły i wydobywały zapasy z plecaków. Rozmawiały ze sobą półgłosem, nie zwracając uwagi na otoczenie. Wyglądały na stare profesorki gimnazjalne. Miały na głowach jakieś pocieszne kapuzy ni to rybackie, ni to turystyczne.

Siwy taternik nie korzystał z gotowanego jadła, brał z kuchni tylko wrzątek na herbatę i popijał nią czerstwy chleb przydźwigany na własnym grzbiecie.

Siedzieli tak we czworo w wielkiej i chłodnej sali, nie zagadując do siebie ani słowem. Wolno sączyli słodki płyn o smaku stęchłego siana. Nie było dokąd się spieszyć.

Orańskiemu zaczęło ciężyć to poszanowanie cudzej osobowości chronionej pod kloszem milczenia. Już miał się zwrócić do sąsiadek z jakimkolwiek zapytaniem, gdy na dworze rozległ się tupot wielu kroków i do

jadalni wpadło ze trzydziestu ludzi opalonych, silnych i bardzo hałaśliwych. Zrzucali plecaki byle gdzie, ściągali pośpiesznie wilgotne skafandry, ktoś zamawiał głośno obiad, kto inny pobiegł zameldować całe bractwo na nocleg. Zrobiło się gwarno i wesoło.

Mikołaj od razu wdał się w rozmowę z młodzieńcem w zielonym dresie flanelowym. Okazało się, że należą do Śląskiego Klubu Sportowego i że przybyli tu na dłużej.

— Na obóz kondycyjny, rozumie pan? — uśmiechnął się szeroko, błyskając mocnymi zębami — Kierownik odgraża się, że nas pogna w góry bez względu na pogodę. Mówi, że nas przywiózł na trening, nie na piękne widoki. Musimy swoje odwalić. — Wyliczył na palcach, jakie „obiekty" mieli w planie.

Mikołaj odszedł jak niepyszny do swego kąta pod oknem i nowi przybysze mniej mu się jakoś podobali. Cóż dopiero, gdy po sutym obiedzie usiedli w koło i śpiewali jedną piosenkę po drugiej, wszystkie w rytmie marsza. Prym wodził zapiewajło, chudy rudzielec, który podawał ton i odstawiał solowe partie. Dorównywał mu powodzeniem zażywny brunet, specjalista od jodłowania. Najstraszliwszy wydał się jednak Orańskiemu chłopak, nawet przystojny, obdarzony wszakże niepospolitym talentem gwizdania. Z namaszczeniem czekał na hasło, po czym błyskawicznie wkładał palce do ust i wydawał gwizd tak przeraźliwy, że szyby dygotały. Koledzy dalej ciągnęli piosenkę.

Panie o wyglądzie profesorek pierzchły w popłochu do sypialni. Milczący turysta systematycznie spakował wypłowiały plecak i obrzuciwszy młodzieńców wzrokiem bazyliszka schronił się za drzwiami. Orański chciał pójść w jego ślady, gdy panienka z administracji wręczyła mu list.

— Do mnie? — zdziwił się inżynier — Od kogóż to być może?

Pośpiesznie rozdarł kopertę i przeczytał treść pisma.

Gawryś wzywał go do powotu.

Jakby się naraz świat rozjaśnił! Mikołaj wybiegł przed schronisko w rozpiętej kurtce, z gołą głową.

Mrukliwy towarzysz przyglądał się spod okapu.

— Niech pan uważa — odezwał się niespodzianie. — Łatwo dziś o przeziębienie.

— Nic mi teraz nie będzie! — zapewnił go Mikołaj. Musiało być coś takiego w jego głosie, co poruszyło starego taternika.

— Czyżby się pan wybierał...? — zapytał z przyjęciem — W taką słotę?

— Właśnie! — oświadczył inżynier.

Tamten patrzył nań z nagłym zainteresowaniem, ledwie powstrzymując się od pytań.

Mikołaj sam zaspokoił jego ciekawość.

— Wracam do Warszawy.

— Ach, tak! — tamten nie ukrywał zawodu — No, to nie ma pan się czym cieszyć.

Widząc rozpromienioną twarz Orańskiego dodał z przekąsem:

— „Pim" zapowiada na jutro przejaśnienie...

Jakoż nazajutrz mgły opadły, ranek wstał cichy i piękny. Przyświecało dobrotliwe, uśmiechnięte słońce.

— Żal odchodzić! — współczuł chłopak w zielonej flaneli patrząc, jak Orański dopina rzemienie plecaka. — Przynieśliśmy pogodę, prawda?

— Prawda! — przyznał Mikołaj w zamyśleniu — Mam jeszcze tydzień urlopu przed sobą...

— I chce pan wracać do Warszawy! — zdziwił się chłopiec — Teraz przyjdą najpiękniejsze dni...

— Wiem o tym — westchnął Orański ze ściśniętym sercem. — Nigdy mu nie było łatwo żegnać się z Tatrami, cóż dopiero w tym roku, kiedy się nimi nie nacieszył...

Poprawił sobie plecak na grzbiecie, zapalił ostatniego papierosa, nie mogąc zdecydować się na opuszczenie Hali. Spojrzał z zazdrością na Ślązaka.

— Pewnie, że to dla was góry się odsłoniły. One tak zawsze dla tych, co pierwszy raz je widzą. Żeby na całe życie przywiązać...

Nacisnął czapkę i ruszył na Boczań, bojąc się odwrócić, aby się przecież nie rozmyślić, nie zostać tu przez całych siedem słonecznych, wrześniowych dni. Dopiero w tym miejscu przystanął, skąd po raz ostatni widać otoczenie Hali Gąsienicowej.

Objął spojrzeniem te wszystkie szczyty, na które tylekroć się wspinał, odległe koliby, w których się chronił przed ulewą i śnieżną zawieruchą. Nie można ich stąd było dostrzec, ale je pamiętał wszystkimi zmysłami. Znał dobrze chropowatość skóry po upartym czepianiu się kamieni, smak śniegu wygrzebanego ze szczeliny, szelest wyschniętej, ostrej trawy, zapach wiatru. Patrzył na ciemne jeszcze Granaty, na Zamarłą Turnię, na Kozi Wierch, na mgliste zarysy bardziej oddalonych grani. Rozmarzył się. Zapragnął zostać tu na zawsze, sam jeden.

Wstał jednak i przełęczą między Kopami zaczął schodzić ku temu, co w życiu swym uznał za najważniejsze.

Lampa ze stożkowym abażurem oświetlała otwartą książkę. Ola znała tę czerwoną oprawę, format, krój czcionki, wąską wstążeczkę, którą tylekroć wkładała między kartki „Zagadnień leninizmu".

Rozdzieleni kręgiem światła obydwoje siedzieli w półcieniu. Z jednej strony biurka Ola w głębokim, wygodnym fotelu, z drugiej — Gawryś zaciągając się dymem.

— Więc jakże tak — przerwał dokuczliwe milczenie — po prostu postanowiliście rozwieść się z mężem?

— Nic nie postanowiłam do tej pory — odparła przyciszonym głocem. — Przyszłam to z wami omówić.

Ogieniek papierosa nagle się rozżarzył.

— Nigdy mego męża nie kochałam — zwierzyła się Ola — Ale że mamy dwoje dzieci, nie myślałabym o rozbijaniu rodziny, gdyby nie różnice poglądów...

— W czym się one wyrażają?

— Och, we wszystkim! Żyjemy obok siebie jak obcy ludzie. Nie zaciekawia go moja praca, ani moje sukcesy, chyba że przysparzają nam pieniędzy.

Z westchnieniem odgarnęła włosy zsypujące się na czoło.

— O te pieniądze właśnie powstały ostatnio awantury. Józef godził się na moją naukę w liceum, ale sprzeciwił się ostro dalszym studiom. „Po co ci politechnika? — pyta — Czy jako architektka zarobisz dużo więcej? Tymczasem twoje pobory znacznie się zmniejszą, bo jakże pogodzisz studia z dyscypliną pracy? Co mnie — mówił — po takiej żonie, która jest w domu gościem?"

Zatrzymała się na mgnienie i z wyrzutem ciągnęła dalej:

— Zabrał mi wszystkie podręczniki i notatki. Zamknął w komórce na strychu. Daremnie mu tłumaczyłam, prosiłam nawet. Nie i nie. „Mogę się z tobą rozwieść — oświadczył — ale na dalszą naukę się nie zgodzę."

— Mąż wasz ma trochę słuszności — ostrożnie zaczął Gawryś. — Studia wasze odbiją się i na budżecie rodzinnym i na wychowaniu dzieci. Czy naprawdę tak wam zależy na dyplomie?

— Czy mi zależy? — zakrzyknęła Ola — Towarzyszu! Toż cały sens mego życia w tym się mieści!

Urwała, spłoszona własnym wybuchem. Dopowiedziała ciszej, ze spuszczoną głową:

— Nie wytrzymałabym długo kreślarstwa, gdyby nie nadzieja, że za

lat kilka wezmę się sama do projektowania. Jestem pewna, że będzie ze mnie pożytek!

Wobec milczenia sekretarza dodała z godnością:

— Nie bierzcie tego, co mówię, za samochwalstwo. Trudno mi ocenić własne zdolności. Ale wiem, że mi cierpliwości nie zabraknie. A ona decyduje o powodzeniu...

Gawryś był prawie niewidoczny w mroku i w dymie papierosa. Ola zapytała natarczywie:

— Znacie Wiślińską? Zwyczajna dziewczyna, chodziłyśmy razem do powszechniaka... Skończyła politechnikę przed trzema laty. A dziś? Kieruje zespołem, dostaje poważne zlecenia, bierze udział w kolegiach, wszyscy liczą się z jej zdaniem. Rysunki jej cechuje taka lekkość, że można by pomyśleć, iż nie wkłada w nie żadnego wysiłku. Ot, kilka kresek, rzuconych niedbale na papier, aby wywołać nastrój Starego Miasta, czy wielkiego placu budowy. Widziałam z bliska, że dla jednego „swobodnego" szkicu Wiślińska robiła dziesiątki prób i do wściekłego umęczenia ćwiczyła się w delikatnych liniach i śmiałych pociągnięciach. W szkole nigdy nie miała piątki z rysunków. A teraz wszyscy mówią, że ma talent.

Zanim Gawryś zdążył odpowiedzieć, wybuchła gwałtowną skargą:

— Ja też potrafię ślęczeć nad robotą, poprawiać z równym uporem! Nie moja wina, że zmarnowałam lata najsposobniejsze do nauki. Z głupoty, z biedy tak się stało! Czy mam już za to wiecznie pokutować? Patrzeć, jak inni dochodzą do czegoś, a sama tkwić w miejscu jak pień? I nigdy, nigdy nie wyjść poza mechaniczne kreślenie, poza współpracę z Frankowskim? Poza przeciętność?

— Nie! — rzekł twardo sekretarz — Uczcie się dalej.

Ola uśmiechnęła się ironicznie.

— Mąż mój na studiowanie się nie godzi.

— Obejdzie się bez jego zgody.

— Nie dam rady, jeśli mi nie pomoże przy dzieciach, w gospodarstwie, jeśli nie zarobi więcej... Tymczasem Józef grozi, że przestanie chodzić do fabryki, wymawia się słabym zdrowiem... To już wolę się z nim rozejść. Sąd mi zapewni chyba jakieś alimenty...

— A dzieci?

— Właśnie z powodu dzieci. Bo Józef je chowa jak najgorzej. „Dobry wujek — mówi o swoim koledze spod ciemnej gwiazdy — bogaty, ma własną taksówkę, pojedzie z wami na spacer." A z innego, porządnego, to się śmieje: „Patrzajcie, jaka łachudra, cukierków nigdy nie przyniesie, chodzi w połatanych portkach." Zbił kiedyś Januszka za to,

że pożyczył swój rower innemu chłopcu. „Jak nie będziesz pilnował swego, to na dziady pójdziesz!" — wołał na całe podwórko. W przedszkolu ciągle się skarżą na malca, że aspołeczny, że źle wpływa na inne dzieci. Bo mu Józef głowę nabija głupstwami. Boję się już radio nastawić, żeby nie zaczął urągać. „Nie mów tak przy dzieciach! — proszę go jak kogo dobrego. — Po co z tym mają do przedszkola iść i między ludzi."

— I co on na to?

— Jak groch o ścianę rzucać. Żal mu dawnego warsztatu, mówi, że za Niemca wiodło mu się lepiej. Do roboty trzeba go wyganiać. Dwa razy już dostał upomnienie, grozili, że za trzecim razem oddadzą sprawę do prokuratora. Książki ani gazety do rąk nie weźmie. Jak zwierzę, byle się nażreć i wyspać!

Gawryś obrzucił Olę bystrym spojrzeniem.

— Myślicie może o powtórnym zamążpójściu? Kochacie kogo innego?

— Nie — odpowiedziała pośpiesznie. — Chcę żyć sama. Z dziećmi, oczywiście i z moją siostrą. Przynajmniej póki politechniki nie skończę...

Umilkła, namyślając się nad czymś.

— Powiem wam całą prawdę — rzekła po długiej chwili. — Poznałam przed rokiem mężczyznę, którego bardzo pokochałam. Ale nie chciałam zostać jego żoną...

— Dlaczego?

— Dużo by o tym mówić... Młody był, ładny, z inteligentnej rodziny. Malarz. Dzięki niemu znacznie się rozwinęłam. Więcej teraz spostrzegam wokół siebie. I w sobie samej także.

Przerwała pod urokiem wspomnień.

— A jednak — potrząsnęła głową — nie mogliśmy żyć razem. Nie myślcie o nim źle, towarzyszu! Był zdolny, pełen szlachetnych porywów, nikogo by nie skrzywdził. Uważał się za komunistę, bo marzył o powszechnej sprawiedliwości. Tylko, że ręki nie przykładał do jej budowania. Tak się w nim wszystko na dobrych chęciach kończyło.

Uśmiechnęła się wyrozumiale, po matczynemu.

— Twierdził, że jestem zbyt poważna i uparta. To go we mnie drażniło. Raz nawet, dobrze ten dzień pamiętam, zarzucił mi, że się do walki sposobię, jakby rewolucja się nad nim nie przewaliła. Dziwił go mój upór w studiowaniu. Nazywał mnie żartem „niebieską pończochą". Na pamiątkę sufrażystek... Nie zdobyłam się na to, aby go przekonywać. Wydał mi się tak daleki, że słowa moje nie mogłyby do niego dotrzeć...

Szarpała róg chusteczki, przejęta swym opowiadaniem. Zamknęła je wreszcie stwierdzeniem pół smutnym, a pół zwycięskim:

— Sprawa ta należy do przeszłości..

— Zaważyła mocno na waszym małżeństwie.

— Przyśpieszyła tylko proces, który by się i bez niej dokonał.

Umilkli oboje przytłoczeni powagą decyzji, którą należało podjąć.

— Jestem przeciwnikiem rozwodów — rzekł wreszcie Gawryś. — Nasze prawo także ich nie ułatwia. Samotne matki z trudem mogą podołać wychowaniu dzieci, a najlepsze domy wychowawcze nie zastępują całkowicie rodziny.

— Dłużej z nim pod jednym dachem nie zostanę! — powiedziała hardo — Wszystko mnie od niego odpycha! Wszystko, rozumiecie?!

— Rozumiem! — łagodnie oparł Gawryś — Chciałbym jednak pogadać z waszym mężem, zanim wypowiem swoje zdanie.

— To się na nic nie zda, tylko przedłuży sprawę.

Gawryś przyglądał się jej w skupieniu.

— No, cóż — zdecydował się niechętnie. — Złóżcie skargę rozwodową. Niech sąd ludowy rozstrzygnie. Nie myślcie jednak, że wam łatwo przyjdzie uzyskanie rozwodu. Gdyby nawet, zrodzą się nowe komplikacje. Jak podzielicie się mieszkaniem?

— Już ja to sobie ułożę! — powiedziała Ola z zawziętością — Byle bym go więcej nie widziała koło siebie! Bo mi wstyd, że jestem jego żoną...

Miała łzy w oczach i wargi jej drżały jak dziecku.

— Czy mogę podać kolację? — uchyliła drzwi Gawrysiowa.

— Prosimy — powiedział sekretarz wstając z krzesła. Podszedł do Oli, pogładził ją po ramieniu.

— Spokojnie, towarzyszko, spokojnie. Pamiętacie, jak się zaczęła nasza przyjaźń? Także od płaczu. Przypomnijcie sobie, na korytarzu... Tusz się wam wtedy rozlał...

— Pamiętam — rzekła siląc się na uśmiech.

Gawryś zapalił lampę u sufitu i nastrój zwierzeń pierzchnął bezpowrotnie. W pełni światła pokój wydawał się całkiem zwyczajny. Dwa łóżka, biurko, stół pod oknem.

— Dobry wieczór! — dygnęła dziewczynka w harcerskim mundurku wnosząc nakrycie na niebieskiej tacy. Sprawnie ustawiła talerze i szepnęła ojcu do ucha:

— Mama zrobiła dziś kluski z makiem!

— Łakomczuchu! — roześmiał się Gawryś i pogroził palcem — Powiedz lepiej, czy lekcje odrobione?

— Pisemne już gotowe, a ustnych nie potrzebuję się uczyć, bo wiem wszystko, co pani nam mówiła.

— A może w książce jest więcej i ciekawiej?

— Ja i tak umiem na piątkę.

— Phi, wielka sztuka. To taka zwykła norma. Dopiero jakby ją przekroczyć, byłoby się czym chwalić.

— Przed kim?

— Choćby w kółku historycznym. A może wcale się nie chwalić, tylko cieszyć się tym, że coraz więcej się wie o świecie i coraz więcej rozumie.

— Tymczasem kolacja wystygnie! — przerwała dziewczynka i z przekornym uśmiechem wybiegła do kuchni.

Przez niedomknięte drzwi było widać, jak Gawrysiowa wykładała łazanki na półmisek. Stała przy blasze w niebieskim fartuchu, tęga i rumiana, jakby jej krew miała trysnąć z twarzy. Nic sobie nie robiła z nadciśnienia, zawsze skora do żartów i do niesienia ludziom pomocy. Widok jej przypomniał Oli matkę i własne dzieciństwo. Spojrzała z uśmiechem na Gawrysia, pragnąc mu wyrazić wdzięczność, że jej troskom odebrał ciężar samotności. Spotkała jego oczy mądre i życzliwe. Zrozumieli się bez słów.

NA NOWEJ DRODZE

Późnym popołudniem Orański po raz nie wiadomo który przypiął do rysownicy szeroki kawał szkicówki. Od dawna pracował nad projektem ratusza w Ostrzynie, miał go niemal przed oczami, ledwo jednak brał się do rysowania, obraz nikł jak senne widzenie, a wszystko, co Orański utrwalił na papierze, wydawało mu się zaledwie poprawne, tuzinkowe, nie oddające zgoła wielkich zamierzeń architekta. Każdy element z osobna dobrze był nawet rysowany, nie zawodziła ręka aż nadto wyćwiczona na historycznych formach, całość wszakże nie osiągała tej harmonii, która stwarza złudzenie lekkości nawet w potężnych budowlach. To wieża ratuszowa okazywała się nie dość smukła wobec niewielkich rozmiarów samego budynku, to skrzydła boczne zdawały się zbyt przysadziste, ciężkie, jak ciasto z zakalcem.

Projekt ten miał dla Mikołaja nie byle jakie znaczenie. Siedząc wieczorem przed schroniskiem na Hali Ornak, albo pod Przysłopem, zdecydowany, aby raz na zawsze wyrzec się projektowania, Orański żałował najbardziej, że tego ratusza nie skończył i obmyślał sposoby zatrzy-

mania go w swoim ręku. Po powrocie do Warszawy uznał ostrzyński ratusz za obiekt przynoszący szczęście, za dobrą wróżbę na przyszłość.

W biurze powitano Mikołaja z otwartymi rękoma; wystarczyło parę tygodni, aby okazał się tu niezbędny. Zasypano go nowymi zleceniami partyjnymi i zawodowymi, powołano go do nowych kolegiów i komisji. Stanowiłoby to balsam dla urażonej ambicji, gdyby Orański w niej właśnie czuł się najbardziej dotknięty. Jednakże przyczyny jego rozżalenia sięgały głębiej i bynajmniej nie zostały usunięte.

W Biurze Projektów pojmowanie architektury wciąż nie wychodziło ze stadium ogólnikowych referatów. Cytowano wypowiedzi wielkich architektów radzieckich, ale gdy oni w swych artykułach udowadniali tezy dziesiątkami przykładów, gdy nie szczędzili krytyki i nie lękali się śmiałego postulowania — koledzy Orańskiego zamykali dyskusję roboczą pustymi frazesami. Rzetelną pomoc dawała Mikołajowi fachowa literatura radziecka, z tym wszakże zastrzeżeniem, że wiele zagadnień na tamtym terenie rozwiązanych, tutaj wymagało nowego opracowania wobec odmiennych warunków. Częściej można było przejąć metodę niż osiągnięte dzięki jej stosowaniu — wyniki.

Najbardziej dawał się we znaki brak zespołu, który by nie uchylał się od dyskusji generalnych, od oceny gruntownej dzieł architektury, od ustalenia wytycznych. W nowych kolegiach zasiadało wielu młodych inżynierów, ożywionych niewątpliwie najlepszą wolą, lecz bardzo jeszcze niedoświadczonych. Znali się dobrze na zagadnieniach technicznych, stale dokształcali się przy pomocy prasy radzieckiej, nie nauczyli się jednakże wartościowania walorów plastycznych. Ich sąd w sprawach architektury niewiele więcej wart był, niż zdanie zwykłego przechodnia — stanowi zatem sprawdzian niedoskonały.

Mimo to Orański pozostawiony samemu sobie przez dyrekcję i kilku starszych kolegów wolał raczej powierzyć ocenę swego projektu temu niedoświadczonemu kolegium niż uznanym autorytetom biura, jak Frankowskiemu, Brejwie i Kosińskiemu, którym rutyna i zawiść zawodowa uniemożliwiały wydanie bezstronnej opinii. Upodobania młodych, nie umotywowane teoretycznymi studiami, odpowiadały zapewne życzeniom ogółu społeczeństwa, z niego się bezpośrednio wywodziły. O tym, że takie życzenia nieraz wyznaczały drogę architekturze, pisał już Vasarii w swoich pamiętnikach i Orański dobrze pamiętał historię konkursu na kościół Sancta Maria del Fiore, który na korzyść architekta Bruneleschiego rozstrzygnęli mieszczanie florenccy. Ale skład kolegium oceniającego nie pozostał bez wpływu na architekturę ostrzyńskiego ratusza. Orański starał się osiągnąć taką prostotę i wyrazistość

kompozycji, aby była widoczna dla najmniej wyrobionego oka; wprowadzał takie elementy zdobnicze, które mogłyby się podobać właśnie każdemu przechodniowi. Kiedy z ust swojej sekretarki usłyszał naiwnie sformułowaną pochwałę portalu, klatki schodowej i attyki, bardziej się nią ucieszył niż zdawkowym komplementem Bostela. To też ostateczny sąd kolegium o projekcie ratusza miał być dla Mikołaja probierzem jego twórczości.

Przy sobocie wszyscy dziś wcześniej opuścili pracownię, nawet Duniak, który ostatnio do wieczora tutaj przesiadywał. Sprzątaczki także prędzej uwinęły się z robotą. Deszcz zacinał w szyby, wiatr uderzał w blaszany dach, tramwaj przeciągle zgrzytał na zakręcie. Wszystkie te dźwięki z zewnątrz biura nie przedzierały się jednak w głąb ciemnej ciszy wypełniającej jego wnętrze, nie zespalały ze światem pochylonego nad rysownicą inżyniera. Przeciwnie, w opustoszałej pracowni czuł się zdany wyłącznie na samego siebie, nie wspierany nawet z daleka niczyją życzliwością.

Ciszę rozległych korytarzy zmąciło naraz człapanie starego człowieka.

— Chyba Wasowicz — pomyślał Mikołaj. — Czemuż on się tłucze o tej porze? Najwyraźniej zmierza w tę stronę... Wchodzi po czterech schodkach... Nie może odnaleźć klamki...

— A, jest pan inżynier! — ucieszył się woźny otwierając drzwi. — Bałem się, że pan już poszedł do domu. Klucza nie było jednak na tablicy, powiedziałem więc, że go pan inżynier chyba w drzwiach nie zostawił... Towarzysz Gawryś telefonował z miasta, czy pan jest jeszcze u siebie. Ma widać interes, bo chce zaraz przyjechać.

— Zapalicie? — Orański podsunął staremu pudełko papierosów. — Powiedzieliście, że do tej pory pracuję? — nie był wcale ciekaw, czego chce od niego sekretarz.

— Mam zadzwonić za chwilę. Zostawił numer. Pewno chodzi o akademię październikową...

Usiadł zmęczony obok rysownicy i z lubością zaciągnął się dymem, chociaż wiedział, że palenie mu szkodzi. Przyglądał się życzliwie pracy Mikołaja i wystąpił z nieoczekiwaną propozycją:

— Jeśli pan inżynier jest zmęczony, mogę powiedzieć, że już pana nie zastałem...

— Skądże znowu! — roześmiał się Orański — Dziękuję wam za dobre chęci, ale będzie lepiej, jeśli porozmawiam z Gawrysiem. Może to co ważnego...

— No, to ja już pójdę do telefonu — podniósł się ciężko z krzesła — Dobrej nocy, panie inżynierze.

— Dobranoc, towarzyszu.

Stary zatrzymał się na progu.

— Ja nie ze złej myśli tak powiedziałem. Tylko, że pan inżynier tyle pracuje, to nie warto, mówię, żeby się pan więcej męczył. Referat na akademię może kto inny przygotować...

— Dobrze, dobrze — uśmiechnął się Orański. — Powiedzcie Gawrysiowi, że na niego czekam.

Nie upłynęła godzina, gdy sekretarz pojawił się w pracowni XVII. Razem z nim przyszli dyrektor techniczny Doraczyński i Halemba, który z niecodzienną serdecznością zwrócił się do Mikołaja:

— Wreszcie zdybaliśmy cię, samotniku! Pokaż nam od razu Nową Rudnię.

— Nową Rudnię? — Orański miał wrażenie, że się przesłyszał. — Dlaczego? W jakim celu?

— Profesor wszystko ci wyjaśni, tylko nie marudź i pochwal się nareszcie rysunkami...

— Długo czekaliście na tę okazję — dodał półżartem Gawryś, któremu śmiały się oczy.

— Już daję, już daję! — Mikołaj pośpieszył do szafy. Ręce mu latały, nie mógł otworzyć kłódki.

— Oto one! — rzucił na stół plik projektów. — I te jeszcze, i te... — dokładał coraz to nowe plansze. — Wszystko chcecie zobaczyć czy tylko jakiś fragment?

— Wszystko! — Uspokoił niewypowiedzianą obawę Doraczyński. — Niech pan je spokojnie porozkłada na stołach. Mamy czas, obejrzymy je dokładnie...

— Pomóc ci? — zaofiarował się Halemba widząc, że Mikołajowi papiery spadają na ziemię. Nie czekając na zachętę począł porządkować pośpiesznie wydobyte materiały.

— Gotowe! — skłonił się w stronę profesora — Niech panowie pozwolą bliżej. Autor oprowadzi po wystawie.

Orańskiemu niesporo szły wyjaśnienia. Zacinał się, plątał, wreszcie dał za wygraną i zamilkł, śledząc z niepokojem wyraz twarzy pochylonych nad projektem.

Doraczyński spoważniał, stracił swą trochę protekcjonalną uprzejmość, oparł się na stole, rozpostarł łokcie, niemal kładąc się na rysunkach, jakby jednym spojrzeniem chciał ogarnąć wartość całej pracy. Halemba stał z boku, ze wzrokiem wlepionym w kolorową planszę. Ale najbardziej przejęty wydawał się Gawryś.

— Podoba mi się to otwarcie na rzekę — powiedział. — I ten ciąg

domów przy głównej ulicy. Nieznaczne zwężenie jej przy placu skupia uwagę na architekturze. Cokół wapienny, kolorowe tynki, dobrze rysowane podcienia.

— Wykształcił się pan widać nie tylko w kontroli planu — potwierdził z uznaniem Doraczyński.

Gawryś zwrócił się do Mikołaja:

— To wasza zasługa. Pamiętacie, jak oburzyliście się na mnie za pochwałę budynków Frankowskiego? Zdałem sobie wtedy sprawę z moich braków i postanowiłem tyle się chociaż nauczyć, żeby mieć własny sąd, bodaj w przybliżeniu słuszny, o tym, co się w biurze projektuje....

— I doszedł pan do tego? — zagadnął Halemba — Muszę się przyznać, że ja często nie umiem ocenić projektu...

Doraczyński zapytał go z uśmiechem:

— A o tym co pan powie?

— Że jest świetny. Najłatwiej oceniać rzeczy bardzo złe lub bardzo dobre. Cała bieda z tym środkiem — rozstawił ręce, jakby grał na harmonii, coraz to ją rozciągając.

— Za dwa tygodnie mam referować projekt Nowej Rudni w Radzie Państwa — wyjaśnił Doraczyński. — Nie chciałbym ograniczyć się do koncepcji Erwina. Czy pan się zgodzi, kolego — zwrócił się do Orańskiego — abym przedstawił również waszą alternatywę?

— Jeśli uważacie, że warto...

— Bez fałszywej skromności, Mikołaju!

— Niech mi pan prześle wszystkie materiały do Zakładu. Najlepiej jutro lub pojutrze, żebym się w nich mógł rozpatrzeć. Zgoda?

— Zgoda.

Profesor wyciągnął dłoń na pożegnanie i rzekł z uśmiechem:

— A więc do zobaczenia w Radzie Państwa!

NOTES W CERATOWEJ OKŁADCE

Jesień tego roku była szczególnie płaksiwa. Podało niemal co dzień, na różne sposoby. Poranna mgła przechodziła w mżawkę albo drobny deszczyk, wytrwale powiększający błoto przy różnych ziemnych robotach, zwłaszcza w nowych osiedlach, gdzie tworzyły się całe zalewy. Dorośli wymijali je, klnąc pod nosem, dzieci natomiast, bardzo uradowane, brodziły jak błotne ptactwo.

Niekiedy zrywał się wicher i deszcz zacinał z ukosa, wciskając się za

kołnierze nieprzemakalnych płaszczy. W jesiennej szarudze nad chodnikami pełnymi kałuży te właśnie deszczowce i parasolki połyskiwały czerwienią, błękitem, wszystkimi odmianami szkockich kratek, niezdolne jednak żywością barw rozproszyć smętku, który się rodził z gryp i katarów, ze ścisku w tramwajach, z wcześnie zapadającego teraz mroku. Dzień tak się skrócił, że po ciemku szło się do pracy i po ciemku wracało do domu.

W wieczór szczególnie dżdżysty i wietrzny wybiegła z biura Monika Sulatycka. Ucieszyła się widząc przed bramą Gawrysia z Orańskim i Jankowskim, chciała już do nich podejść, aby razem z nimi dobrnąć do tramwaju, gdy przywitał się z nimi jakiś nieznajomy jej mężczyzna. Zniechęcona tym poszła dalej sama.

Wiatr dął prosto w twarz, zapierając oddech. Otuliła się szczelniej futrem. Bardzo bała się przeziębienia, chociaż nie miała do niego szczególnych skłonności. Przerażała ją myśl o spędzeniu bodaj kilku dni w zupełnym odosobnieniu. Z zazdrością patrzyła na Jankowskiego, który niewiele sobie robiąc z wichury, szedł w rozpiętym płaszczu i śmiał się na całe gardło z czegoś, co mu opowiadał ów nieznajomy:

— Mój Boże! — westchnęła Monika — Mogłam sobie wokół palca owinąć tego chłopca. Któżby przypuścił, że się tak wybije.

Czterej mężczyźni zatrzymali się na Senatorskiej naprzeciw domu społecznego, zastanawiając się, czy by do niego nie zajrzeć. Sulatycka widziała teraz z bliska Jankowskiego i szła wolniej, aby go dłużej mieć przed sobą, taki się jej wydał miły i młodzieńczy. Spostrzegłszy ukłonił się jej z tą swobodną uprzejmością, która najpewniej świadczy o braku tkliwszych uczuć.

Skręcili w lewo, Sulatycka powlokła się dalej sama, chybocząc się na gwałtownym wichrze, ślizgając się po zabłoconym chodniku.

— Co za pogoda! — sarkał Orański — Żeby tylko nie pozrywało dachów. Patrzcie, co się dzieje z tamtą latarnią! Kołysze się jak podczas sztormu.

Odetchnęli w zacisznym hallu.

— Dalej, zrzucajcie płaszcze i ruszamy na górę. Chyba nam tu przyjdzie zanocować — żartował Gawryś.

— Napijemy się wina. — Orański ujął Stehlika pod ramię — Nie macie pojęcia, jak się cieszę ze spotkania z wami! Nie wiedziałem nawet, że wyjeżdżaliście do Moskwy.

— Nie mówiliśmy ze sobą przez parę miesięcy. W tym czasie w Ostrzynie dużo się zmieniło... Siemiński chciał się mnie pozbyć za wszelką cenę, bo już mu się egzekutywa mocno dała we znaki. Kiedy go

zapytano, kogo by od nas wysłać na wycieczkę budowlanych do Związku Radzieckiego, tak mnie zaczął wynosić pod niebiosa, że aż przedobrzył.

— Jak to? — zdziwił się Orański.

— Myślał, że mnie w ten sposób spławi, że po powrocie przeniosą mnie gdzie indziej, tym bardziej że na moje miejsce kierownictwo już wyznaczyło innego faceta.

Roześmiał się na wspomnienie tej intrygi.

— Tymczasem ja w Ostrzynie zostanę — i to na stanowisku kierownika.

— Winszuję wam serdecznie! — Orański uścisnął dłoń majstra.

— No, pokażecie teraz, jak się organizuje budowę! — dodał Gawryś.

— Z tym wszystkim, nie spodziewałem się, że naprawdę pojadę. Napisałem życiorys, wypełniłem formularze i przestałem o tym myśleć. Aż tu naraz...

— Z wyjazdami zagranicę już tak bywa — wtrącił Gawryś — albo starania o paszport ciągną się miesiącami, że już sprzykrzy się człowiekowi nawet dowiadywać o wynik, albo szast-prast, pakuj bracie manatki i spiesz na dworzec, żeby nie spóźnić się na pociąg.

— Tak właśnie było ze mną — przyznał Stehlik. — Anim się obejrzał, jak znalazłem się w wagonie drugiej klasy.

— Gdzie chcecie usiąść? — zapytał rzeczowo Jankowski, gdy weszli po rozłożystych schodach do kawiarni. — Może tu, pod tym obrazem.

— Niech będzie tutaj, pod „Porwaniem Sabinek" — zgodził się Mikołaj. — Poczekajcie, pojdę zamówić wino.

— To już mnie zostawcie! — obruszył się Jankowski — Młodość ma swoje prawa.

Orański spojrzał na niego ze szczególną życzliwością. Od biedy mógłby mieć już syna w jego wieku. I we własnym synu chętnie by widział taką potrzebę usłużenia ludziom, których się darzy sympatią.

— Uczestników wycieczki było dwudziestu — opowiadał Stehlik. — Sami majstrowie i technicy budowlani, jeden tylko działacz związkowy, lecz i on nie wyglądał na inteligenta. Zebrało się towarzystwo z różnych miast i z różnych budów. Najpierw każdy swoją chwalił i złego słowa nie dał o niej, broń Boże, powiedzieć. Dopiero jak się ludzie więcej zżyli zaczęła się i krytyka.

Wiatr z taką siłą uderzył w okno, że się firanka siatkowa zakołysała. Mikołaj wyjrzał przez szybę na drzewa Saskiego Ogrodu. Chwiały się najgrubsze konary, a drobne gałęzie zakreślały na niebie fantastyczne łuki.

Z przyjemnością wrócił do stolika. Światło jarzeniówek spływało jak-

by przez gazową zasłonę, która w teatrze oddziela rzeczywistość od sceny przedstawiającej sen albo złudzenie.

— Najlepiej zgadzałem się ze Strużyną — ciągnął murarz. — Ślązak, do wszystkiego poważnie się odnosił, a wycieczkę do Moskwy uważał prawie za pielgrzymkę. Chwalił bardzo niemiecki porządek i dokładność w robocie, nawet mnie to zaczynało denerwować. Tyle się nasłuchał o Moskwie, zwłaszcza o wieżowcach i mechanizacji budownictwa, że już nie wiedział, kogo stawiać na pierwszym miejscu. Jechał po to, żeby się przekonać, żeby sobie w głowie wszystko na odpowiednich półkach poukładać. O naszym budownictwie wyrażał się nienajlepiej. „Owszem, mówił, dużo się buduje, ale nie tak solidnie, jak potrzeba." W drodze, a później wieczorami w Moskwie przegadałem z nim wiele godzin. Stary był i trochę dziwak, ale miał swój rozum. Z innymi towarzyszami też żeśmy rozmawiali, mniej jednak, bo to przeważnie młodziaki, więc się od nas odsuwali.

Wrócił Jankowski niosąc na tacy kieliszki, butelkę i ciastka.

— Dobry z was byłby kelner! — pochwalił go Gawryś.

— Macie fach w ręku — zażartował Stehlik.

Jankowski najpierw sobie nalał kilka kropel, jak należy, później wszystkim nie do pełna, bo wino było dobre, aromatyczne.

— Wasze zdrowie! — wniósł toast Orański.

Stehlik pokręcił głową.

— Jeśli pozwolicie, wypijemy najpierw za nasze budownictwo. Żeby nie było gorsze od radzieckiego.

Aż powstali ze wzruszenia. Wychylili do dna, duszkiem, jak wódkę. Kiedy się znowu rozsiedli, Stehlik wytarłszy usta chusteczką zapytał:

— Więc jak mam opowiadać: co ważniejsze, czy za porządkiem?

— Za porządkiem! — poprosił Gawryś — Jak leci.

— Do Moskwy dojechaliśmy dosyć późno — zaczął Stehlik z namysłem. — Chociaż wydawało się, że dopiero był ranek, tak się nachmurzyło i mgła wisiała w powietrzu. Wszyscy się rzucili do okien. Blisko toru widzieliśmy brzydkie stare domy, chyba jeszcze sprzed rewolucji. Z daleka ujrzałem Uniwersytet na Leninowskich Wzgórzach. Nie myślałem, że taki jest ogromny, że tak nad miastem się wynosi.

— Z dworca powieźli nas wprost do hotelu blisko Czerwonego Placu. W hallu kazali wypełnić jakieś druczki, dosyć szczegółowe, pytali nawet, kto ma jakie odznaczenia. Skoro tak, musiałem napisać o Sztandarze Pracy i z tego zaczął się szum, bo mi wyznaczyli apartament obok jakiegoś ambasadora. Kiedy mówię apartament, nie ma w tym żadnej przesady, bo i łazienka była obok, tylko do mego użytku, i umeblowanie

wspaniałe, fotele pluszowe i aksamitne zasłony. Sądząc, że mnie wzięli za kogo innego, zeszedłem jeszcze raz na dół, niech mi pokój zamienią, póki nie rozpakowałem walizki. Nie — żadnej pomyłki nie ma. I wspomnieli o tym Sztandarze Pracy.

— Ledwie ogarnęliśmy się po podróży, już nas zaprosili na śniadanie. Jakie śniadanie! Tyle zakąsek i różności, nie mówiąc już o wódkach i winie, że na całą Wielkanoc by starczyło. Przemowy podczas jedzenia także były, w końcu ja ze Strużyną zaczęliśmy się trochę niecierpliwić. Rwaliśmy się na miasto, żeby wreszcie zobaczyć Plac Czerwony, no i metro. Dopiero w południe wyszliśmy na ulicę.

— Deszcz trochę zwilżył asfalt, ale już nie padał więcej, przejaśniło się, jakby słońce lada moment miało się przebić przez chmury. Na perłowym niebie na wprost nas mieniła się cerkiew świętego Wasyla.

— Poczułem się wzruszony, choć może będziecie się śmieli, jeśli powiem dlaczego. Otóż, kiedy byłem jeszcze pętakiem, matka posyłała mnie do kolonialnego sklepu po sprawunki. W tym sklepie stało na ladzie wielkie blaszane pudło na herbatę, z każdej strony inaczej malowane. Na jednej był smok, na drugiej Murzyn prowadzący słonia, na trzeciej Chińczycy z lampionami. Zawsze chciałem zobaczyć czwartą stronę, dostępną tylko zza lady. Któregoś dnia zebrałem się wreszcie na odwagę, zakradłem się aż za worki z cukrem i ujrzałem na czwartym boku blaszanego pudła bardzo kolorową świątynię, chińską czy indyjską, nie wiem. Skończyło się awanturą, podejrzeniem o kradzież i surowym zakazem pojawiania się w tym sklepie, ale przez długie lata obraz tej świątyni wydawał się najpiękniejszą rzeczą, jaką widziałem w życiu i nie zapomniałem o nim nawet wtedy, gdy przeprowadziliśmy się na inną ulicę.

— Otóż cerkiew błogosławionego Wasyla była jeszcze sto razy piękniejsza od tamtej. Szedłem ze Strużyną w jej stronę, myśląc o tym, jak się takie dziecinne zamysły mogą zmienić w rzeczywistość.

Jankowski nalał kieliszki do pełna. Stehlik nie przerwał jednak opowiadania.

— Plac Czerwony jest jakby zwichrowany i z którejkolwiek strony się nań wchodzi, trzeba iść nieco pod górę. Dzięki temu stojące na nim budowle widzi się na tle nieba. Wszystkie mają tyle luzu, jakby tu grunt był zawsze darmowy. O Kremlu trudno mi coś powiedzieć, bo jest zupełnie inny niż wszystko, co się u nas widzi. Potęga, majestat jakiś, człowiek przechodzi koło niego z szacunkiem. Najpiękniej wygląda wieczorem, kiedy zapalą się na wieżach czerwone gwiazdy. W ogóle w nocy przyjemnie jest chodzić ulicami Moskwy...

Mikołaj wielokrotnie słyszał od swych kolegów opowiadania o stolicy Związku Radzieckiego i chociaż nigdy w niej nie był, z łatwością mógł sobie wyobrazić jej place i bulwary i spacerować po nich w wyobraźni, jak jeden z jego starych przyjaciół po ulicach antycznego Rzymu. We wszystkich tamtych relacjach podziw ugruntowany był znawstwem architektury. Oceniano proporcje budynków, podkreślano wielką skalę założeń, porównywano z Paryżem, popisywano się erudycją. Taka jednolitość i obiektywizm zachwytów sprawiały, że można by je bez zmian powtórzyć w oficjalnych referatach i artykułach.

Stehlik przeżył swą wycieczkę jak podróż do krainy czarów i chociaż oglądane przezeń dziwy miały kształt dźwigów i podziemnej kolei, wzruszenie starego majstra nie traciło nic ze swej poezji.

Mikołaj słuchał jego gawędy jak urzeczony. Przyjazne ciepło sali, zapach dobrej kawy i waniliowego cukru, wreszcie wypite wino wprawiły go w nastrój beztroski, jakiego nie znał od dawna. Lepiej tu było siedzieć niż w schronisku, bo i w górach pogoda musiała być bardzo przykra. Pomyślał też o Nowej Rudni, która stanie się przedmiotem obrad w Radzie Państwa, o życzliwości Doraczyńskiego i Gawrysia, o tym, że Stehlik pokieruje budową Ostrzyna.

— Jeździliśmy przez kilka godzin metrem — opowiadał majster murarski. — Oglądaliśmy różne stacje. Bardzo piękne, jedna do drugiej niepodobna, człowiek czuje się w nich jakoś odświętnie. Nikt nie pcha się do wyjścia, ani nie hałasuje. Wszyscy rozmawiają po cichutku, albo czytają książki.

— Z tego wszystkiego zamiast wysiąść w pobliżu naszego hotelu, wyleźliśmy licho wie gdzie, na nieznajomej ulicy. Była już noc, ale sklepy jeszcze pootwierane, dużo świateł dokoła, dużo samochodów. Tłumy przechodniów, nie to co w Warszawie, gdzie o dziesiątej pusto, jakby wymiótł. Strużyna zaczął się martwić, że się nie dopytamy o drogę. Stanęliśmy na krawężniku i patrzymy, do kogo by się zwrócić.

— Przechodzili młodzi ludzie, może studenci, zawsze w kilkoro, tak że trudno było do nich zagadać, bo zajęci rozmową, rozbawieni. Szli jacyś starsi państwo, pod rękę. — Tym nie przeszkadzaj — pokręcił głową Strużyna. Dalej młoda para, zapatrzone jedno w drugie, że świata bożego nie widzi. — Daj pokój! — ciągnie mnie za łokieć mój towarzysz. Jacyś panowie z teczkami, rozglądają się za autem, nijako do nich podchodzić. Stoimy tak i stoimy, a ludzie nas mijają... Słychać różne języki, nie tylko rosyjski. Otarły się o nas dziewczęta w takich czapeczkach wyszywanych, mówią na nie tybetejki. — Ładne dziewuchy — zauważył Strużyna. — Patrzcie, jakie mają warkocze! — Gadały prędko, po

swojemu, nic zrozumieć nie było można. Szli znowu jacyś mężczyźni w czerwonych fezach. Przed wojną malowali takich na reklamach. I znowu młodzież wesoła, beztroska, jakby przed chwilą wyszli z teatru czy kina. — Ile narodu! — mówi do mnie Strużyna. — Chyba z całego świata się zjeżdżają! — Ja mu na to, że do białego rana będziemy stali w tym miejscu, jeśli wreszcie nie odważymy się zagadać do kogo. Ale prawdę mówiąc, wcale nam się nie śpieszyło. Ciekawie było patrzeć i przyjemnie. Taka rozmaitość ludzi i taka między nimi swobodna serdeczność, że i ja nie czułem się tu obcy, nikt mi się nie przyglądał, jak cudzoziemcowi. Po prostu nikt na nas nie zwracał uwagi. Jakbyśmy od pierwszego dnia byli obywatelami Moskwy.

— Wreszcie widzimy, że idzie jakiś facet w kurtce z futrzanym kołnierzem, rozgląda się, wyraźnie mu się nie spieszy. My do niego, wyjaśniamy łamanym językiem, że nie wiemy, którędy droga do hotelu Moskwa. On w śmiech. Powiada, że sam jest przejazdem i słabo się orientuje w mieście, ale na Plac Czerwony trafi i zaraz nas tam zaprowadzi. Okazuje się, nie daleko nawet było.

Jak mogliśmy, opowiedzieliśmy, kim jesteśmy i skąd przyjeżdżamy. On na to o sobie. Przeszedł przez Polskę w marszu na Berlin. Ale pochodzi z Kaukazu. Elektrotechnik. Pracuje w wielkiej siłowni, w jakimś mieście, którego dziesięć lat temu w ogóle na mapie nie było. Jechało się tam do nich przez góry ze dwa tygodnie. Cała przeprawa. — A teraz — opowiadał—i szosa jest, i elektrownia, i szkoły, i nawet akademia malarska. Właśnie z siostrą przyjechał, która namalowała obraz nagrodzony na wystawie w Moskwie. — Ech! — powiedział zsuwając czapkę na czoło — Byle pokój zachować, zobaczycie, czego my tutaj dokonamy! Wzięliśmy wielki rozpęd! — Tymczasem doszliśmy do hotelu. Mimo że pora była późna, nie chciało się nam wchodzić do środka i rozmawialiśmy jeszcze przed bramą z naszym przewodnikiem. Strużyna się ożywił, przypomniał sobie wszystkie rosyjskie słowa, jakie słyszał kiedykolwiek i zapewniał gorąco, że do wojny dopuścić nie wolno. Technik spoważniał, przyznając rację wywodom mego towarzysza i kiwał głową, żebyśmy go lepiej zrozumieli. — No, cóż — powiedział, żegnając się z nami — pobiliśmy faszystów, nie zlękniemy się imperialistycznych grabieżców! — Odszedł sprężystym krokiem, ale z rogu chodnika odwrócił się, aby nam kiwnąć ręką. Młody, silny chłopak o szerokiej twarzy. Widzieliśmy tysiące takich na czołgach w 44 roku...

Przerwał na chwilę, zapalił papierosa.

— Następnego dnia — opowiadał — zawieźli nas autokarem na ulicę Piaskową, przy której buduje się najbardziej nowoczesny zespół mie-

szkaniowy. Projekty wychodzą z pracowni inżyniera Rozenfelda, który z bliska nadzoruje plac budowy. Takiej współpracy projektanta z wykonawstwem próżno by u nas szukać. Budynki nie są wcale jednostajne chociaż składają się z elementów typowych, dowolnie zresztą zestawionych. Standardów przestrzega się ściśle...

— Widzicie! — uśmiechnął się Jankowski do sekretarza.

— Kiedy znalazłem się na tej budowie, pomyślałem w pierwszej chwili, że dla oprowadzenia nas wykorzystują przerwę w robocie, taki był wszędzie spokój i ludzie nie kręcili się po placu. Tymczasem praca szła pełną parą, ale z użyciem wielu maszyn i znacznej liczby elementów prefabrykowanych. Montowali przy nas części schodów, całe bloki sanitarne, oczywiście przy pomocy dźwigów. Do elewacji używają także prefabrykatów; widziałem takie tralki i krokształty, a nawet części gzymsu i cokołu. Wszystkie prace wstępne, jak przygotowanie wapna i betonu, odbywają się poza placem budowy. Cegłę przysyłają w specjalnych pojemnikach, które znowuż dźwigami podawane są na piętra. Nic się przy tym nie stłucze, nie zmarnuje. Zaprawdę i gips pompuje się mechanicznie na wyższe kondygnacje. Również różne roboty rzemieślnicze: tynkowanie, malowanie, szlifowanie, wykonuje się za pomocą maszyn. Toteż budowa całkiem inaczej wygląda niż u nas w Ostrzynie. Mówiono nam, że przy tych urządzeniach czas pracy robotnika potrzebny do wykonania jednego metra sześciennego muru zmniejszył się do dwóch i pół godzin, a ma zmaleć jeszcze do półtorej godziny.

— To daje wielkie oszczędności! — zauważył Jankowski. Ale Stehlik ciągnął dalej swoje:

— Najbardziej zastanowiła mnie jednak nie ta mechanizacja i cały porządek na budowie, lecz stosunek do robotnika. I wiecie gdzie? Na wystawie techniki budowlanej. Są tam różne maszyny, modele wieżowców, wielkie schematy placu budowy i różne małe usprawnienia. Przy każdym eksponacie jest fotografia tego, kto dane usprawnienie wprowadził i opis, w jakich warunkach go dokonał. Mówili mi, że sam Stalin polecił tak tę wystawę urządzić, żeby każda śrubka i każdy lewarek mówiły o swoim autorze. Przy takim stosunku do człowieka można mieć wielkie osiągnięcia... Widziałem tam jedną rzecz, zdawałoby się — prostą. Taka sobie karta dla budowy poszczególnego obiektu. Każda grupa robotników notuje na niej, w jakim stanie przyjęła robotę od poprzedniej: instalatorzy od murarzy, tynkarze od instalatorów i tak dalej. Wszystko po to, żeby jedni szanowali pracę drugich. Wiecie sami, towarzysze, jak z tym jest u nas. Nieraz już tynkarze swoje skończą, a instalatorzy zaczynają pruć ścianę pod przewody. Albo malarze dobrze

wykonają robotę, a sprzątaczki przy myciu pochlapią całą ścianę. Dzięki tej karcie łatwiej uniknąć uszkodzeń, wiadomo kto za co odpowiada i sianem wykręcić się nie może. Bardzo się do tego usprawnienia zapalił Stróżyna: — Dźwigów u siebie nie postawię — powiada — póki mi ich nie przyślą, ale kartę budynku wprowadzę zaraz po powrocie.

Ułamał kawałek ciastka, skosztował i wytarł usta. Widząc zaciekawienie słuchaczy zaczął mówić dalej.

— Największe wrażenie zrobiła na mnie narada kolektywu na budowie. I w Ostrzynie brałem udział w różnych naradach produkcyjnych, ale to nie to samo. W Moskwie wszystkich słuchało się na równi: majstrów, inżynierów i robociarzy, byle mówili do rzeczy, z troską o dobro przedsiębiorstwa. Widać było, że się ludzie orientują dobrze nie tylko w swoim fachu, ale w całej organizacji budowy, w terminach, w kosztach materiałów i wykonania. Taki siedemnastoletni chłopak, który siedział obok mnie, obliczył raz dwa, ile oszczędności da jedno usprawnienie, o którym wspomniał inny kolega. Wcale się ze sobą przed tym nie umawiali. Ludzie mówili śmiało, nie bali się krytykować przełożonych, a ci znowu nie czuli się krytyką dotknięci. Prowadził zebranie technik budowlany, a nie inżynier, których tam było kilkunastu. I jak to robił! Nikomu nie pozwalał za długo się rozwodzić, żądał wniosków, jasnych propozycji.

— Powiedziałem po zebraniu do Strużyny, że ja podobnie postaram się zorganizować sobie pracę po przyjeździe do kraju. I spytałem go, co myśli o budownictwie radzieckim. Zastanawiał się długo, fajeczkę pykał i wreszcie powiada: „Wyżej stawiam je niż to, co widziałem u Niemców. Bo tu oprócz organizacji i maszyn jest jeszcze coś takiego, co pcha ludzi do roboty, co im każe z dobrej woli dokładać największych starań. Może to jest właśnie socjalizm"...

Stehlik przerwał, szukając u Gawrysia potwierdzenia swoich słów, ale Jankowski nie dopuścił go do głosu.

— Wspomniał pan o blokach sanitarnych — wtrącił szybko — Czy widział pan jakieś nowe usprawnienia w zakresie instalacji? Może na tej wystawie?

— Owszem — potwierdził Stehlik. — Nawet je sobie zanotowałem. Jeśli chce pan obejrzeć moje rysunki, to proszę — podał inżynierowi zeszyt w ceratowej oprawie. — Bardzo zgrabne to one nie są — usprawiedliwił się z uśmiechem — ale oddają z grubsza, o co chodzi.

Mikołaj przyglądał się spoza ramienia kolegi brulionowi nieco przetartemu od długiego noszenia. Doświadczenie wieloletniej pracy spisane było na tych kartkach noszących ślady częstego odwracania, chociaż

ani jeden róg nie był zagięty, ani jedna plama nie zbrukała starannie wykonanych szkiców. Układem wiadomości przypominał kalendarz techniczny. Były tu recepty na mieszanki zapraw i betonu, fragmenty konstrukcji, sposoby łączenia materiałów, rozwiązania pomocniczych urządzeń i rusztowań, obliczenia wydajności pracy, a nawet domowym sposobem wykonany chronometraż. Początkowe zapiski prowadzone były ołówkiem chemicznym, wielkimi kulfonami; w miarę lat litery stopniowo się zmniejszały, stawały się okrąglejsze, nabierały swobody, przychodziły piszącemu znacznie łatwiej. Treść ich znaczyła drogę postępu technicznego, jaki się w ciągu tych lat dokonał.

Mikołaj ze wzruszeniem wziął zeszyt z rąk inżyniera i przejrzał stronę po stronie. Pod datą 15.VII. 1946 znalazł następującą notatkę:

„Była u nas Komisja. Przesiewali pospółkę na sitach, orzeczenie było, że teraz będziemy brać pospółki taczek 4 i pół, piachu 1,5, cementu worek jeden i jedna miarka. Przesiewanie żwiru i piasku pokazuje, jakie grube jest ziarno. Potem oglądali na grafiku, powiedzieli, że ten żwir to pospółka i trzeba mniej dać piasku, to beton będzie mocniejszy, nawet jak dać mniej cymentu. W Komisji był prof. Wasiak z Instytutu Prób w Katowicach".

Nieco dalej spotkał Mikołaj pierwszy zapisek z Ostrzyna:

„Był inżynier Orański i robił próbę zaprawy różowej, która jest lekka w robocie, wiąże szybko i po 48 godzinach jest dobrze twarda. Stosunek 1 : 2 : 2 : 8 (cement 150 kg, ciasto wapienne, pył ceglany, piach)".

Obok widniał szkic montażu jednosłupowej windy, znacznie lepszej od dawnych drewnianych wież. Na następnej stronie była mowa o rusztowaniach żelaznych i pierwszych maszynach przysłanych Polsce przez Związek Radziecki. Na marginesie uwaga: „Widziane w Warszawie na wystawie"... i odpowiednia data.

Na ostatnich kartkach notatki prowadzono już atramentem. Rysunki stawały się coraz bardziej skomplikowane, objaśnienia ich często skrótowe. Widać, że wykonywano je w pośpiechu podczas wycieczki do Moskwy.

— Niewiele już zostało miejsca do końca zeszytu — zażartował Mikołaj wręczając zeszyt Stehlikowi.

— Za czasów mojej młodości — odparł tamten — taki notes wystarczył majstrowi na całe życie i jeszcze nie bywał całkiem zapisany. Ale teraz każdy rok wprowadza nowe wynalazki. Człowiek musi dobrze otwierać oczy, żeby czego nie przegapić, żeby nie zostać w tyle za innymi. A zresztą — dodał — chowam ten notes więcej na pamiątkę...

Kupiłem sobie taki „Sprawocznik", w którym są wszystkie potrzebne wiadomości...

Z dumą pokazał w płótno oprawną książkę. Jankowski zaraz wyciągnął po nią ręce, później oglądał ją Gawryś i Orański. Obszedłszy wkoło spoczęła na majsterskim notesie.

Mikołaj spostrzegł ze zdziwieniem, że format ich jest podobny, równie poręczny przy częstym przeglądaniu. Ale treść ich tak się różniła od siebie, jak praca murarza od zadań kierownika wielkiej budowy w Ostrzynie.

W NIEDZIELĘ WSTĘP BEZPŁATNY

Urok całej jesieni skupił się w jednej niedzieli, która przyszła po szeregu słotych i zimnych dni. Ani muśnięcie wiatru, ani cień obłoku nie zmąciły słonecznej pogody pachnącej dostałym owocem. Ciepło rozprostowało skrzydła spóźnionym owadom i wywabiło z kryjówek małe kowaliki.

Jankowski otworzył okno swojego pokoju. Stęsknił się już za słońcem, za szerokim widokiem Wisły, którą stąd można było dojrzeć. Miał ochotę wybrać się na daleki spacer, ale wyznaczył był sobie na dzisiaj zwiedzenie galerii obrazów. Ilekroć miał tam iść, zawsze coś stawało na przeszkodzie.

— Tym razem jednak postawię na swoim — pomyślał i zaczął zbierać się do wyjścia.

Na schodach Muzeum Narodowego gromadka uczennic czekała na swą wychowawczynię. Jankowski wyminął je szybko; zawsze czuł się nieswojo wobec takich dzierlatek, co to na człowieku nie zostawią suchej nitki. Nie warto sobie nic robić z ich prześmiechów, ale i słuchać przykro.

Pośpiesznie włożył na buty sukienne ochraniacze i wszedł na pierwsze piętro z miną stałego bywalca. Znalazł się tu wszakże po raz pierwszy, nie tyle z istotnej potrzeby, co z przeświadczenia, że należy takie rzeczy zobaczyć. Odkąd poznał Sulatycką, często powtarzał sobie, że powinien trochę otrzaskać się z malarstwem. Ostatecznie, żadna to filozofia — kilka obrazów, kilka nazwisk i można śmielej obracać się między ludźmi. Postanowił nawet przestudiować jakiś podręcznik historii sztuki, ale na to mu już czasu zabrakło. W dodatku książka, którą pożyczył w bibliotece, była tak gruba i nudna, że nie miał odwagi do niej się zabrać. Zdecydował się więc zacząć swoje wykształcenie od

muzeum, a później uzupełnić je czytaniem. To i łatwiej, i przyjemniej.

Ucieszył się, spotykając obrazy, które znał ze szkoły: Bitwa pod Grunwaldem i Kazanie Skargi. Nie myślał nigdy, że to takie duże płótna. Przyglądał się z ciekawością każdej twarzy, każdej postaci z osobna. — Jak żywe — pomyślał z uznaniem. — I ubiory odrobione widocznie z natury. Wszystkie koronki, wszystkie futra!

Kiedy w swojej wędrówce dotarł aż do Canaletta, poczuł się trochę wzruszony. Nie mógł oderwać oczu od widoku Krakowskiego Przedmieścia z kamieniczką Jona na pierwszym planie. Uderzył go nie tyle wdzięk architektury, co nastrój pogodnego popołudnia, różowiejące powietrze nad spatynowaną dachówką.

Wycieczka szkolna dopędziła go w tej sali. Dziewczęta szły parami, raz po raz strofowane przez wychowawczynię, młodą, jasnowłosą kobietę o surowym profilu. Towarzyszył im przodownik, widocznie należący do personelu muzeum, który miłym głosem opowiadał o Warszawie z wieku Oświecenia, o malarstwie, teatrze, o ludziach tej epoki. Miał nie więcej niż dwadzieścia lat, ciemną czuprynę i bardzo wesołe oczy. Widać było, że chce słuchaczki zachęcić nie tylko do przyglądania się obrazom, ale do poznawania przeszłości i wyciągania z niej mądrych wniosków. Jankowski po raz pierwszy słuchał tak ciekawie przedstawionej historii obrazów i twórcy; było to zgoła niepodobne do podręcznika historii sztuki, który dotąd miał w swym mieszkaniu. Z zazdrością spojrzał na dziewczynki, przypatrujące się raczej ludziom niż dziełom sztuki i oburzył się w duchu. — Głupie gęsi! — pomyślał. — Przegapiają taką okazję. Gdyby mnie tak w latach szkolnych prowadzili do muzeum, nie potrzebowałbym świecić oczami przed tą Sulatycką!

Wycieczka pomaszerowała dalej. Przed „Krakowskim Przedmieściem" zatrzymała się z kolei młoda para, ubrana starannie, jak to przy niedzieli.

— Patrz, patrz! — szepnęła dziewczyna wsuwając rękę pod ramię towarzysza. Przytuliła się do niego i otarła policzkiem o jego twarz. Mężczyzna rozejrzał się, czy ktoś tego nie spostrzegł i uśmiechnął się do niej serdecznie.

— Nie chciałeś przyjść! — robiła mu szeptem wymówki. — Wcale nie trzeba się znać, żeby mieć przyjemność z obrazów. Zresztą będziemy tu częściej przychodzić. Bo ci się podoba, powiedz!

Pogładził ukradkiem jej dłoń, a to widać więcej znaczyło niż słowa. Poszli dalej lekkim krokiem ludzi szczęśliwych.

Podsłuchana rozmowa sprawiła Jankowskiemu przyjemność. Inni też nie znali się na sztuce i stopniowo zbliżali się do niej, bez żadnego zawstydzenia. Cieszyła go również obfitość zbiorów i uroczysta przestronność sal muzealnych. — Jest czym się pochwalić nawet wobec obcych — pomyślał żałując, że przyszedł tutaj sam i nie ma komu powierzyć swoich wzruszeń. — Na drugi raz wyciągnę Orańskiego albo Gawrysia.

Obszedł dokoła salę, obejrzał wszystkie płótna i zabierał się do wyjścia, gdy na progu spostrzegł znajomą osobę. W pierwszej chwili nie mógł sobie przypomnieć jej nazwiska. — Gdzież ja ją widziałem — biedził się z pamięcią — chyba na tamtym koncercie...

Szła samotnie od obrazu do obrazu, długo zatrzymując się przed każdym. Na ciemnych, kręcących się włosach nosiła nową czapkę studencką. Była dość szczupła, zgrabna, choć trochę przygarbiona, jakby zbyt wiele czytywała w niewygodnej pozycji. Ręce trzymała w kieszeniach granatowego płaszcza, trochę już wytartego na łokciach.

Odświętną ciszę przerwało wtargnięcie wycieczki wyrostków, którzy mimo sprzeciwów nauczyciela ślizgali się na wojłokowych papuciach po wyfroterowanej posadzce, nie zwracając uwagi na obrazy, ani na objaśnienia. Jeden z chłopaków, może dwunastoletni, krępy i pucołowaty, rozpędził się tak, że wpadł z całym impetem na znajomą Jankowskiemu studentkę. Podchwyciła urwisa za rękę i szepnęła mu coś do ucha, że zaczerwienił się jak wiosenna rzodkiewka i wymamrotał słowa przeproszenia.

— Wojtek! — zawołał nauczyciel — Co ja mam z tobą! Bierz przykład z Kotlarskiego, widzisz, jak się interesuje...

— Bo on jest malarz, proszę pana! — zawołał któryś z kolegów. — On tu już sam przychodził i odrysował do gazetki kolumnę Zygmunta.

Dwaj chłopcy, których Jankowski poprzednio nie dostrzegł, przyglądali się z bliska malowidłom, jakby od jednego razu chcieli przyswoić sobie wszystkie tajniki rzemiosła. Ostatni też wyszli z całej klasy, mrucząc pod nosem, że z takimi pętakami szkoda wybierać się do muzeum.

Jankowski uśmiechnął się — i oczy jego spotkały się ze spojrzeniem Kasi Wojnowskiej. Podeszła z wyciągniętą ręką.

— Czemuż to nie wita się pan ze znajomymi?

— Bałem się pani przeszkadzać...

— Pan? Co innego te smyki. O mało mnie jeden nie przewrócił.

— Nie powinno się ich tu jeszcze przyprowadzać.

— Przeciwnie, trzeba z nimi przychodzić jak najczęściej... Z czasem się oswoją i polubią to miejsce...

— Jest pani tego pewna?

— Oczywiście. Czy nie mówiono panu kiedyś, że my Polacy jesteśmy narodem niemuzykalnym? Że mało kto umie zaśpiewać piosenkę, a już o przygodnym zebraniu chóru mowy być nie może. Co innego Rosjanie albo Niemcy...

— To chyba prawda...

— Żeby pan wiedział, jak wygląda umuzykalnienie dzieci w przedszkolu... Mam jedną przyjaciółkę, która takie zajęcie prowadzi. Większość brzdąców ma duże poczucie rytmu, łatwo uczy się śpiewać, a za tańcami przepada.

— Jaki stąd wniosek?

— Że ogromne znaczenie ma wychowanie, kultura muzyczna i pielęgnowanie artystycznych zamiłowań. Zresztą i talentów nam nie brak.

— Jeszcze chwila i zacznie mnie pani namawiać do grania na skrzypcach...

— Niech pan nie żartuje ze mnie, kiedy mówię poważnie, bo znacznę żałować, że pana spotkałam.

— Przejdźmy do innej sali, jeśli chce pani jeszcze ze mną gadać. Zmierza ku nam wycieczka groźniejsza niż poprzednie. Chyba ze trzydzieści osób! Sami dorośli!

— Wie pan co? Zostawmy im obrazy i ucieknijmy na dwór. Taka dziś cudowna pogoda!

— Oto praktyczne wnioski z rozmowy o sztuce — roześmiał się Jankowski. — Ale idę z panią!

Już na schodach zdjęli sukienne pantofle, zbiegli pędem do szatni, czmychnęli na ulicę. Aż oczy musieli zmrużyć od słonecznego blasku.

— Cieszę się, że pana spotkałam — powiedziała Kasia. — Miałam ochotę porozmawiać z kimś, kto mnie znał z poprzedniego wcielenia.

Jankowski spojrzał pytająco.

— Wie pan, że już nie pracuję w Instytucie. Dostałam się na Akademię medyczną. Nowych przyjaciół jeszcze sobie nie zdobyłam, z dawnymi prawie się nie widuję. Jakoś nie pasują do moich obecnych warunków.

— A ja? — zapytał przekornie inżynier.

— Pan, to co innego. I wtedy, na koncercie wyglądał pan, jakby zabłąkany przypadkiem w towarzystwo pięknej Moniki... Mówiono, że pan stracił dla niej głowę. Czy to prawda?

— W mniejszym stopniu niż pani dla Bostela — odciął się Jankowski.

— Niech pan mi powie — poważnie zapytała Kasia — jak Bostel

przeżył swoją klęskę? Czy obwiniał innych, czy brał na siebie całą odpowiedzialność, czy się buntował przeciw partii?

Jankowski spojrzał uważnie na dziewczynę, starając się odgadnąć, czy los dyrektora nadal ją mocno obchodzi. Oczekiwała niecierpliwie odpowiedzi.

— Sam zadawałem sobie to pytanie — zaczął młody inżynier. — Ostatniego dnia Bostel wezwał mnie do swego pokoju, abym mu przedstawił wyniki cyklowego współzawodnictwa. A trzeba pani wiedzieć, że dzięki tej metodzie skróciliśmy czas wykonania dokumentacji technicznej średnio o 17%. I jeszcze skrócimy...

— Rzucił okiem na sprawozdanie i spytał, czy dziwię się, że rozmawia ze mną o tym w takiej sytuacji. Wyszedł zza biurka i stanął przy oknie, bębniąc palcami w szybę. Bardzo długie ma te palce i chude... Patrząc na ulicę, powiedział: „Zostawiam tu znacznie więcej, niż stanowisko". Potem odwrócił się do mnie i zaczął wypytywać, jaki program usprawnień mam na przyszłość. Tak się tym zajął, jak nigdy do tej pory. Opowiedziałem mu o różnych rzeczach i na koniec o tym, że chcę się zająć ścisłym ustaleniem normatywów dla instalacji wodnych, gazowych i centralnego ogrzewania, zwłaszcza gdy chodzi o budynek użyteczności publicznej. Bo do tej pory nikt właściwie nam nie powiedział, ile ciepłej wody potrzebuje dziennie na przykład żłobek dla pięćdziesięciorga dzieci albo restauracja pierwszej kategorii... Każdy projektant robi te obliczenia według własnego widzi mi się i różne instaluje kotły. Czasem za duże, czasem za małe w stosunku do rzeczywistych potrzeb. Ale to panią nudzi?

— Nie, proszę mówić dalej.

— Powiedziałem więc dyrektorowi, że zamierzam poprosić kilku specjalistów i nie wypuścić ich z biura, zanim mi nie dadzą przynajmniej tymczasowych wskaźników. Pokazałem spis zaproszonych. Pochwalił wybór i kazał mi pokazać listy wzywające na tę konferencję. Położyłem je na biurku. Nagle odezwał się telefon. Bostel podniósł słuchawkę. — Kiedy? — zapytał głosem jakby nagranym na płytę. I zaraz dodał z uśmiechem: — Na pewno będę na zebraniu. — Tak musiał się uśmiechać Petroniusz na chwilę przed otwarciem żył.

— I co dalej? — zapytała Kasia ze wzruszeniem.

— Bostel podpisał resztę zaproszeń tym swoim energicznym zygzakiem. Prysnął atrament. Dyrektor wytarł pióro i podał mi rękę na pożegnanie. „Skończyłem — rzekł — to była moja ostatnia sygnatura".

— A później?

— Musiała pani o tym słyszeć... Usunięto go z partii i ze stanowiska.

Szli w milczeniu nad Wisłą, która wezbrała mocno po ostatnich deszczach i toczyła swe wody z gniewnym pluskotaniem. Płynęły po niej czarne gałęzie i kawałki desek, otoczone brudną pianą. Łachy piasku skryły się w toni, ledwie gdzie niegdzie liliowiejąc pod powierzchnią. Na praskim brzegu drzewa brodziły w nawilgłym listowiu połyskującym wszystkimi odmianami brązu.

— Co pan o nim myśli? — podjęła znowu Kasia — Czy go panu nie żal?

— Nie! — odparł stanowczo Jankowski — Chociaż, wie pani, zawsze mnie ciągnęło do ludzi, którzy muszą urzeczywistniać się w działaniu na wielką skalę. Kiedy przyszedłem do biura, zaimponowały mi dwie indywidualności: „żelazny dyrektor" i kierownik mojej pracowni, świetny fachowiec i organizator. Przed wojną mówiłoby się o nim, że porządny człowiek. Ale do socjalizmu nigdy chyba nie dorośnie. A Bostel...

— Niech pan dokończy.

— Bostel jest naszym wrogiem, chociaż pracował z całych sił. Ale do wszystkiego musiał sam przyłożyć rękę. Najlepszą rzecz zwalczał, jeśli powstała bez jego współudziału. Dławiła go ambicja. Co mu tam ludzie, co mu tam przepisy, jeśli on nie będzie na widocznym miejscu...

Przerwał, jakby się namyślając nad ostatecznym wyrokiem.

— W ostatnich czasach dużo się zmieniło w naszym biurze. Jakoś zebraliśmy się razem, utworzył się prawdziwy zespół. Tego właśnie bał się Bostel i temu świadomie przeszkadzał. Władza wymknęła mu się z rąk jeszcze przed ostatecznym upadkiem. Przynajmniej w tym pojęciu, w jakim ją sobie cenił... W życiu osobistym na pewno też nie był dobry... Pani go zresztą znała lepiej niż ja. Muszę przyznać, że współczułem pani wtedy na koncercie. Chyba się pani otrząsnęła...?

— O, tak! — powiedziała z przekonaniem. — A pan? Czy mogę być równie niedyskretna?

— Wszystko się urwało... Monika pojechała nad morze w towarzystwie Marka. Pamięta go pani?

— Naturalnie!

— I dobrze się stało. Teraz mam innych przyjaciół niż Rączka i Monika Sulatycka. Zna pani Orańskiego?

— Nie.

— To wielka szkoda.

— Niech mi pan o nim opowie.

— Nie spieszy się pani na obiad?

— Ani trochę.

— Przejdziemy się jeszcze?

— Chętnie.

— Tylko niech pani uważa, bo tutaj rozkopane! — wziął Kasię pod rękę. Nie broniła się, ufnie powierzając się jego opiece. Dopiero na równej drodze oswobodziła ramię, niby to poprawiając włosy, które wymknęły się spod czapki.

Poszli razem wzdłuż Wisły migocącej w jarkim słońcu.

W RADZIE PAŃSTWA

— Czy mnie tam aby wpuszczą? — zatroskał się Orański jadąc na konferencję. — Nie zapomniałem chyba zaproszenia?

Chwycił się za kieszeń marynarki. Zaszeleścił papier. Jeszcze nie dowierzając Mikołaj sprawdził treść pisma. Odetchnął nieco spokojniej, lecz gdy autobus dłużej niż zwykle zatrzymał się na skrzyżowaniu ulic, znowu począł się martwić, że się spóźni.

Znalazł się we wnętrzu gmachu na długo przed rozpoczęciem zebrania. W hallu spotkał wielu znajomych architektów. Zrobiło mu się raźniej, gdy podszedł do nich i wymienił uścisk ręki. Bywali tu częstymi gośćmi i dzisiejsze obrady nie sprawiały na nich wrażenia. Rozmawiali między sobą w niewielkich grupach spacerując lub stojąc pod ścianami. Mikołaj pragnął zagadnąć ich o Nową Rudnię, lecz uznał to za niestosowne. W bardzo jasnym świetle marynarka jego prezentowała się dość mizernie. Koledzy natomiast ubrani byli nienagannie.

Po szerokich schodach wszedł szybko Erwin, wysoki, przystojny, pewny siebie. Ukłonił się znajomym z daleka, bez zbytniej uprzejmości. Za nim jak straż przyboczna kroczyli jego współpracownicy. Na wszystkich twarzach odbijało się zadufanie szefa, zniekształcone, jak w krzywych zwierciadłach. Idący z brzegu Kościński, człowiek szczupły i niepozorny, marszczył srogo brwi i zaciskał usta, jak operetkowy dyktator. Dwóch dyrektorów z Ministerstwa wiodło rozmowę blisko schodów. Jeden z nich był wysoki i postawny, drugi barczysty i brzuchaty; obnosił wieczny uśmiech na jajowatym obliczu o usteczkach wyciętych w serduszko.

— Nie wie pan, kto przyjdzie na miejsce Bostela ? — zapytał brzuchacz.

— W tym sęk, że trudno o następcę.

— A Biliński?

— Nie znoszą się z Erwinem.

— Chyba decyzja od niego nie zależy?

— Znaczenie jego bardzo wzrosło.

— Zobaczy pan, jak mu dziś utrą nosa.

Urwali, gdy Mikołaj ich wyminął. Dosłyszał jeszcze za plecami:

— Prezydent zainteresował się Nową Rudnią. Jemu byle czym się nie dogodzi...

Orański ukłonił się profesorowi Wojno, który we drzwiach do sąsiedniej sali witał się z młodym, nieco łysawym człowiekiem.

— Jakże się cieszę, widząc pana profesora w dobrym zdrowiu! — wołał z przesadą młodzieniec. — Mówiono mi, że pan chorował...

— Istotnie — przyznał wolno, pokasłując jak na zawołanie i zaraz spytał podejrzliwie:

— Ma pan do mnie jaki interes?

— Drobiazg, prawie nie warto o nim mówić — rozpływał się tamten w uśmiechach, ale czym prędzej zaczął wyłuszczać całą sprawę. Stary architekt słuchał z głową pochyloną ku lewemu ramieniu, jak Wit Stwoszowy apostoł. Głębokie brózdy żłobiły podbródek. Obfite podgardle z trudem mieściło się w kołnierzu śnieżystej koszuli odbijając od niej przykrą różowością.

Naraz wszyscy ruszyli w stronę sali konferencyjnej i w przejściu utworzył się zator. Orański wcisnął się jeden z ostatnich.

Erwin stał ze swoimi obok kominka ani patrząc na rozwieszone na stojakach plansze śląskiego miasteczka. Mikołaj zatrzymał się bliżej drzwi opodal dwóch dyrektorów, którzy dalej ciągnęli rozmowę.

— Na pierwszy ogień idzie projekt śląski — objaśnił brzuchacz — Później dopiero Nowa Rudnia.

— Długo to potrwa? — zaniepokoił się jego towarzysz.

— Co najmniej do dziesiątej.

— W tym tygodniu ani jednego wieczora nie spędziłem w domu.

— Ale pieniążki lecą?

Znowu wszczął się ruch; prezydent wszedł w otoczeniu kilku znanych architektów.

Erwin wybiegł na powitanie tak rozpromieniony, że uśmiech odbił się na twarzach całej świty. Z nagłą uwagą zaczęli przysłuchiwać się wyjaśnieniom profesora Witeckiego, który przedstawiał projekt miasteczka na Śląsku. Przechodzono od jednej planszy do drugiej, poznając kolejno położenie nowych osiedli, warunki klimatyczne i geologiczne, koncepcję urbanistyczną i kilkanaście rozwinięć architektonicznych. Autor projektu nieśmiało uzupełniał referat znakomitego kolegi, który się tym trochę niecierpliwił. Prezydent natomiast nie tylko nie sprzeciwiał się tym wtrętom, lecz jeszcze zachęcał do nich młodego architek-

ta. Wydało się Orańskiemu, że spośród zebranych — tym dwom ludziom najbardziej zależy na losach miasteczka.

Profesor Wojno w ogóle odrzucił propozycję obejrzenia plansz. — Przyszedłem tylko na dyskusję — rzekł.

Nie wziął jednak w niej udziału. Przysiadłszy z boku na wygodnym krześle przyglądał się dyskutantom spod krzaczastych brwi.

Orański nie uważał, zdenerwowany czekaniem. Nigdy tak nie dłużyły mu się kwadranse, jak tego wieczora.

Wreszcie zdjęto ze stojaków projekt śląski, aby ukazać rysunki Nowej Rudni. Nie wszystkie pomieściły się na płóciennych ekranach, sporo leżało na stole. Organizatorzy konferencji pośpiesznie rozwieszali je, gdzie się dało. Orański niecierpliwie śledził ich ruchy. Naraz dojrzał przed sobą własne dzieło, dużą perspektywę mocno podbarwioną pastelami przybijał do rysownicy jeden z architektów.

— Przepraszam pana — Wojno bezceremonialnie odsunął Mikołaja — Niech pan pozwoli, że się przyjrzę z bliska.

Za nim runęli inni, nie zwracając uwagi na Orańskiego. Napierali nawet na prezydenta, stojącego obok Mikołajowej perspektywy.

Profesor Doraczyński zaczął omawiać projekt Nowej Rudni.

Należał do rasowych mówców, których słucha się z przejęciem niezależnie od tematu przemówienia. Przyjemnie było patrzeć na jego szczupłą i wysoką postać, na szpakowatą głowę o profilu tak czystym jak na portretach Veneziana czy Boticellego. Mówił niegłośno, lecz starannie, akcentując właściwie słowa w zdaniach zwartych, po staroświecku budowanych. Rycerski i powściągliwy wobec kobiet, nawet w męskim towarzystwie nigdy nie przekraczał granicy, jaka dzieli swobodę od brutalnej pospolitości, tak właściwej mężczyznom, gdy znajdą się sami. Doraczyński w każdej chwili zachowywał niegdysiejszy wdzięk. W Radzie Państwa był sobą bardziej niż kiedykolwiek. Bez grubych efektów umiał podkreślić nie tylko wagę omawianego zagadnienia, lecz i kompetencje znakomitego audytorium.

Nawet Orański dobrze znający przedmiot chętnie poddawał się urokowi jego głosu, który brzmiał ciepło i głęboko, podkreślając niemal pieszczotliwie ogromne cyfry Nowej Rudni. Od założeń ogólnych przeszedł do charakterystyki projektu, przy czym, rzecz nieoczekiwana, zaczął od alternatywy Mikołaja. Mówił o niej życzliwie, podkreślając jej niewątpliwe zalety. Omówił następnie koncepcję Erwina, ilustrowaną znaczną ilością wielobarwnych plansz. Wszyscy uczestnicy konferencji posuwali się obok ekranów ustawionych wzdłuż ścian, jak na wielkiej wystawie obrazów.

Dyskusja wywiązała się bez niczyjej zachęty i toczyła burzliwie. Mikołaj tak był nią zaprzątnięty, że stracił z oczu Prezydenta, który oddalił się od architektów raz jeszcze oglądając projekty z profesorem Witeckim.

Orański drgnął, słysząc za sobą cichy głos:

— Widzicie teraz, że niesłusznie poniechaliście projektu. O dobrą sprawę trzeba walczyć do ostatka, towarzyszu.

Prezydent odszedł, nim inżynier zdobył się na odpowiedź, i przywoławszy ruchem ręki Doraczyńskiego, rozpoczął z nim cichą rozmowę przy kominku.

W ogromnej sali Prezydent wydał się Orańskiemu drobniejszy niż na kronikach filmowych lub gazetowych fotografiach. Mimo że poważny, zachował w twarzy tę gotowość do uśmiechu, która była jego charakterystyczną cechą. W rozmowie dużo gestykulował, określając jakieś proporcje rozstawieniem rąk. To je zbliżał, to znów oddalał od siebie, jakby w ten sposób chciał przekonać Doraczyńskiego o słuszności swych spostrzeżeń. Widocznie dopiął swego, gdyż profesor skinął potakująco głową i to nie jeden raz, zdawkowo, ale kilkakrotnie, jakby prezydent słowa mu z ust wyjmował. Wrócił do kolegów z pogodnym czołem, aby podsumować dyskusję.

Erwin mówił krótko, paroma ciętymi i dowcipnymi zdaniami obalając stawiane mu zarzuty. Zręcznie odparował ciosy przeciwników przypomnieniem błędów, jakie zdarzyło się im niegdyś popełnić. Szerzej natomiast rozwiódł się nad koniecznością połączenia placu budowy z biurem projektowym, zwłaszcza przy tak trudnym zadaniu, jak Nowa Rudnia.

— Projekt, choćby najlepszy, utknie na mieliznie, o ile całością budowy nie będzie kierował człowiek doświadczony, dobry architekt i organizator, inżynier i polityk w jednej osobie...

Rozległy się oklaski dyktowane raczej dyplomacją, niż uznaniem. Doraczyński rozejrzał się po sali.

— Proszę kolegę Orańskiego o zabranie głosu.

Wyrwany z roli statysty Mikołaj stał się nagle ośrodkiem powszechnego zainteresowania. Wszyscy zwrócili się ku niemu czekając na rewelacyjne przemówienie, na błyskotliwą replikę, która by oznaczała kres Erwinowych wpływów.

Orański zawiódł te oczekiwania.

— Znalazłem się tutaj tak niespodziewanie — zaczął — żem się nie przygotował ani do obrony projektu, ani do żadnego wystąpienia. Straciłem już nadzieję, że moja praca nad Nową Rudnią stanie się kiedy-

kolwiek przedmiotem rozważań. Było mi z tym ciężko, przyznaję. Nie pochwał pragnąłem ani uznania, które wyraża się w materialnych dobrach. Chciałem mieć potwierdzenie słuszności przeze mnie obranej drogi. To potwierdzenie daliście mi dzisiaj, towarzysze. Skład kolegium, tak świetny, przydaje mu wagi wyjątkowej. Stoją za wami wasze dzieła: nowe gmachy, nowe osiedla, nowe miasta. Jakikolwiek byłby wynik dyskusji dzisiejszej, dziękuję wam z całego serca.

Doraczyński odczekał, aż się uciszą huczne oklaski i rzekł z uśmiechem:

— Wyrażę chyba życzenia wszystkich kolegów proponując powierzenie Nowej Rudni pracowni, której kierownikiem będzie inżynier Orański. Otrzyma on do pomocy Erwina i jego zespół. Ci dwaj ludzie znakomicie się uzupełniają. Punktem wyjścia do ostatecznego opracowania projektu powinna być druga alternatywa inżyniera Orańskiego...

Erwin podszedł do Mikołaja z wyciągniętą ręką.

— Cieszę się z przyszłej współpracy.

— Miejmy nadzieję, że ułoży się ona pomyślnie — szepnął Mikołaj bynajmniej o tym nie przekonany.

— Na tym już chyba skończymy — powiedział Prezydent mrużąc zmęczone oczy. — Jedenasta godzina. Zdaje się, że wyrobiliśmy dziś swoją normę.

Pośpiesznie zaczęto się żegnać. Wszyscy niemal cisnęli się do Mikołaja, aby z nim parę słów zamienić, czy tylko dłoń uścisnąć z serdecznym mruknięciem.

— Może was odwieźć do domu? — ofiarował się brzuchaty dyrektor.

— Raczej ze mną powinien pan się zabrać, mieszkamy w tej samej stronie — prześcigał go w uprzejmości ministerialny kolega, którego zresztą Mikołaj wcale sobie nie przypominał z Saskiej Kępy.

— Dziękuję panom — rzekł. — Wolałbym wracać na piechotę.

Spojrzeli ze zdziwieniem, lecz nie nastawali więcej. Zwycięzca Erwina mógł sobie pozwolić na dziwactwa.

Mikołaj istotnie pragnął odetchnąć świeżym powietrzem, tak mu gardło wyschło od papierosów i rozbolała głowa. Przede wszystkim jednak pragnął się znaleźć sam, aby powrócić do równowagi, z której go wytrąciły wypadki dzisiejszego wieczora.

Noc była jasna, księżyc niedawno wyszedł z pełni, przymrozek wysuszył chodniki, a powietrze orzeźwił. Mikołaj wdychał je głęboko, idąc szybko wzdłuż domów, które zdawały się bliższe niż w dzień. Czarne gałęzie drzew, a także ich cienie, rysowały się na ścianach w pogmatwane wzory, jak sgrafitto.

Mikołaj wyrzucał sobie, że nie odpowiedział Prezydentowi, że zachował się jak gbur. Dopiero, gdy ból głowy ustał, a płuca znakomicie się przewietrzyły, odczuł wielką, niemal dziecinną radość.

Obejrzeli wreszcie jego projekt! Docenili. Dobrze wyraził im swe uczucia. Nie przesadził, mierząc autorytet zebranych ich własną twórczością architektoniczną.

Ani się spostrzegł, kiedy znalazł się na moście Poniatowskiego. Lubił tędy przechodzić wieczorem, przyglądać się światłom z obu stron rzeki. Wisła, która w dzień oddziela brzegi, rozbijając miasto na dwie części, w nocy przybliża je do siebie i zespala.

Dziś także przystanął, ale czy to, że pora była późna, czy inaczej patrzył na świat, dość że światła wydawały mu się mniej liczne, zwłaszcza na Pradze — i mniej stołeczne.

— Co tam! — pocieszył się zaraz, podniecony powodzeniem —Wkrótce już rozbłyśnie na Pradze osiedle, dumne i wyniosłe. A nowy Grochów, który w jesienne zmierzchy różowieje na pierwszym śniegu? W Warszawie lewobrzeżnej zapalą się wkrótce lampy na Starówce, w tych wszystkich mansardach i facjatkach, wyżej i niżej i wprost na granatowym niebie. Wielkie biurowce pulsować zaczną światłem jarzeniówek na placu Wareckim, na Kruczej, Nowogrodzkiej, Żurawiej. I niewidoczne stąd zabłysną okna nowych domów na Ochocie. Jest tam na zamknięciu ulicy wysoko umieszczona loggia, która jak latarnia morska wabić będzie wzrok przechodniów. Jest niedaleko stamtąd wielkie przedszkole wypełnione światłem. Są rozjarzone szkoły na Młynowie, Muranowie i Mirowie. Dalekie Koło, w dzień szare, wieczorem rozpala się wszystkimi barwami zasłon okiennych i abażurów. A jeszcze dalej, w Ostrzynie i Kamionce, w Nowej Hucie i Nowych Tychach, wszędzie, gdzie ludzie do siódmego potu zmagają się z trudami budowy — miesiąc za miesiącem, rok za rokiem zapala światła w oknach nowych domów.

Danuta Bieńkowska

KUO MO-ŻO

Czu Juan — poeta i patriota dawnych Chin

I

Czu Juan był to wielki poeta chiński, który żył przeszło 2 tysiące lat temu. Czu Juan był nie tylko poetą, lecz myślicielem i mężem stanu.

Czu Juan urodził się 340 p.n.e. w okresie Wojujących Państw (403 p.n.e. — 221 p.n.e.) Dwanaście wielkich państw z okresu Wiosny i Jesieni (770 p.n.e. — 403 p.n.e.), których ilość zmniejszyła się później do siedmiu, dążąc do zjednoczenia Chin prowadziło ze sobą bezustanne wojny.

Z tych siedmiu państw, królestwo Czin, położone na północo-zachód było najpotężniejsze, podczas gdy Czu nad rzeką Jang-tse było największe. Państwo Czi na półwyspie Szan-tung, dzięki bliskości morza, a przez to obfitości ryb i soli, było najbogatsze. Han, Czao i Wei, które powstały na skutek podziału Tsin, nazywane stąd niekiedy „trzema państwami Tsin", zajmowały środkową część doliny Rzeki Żółtej; były to małe, gęsto zaludnione państewka, położone w samym sercu starych Chin. Państwo Jen leżało na północo-wschód i jego granice biegły wzdłuż półwyspu Liaotung i północnej Korei, było więc względnie oddalone od terenu walki.

Czu Juan pochodził z wysokiego rodu. Urodził się w okresie, kiedy potężne niegdyś państwo Czu chyliło się do upadku. Zakończone niepowodzeniem usiłowania, aby zdobyć poparcie przekupnego władcy Chin i wpływowej szlachty dla uczciwych i postępowych idei, stały się tragedią jego życia.

W początkowym okresie Czu Juan cieszył się zaufaniem króla i zajmował ważne stanowisko państwowe. Jako tzw. „lewy minister" miał stały dostęp do króla i pomagał mu w pracach prawodawczych i prowadzeniu polityki zagranicznej. Wobec niebezpieczeństwa, jakie zagrażało ze strony Czin, Czu Juan proponował wprowadzenie reform i zawarcie przymierza z Czi, aby w ten sposób zepewnić państwu bezpieczeństwo. Ale najbliższe otoczenie króla składało się z ludzi, którzy myśleli wyłącznie o własnej korzyści, tak jak doradca Tse Czao (zajmujący najwyższe stanowisko w rządzie, książę Czin Czang (polityczny przeciwnik Czu Juana) i faworyta króla, królowa Czeng Hsin. W zamian za łapówki brane od wysłannika Chin, Czang Ji, klika ta zdołała nie tylko powstrzymać króla Huai od pójścia za radą Czu Juana, ale spowodować jego usunięcie z dworu. W rezultacie król Huai został podstępnie zwabiony do Czin, gdzie po trzech latach niewoli zakończył życie.

Syn i następca króla Huai, król Czin Hsiang, odznaczał się jeszcze większą nieudolnością. W dwudziestym pierwszym roku jego rządów (278 p.n.e.) generał Pai Czi z państwa Czin ruszył z wojskami na południe, aby zburzyć stolicę Czu. Od tego czasu królestwo Czu nigdy się już nie podniosło. Pięćdziesiąt pięć lat potem upadło ostatecznie.

Większość poematów napisał Czu Juan już po klęsce swoich planów politycznych.

Kiedy Pai Czi zniszczył stolicę Czu Czu Juan napisał poemat — L a m e n t. Miał wtedy 69 lat. Od przeszło dwudziestu lat żył na wygnaniu i nie widząc żadnej przyszłości dla swego kraju, piątego dnia piątego miesiąca według księżycowego kalendarza utopił się w falach rzeki Milo w Huuan.

II

Życie Czu Juan ułożyło się tragicznie. Jako polityk poniósł porażkę, jako

poeta osiągnął szczyty powodzenia. Naród kochał go i rozumiał. Nie tylko mieszkańcy Czu, ale ludność całych Chin przez przeszło dwa tysiące lat uważała go za swojego poetę. Co roku, piątego dnia piątego miesiąca według księżycowego kalendarza, w dniu, który uchodził za dzień jego śmierci, w całych Chinach odbywały się ku jego pamięci wyścigi na łódkach w kształcie smoków. Ta uroczystość miała symbolizować znalezienie ciała Czu Juana przez mieszkańców Czu. Tego dnia Chińczycy jedzą specjalną odmianę gołąbków z gotowanego ryżu zawijanego w liście. Stosownie do tradycji część tej potrawy rzucano do rzeki, dla smoków i węży, aby nie pożerały ciała Czu Juana. Tradycja ta rozszerzyła się na Koreę, objęła Japonię, Vietnam i Malaje.

Czu Juan dlatego budził powszechną miłość, że sam głęboko kochał swój kraj i swój lud. Mimo że sam szlachetnego urodzenia rozumiał sprawy zwykłych ludzi. Przeszło dwa tysiące lat temu pisał:

Gorzko wzdycham i oczy me zachodzą łzami,
Gdy widzę, jak lud dźwiga brzemię krzywd i strachu.
(L a m e n t)

A gdzie indziej:

Cierpieniem ludu mego serce mi się ściska,
Gdy kraj swój mam porzucić sił mi nie dostaje.
(M e d y t a c j e)

Lud potrafi ocenić tych, którzy współczują jego niedoli. Poezje Czu Juana tchną wielką szczerością. Całym swym życiem dowiódł prawdy tego, co głosił. Usunięty od dworu przez dwadzieścia lat przebywał w odosobnieniu, nie opuścił jednak nigdy prawie swego rodzinnego kraju. Jego miłość do kraju i narodu była tak wielka, że wolał raczej pogodzić się z niełaską i w końcu odebrać sobie życie, niż opuścić państwo Czu. Nic dziwnego, że człowiek o takim charakterze musiał zjednać sobie głęboką miłość swego ludu.

Namiętne przywiązanie do narodu uwidocznia się również w formie jego poezji. Czu Juanowi przypisuje się dwadzieścia pięć poematów; większość z nich można uważać za autentyczne. Część ich stanowią ody dedykowane bóstwom. Pisane były w okresie pierwszej młodości, kiedy wszystko układało się dla niego pomyślnie. Są świeże, pełne życia, melodyjne i czarujące jak delikatne tchnienie wiosny. Większość poematów jednak to wyraz oburzenia, patosu, namiętności i troski; są jakby zapowiedzią burzy, niekiedy samą burzą. rza.

Formę poematów Czu Juan czerpie głównie z poezji ludowej; ich język to język prostych ludzi. Był on pierwszym, który dokonał tego przełomu w starej poezji chińskiej. Odtąd literatura chińska w ciągu dwóch tysięcy lat pozostaje pod jego wpływami. Chociaż żył dwa tysiące lat temu i język jego różni się znacznie od dzisiejszego, zarówno w przekładzie na współczesny język chiński jak i języki obce, strofy jego nie utraciły zdolności wzruszania czytelnika.

III

W całej literaturze chińskiej nie ma nikogo, kto by dorównał wyobraźni poetyckiej Czu Juana. Począwszy od L i S a o (L a m e n t) największego z jego poematów widzimy, że dla poety wszystko w przyrodzie posiada życie i kształtuje się na podobieństwo spraw ludzkich. Wiatr, deszcz, grzmot i błyskawica, chmury i księżyc stają się jego pomocnikami i kierowcami. Feniks i smok ciągną jego rydwan. Pędzi pod niebiosa i osiąga bramy niebios, potem wspina się na sklepienie świata i wędruje do

najdalszych części kuli ziemskej. Nigdzie jednak nie zaznaje spokoju i w końcu odbiera sobie życie.

Jakkolwiek lubił puścić wodze swej wyobraźni zaklinając niebo, piekło i różne żywioły, nigdy nie korzy się przed nimi. Zarówno niebo jak i piekło uważa za miejsca, których duch zamieszkiwać nie może. W poemacie Requiem, napomina duszę, aby nie szła ani do nieba, ani do piekła, ani na północ, ani na południe, wschód czy zachód, ponieważ nic dobrego znaleźć tam nie można. Najlepszym miejscem jest miejsce rodzinne. W Li Sao (Lament) opowiada, jak dotarł do bram raju i prosił odźwiernego o ich otwarcie, ale odźwierny oparty o drzwi tylko mu się przyglądał — prawdopodobnie nie miał ochoty go wpuścić. Poeta wzdycha i mówi: „Nawet w niebie nie ma dobrych ludzi".

Najbardziej niezwykły jest obszerny poemat nazwany Tien Wen (Zagadki). Są tam pytania odnośnie tego co istniało przed powstaniem wszechświata, stworzeniem ciał niebieskich i budową ziemi. Zawiera on również mity, legendy i wydarzenia historyczne. Poeta porusza w tym poemacie ponad sto sześćdziesiąt zagadnień nie dając na nie odpowiedzi. Zagadki te dają nam pewne wyobrażenie o wierzeniach starodawnych Chin, wiele z nich jednak jest już dzisiaj niezrozumiałych, gdyż niewielka część starych legend dochowała się do dzisiejszych czasów.

Najbardziej, moim zdaniem, godne uwagi są pytania dotyczące budowy ciał niebieskich. Kto zbudował niebo? Gdzie się ono kończy? Co podtrzymuje sklepienie niebieskie? Skąd się bierze podział na dwanaście znaków Zodiaku? W jaki sposób słońce, księżyc i gwiazdy trzymają się na swoich miejscach i nie spadają? Ile mil przemierza słońce w swej dziennej wędrówce? Co wpływa na zmiany i znikanie księżyca? Gdzie ukrywa się słońce przed wschodem? Oto pytania, jakie zadaje Czu Juan; jak widać pytania bardzo racjonalistyczne. Świadczą one o zainteresowaniu poety życiem przyrody i o bogactwie jego wyobraźni.

Nauka chińska za czasów Czu Juana istotnie osiągnęła wysoki poziom. W astronomii, sztuce obliczania czasu (kalendarza) i matematyce poczyniono wielkie postępy; równocześnie z nimi rozwinęła się logika. Pochodzący z południa filozof Huang Liao, który żył na krótko przed Czu Juanem zapytał raz uczonego z północy, znanego logika, Huei Szi, dlaczego ciała niebieskie nie spadają i co powoduje wiatr i deszcz, grzmot i błyskawicę. Huei Szi dał mu odpowiedź na te pytania. Jest to dowodem, że wszyscy intelektualiści tego czasu interesowali się zagadnieniami dotyczącymi budowy wszechświata.

Czu Juan żył w Złotym Wieku chińskiej kultury. Talent i pozycja, jaką zajmował, pozwoliły mu przyswajać bieżące zagadnienia i rozwijać je w rozmaitych kierunkach. Był on jednak przede wszystkim poetą.

Szczerość przeżycia, bogactwo wyobraźni i czystość wyrazu połączone ze zdolnością obserwacji i wrażliwością liryczną oraz różnorodnością form weryfikacyjnych czynią z niego jednego z najwybitniejszych twórców w dziedzinie poezji lirycznej.

Poeta, który tak jak on kocha swój kraj rodzinny i swój lud, wolność i sprawiedliwość, nigdy nie umiera.

Kuo Mo-żo

ELEGIA NA OPUSZCZENIE STOLICY

Nieba nadzieje nasze jeszcze raz zawiodły,
Razem z deszczem zesłały na nas plagi, klęski.
Rodziny rozproszone, giną ukochani.
Jak wschód o wczesnej wiośnie tak my uciekamy.

Na wschód! to dziś jedyna nasza strona świata.
W wędrówce tylko rzeka jest nam przewodnikiem.
Z rozpaczą w sercu miasto opuszczam rodzinne,
I muszę się na zawsze rozstać z moim domem.

Zostawiamy za sobą to królewskie miasto,
Nie wiemy nawet, w którą prąd nas niesie stronę,
Złączone nasze wiosła rozcinają wodę;
Serce boli, że nigdy nie zobaczę króla.

Przez wyrąb leśny rzucam ostatnie spojrzenie,
A kiedy się oglądam, łzy jak strugi płyną.
Łódź moja na wschód zmierza, ja śnię o zachodzie,
Coraz dalej od kraju, który ukochałem.

Serce moje się ściska dręczone tęsknotą,
I nie wiem, dokąd płynę i gdzie złożę głowę.
Przez wiatr i pęd strumienia ślepo unoszony,
Miotany wirem prądu, przez świat opuszczony.

Wartki strumień łódź moją porywa i niesie,
Nie wiem, co jest przede mną, przyszłość we mgle tonie.
Ustawicznie me serce ból ściska i drąży,
Myśli me są splątane niby motek przędzy.

W dole rzeki żeglują nasze zwinne łodzie,
Jedna w stronę jeziora inna na wschód płynie,
Opuszczając domostwa wczoraj porzucone,
Celem naszej wędrówki są wschodnie rubieże.

Ale dusza ma ciągle rwie się do powrotu
I bezustannie tęsknię do mojego kraju.
Myśli me wciąż na zachód do domu wracają,
Stroskane, że odległość z każdą chwilą wzrasta.

By z dala kraj mój ujrzeć wspinam się na wzgórze,
Łudzę się, że me serce dozna przez to ulgi.
I tu jak w naszych stronach krajobraz jest miły,
Dolina ta się szczyci ludźmi poczciwymi.

Mieszkańcy wsi pytają, czemu uciekamy,
Do uszu ich nie doszły straszliwe nowiny.
Nasze królewskie miasto obrócono w gruzy,
A wschodnie wrota z ziemią zrównane zostały.

Serce moje żal targa i boleść rozdziera,
Posępne, ciężkie myśli ciągną w ich orszaku,
Daleko, poza nami pozostało miasto,
Skryte od naszych spojrzeń, pod odległym niebem.

Dwór opuściłem z łaski wyzuty i cześci,
Od lat dziewięciu nie mam prawa do powrotu.
Moich wszystkich niedoli nie wyrazi słowo,
Samotnik, jestem dzisiaj wszelkich trosk dziedzicem.

Zmówili się, by króla omotać intrygą,
Lecz fawory królewskie to jest rzecz nietrwała.
Gdy wierne moje służby złożyłem tronowi,
Odkryły się ich nędzne i zawistne sztuczki.

Choć cnoty dobrych królów pył dzisiaj pokrywa,
Pamięć dobrych uczynków do nieba się wzbija
Lecz nawet ich nie szczędzi oszczercza obmowa,
Powiada, że fałszywi byli i bezbożni.

Ni cnota ni zasługa nie zyska pochwały,
Lecz pochlebców nagroda na pewno nie minie.
Wolno im co dzień patrzyć na oblicze króla,
Kiedy dobrych ministrów precz się pędzi z dworu.

Refren

Skazany na wygnanie, wspominam i płaczę,
Czy kiedy progi moje rodzinne zobaczę?
Ptak wraca w swoje gniazdo, na dawne siedlisko,
Lis w stronę gór się zwraca, czując, że śmierć blisko.
Wypędzony bez winy, ciężar krzywdy czuję,
I tylko noc bezkresna gorzki dzień folguje.

ODA DO POMARAŃCZY

Bujnie wyrosło drzewo pomarańczy,
Pyszni się swoją kwitnącą urodą.
I chociaż żyje w południowym gaju,
Nie uniknęło jednak swego losu,
Mocne, głębokie puściło korzenie,
Aby wypełniać swoje obowiązki.

Liściem i kwieciem gałęzie okryte
Wzbudzają zachwyt, są rozkoszą oczu.
Kłujące kolce bronią tego drzewa,
By owoc rosnął i w swój czas dojrzewał,
Grona złociste i grona zielone
W koronie drzewa wdzięcznie pobłyskują,
Blask je okrywa promienny i czysty,
Tak czyste bywa serce filozofa.
Urok i przepych są tutaj jednością,
Piękność jest wszystkim a niczym przywara.

Serce gorące, nie znające folgi,
Wyróżnia ciebie z tłumu zwykłych ludzi,
I radość wzbiera we mnie, kiedy widzę,
Że twa uczciwość jest najwyższej próby.
Zrośnięty tak jak drzewo z ziemią przetrwasz,
Zachowasz zawsze niepodległość myśli.
Bez wahań idziesz raz obraną drogą,
O każdej sprawie masz swe własne zdanie.
Nad swoim sercem mocną dzierżysz władzę,
Nie znasz, co znaczy udręka, niepewność;
Nie kala myśli twej niskie pragnienie,
Do nieba wznosisz swe czoło otwarte.
Wiek nie postawi między nami tamy,
Zawsze przyjaźni twej wierny zostanę.
Chociaż tak młody wyglądem i wiekiem,
Tyś dla mnie wzorem, jak zostać człowiekiem.

W prawości zawsze przestrzegaj umiaru,
Surowość swoją naucz łagodności,
Po Ji* nie darmo za twoim przykładem,
Ukochał cnotę ponad wszystko w świecie.

DO TYCH KTÓRZY ZGINĘLI ZA OJCZYZNĘ

Piersi nasze okrywa pancerz z nosorożca;
Rydwan trzeszczy w spojeniach, błyskają sztylety;
Flagi bojowe słońce zakryły jak chmury;
Pod gradem strzał żołnierze dzielnie idą naprzód.
Zmieszane nasze szyki, kruszą się szeregi;
Jeden mój koń rażony, jego druch rozdarty;
Osie w piach zapadają, ponoszą rumaki;
W górę wznosząc biczysko, co sił w bęben walę;

* Po Ji był mędrcem za czasów dynastii Czang. Nie chcąc żyć pod panowaniem króla z dynastii Czu, która podbiła Czangów, poszedł w góry Czu Jang i tam zagłodził się na śmierć.

Jakby się na nas nieba zawzięły i bogi!
Giniemy bez ratunku, krwią spływa równina.
Kto raz poszedł do boju z walki już nie wraca,
Jakby przez tę równinę wiodła droga śmierci.
Szable nasze są długie, ostre i uparte;
Choć skronie krwią splamione lecz serca są twarde.

Do ostatka niezłomni byli i waleczni;
Nieugięci w potrzebie, nie znający trwogi;
Choć ciała ich bez życia, duch ich niepodległy.
Będą w krainie cieni władać jak królowie.

Przełożyła z wersji angielskiej **Anna Bartling**

SAMUEL SANDLER

Z praktyki pierwszego marksistowskiego krytyka literackiego w Polsce*)

Zacznijmy od pozornej sprzeczności w poglądach naszego krytyka. Prawie współcześnie z artykułem o Konopnickiej Białobłocki pisał w szkicach Współczesna beletrystyka rosyjska, że głównym zadaniem i zasługą pisarza jest „wierne przedstawienie pewnych stron bytu". Tak samo twierdził wkrótce po ogłoszeniu artykułu o Konopnickiej — w recenzji Firduziego. A w analizie utworów drugiej serii poezji Konopnickiej napotkamy opinię, że „obecnie pierwszorzędną rzeczą w ocenianiu utworów poetycznych wydaje nam się kwestia wykształcenia i filozoficznych poglądów poety" [40]. Sprzeczność? Tak może się wydawać, jeśli nie docenimy faktu, że czegoś innego oczekiwał krytyk od wielkiej poetki, która ze względu na swą więź uczuciową z cierpiącymi masami ludowymi była mu wyjątkowo bliska, a czegoś zupełnie innego mógł domagać się od szlacheckiego konserwatysty. Od tego żądał, aby nie fałszował rzeczywistości w imię reakcyjnych tendencji, od Konopnickiej — aby prawdę obserwacji społecznej bogaciła prawdą wniosków wynikających z rzeczywistości, wiedzę o bycie mas ludowych — konsekwencjami rewolucyjnymi. Postulował wobec niej uzupełnienie „wiernego przedstawienia pewnych stron bytu", które w jej twórczości dostrzegał, wiernym wskazaniem dróg rozwiązań. Pragnął, aby pisarka, najbliższa w tej epoce masom ludowym w ich nędzy i cierpieniach, stała się im bliska i w walce, jaką w ich interesie podejmował rewolucyjny ruch robotniczy. W jego przekonaniu pierwsze było przesłanką drugiego. W pierwszym widział możliwość, ale tylko możliwość, drugiego. Historia nie potwierdziła oczekiwań Białobłockiego, ale nim dostrzeżemy w jego „walce o Konopnicką" tylko niespełnione nadzieje, warto sobie uprzytomnić głęboką więź łączącą twórczość poetki z ludem i to wreszcie, że ostatecznie w kręgu rewolucji roku 1905, która była surowym probierzem dla wszystkich pisarzy polskich, jedna Konopnicka kazała gromadzie z Pana Balcera towarzyszyć solidarnie rewolucyjnemu pochodowi węglarzy kroczącemu „prosto na Wielkiej Giełdy... marmury" [41]. Kapitał zaufania, którym Białobłocki darzył Konopnicką — o to tu bowiem tylko chodzi — nie był nie opartym na niczym złudzeniem. Świadomość tego pozwoli nam głębiej dojrzeć sens walki, jaką toczył w szkicu poświęconym jej poezji.

Tak więc na pozór nieoczekiwanie krytyk, mając przed sobą utwory z realistyczną dociekliwością, z głębokim humanizmem obrazujące los szerokich mas biedoty chłopskiej, jako pierwszorzędną sprawę — jak sam oświadcza — traktuje „kwestię wykształcenia i filozoficznych poglądów poety". Aby przyznać rację jego intencjom, trzeba pamiętać, że pisarka nie tylko ograniczała się do kreślenia „obrazów niedoli", ale także sugerowała własne rozwiązania. W tym punkcie drogi ideowe krytyka i poetki zdecydowanie się rozchodziły. Białobłocki nieprzejednanie tropi fałsze ideowe i światopoglądowe zawar-

*) Patrz Twórczość nr poprzedni.

te w poezji Konopnickiej. Wskazuje na jej uwikłania w religianckiej problematyce, na poszukiwanie Boga, na dociekania nad jego istotą. „Lecz jakkolwiek tam było — podrwiwa krytyk cytując wyrazy „rozterki" poetki — »zawsze wkoło mnie, we mnie, pode mną. Nade mną — ty pełen blasków i cienia«" [42].

Tego rodzaju uwikłania w przekonaniu Białobłockiego niewątpliwie paczą wymowę tchnących nawet najbardziej porywającą siłą artystycznych dokumentów krzywdy społecznej. Z surowym zarzutem stwierdza krytyk: „Poetka się nie skarży, że pokrzywdzeni na próżno wołają o pomoc Boga, że nie w nim znajdują ukojenie, lecz w mogile, tylko jej »smutno... żeś ty, wielki Boże, całej tej nędzy jest — panem!« Nie mogąc uwielbiać harmonii i doskonałości dzieła Stwórcy, gdyż jej sumienie co innego podszeptuje — czuje, że »grzeszy« przed Bogiem..." [43]. Białobłocki, podkreślając szlachetność sumienia pisarki, zadaje pytanie, jakie „uczucia, myśli i żądze rodzą się u poetki pod wpływem powyższych i innych w poezjach znajdujących się obrazów?" Bo siłę, wartość tych obrazów w pełni docenia. Pytanie jest następstwem wywodów wykazujących, jak głębokie wartości realistyczne i humanistyczne Konopnicka wnosi do poezji polskiej. Białobłocki wnikliwie szuka odpowiedzi na postawione zagadnienie, ono wydaje mu się najbardziej podstawowe. Dokładnie analizuje rozbieżne przekonania poetki, dostrzega „bolesną rozterkę serca i głowy" [44], z gorącą sympatią mówi o jej cierpieniach moralnych, o pokazywaniu przez nią „mnogości cierpiących, swoje ku nim współczucie" [45], ale z nieukrywanym niepokojem mówi o nietwórczym charakterze sugestii, które Konopnicka wysnuwa ze swoich obserwacji. Wskazuje, że „mahometańska wiara" [46] w drogi opatrzności wiodące ludzkość ku szczęściu jest szkodliwą samoułudą. Ale — wyznaje — „nawet przez okulary tej wiary obrazy nędzy nie tracą nic w szlachetnych oczach autorki ze swych okropnych barw, z jednakową siłą przygniatają serce i myśli" [47].

Białobłocki przeciwstawia w poezjach pisarki akcenty mądrego protestu społecznego, akcenty buntu, biorącym nad nimi górę akcentom religianckiej kapitulacji. „W Sclavus saltans — zwraca uwagę krytyk — poetka „mimochodem wypowiada myśl, że ten, który sam nie przedsięweźmie środków własnej obrony, kto »skacząc zapomniał, że łańcuch go więzi — niewolnikiem był, jest i — będzie!«" U Konopnickiej utwór ten jest wyrazem głębokich akcentów narodowo-wyzwoleńczych zawartych w jej twórczości. Białobłocki motyw ten rozszerza; walka narodowo-wyzwoleńcza była dla niego ściśle spleciona z całością walki o wyzwolenie mas ludowych. Taka była logika ideologii i praktyki rzeczywistych rewolucjonistów polskich okresu „Proletariatu", chociaż nie zawsze uświadamiali to sobie w pełni.

Ale akcenty protestu, buntu, walki są w twórczości Konopnickiej zduszone przez głoszone przez nią złudne przekonania religijne i społeczne.

Białobłocki nieprzejednanie je demaskuje. „Więc poetka — pisze — nie zna najwyższej istoty rządzącej światem, lecz zmusiła siebie do wiary w nią, nie zna jej planów co do przyszłości ludzkiej, lecz wmówiła w siebie, że te muszą dążyć do szczęścia powszechnego, chociażby przez morze krwi, łez, krzywd i rozpaczy" [48]. Równocześnie pisarka potępia „ducha nienawiści", zamiast którego wolałaby, aby na ludzkość spadły najgorsze klęski. Te szczere — jak powiada Białobłocki — chęci pisarki poprawienia natury ludzkiej są zupełnie błędne. Trzeba do tego dążyć przez

„zmiany warunków bytu". Nawoływanie do skruchy i poprawy nigdy jeszcze świata nie poprawiło. To są pozaziemskie „tęsknoty": szukać rozwiązań dla dręczących problemów społecznych trzeba w „zgiełku walk ziemskich"! Zamiast zdawać się na „niedoścignione wyroki boskie", trzeba poświęcić się „walkom tej ziemi", przejąć się ich namiętnościami" i ani na chwilę „w walce tej nie odrywać od niej swej duszy i serca" [49]. „Pokrzywdzeni" — jak nazywa Konopnicka masy ludowe — mają pełne prawo do szczęścia, „zawsze... powinni pragnąć i dążyć" do niego, a „obowiązkiem inteligencji altruistycznie usposobionej jest uświadomić, oświecić nauką ich dążenia" [50]. Konopnicka jest w przekonaniu krytyka utalentowanym malarzem „doli i niedoli" społecznej mas, poglądy na świat i życie, jakie objawia ona, nie sprzyjają temu, aby była ich reprezentantką w literaturze, nie „wskazują słabym na ich siłę w liczbie", jej poglądy nie „usamowiednią ich w poczuciu swojej godności", jej poezja nie ukazuje masom obrazu szczęścia i rzeczywistej doń drogi. A tego żądał w przypadku Konopnickiej pierwszy marksistowski krytyk literacki od „poetów-obywateli" [51].

Choć więc Białobłocki w zakończeniu szkicu napisze o Poezjach — serii drugiej, że „za obdarzenie nimi polskiej literatury należą się pani Konopnickiej szczere dzięki", choć twierdzić będzie, że pod względem opanowania słowa poetyckiego poetka „stoi na równi ze wszystkimi obecnymi u nas potentatami języka i stylu" nie powstrzyma się jednak od na pozór zuchwałego sądu: powie o niej po prostu, że „chociaż jest bodaj że największym talentem z obecnych naszych poetów, jednakże nie stoi na wyżynach twórczości" [52].

Z zastrzeżeniem tym sąsiaduje zarzut pustej retoryki i rymowanych definicji. Błąka się opinia o „zewnętrznej szacie rozbieranych poezji", ale równocześnie krytyk wskazuje, co jest dla niego najcenniejsze w twórczości poetki, właśnie Obrazki, właśnie cykle „ludowe". To świadczy, że przekonanie, iż autorka „nie stoi na wyżynach twórczości", nie jest bynajmniej oparte na zastrzeżeniach „formalnych". Sens przekonania zawarty jest w ideowych zarzutach, jakie Białobłocki kierował przeciwko wielkiej pisarce. Krytyka ta jest pięknym wyrazem walki pierwszego naszego marksistowskiego krytyka literackiego o poezję walki rewolucyjnej, o poezję jej służącą, żywiącą się jej namiętnościami. Taką stawiał „na wyżynach twórczości".

III

Gdy Białobłocki u schyłku roku 1883 przystępował, jak się wówczas mawiało, do rozbioru Firdúziego Juliana Łętowskiego, „tego nowego utworu muzy polskiej", który tak zjadliwie nazwał płodem „niedobranego stadła słabego artyzmu z niekrytycznym umysłem", celem uderzenia nie był bynajmniej słaby, bez istotnego znaczenia dramat. Intencje były szersze, i ich źródła ukazane są w recenzji z dostateczną jasnością. Intencje te wyrastały bezpośrednio z aktualnej sytuacji ruchu rewolucyjnego w Królestwie Kongresowym. W drugiej połowie roku 1883 rozpoczęły się masowe aresztowania „Proletariatczyków". Zaczynało być o nich głośno. Prasa wszelkiej barwy, konserwatywna i liberalno-burżuazyjna, ujadała na ruch socjalistyczny. Aresztowania przyjmowała ona z nieukrywaną satysfakcją. „Pięć miesięcy — pisano w piątym i ostatnim numerze Proletariatu — upłynęło od

wyjścia ostatniego numeru naszego pisma. Wrogowie uspakajać się zaczęli; pocieszają się już myślą, że »socjalistyczna zawierucha, ten tuman duszącego kurzu uniesiony wichrem poleciał daleko«, tj. że policja wyłowiła już wszystkich socjalistów“ [53]. Na to ujadanie wrogów w swoisty sposób odpowiada recenzja Białobłockiego o Firduzim, a zwłaszcza szkic Zniżenie ideału, ogłoszony w trzy miesiące później. Utwór Łętowskiego dostarczał krytykowi dogodnej płaszczyzny polemiki z przeciwnikami ruchu socjalistycznego i Białobłocki podejmuje ją. W drugim z cytowanych artykułów dyskusja ta przybierze już niemal zupełnie otwartą postać.

„Obraz dramatyczny“ Łętowskiego pod odległą historycznie i egzotyczną alegorią stanowi wyraźny atak na wszystkie postępowe idee współczesne — z pozycji szlacheckiego konserwatyzmu i nacjonalizmu. W przedmowie do Firduziego autor wyznaje, że niezbyt krępował się prawdą historyczną. Chodziło o sprawy zupełnie współczesne. „...autorowi — pisał zależało jedynie prawie na tendencji, dla której uwydatnienia dobrany został i sam przedmiot, i całe otoczenie znakomitego perskiego pieśniarza“ [54] Firduziego. Alegoryczność utworu dawała krytykowi dużą swobodę polemiki, odwołującej się do aluzji zawartych w utworze. Białobłocki rozszyfrowuje dogodnie (nie wszystko dopowiadając) rzeczywiste tendencje utworu: „Oto, według autora, przyczyna pojawienia się nowych tendencji i prądów literackich. Gdy wszyscy czczą i wielbią prawdziwe zasługi, które się wzniosły nad poziom talentem, rozumem i miłością bliźniego, wtem powstaje zgraja zuchwalców, która nie widząc warunków do zwrócenia na siebie uwagi w wyśpiewaniu już utartych prawd, bo one znalazły sobie doskonałych wyrazicieli, przemyśliwa i znajduje jakieś nowe teorie dla zwrócenia na siebie uwagi. Sława jest jedynym celem ich życia, więc nie mając wpojonych w siebie gruntownych zasad religii, moralności i obowiązku, chwytają się najekscentryczniejszych, a częstokroć i najzgubniejszych zasad — nowinek. Lecz sława ich krótkotrwała i gruntu nie ma pod sobą, lud się opamięta i wróci do prawych ołtarzy. Oto jest tendencja Firduziego — jak ją zrozumiałem“ [55].

Zrozumiał ją istotnie bardzo dokładnie. Nie można jednak traktować utworu jako wymierzonego wyłącznie w ruch socjalistyczny. Jak się rzekło, szlachecki obskurant nie tylko atakował ideologię socjalistyczną, o czym za chwilę, ale atakował także burżuazyjny liberalizm, mieszczańskie programy „organicznikowskie“, laickość wiedzy, ateizm itp. Białobłocki podejmując krytykę nie dyskutuje też nad wszystkimi zarzutami, jakie konserwatysta kieruje przeciwko „postępowi“ w swoim rozumieniu. Broni własnych tylko ideałów zaatakowanych przez zajadłego reakcjonistę.

Nim do tego przejdziemy — jedna jeszcze uwaga. Zwracając uwagę na polityczną treść recenzji o Firduzim, nie należy mniemać, że recenzja ta jest zakonspirowanym artykułem politycznym, co bynajmniej zresztą w danych okolicznościach nie przyniosłoby ujmy naszemu pierwszemu marksistowskiemu krytykowi literackiemu. Recenzja zawiera jedną z najlepszych w dorobku Białobłockiego analiz ideowo-artystycznych utworu. Była o tym obszernie mowa w rozdziale o poglądach estetycznych Białobłockiego. Tu chodzi mi o to, że właśnie w obrębie tego artykułu krytycznoliterackiego korzysta on z rozległej możliwości podjęcia walki politycznej w obronie spraw, które wysunęła na czoło najbardziej

aktualna sytuacja rewolucyjnego ruchu. to jest niewątpliwie najistotniejszą sprawą w recenzji mało wartościowego utworu mało intersującego pisarza. Białobłocki podejmuje zdecydowaną obronę tego, co dogodnie nazywa metaforycznie „nowymi prądami i tendencjami literackimi". I dla krytyka, i dla pisarza nie literackie prądy i tendencje były istotne... Obaj mieli na myśli nowe prądy i tendencje społeczne, polityczne. Jasne to jest zarówno w tekście Firduziego jak i w recenzji. Łetowski stoi na stanowisku nacjonalizmu; jego *porte-parole* w utworze — tytułowy bohater odpowiada na ogłoszone hasła „powszechnego ludów braterstwa": „...znikome hasła i nie dla Persji (czytaj — Polski. przyp. S. S.)... Bo jeśli ma on żyć, musi coś własnego mieć do kochania i do nienawiści..." [56] Białobłocki przyjmuje na się częściowo rolę przeciwnika Firduziego z dramatu, tylko częściowo może się zgodzić na obronę wypaczanych przez konserwatystę ideałów „młodego pokolenia". Ale mając do wyboru między postawą reakcyjną i skrzywioną przez pisarza ideologią postępową, wybiera naturalnie tę ostatnią. W trochę analogicznej sytuacji był Pisariew, gdy miał do wyboru między „ojcami" i „dziećmi"; wziął stronę Bazarowa ze wszystkimi jego wypaczeniami. Przypominam ten precedens, bo był on doskonale znany Białobłockiemu. Pisał o nim w szkicu o Turgieniewie.

Krytyk odwołuje się w recenzji o Firduzim do potępionego „młodego pokolenia", którego przedstawicielowi włożył autor w usta następujące słowa: „my dzisiaj głosimy powszechną miłość ludów i braterstwo całego świata ...Nie ma dla nas wrogów — są tylko ludzie z równymi do życia prawami... Oto hasła naszej pieśni... Przyjdą wieki nowe, dla których jedną ojczyznę świat cały będzie stanowił" [57]. Łętowski oczywiście bierze stronę „starych"; „młodych" skazuje na klęskę lub „nawrócenie". Białobłocki przeciwnie, broni racji „wszechludów braterstwa", dowodzi, że rozwój historyczny toruje doń drogę. Masy ludowe w swej walce wzorują się już na przykładach walki w innych krajach, „powstała myśl, czy nie lepiej byłoby zamiast tylko brania przykładu łączyć się we wzajemnych usiłowaniach i działać razem, wspólnymi siłami" [58].

Tak i na terenie krytyki literackiej okresu działalności „Proletariatu" ścierały się w sposób otwarty i ukryty, aluzyjnie i „pełnym głosem" ideologie szowinizmu i internacjonalizmu, szlacheckich tęsknot „niepodległościowych", uzupełnionych koniecznie czymś „do nienawiści"—z ludowym, proletariackim patriotyzmem. Bo na pseudopatriotyzm reakcjonisty Białobłocki nie odpowiadał nihilistycznym gestem. Wskazywał, że masy ludowe mają własne pojmowanie miłości ojczyzny. Uczynił to bardzo zręcznie, dając przy tym świadectwo wysokiej kultury literackiej. Akcja Firduziego toczy się w „alegorycznej" Persji, Białobłocki sięga zatem do utworu, gdzie echa walki narodowo-wyzwoleńczej narodu irlandzkiego także zostały przeniesione na egzotyczny grunt Persji. Jako przeciwstawienie Firduziego wskazuje na poemat Czcicielе ognia bardzo w okresie romantyzmu popularnego pisarza angielskiego — Irlandczyka z pochodzenia, Tomasza Moore'a. Poemat ten stanowi alegoryczny obraz walki o niepodległość narodu irlandzkiego, z którym Moore w młodości sympatyzował. „Kto chce poetyzować — pisze Białobłocki — uczucia patriotyzmu — oto wzór, niech przedstawi chwilę dziejową podobną do tej, jaką przedstawił Moore, a zrozumiemy, odczujemy i będziemy współczuli" [59].

„Któż z nas nie powta-

rza — pyta — i nie przyjmuje za swoje jęków boleści i rozpaczy, kto się nie wzoruje na bohaterach ludu walczącego na życie i śmierć?“ [60] Pytanie nie jest skierowane do „Łętowskich“, a nawet do lepszych od niego. Pytanie to postawione jest w chwili, gdy na przywódców „Proletariatu“ kładzie się ciężka łapa żandarmskiej przemocy zaborczej, gdy staje przed nimi widmo Szlisselburgu, katorg i szubienic. Przeciwko zohydzaniu ich walki i ideałów podnosi się głos pierwszego naszego marksistowskiego krytyka literackiego, który otwarcie już przemówił w ich obronie w Zniżeniu ideału — najwybitniejszym szkicu w całym jego dorobku.

Doniosłość tego szkicu jest bardzo wielostronna. Jest on jednym z najistotniejszych w walce politycznej, jaką toczył Białobłocki na terenie krytyki literackiej, jest również nader cennym dokumentem stanowiska pierwszego naszego marksistowskiego krytyka literackiego wobec współczesnych zjawisk literackich, jego stosunku do dziedzictwa literackiego przeszłości.

Zniżeniem ideałów społecznych i moralnych nazwał on aktualne dla siebie zjawiska literackie, jakie obserwował w literaturze polskiej. Posiada dla nich własną skalę wartościowania, która opiera się zarówno na doświadczeniach i tragicznych przejściach działalności rewolucyjnej „Proletariatu“, jak na usytuowaniu tych zjawisk literatury wobec dziedzictwa przeszłości. Skala wartościowania ideowych tendencji literatury wyrasta u niego z doświadczeń rewolucjonisty i z doświadczeń praktycznej działalności krytycznoliterackiej. Na tym gruncie stwarza normy, formułuje postulaty.

Czy formuła „zniżenia ideału“ w literaturze jest słuszna? Czy słuszne są jej przesłanki?

Oto pierwsze pytania, które się narzucają, skoro uprzytomnimy sobie, że lata, do których Białobłocki odnosi swoją ocenę, uważamy, i słusznie, za okres szczytowych osiągnięć literatury popowstaniowej, skoro uważamy, że rozczarowanie pisarzy-ideologów pozytywizmu, wystąpienie proletariackiego ruchu rewolucyjnego, w którym uczestniczy Białobłocki, rodzi w okresie do wystąpienia Żeromskiego najwyższe osiągnięcia realistyczne tych pisarzy.

Odpowiedź otrzymamy po szczegółowszym zanalizowaniu szkicu.

Dwa są punkty wyjścia rozważań Białobłockiego. Oba musimy wziąć pod uwagę. Najpierw wychodzi krytyk od analizy panujących mieszczańskich ideałów, których literatura jest — jak powiada — wyrazem. Pole zwierzęcej walki o byt, wszechwładzy interesu osobistego i egoistycznej pogoni za własnym szczęściem oraz dziedzina panowania „cnoty“, „altruizmu“, społeczeństwo i „kącik rodzinny“ — tak mieszczuch widzi swoje miejsce w życiu, takie pojmowanie pozycji moralnej określa mu społeczeństwo kapitalistyczne. Z jadowitą pogardą uderza Białobłocki w tę mitologię życia społeczeństwa burżuazyjnego stworzoną przez klasy panujące. „Z dala — pisze — od zgiełku światowego, od walk ciągłych areny, gdzie ludzie nie są wzajemnie siebie wspierającymi braćmi, lecz wrogami zaciętymi, li tylko nad tym myślącymi, jakby jeden drugiego zepchać z lepszego na podrzędniejsze stanowisko i samemu nad nim stanąć; z dala od wirów egoizmu, podstępu, fałszu, obłudy, często mordu i krwi — jest schronienie ciche, schludne, gdzie nas nie obryzga błoto występku, gdzie się ukoi serce nasze zbolałe od nieustannych obrazów nędzy i poniżenia ludzkiego widokiem szczęścia, miłości i oddania się wzajem.

Tam szczęście, chociaż ogranicza się ciaśniejszym kółkiem, ale za to my wcielimy się w to kółko jako organiczna jego całość, podzielimy najzupełniej jego dolę, a wtedy ono zasłoni przed nami bóle i łzy całego świata i szczupłość naszej ku ogółowi miłości wynagrodzi bezmiarem poświęcenia i troską o nasz spokój i nasze dobro. To koło — matka, ojciec, czuli małżonkowie z dziatkami swoimi, bracia i siostry — jednym słowem rodzina skromna, pracowita, oszczędna, mieszkająca w małym, lecz schludnym domku, wycackanym staraniami chędogiej gosposi, kochającej żony i troskliwej matki. Tyle szczęścia i spokoju, ile się go znajdzie w rodzinie, poza tym obrębem na próżno go szukać" [61]. Tak swoją dolę człowieczą pojmują „straszni mieszczanie". Te normy i wzory życia wytworzyło społeczeństwo burżuazyjne w swej fazie przedimperialistycznej, w okresie „spokojnego", „ewolucyjnego" rozwoju, wolnego od „burz" i katastrof. To normy „statecznego" życia mieszczańskiego bez upiększeń. Białobłocki atakuje nie tylko ciasnotę tych pojęć, ale wskazuje wyraźnie na ich nieludzki, niehumanistyczny charakter. Określenie tego modelu życia jest dla niego ważną przesłanką analizy tendencji literatury, dociekania, w jakim stopniu wyzwala się od tych „wzorów" ideowych i moralnych, lub w jakim stopniu do nich się zbliża, podlega ich działaniu.

Nakreślony z głęboką pasją demaskatorską ideał życia „strasznych mieszczan" zamyka sarkastyczną uwagą: „Czyje zaś serce boli na widok nędzy materialnej całych mas lub na widok nędzy moralnej, ten na równi z pijakiem karczemnym, awanturnikiem, obieżyświatem — szczęścia nigdzie nie znajdzie..." [62].

Powyższe panujące idee moralne i pojęcia narzucone są mniej lub bardziej skutecznie dla całego społeczeństwa. Jak je przyjmują pisarze?

Białobłocki jest daleki od generalizującego utożsamiania kołtuńskiej moralności z przekonaniami pisarzy, którzy chcą i mogą spojrzeć na społeczeństwo, jego losy i sytuację inaczej niż z pozycji „cichego schronienia". Nie patrzyli tak na życie swego narodu — stwierdza — „wulkaniczni romantycy" [63]. I choć tradycyjnie nazwie Białobłocki — W i e l k ą I m p r o w i z a c j ę „najwspanialszym wykwitem poezji polskiej w ogóle i poezji Mickiewicza w szczególności", choć Syrokomli nada konwencjonalny przydomek „skowronka nadniemeńskiego" [64], urobiony przez pozytywistyczną historiografię, wskaże jednak, że najwyższe ideały moralne reprezentowała rewolucyjna poezja romantyczna. Te ideały w warunkach, w jakich pisał Białobłocki, można było tylko nazwać ogólnie, nawet nieco banalnie. Krytyk tak je formułuje: „szczęście jednostki zależy przede wszystkim od szczęścia ogółu". W innym wariancie zasada ta brzmi znowu ogólnikowo, ale przecież przejrzyście: „Szczęście jednostki jest nierozerwalnie złączone ze szczęściem społeczności, a szczęście tejże jest nierozerwalnym ogniwem człowieczeństwa..." [65] O zasadzie tej powie Białobłocki, że „jest to ideał... epoki romantycznej", obecnie zaś głosi go w sposób naukowy i praktycznie osiągalny „młode pokolenie" [66]. Nazwa „młode pokolenie" nieraz pod czujnym okiem zaborczej cenzury była kryptonimem nowych kierunków ideowych, obozów politycznych. Tym razem posłużyła za mało niepokojące określenie rewolucyjnego ruchu robotniczego...

Białobłocki podejmuje obronę sformułowanego tu ideału społecznego, który w jego przekonaniu zaczyna uchodzić uwadze pisarzy współczesnych. Upatruje to w serii powieści antysocjalistycznych, które wyszły spod pióra wy-

bitnych pisarzy okresu: Orzeszkowej, Kraszewskiego, Bałuckiego. W i d m a, S y l w e k C m e n t a r n i k, S z a l o n a są dla niego znamiennym objawem zwrotu, jaki się dokonuje w literaturze polskiej. Ocena tego zwrotu wiąże się ściśle z poglądami Białobłockiego na aktualne tendencje rozwojowe społeczeństwa polskiego i na tradycje naszej literatury. Jeszcze do niedawna twierdzi Białobłocki — w literaturze „poziom naszych pojęć o szczęściu był na tej wysokości“ [67], na której jedność interesów narodowych i jednostkowych nie była ze sobą w sprzeczności. Reprezentowała ją wielka literatura romantyczna. Mieszczańskie pojęcia o szczęściu były przez nią odrzucane. Dowodzi tego twórczość przede wszystkim Mickiewicza. Nawet Krasiński „obrzuca pogardą ideał szczęścia mieszczańskiego“, Syrokomla w N i e w i n n e j d u s z y c z c e „rzucił może najpotężniejszy w naszej literaturze sarkazm na szczęście mieszczańskie“ [68]. Ideały te są w przekonaniu Białobłockiego obce wielkiej narodowej literaturze polskiej. Dominowały w niej przekonania, że „szczęście jednostki jest ściśle złączone z dolą ludzkości“ [69].

Broniąc postępowych tradycji społecznych literatury polskiej Białobłocki atakuje antysocjalistyczne wystąpienia literackie współczesnych mu pisarzy. „Czyż dzisiejsze starsze pokolenie literackie — zapytuje — miałoby się zrzec tych ideałów? Ono, któremu przodują tacy zapaśnicy dobra powszechnego, jak Kraszewski, Zachariasiewicz, Orzeszkowa, Jeż i inni“ [70]. Może w tym wyliczeniu zdziwić brak Prusa. Pamiętajmy jednak o polemice, w jaką uwikłana była grupa współtowarzyszy Białobłockiego wokół S z k i c u d o p r o g r a m u. Zdaje się, że ideolog przesłonił krytykowi Prusa-pisarza.

Białobłocki nadaje wymienionym pisarzom piękny przydomek „zapaśników dobra powszechnego“ wyraźnie wyciąga do nich rękę ze strony „młodego pokolenia“. Z uznaniem wskazuje na elementy krytyki społecznej, jakie zawarte są w ich twórczości. Orzeszkowa jest dlań „najwięcej utalentowaną“ powieściopisarką, Bałucki — „sympatyczny dla nas z wielu postępowych poglądów“, Kraszewski jest „w C h a c i e z a w s i ą dzielny i śmiały, w M o r i t u r i jeszcze jako tako“ [71]. O Orzeszkowej i Jeżu powie, że „honoru swego pokolenia bronią“ [72]. Lecz mimo wszystko literatura polska zniżyła, jego zdaniem, swoje ideały, dostraja się do ideału szczęścia mieszczańskiego. Białobłocki ściśle wiąże te zjawiska z sytuacją narodu polskiego po klęskach powstania styczniowego. Nie może tego oczywiście wypowiedzieć zupełnie otwarcie, ale aluzje są dostatecznie jasne. „Społeczeństwo nasze — pisze — wskutek rozumem pojętych warunków zawarło kompromis z rzeczywistością, obniżając poziom swych praktycznych wymagań... Orzeszkowa i Jeż godząc się z twardą rzeczywistością — jednakże ideał moralny starali się utrzymać na wysokości“ [73].

Gdzie indziej — w tymże artykule — Białobłocki wskazuje, że zniżenie moralne ideału „naszej inteligencji“ było „naturalnym wynikiem przejawów społecznych pociągających obniżenie poziomu naszych aspiracji życiowych. Ludzie pragnący wiele, mimo woli, jeżeli nie życie, to przynajmniej swoje przekonania moralne dostrajali do wysokości swych żądań; natomiast zwiedzeni, zapragnęli jako jedynego szczęścia, by ich w spokoju zostawiono. Do tegoż poziomu spadł ideał moralny. Puszczać najgłębiej korzenie w gniazdo ojców swoich, aby żaden wicher nie wyrwał ich stamtąd — oto marzenia już dwóch z rzędu naszych pokoleń“ [74].

Spróbujmy rozszyfrować te aluzje; zawarty jest w nich nowatorski pogląd

na zagadnienia rozwoju ideologii w Królestwie Kongresowym, w szczególności na narodziny i rozwój ideologii pozytywistycznej. Białobłocki pojmuje sprawę tak, że ideologia „pracy organicznej", „pracy od podstaw" była w swojej istocie programem burżuazyjnym (ta myśl przewija się przez cały szkic), ale równocześnie była rezultatem koniecznym po doświadczeniach bezowocnego powstania. Sugestia Białobłockiego brzmi: nie należało wyrzekać się walki narodowo-wyzwoleńczej (opinia o Orzeszkowej i Jeżu, którzy godząc się z twardą rzeczywistością pozostali wierni sprawie walki narodowo-wyzwoleńczej), lecz aktualnie nie było wówczas możliwości realnych jej powtórnego podjęcia. Protest Białobłockiego pojawia się wtedy, gdy owa „twarda rzeczywistość" zaczyna być idealizowana. „Najwięcej poziomym ze starszych naszych powieściopisarzy pod względem ideału szczęścia — twierdzi autor Zniżenia ideału — jest Zachariasiewicz". Wynalazł on „odpowiednią moralność", idealizującą aplikantów sądowych „marzących o społecznej działalności wtedy, gdy będą mieli z półtora tysiąca rubli pensji", idealizującą szlachtę jako swoistą przodowniczkę ludu.

Jest w tych aluzyjnych wypowiedziach Białobłockiego jeszcze jedna ważna sugestia, dotycząca oceny ideologii i literatury pozytywistycznej. W przekonaniu pierwszego krytyka marksistowskiego literatura tego okresu stanowi niewątpliwy regres w stosunku do „epoki romantycznej".

„A jednak — rozwija Białobłocki tę myśl — faktem jest, że pokolenie, które nas, obecnie wstępujących w szranki literackie, wykołysało, obniżyło ideał szczęścia". Nie trzeba chyba wyjaśniać, jaką treść przez cały ciąg szkicu autor podkłada pod pojęcie „ideału szczęścia". Z dotychczasowych wywodów wynika jasno, że w tym moralizującym pojęciu zawarł zagadnienia społeczne i polityczne, sprawę walki narodowo-wyzwoleńczej i walki o wyzwolenie uciskanych mas. Za kontynuatora idei „wulkanicznych romantyków" Białobłocki uważa rewolucyjny ruch proletariacki. Wie, że nie jest to prosta kontynuacja, idee te są „naukowo pojęte i w praktyce inaczej zastosowane" [76].

Ale wskazanie, że rewolucyjny ruch robotniczy nie odcina się od wielkiej tradycji idei dziedziczonych z przeszłości narodowej, że podejmuje je i rozwija, jest jedną z najcenniejszych sugestii, jakie dostarcza szkic Białobłockiego.

Dalszą niezwykle interesującą sugestią jest stwierdzenie, że literatura polska około roku 1880 uległa dalszemu regresowi, jeśli chodzi o głoszone przez nią przekonania ideowe. Od kilku lat — stwierdza — „starsze falangi naszych literatów widocznie powzięły specjalny zamiar obniżenia społecznego ideału". Faktami świadczącymi o tym są wspomniane już tu utwory Szalona, Widma, Sylwek Cmentarnik, Bańki mydlane itp. „Jednym słowem — komentuje ironicznie Białobłocki — powstał widocznie stały kierunek obiecujący i na przyszłość rodzić właściwe owoce. Oby on nie był ostatnim wyrazem pokolenia, na miejsce którego już obecnie występuje świeży zastęp sił literackich" [77].

Tu jedno wyjaśnienie: gdy dzisiejszy czytelnik sięga do wymienionych powyżej książek, uwaga jego nie skupia się na antyrewolucyjnych tendencjach w nich głoszonych, lecz na bogactwie obserwacji społecznej, realizmu, które jest w nich zawarte. Traci swoje znaczenie społeczne niewątpliwie wsteczna funkcja, jaką miały spełniać lub spełniały owe utwory. Pozostały natomiast żywe ich wartości realistyczne. W okresie nagonki policyjnej, dziennikarskiej i

literackiej przeciwko ruchowi rewolucyjnemu było wręcz odwrotnie. Dominujące było znaczenie społeczne tendencji antyrewolucyjnych tych powieści. Na nich też skupia swą uwagę pierwszy nasz krytyk marksistowski. „Sądzę — daje w tym zakresie Białobłocki wierzytelne świadectwo — że się nie mylę, iż specjalnie dla młodzieży przeznaczali autorowie powieści, o których wyżej była mowa“ [78]. Nie mylił się. Orzeszkowa w korespondencji do Kraszewskiego z roku 1880 wspominając o pisaniu W i d m wskazuje na takie właśnie intencje twórcze. Donosząc o rozpowszechnianiu się wśród najlepszych w młodym pokoleniu idei rewolucyjnych, których zresztą nie była w stanie pojąć, pisała: „Smutno, bo smutno, ale zdaniem moim do rozpaczy powodu nie ma, tylko ognisty bodziec ku oddziaływaniu, spieszeniu z pomocą, na jaką komu stać“ [79]. W czasach Białobłockiego działanie „ognistego bodźca“ dominowało w społecznym odbiorze powieści wymienianych przez krytyka. Dziś dla nas rola tego czynnika nie ma istotniejszego znaczenia. Pomijając go orientujemy się na rzeczywiste, realistyczne wartości tych utworów. Dlatego też między naszymi współczesnymi sądami a sądami Białobłockiego nie ma sprzeczności, jest tylko zasadnicza różnica, którą sprawiły dzieje. Krytyk miał najzupełniejszą rację, atakując te powieści. W jego czasach były dla ruchu rewolucyjnego szkodliwe. Ich krytyka jest cennym elementem działalności Białobłockiego. I można podziwiać nie tylko jego pasję obrony idei rewolucyjnych, ale także szlachetną wielkoduszność, z jaką polemizował z wybitnymi pisarzami okresu, zwłaszcza z Orzeszkową. W ich atakach na socjalizm upatrywał tylko głębokie zawikłania ideologiczne. Nie chciał ich traktować — ich, których nazywał „szlachetnymi zapaśnikami o dobro ogółu“, jako reprezentantów ideowych mieszczańskich dorobkiewiczów i filistrów. Nie kładł znaku równości między klasami eksploatatorskimi, a twórcami kultury, gdy ci nawet podlegali naporowi ideowemu tych klas. Czynił gorzkie zarzuty Orzeszkowej, tym pełniejsze goryczy, że był bardzo świadomy klęsk i gwałtów, jakich doznawał w tym czasie polski ruch rewolucyjny. „Pani Orzeszkowa — pisał — dzierży wysoko poziom moralności społecznej, dlatego też koło niej kupi się młode pokolenie. Lecz nie ono rozczytywało się w znanym jej romansie W i d m a, tylko szlagoneria, która z prawdziwą rozkoszą dotychczas wytyka przy każdej sposobności młodzieży: «patrzcie, co o was mówi wasza przewodniczka»“ [80].

Przewodniczką „młodego pokolenia“, tak jak je pojmował Białobłocki, Orzeszkowa nigdy nie była. Ale w tragicznym dla „Proletariatu“ okresie i tego argumentu użył krytyk w apelu o zaniechanie zohydzania idei socjalizmu i jej bojowników. Bo apelem jest w gruncie rzeczy szkic Z n i ż e n i e i d e a ł u. Potrafił Białobłocki uszanować nawet fałszywie pojętą służbę społeczną, która rodziła owe utwory, nie oszczędza jednak złudzeń. Nie odżegnywuje się od dyskusji, żąda tylko, aby pisarze umieli uszanować „proporce młodego pokolenia“, na których wypisane są hasła walki o „szczęście ogółu“ [81]. Już to samo powinno pisarzy tych czynić w przekonaniu Białobłockiego bliższymi „młodym“, niż reprezentantom ideałów „szczęścia wyodrębnionego, zastałego, zakopanego“ [82], ideałów sobkostwa mieszczańskiego“. Te powieści więc — pisze — z ich ideałami najpierw nie doprowadzą wcale do porozumienia między dwoma pokoleniami literackimi — a oprócz tego mają jeszcze stronę bardzo szkodliwą, którą zapewnie przeoczyli ich autorowie. Mianowicie — przeszkadzają one porozumieniu się

młodego pokolenia z publicznością. Młodsze pokolenie, dla którego były przeznaczone, nie przyjmuje ich, lecz za to społeczeństwo przeciętne skwapliwie chwyta, bo już od dawna oczekiwało tak wyraźnego sformułowania swych cichych pragnień i energicznego potępienia niezgodnych z nimi przejawów. Należy być ostrożnym. Wiadomo, jak ważną rolę odgrywają społeczne pojęcia o dobrym i złym i pragnienie duchowe mas całych. Gdy nasza publiczność przesiąknie przekonaniem, że „szczęście jednostki nie jest ściśle złączone z dolą ludzkości", gdy to przekonanie sformułują dla niej i usprawiedliwią zdolne pióra (oby to nigdy nie miało było miejsca!), wtenczas, panowie, nie tylko od nas odwróci się ona, lecz i was nie zrozumie, bo i wy życiem waszym i dziełami stwierdziliście, że nie możecie być szczęśliwymi inaczej, jak tylko w harmonii ze szczęściem ogółu" [83].

Widoczne jest w tych apelach, że krytyk jest skłonny przyznawać pisarzom, których krytykuje, więcej nieraz, niż można było przyznawać stosując „dokładną" miarę. Apeluje do ich sumień humanistów — w imię humanistycznych wartości ideałów „młodego pokolenia" — mówiąc bez obsłonek cenzuralnych, które były dla niego konieczne — w imię humanistycznych wartości socjalizmu. Apeluje do ich sumień zatroskanych o los narodu w imię troski o naród, jaką przejawiał rewolucyjny ruch robotniczy. „Panowie ze starszego pokolenia — wołał — ideały nasze są bardzo pokrewne; być może, w najostatniejszej konsekwencji wspólne. Nie profanujmy więc ich, a wy w walce z nami nie stawiajcie poczciwego sobkostwa jako czegoś lepszego od naszego pozytywnego, ale nie poziomego przecie życia. Zupełnie są sprzeczne praktyczne środki, których chwytamy się wy i my w imię swych ideałów" [84]. Przyznaje Białobłocki pisarzom, że sprawa „dobra powszechnego" jest wspólną siłą ożywiającą ich twórczość i także działalność rewolucyjną ruchu socjalistycznego. Widzi możliwości ścierania się poglądów. Nie odmawia pisarzom prawa propagowania własnych „środków praktycznych", choć jest przekonany o ich bezskuteczności", nieraz przecież wskazywał, że nawoływanie „do skruchy i pokory", hasła solidaryzmu społecznego, które pisarze ci głoszą, są fałszywe, bezowocne. Nieraz wskazywał, że „ideały szczęścia", tak jak je sam pojmował, osiągnąć można tylko w „zgiełku walk" mas całych. Mimo to jednak, żąda od pisarzy walki światopoglądowej z socjalizmem i jego heroicznymi bojownikami — nie zohydzania ruchu. Po prostu mówiąc, Białobłocki widzi, że nieprzekraczalna jest przepaść, jaka dzieli ruch socjalistyczny od pisarzy, z którymi polemizuje — przecież burżuazyjnych, ale nawet w tych warunkach żywi nadzieję, że prawdziwie humanistyczny pisarz, nawet nie solidaryzując się z rewolucyjnym ruchem robotniczym, jest w stanie pojąć jego wielkość, wartości ogólnoludzkie. „Chociaż nie wiem — pisze — czy jest możebne pomiędzy nami porozumienie, w każdym razie zwracając się do nas, nie poniżajcie ideału szczęścia". Białobłocki wierzył w możliwość takiego „kompromisu". Bodajże mógł współcześnie wskazać, że jest on osiągalny w konkretnej praktyce pisarskiej. Jest przecież rzeczą znamienną, że w polemice z Orzeszkową wymienia jej Widma, Sylwka Cmentarnika, nawet Bańki mydlane, które nie ukazały się oddzielnie, lecz w książce pamiątkowej poświęconej Jeżowi, a nie wspomina Zygmunta Ławicza, i jego kole-

gów, który się był wówczas świeżo ukazał w Ateneum, dokąd krytyk, jak wiemy, sięgał.

Niewątpliwie znał Zygmunta Ławicza, nie posłużył mu on jednak jako argument przeciwko Orzeszkowej. Bo nie mógł posłużyć. Powieść ta była właśnie rodzajem „kompromisu", jakiego żądał. Pisarka dowodziła utopijności ruchu socjalistycznego, ale nie mogła mu przeciwstawić nic pozytywnego w „starym społeczeństwie". Ideał wiedzy realizował się tam w pokątnym poradnictwie prawnym dla chłopów, ideał skrzętnej gospodarki w dworku ziemiańskim znajdował ucieleśnienie w nieustannych procesach z chłopami i Żydami, tęsknoty do walki zbrojnej znajdowały ujście... w wynarodawiającej służbie oficerskiej w armii carskiej. To chyba wyjaśnia, dlaczego w obrachunku krytycznym z powieściami „antysocjalistycznymi" zabrakło Zygmunta Ławicza. Białobłocki kończy swój artykuł wezwaniem: „Szydźcie z życiowych przejawów romantyzmu i «egzaltowanego marzycielstwa», lecz nie ruszajcie samej idei, a młode pokolenie wam wdzięczne będzie, bo korzyści tylko z tego wyciągnie. Oko krytyki nie pozwoli jej rąk opuszczać, a ogień sarkazmów oczyści ją od wielu wad dziedzicznych i nabytych" [85].

Artykuł Zniżenie ideału, którym zamykamy przegląd krytycznej działalności Białobłockiego w obrębie tematyki, jakiej dostarczyła mu ówczesna literatura polska, był przede wszystkim obroną ideologii socjalizmu przed jej „profanacją" przez pisarzy mieszczańskich, ale był równocześnie obroną wartości postępowych, humanistycznych we współczesnej mu literaturze polskiej oraz tego dziedzictwa, które przekazywała przeszłość. Zespolenie obrony postępowych wartości literatury narodowej i ideologii socjalistycznej w praktyce Białobłockiego posiada swoją głęboką wymowę. Dowodził nią, że walka o socjalizm jest jednoznaczna z walką o postępowe wartości kultury narodowej. To jeden z jego najcenniejszych przekazów.

IV

Polski rewolucyjny ruch robotniczy okresu „Proletariatu" i późniejszy okazywał żywe zainteresowanie dla Rosji, dla rozdzierających ją walk klasowych, dla jej literatury. Źródła tego są oczywiste i nie wymagają objaśnień. Od samego zarania rzeczywiście rewolucyjny ruch socjalistyczny pozostawał w ścisłym związku z ruchami rewolucyjnymi w Rosji. Rewolucjoniści polscy rozczytywali się w postępowej literaturze rosyjskiej, wysoko ją cenili, wielu z nich świetnie orientowało się w niej. Nie byli oni jednak — jak wykazywał w swym studium Marian Jakubiec [86] — wcale odosobnieni. W Królestwie Kongresowym znajomość postępowej literatury rosyjskiej była bardzo znaczna. „Ochronny patriotyzm" (termin Prusa użyty przy innej okazji), nacjonalistyczna ograniczoność narzucała „oficjalnemu społeczeństwu" praktykę przemilczania tego faktu. Mimo to jednak przenikały do ówczesnej prasy burżuazyjne omówienia twórczości niektórych reprezentatywnych pisarzy rosyjskich, nie brakło przekładów wybitnych dzieł.

Ale naprawdę pierwszym, który na większą skalę podjął w latach osiemdziesiątych ubiegłego wieku zadanie popularyzacji postępowej literatury rosyjskiej w Polsce, był Bronisław Białobłocki. Połowa jego dorobku krytycznoliterackiego poświęcona jest literaturze rosyjskiej. Był chyba pierwszym krytykiem polskim, który pisał o światowym znaczeniu literatury rosyjskiej. Żaden w takim stopniu, jak on, nie po-

święcił jej uwagi, żaden nie przejawił tyle sympatii dla postępowych tendencji literatury rosyjskiej.

Debiutował przerwanym „ze względów od siebie niezależnych" obszernym szkicem Współczesna beletrystyka rosyjska. Zdążył wydrukować część o Głebie Uspieńskim i Mikołaju Złatowratskim, następna napisana część, o Sałtykowie-Szczedrinie, nigdy nie została wydrukowana: sprzeciwił się temu cenzor carski w Warszawie. Cenzura warszawska nieraz miała pretensje do pism, że za mało piszą o życiu rosyjskim, ale w przypadku Białobłockiego była zupełnie odmiennego zdania. Wcale jej nie zależało na popularyzowaniu Szczedrina, genialnego pisarza, demaskatora Rosji obszarniczej i burżuazyjnej. „Jeśli nasi nam wymyślają — argumentował cenzor Białobłockiemu, który czynił starania o wydrukowanie wspomnianej części szkicu — trudna rada, musimy się jakoś z tym pogodzić, ale bynajmniej nie życzymy sobie, ażeby w polskiej prasie powtarzano ich zarzuty i zajmowano się nimi" [87]. Trzeba było przerwać pisanie interesującego szkicu. Ale Białobłocki nie przestał bynajmniej pisywać o literaturze rosyjskiej. Równolegle do pracy publicystycznej i krytycznoliterackiej z zakresu literatury polskiej pisze i o rosyjskiej. Próbuje nowego cyklu— kronik Z życia i literatury Cesarstwa, który urywa się na czwartym odcinku. Pisze przygodną recenzję o mało znanym pisarzu, Albowie, drukuje w parę dni po śmierci Turgieniewa artykuł okolicznościowy o nim, później ogłasza w Ateneum obszerniejszy szkic o tym pisarzu.

Jego artykuły stawiają sobie za zadanie zarówno ukazanie postępowych wartości literatury rosyjskiej [88], jak i informowanie czytelnika polskiego o ważniejszych objawach życia narodu rosyjskiego.

W okresie działalności „Proletariatu" nie było, jak wiadomo, w Rosji rewolucyjnego ruchu robotniczego. Nosicielami tendencji rewolucyjnych byli „narodnicy". Polski ruch robotniczy łączył się z nimi ścisłą więzią, która miała także, jak pamiętamy, swoje ujemne strony. Rzecz znamienna, że wyrażając sympatię dla ruchu, Białobłocki ujawnia i jego błędy.

Białobłocki sięga do pisarzy-narodników, którzy żywo odzwierciedlają w swojej twórczości najistotniejsze objawy życia społecznego Rosji. Czyni to z całą świadomością. Pragnie przedstawić najistotniejsze treści społeczno-ideowe, jakimi żywi się literatura tych wybitnych pisarzy. „Strona publicystyczna — twierdzi — do tego stopnia przeważa u niektórych pisarzy rosyjskich, że obrazy, rzucane obficie i z niepospolitym talentem służą tylko do objaśnienia i utrwalenia w pamięci tej przewodniczej myśli, którą autor wypowiada o istniejących stosunkach bezpośrednio i o ile można dokładnie i dobitnie" [89]. Do takich twórców zalicza Białobłocki obu pisarzy-narodników oraz Sałtykowa-Szczedrina, o którym pisze gdzie indziej, że tworzy „europejskie arcydzieła" [90].

Pragnąc prześledzić dorobek krytycznoliteracki Bronisława Białobłockiego odnoszący się do literatury rosyjskiej, który uzyskał mimo niedostatecznej podstawy materiałowej niezwykle wysoką ocenę dzisiejszego fachowego rusycysty Jakubca, chcę ograniczyć się tylko do niektórych ważniejszych zagadnień. Przede wszystkim chodzi mi o poglądy ogólne naszego krytyka na literaturę rosyjską. Był on jedynym, jak się już rzekło, polskim krytykiem literackim, który z takim głębokim przekonaniem i znajomością rzeczy wskazywał na światowe znaczenie literatury rosyjskiej: jej wielkie wartości postępowe, i jedynym, który umiał

wskazać na specyficzne źródła tego zjawiska. Wielkość tej literatury tłumaczył jej charakterem walczącym o postępowe ideały społeczne, jej ścisłą więzią z losami, potrzebami i aspiracjami ludu rosyjskiego, którego położenie Białobłocki głęboko rozumiał. Darzył go prawdziwą sympatią rewolucjonisty-internacjonalisty. Wiedział, jak wstrząsająca była jego dola poddańcza, rozumiał, jak tragicznie przeżywał on nieuchronne, jak słusznie spostrzegał — wkroczenie Rosji w erę kapitalizmu. „Niedola — pisał — lud otacza, a krzywda go zewsząd dusi“ [91]. Konieczny i postępowy — jak Białobłocki rozumował — rozkład pierwotnych form życia chłopskiego — przynosi ludowi rosyjskiemu bezmiar cierpień, rozczarowań, nieuchronne przemiany społeczne z całym okrucieństwem burzą dotychczasowe podstawy życia. Panowanie kopiejki, „kułaka“ — jak wskazywał — z całą bezwzględnością uderzało w najszersze masy chłopskie. Ale rozumował jak proletariacki rewolucjonista — głosił konieczność tych przemian, poprzez nie widział drogę, która powiedzie lud do rzeczywistego wyzwolenia społecznego. „...poczucie godności osobistej — twierdził — po reformie włościańskiej zaczęło kiełkować pomiędzy ludem jako jeden z czynników jego duchowego rozwoju. Z początku to uczucie było zbyt słabe, teraz coraz więcej wzrasta... Im prędzej to uczucie rozszerzy się pomiędzy całym ludem, tym prędzej lud poczuje się zdolnym do inicjatywy samodzielnej“ [92]. Pojęcie ludu było u Białobłockiego ściśle określone: zaliczał doń proletariat fabryczny, proletariat wiejski (jego termin) oraz podstawowe masy chłopstwa.

Choć więc rozumiał i nieuchronność, i konieczność rozwoju kapitalizmu w Rosji, jako rewolucjonista głęboko współczuł masom ludowym, które nosiły na sobie brzemię okrutnych form dokonującego się rozwoju. „Naturalnie — pisze, że zwykle młyn życia na miazgę miele ludzkie przyzwyczajenia i jednostki akomodują się do nowych wymogów, ale też przy tym cierpienia bywa niemało, a czasami tym cierpieniom jednostka podołać nie może“ [93].

Nie były to tylko ogólniki. Białobłocki odznaczał się zadziwiającą znajomością życia społecznego i warunków jego rozwoju w Rosji. Znał dobrze jej kulturę, nie mniej znana mu była jej rzeczywistość. Pisze o nowych ruchach wśród chłopstwa i walce ideowej, jaka toczy się na łamach pism. Zna i podkreśla rolę Bielińskiego w rozwoju literatury rosyjskiej, pisze także o tendencjach mistyczno - sekciarskich wśród chłopstwa, których źródła upatruje w nieznajomości praw rozwoju społecznego i proteście przeciwko kapitalizmowi. Wie dobrze, jaką rolę odgrywa w kulturze narodowej Rosjan Dobrolubow, wie, jaką — Katkow. Ma wyrobiony pogląd na ogólne procesy rozwoju społeczeństwa rosyjskiego, zna dobrze szczegóły, w których się objawiają „...prawidłowe oddziaływanie — pisze — nowej podstawy życia, uwłaszczenia, jest spaczone i zneutralizowane przez mnogie szczątki starego porządku. Nowe więc czynniki nie zdołały w przeciągu tak krótkiego czasu, jaki upłynął od wprowadzenia ich w życie, przetworzyć fizjognomii ludu. Dlatego też wre ciągła walka starego elementu z nowymi warunkami i coraz to więcej wyraziste formy przybierane przez te nowe warunki nie dają stałych, określonych, wszędzie trwale powtarzających się typów. Przeciwnie, wszystko tu się zmienia coraz szybciej i szybciej i nie wcześniej ustali się jakiś typ, aż nowe warunki życiowe stanowczo nie przemogą starych“ [94].

To wszystko czyni prace krytycznoliterackie Białobłockiego o literaturze rosyjskiej tak bardzo wierzytelnymi, prawdziwymi. To też sprawia, że swoje opinie o wielkim znaczeniu narodowym i światowym literatury rosyjskiej umie Białobłocki przekonywająco uzasadnić. O specyficznych cechach literatury rosyjskiej stawiających ją na czołowym miejscu w literaturze świata krytyk nasz pisze:

„Takie zajęcie się ludem, jakie przedstawia literatura rosyjska, jest czymś zupełnie nowym, czymś, czego przykładu dotąd nie było.

W utworach beletrystycznych zachodnioeuropejskich i tych, co je naśladują, lud przeważnie bierze się z sielankowej strony. Autor albo po prostu maluje czytelnikom obrazki obyczajów ludowych, albo co najwyżej przekonywa swoich czytelników o tym, że i pomiędzy ludem są serca gotowe do poświęceń dla dobra ogółu, umiejące czcić, kochać i nienawidzieć zupełnie w takich samych formach i zupełnie z takich samych pobudek, jak kochają, nienawidzą ludzie klas zamożnych. Współczesna beletrystyka rosyjska zupełnie i bezwarunkowo zarzuciła takie ustosunkowanie się do ludu; przeciwnie — pragnie poznać i objaśnić wszystkie dolegliwości i boleści ludu, pragnie wtajemniczyć się w aspiracje i nadzieje jego, jednym słowem — odtworzyć w postaciach typowych całkowicie sferę intelektualną i moralną życia ludu“ [95].

Literatury zachodnie — wskazuje gdzie indziej — nie posiadają takich gruntownych studiów życia ludowego jak literatura rosyjska. Z tym, czego dokonano w tym zakresie w literaturze rosyjskiej, nie da się porównać żadnej innej literatury. Białobłocki zdecydowanie odrzuca mniemanie, że osiągnięcia te są wynikiem wpływu obcych literatur. Wskazuje, że wynikają one ze specyficznych form rozwoju społecznego w Rosji, z zaciętej walki o wyzwolenie mas chłopskich spod przemocy poddańczej. Upatruje wielkość literatury w jej zaangażowaniu w walce — jak pisze — „o prawa człowieka w zastosowaniu do chłopa“, w krytyce poddaństwa „u samych jego podstaw i w najdalszych konsekwencjach“ [96].

Białobłocki przenikliwie wskazuje — na tyle, na ile mu pozwalają ograniczenia cenzuralne — historyczną rolę „raznoczyńców“ w walce rewolucyjnej, ich awangardy rewolucyjno - demokratycznej, ich rolę w kształtowaniu postępowego, bliskiego masom ludowym oblicza literatury rosyjskiej. Z głęboką znajomością rzeczy stwierdzi: „...wkrótce po uwolnieniu włościan, a nawet, rzec można, równocześnie z nim, ciężar przewodnictwa umysłowego przeszedł stanowczo i bezpowrotnie od szlachty w ręce proletariatu ukształconego. Dzieci diaczków, popów, drobnych urzędników, nawet chłopów zapełniły szkoły wyższe, wysunęły naprzód swoje talenty i zajęły główne miejsce w literaturze. Byli to ludzie, którzy wiedzieli, co to życie i walka w nim z przeciwnościami. Ich przywódca i zwiastun, krytyk Dobrolubow...“ [97].

Warto przypomnieć tu, jak wybitną rolę przypisywał Lenin „raznoczyńcom“ w rozwoju rewolucyjnych idei w Rosji, „począwszy od Czernyszewskiego i kończąc na bohaterach Narodnej Woli“. Oni w opinii Lenina rozszerzali krąg bojowników rewolu-

cyjnych i zacieśniali więź z ludem. Ich bezpośredniemu i pośredniemu wpływowi, przypisuje też Białobłocki postępowy, ludowy charakter literatury rosyjskiej. Rzecz znamienna, że na ich czele stawia Dobrolubowa. Niewątpliwie wiedział, że był to uczeń Czernyszewskiego, lecz tego „zakazanego" nazwiska nie wolno mu było wymienić. Posłużył się zatem jako synonimem — nazwiskiem Dobrolubowa najlepszego ucznia i kontynuatora wielkiego przywódcy rewolucyjnej demokracji rosyjskiej „lat sześćdziesiątych".

Najlepszymi osiągnięciami szczegółowymi Białobłockiego w zakresie pracy krytycznej nad literaturą rosyjską są niewątpliwie jego szkice o Uspieńskim i Turgieniewie. O ostatnim z wymienionych szkiców współczesny rusycysta pisze: „Doskonałe, niemal współczesne są charakterystyki wczesnej powieści Turgieniewa, nakreślone przez Białobłockiego"[98]. Zdaje się nawet, że ta wysoka ocena jest mimo wszystko jeszcze za skąpa.

Białobłocki ze świetną znajomością rzeczy wskazuje, jak wybitną rolę odegrał Turgieniew w rozwoju literatury rosyjskiej. Dowodzi, jaki wpływ na pisarza wywarły w młodości stosunki z Bielińskim, jakie znaczenie posiadają Zapiski myśliwego w dziejach literatury rosyjskiej. Krytyk zna dobrze szczegóły walki ideowej, jaka toczyła się wokół każdej prawie powieści wielkiego pisarza. Szczególną uwagę poświęca najwybitniejszym powieściom, Ojcowie i dzieci i W przeddzień.

Białobłocki — godny spadkobierca rewolucyjnych demokratów — broni społecznego przede wszystkim znaczenia twórczości Turgieniewa. Wiadomo, jak bardzo rosyjska reakcyjna krytyka lat sześćdziesiątych starała się sugerować, że autor Zapisków myśliwego jest przedstawicielem estetyzujących tendencji, jak bardzo starała się go odwieść od twórczości realistycznej i społecznego zaangażowania. Gdy Turgieniew zmarł, kontynuatorzy tej krytyki głosili, że był on pisarzem o tendencjach artystowskich, estetyzujących. Białobłocki gorąco przeciwko temu oponował. Bronił dzieła wielkiego pisarza rosyjskiego przed reakcyjną krytyką jego ojczyzny. „Fałszywy — pisze — jest okrzyk niektórych gazet rosyjskich z powodu śmierci Turgieniewa: «umarł przedstawiciel czystej sztuki», bo Turgieniew zawsze i pilnie przysłuchiwał się tętnom życia rosyjskiego. Dla Europy jest on tylko mistrzem artystą i tu ma sławę, lecz wpływu żadnego, w Rosji zaś ma on znaczenie jednego z przywódców myśli postępowej, wychowawcy młodego pokolenia, tu ma nie tylko sławę, lecz wpływ, i to wielki, a nie pozyskałby go z pewnością, gdyby mistrzostwo swoje zużył na motywy oderwane od życia"[99].

Można by tu zgłaszać zastrzeżenia co do oceny pozycji Turginiewa poza granicami Rosji. Lecz istotniejszy jest na pewno fakt, że polski rewolucjonista bronił dziedzictwa po wielkim pisarzu rosyjskim przed zakusami rosyjskich reakcjonistów. Brał w obronę — z głębokim zrozumieniem roli, jaką odegrała twórczość Turgieniewa w rewolucyjnej Rosji, z tego punktu widzenia analizował poszczególne dzieła pisarza. Specjalną wartość ma jego pogląd na Ojców i dzieci oraz na W przeddzień, oparty na analizach rewolucyjnych demokratów Pisariewa i Dobrolubowa. Najzłośliwszego może figla sprawił Białobłocki cenzurze carskiej, cytując słynny fragment Dobrolubowa, rozważającego, dlaczego bohater powieści W przeddzień — Insarow, nie mógł być ani Rosjaninem, ani Polakiem. Insarow jest, jak wiadomo, Bułgarem walczącym

o wyzwolenie swojej ojczyzny spod ucisku tureckiego. Dobrolubow dowodził, że bohater powieści mógł być innej narodowości — że mógł być Serbem, Czechem, Włochem, Węgrem, nie mógł tylko być Rosjaninem ani Polakiem. Przedstawiciel rewolucyjnej demokracji, serdecznie solidaryzującej się z walką narodowo-wyzwoleńczą narodu polskiego pisał przewrotnie o przyczynach niemożliwości zastąpienia Insarowa przez Polaka: „Dlaczego nie przez Polaka, o tym ma się zrozumieć i kwestii być nie może“ [100]. Kto z czytelników rozumiał Dobrolubowa — mógł wyciągnąć z tego odpowiednie wnioski, o tym, jaką rolę odgrywa państwo carów wobec innych narodów znajdujących się w jego granicach. Tę aluzję rewolucyjnego demokraty podsuwał Białobłocki *czytelnikowi polskiemu*. Byłoby oczywistą naiwnością sprowadzanie sprawy cytatu Białobłockiego z Dobrolubowa do efektownego figla sprawianego carskiej cenzurze. Białobłocki, zawsze ostrożnie poczynający sobie z tą instytucją, cytując dwie stronice tekstu ze słynnego artykułu Dobrolubowa *Kiedy nastanie ów dzień*, miał na uwadze istotniejsze cele. Przewijają się one we wszystkich niemal jego artykułach o literaturze rosyjskiej. Przytaczając ironiczne uwagi rewolucyjnego demokraty, że Rosja nie nosi na sobie brzemienia „jarzma tureckiego“ (nb. zachwycał się nimi Lenin), że w Rosji żaden „aga“ nie porywa matek, nie morduje ojców, Białobłocki wskazywał właśnie na wspólne jarzmo, jakie dźwiga naród rosyjski i naród polski. Cytując wypowiedzi Dobrolubowa i Pisariewa Białobłocki wskazywał, że istnieje Rosja carów i obszarników oraz Rosja rewolucyjna. Spełniał w ten sposób zadania, jakie stały przed polskim literackim krytykiem-marksistą okresu „Proletariatu“.

Te same też zadania spełnia szkic Białobłockiego o Glebie Uspieńskim. Krytyk wprowadza tu polskiego czytelnika w samo centrum spraw, jakimi zajmowali się rewolucjoniści rosyjscy tego okresu, w samo centrum spraw, wokół których toczyły się najbardziej zasadnicze dyskusje, walki ideologiczne. Białobłocki sięga do centralnych zagadnień, jakimi żyły środowiska rewolucjonistów rosyjskich, do problemu poglądów na drogi społeczno-ekonomicznego rozwoju Rosji. Sięga współcześnie i zupełnie niezależnie od Plechanowa, podejmującego ściśle w tym samym czasie w Genewie walkę z poglądami „narodników“ na gruncie marksistowskiej ideologii. Plechanow dowodził w walce z „narodnikami“, że kapitalizm w Rosji nie jest bynajmniej zjawiskiem przypadkowym, lecz nieuchronną koniecznością. Białobłocki także utrzymywał zdecydowanie, że „nowe warunki życiowe stanowczo... przemogą stare“ [101]. Tu tkwiła przecież zasadnicza różnica w poglądach marksistów i „narodników“. Z niej wypływały zupełnie odmienne koncepcje walki rewolucyjnej, odmienne widzenie przodujących sił rewolucyjnych.

„Narodnicy“ widzieli we wspólnocie gminnej zarodek socjalistycznego władania ziemią, Plechanow dowodził, że w łonie wspólnoty rozwija się kapitalizm.

Białobłocki pisał, że nowe stosunki społeczno-ekonomiczne „niszczą rację istnienia wspólnoty“, „na czele gromad wiejskich postawiły „kułaka“ [102]. Jest świadectwem wielkiej wnikliwości ideowej i doskonałej znajomości stosunków rosyjskich podjęcie przez Białobłockiego analizy tych zagadnień na przykładzie dzieł „narodników“ Uspieńskiego i Złatowratskiego. Szczególna rola przypada tu pierwszemu z nich. Pisarz ten odegrał w walce z mitami „narodników“ ogromną rolę. Jego dzieła, obserwacje w nich zawarte, wbrew nawet

woli pisarza przyczyniały się do udowodnienia bankructwa ideologii „narodnickiej". Nazwisko jego było niejednokrotnie wspomniane przez rosyjskich marksistów i tzw. legalnych marksistów w dyskusjach z „narodnikami" [103]. Leninowska „Iskra" w związku ze śmiercią pisarza dobitnie scharakteryzowała w 1902 roku znaczenie jego twórczości: „G. J. Uspieński wywarł niepomiernie większy wpływ na rosyjski ruch rewolucyjny niż wszyscy legalni pisarze siedemdziesiątych i osiemdziesiątych lat. Sam G. Uspieński był i pozostał narodnikiem w tym znaczeniu, że chłop był dla niego wcieleniem najlepszego, najbardziej pożądanego typu człowieka, ale głębokie poczucie prawdy artysty i myśliciela skłaniało go do ciągłego wskazywania na niemożność zastosowania w tym środowisku rewolucyjnego programu. Dla samego G. Uspieńskiego te przeciwieństwa były beznadziejnie tragiczne. Dla wielu jego czytelników uświadomienie tych przeciwieństw oczyściło drogę do przyjęcia nowego, rewolucyjnego światopoglądu, wskazującego wyjście z pozornie beznadziejnej sytuacji" [104].

Białobłocki w okresie petersburskim niewątpliwie podlegał, jak wszyscy jego towarzysze, wpływom „narodnickim". Czyżby i jemu rola uświadomienia przeciwieństw, o których wyżej mowa „czyściła drogę do przyjęcia nowego rewolucyjnego światopoglądu"? Wiemy, że walną pomocą w wyzwalaniu się Białobłockiego spod wpływów narodnickich była praktyka rewolucyjnego ruchu robotniczego w Polsce. Ale głębia analizy, pojmowania twórczości Uspieńskiego przez Białobłockiego, rozumienia, co dzięki „poczuciu prawdy artysty i myśliciela" przynosiły dzieła Uspieńskiego, nie były tu zapewne czynnikiem obojętnym. Znajomość problematyki dzieł tego pisarza przez Białobłockiego, ich przenikliwa interpretacja jest naprawdę zadziwiająca. Krytyk nasz dobrze wie, że „narodnicy" w początkach lat osiemdziesiątych obrzucali Uspieńskiego zarzutami za to, że z pasją pisarza-realisty burzył ich złudzenia co do możliwości samodzielnych ruchów rewolucyjnych chłopstwa, co do trwałości wspólnoty gminnej, „przypadkowości" kapitalizmu w Rosji. „...trochę krzyczano — stwierdza — w rosyjskiej publicystyce postępowej, że autor ciągnie w stronę poddaństwa" [105]. Białobłocki bynajmniej tej opinii nie podziela. Dowodzi z przekonaniem, że Uspieński jest to wybitny pisarz-realista, któremu wielka zdolność obserwacji pozwala dostrzegać rzeczywiste i najistotniejsze procesy współczesnego życia rosyjskiego.

Krytyk wykazuje, że to właśnie wybitnie wyróżnia Uspieńskiego spośród pisarzy „kierunku ludowego" — jak określa „narodnictwo". Przeciwstawia go na tej podstawie i Złatowratskiemu, i innym pisarzom-narodnikom.

Jeśli u Złatowratskiego znajduje Białobłocki wyjaśnienie zasad narodnickich, to u Uspieńskiego stara się wskazać na treść przemian dokonujących się w Rosji. O Złatowratskim pisze: „Nie tyle talentem pisarskim i nowością tendencji, ile obfitością ciekawych faktów i poruszeniem kwestii będących na czasie pozyskał swe imię Złatowratski... Najpierw zdaje się, że jedynie u Złatowratskiego znajdziemy obfity zapas faktów zdolnych wyjaśnić ruch inteligencji do zbliżenia się z ludem, znany u Rosjan pod imieniem „narodniczestwa"... wyjaśnienie podstawowych zasad psychiki ludowej. Na koniec w ostatnich czasach Złatowratski upatrzył jakiś specyficzny rozumowy *(umstwiennyj)* prąd w ludzie" [106].

O tym nowym złudzeniu narodnickim mówi Białobłocki z wyraźną dezaprobatą, dowodzi na podstawie analizy dzieł samego Złatowratskiego i innych

pisarzy, że jest to tylko jeszcze jedno złudzenie. Że kopiejka i rubel stały się siłami panującymi w społeczeństwie rosyjskim. „Wiadomo — polemizuje nasz krytyk z poglądami pisarza — że wspólnota rosyjska pasuje się obecnie w bezsilnej walce z drobnymi przedsiębiorcami-wyzyskiwaczami, »kułakami« powstałymi z łona samego ludu. Lud sam zapatruje się na działalność tych przedsiębiorców jako na ideał, który powinien kierować dążnościami wszystkich. Złatowratski zaś powiada, że istnieje cały prąd w ludzie zupełnie przeciwny ideałom eksploatatorskim, że ten prąd w jednostkach utalentowanych, pod wpływem życia miejskiego wykształconych i rozwiniętych musi przybierać formy samowiedne i z łatwością znajdzie środki zaradcze przeciwko coraz więcej szerzącemu się prądowi eksploatatorów“ [107]. Tym mistyfikującym prądom Białobłocki przeciwstawia, i to na podstawie opowiadania Złatowratskiego (K a b a n) „wzajemny antagonizm klas ludności wiejskiej“ [108]. Wskazuje, że protest ludu przeciwko kapitalistycznej eksploatacji, przeciwko wyzyskiwaczom, którzy wyszli z jego własnego łona, wskutek nieświadomości dziejących się spraw, nieznajomości procesów rozwoju przybiera często wśród chłopstwa formy mistyczne, religijno-sekciarskie.

Uspieński reprezentuje w przekonaniu krytyka szczególne cechy przenikliwego widzenia rzeczywistych warunków życia ludu, które burzą iluzje właściwe narodnikom. Białobłocki pisze na ten temat: „...w siódmym dziesiątku lat zmienił swój kierunek, którym nie wyróżniał się z masy pisarzy noszących miano »narodników«. Zaczął z bólem serdecznym, ale konsekwentnie dobitnie wykazywać sprzeczności zachodzące pomiędzy naszymi wyobrażeniami, pojęciami o ludzie, o jego bycie i charakterze a rzeczywistym życiu ludu“ [109].

Autor szkiców na tej podstawie dostrzega wyjątkową pozycję Uspieńskiego wśród pisarzy-„narodników“. Wie, że pisarz nie jest wolny od złudzeń, które oni reprezentują, ale wie równocześnie, że realistyczna jego twórczość kieruje uwagę na te procesy społeczno-ekonomiczne, które burzą te złudzenia. „Uspieński przyjmuje »wspólnotę« jako fakt, jako wynik »potęgi ziemi« — pracy rolniczej i wykazuje przyczyny, które, nie zważając na zupełną naturalność i swojskość tej instytucji, podkopują i niszczą jej istnienie, a nawet wytworzyły potężny prąd wyzyskiwania i na czele gromad wiejskich postawiły »kułaka« [110]. Białobłocki wskazuje na odmienność obrazów artystycznych, wniosków, spostrzeżeń, jaką przynosi twórczość Uspieńskiego w stosunku do innych pisarzy-„narodników“, np. Złatowratskiego, formułuje tę opinię wykazując trafnie, że Uspieński „odtwarza życie ludowe nie tych głuchych miejscowości, gdzie lud prawie wcale się nie styka z innymi żywiołami, przeciwnie, w jego powieściach występują włościanie, do których już doszedł zjadliwy, rozkładający oddech miejski i swymi popędami do zysku i nielitościwą walką o byt odosobnionych jednostek zaczął niszczyć podstawy obyczaju i dawne pojęcia prawne i moralne (wspólnotę)“ [111].

Uspieński nie analizuje według niego wspólnoty gminnej w oderwaniu od całokształtu życia społecznego Rosji, lecz właśnie w ścieraniu się jej z nowymi tendencjami, w procesie przenikania do niej elementów rozkładających ją, różnicujących klasowo gromadę. Taką właśnie metodę pisarską Białobłocki uważa za najistotniejszą, bo izolacja wspólnoty od nowych procesów społeczno-gospodarskich jest według niego zjawiskiem odchodzącym już zupełnie w przeszłość. Typowe na-

tomiast jest zjawisko powiązania jej z całokształtem życia społecznego w Rosji i jego oddziaływania na wspólnotę. Tego rodzaju praktyka pisarska zdobywa sobie aprobatę Białobłockiego.

Tylko na peryferiach państwa, w okręgach najbardziej zacofanych i izolowanych od głównego nurtu życia społeczno-gospodarczego można, według krytyka, znaleźć wspólnoty gminne trwalej zachowujące stare formy bytu. Ale i tu trwają już one w formie zanikowej. Wewnętrzne rozwarstwienie gromady podważa zdecydowanie jej jednolitość. Wieś rosyjska nie składa się dlań z jednolitej warstwy, lecz jest głęboko zróżnicowana. W jej łonie istnieje głęboki antagonizm między „kułakiem-eksploatatorem wiejskim" a biedotą wiejską. Kułak jest panem położenia w gromadzie wiejskiej. Wszystkie tradycyjne formy współżycia gromadzkiego wykorzystuje na własną korzyść, „obecnie na wsi nie ma nic innego równającego się kułakom siłą i wyrobieniem w technice i przebiegłości", „zamożność kułaków zrobiła ich miejscową arystokracją wprowadzającą nowe mody, nowe obyczaje..." stwierdza Białobłocki [112]. „Kułak umie wykorzystać stare zachowane prawa współżycia członków spólnoty; podział gruntów indywidualnie uprawianych, zwyczaje wzajemnej pomocy". „Pomocą — może prowadzić obszerne gospodarstwo »kułak« albo nawet i obywatel, a więc od najmu prostego »pomoc« będzie się odróżniać jeszcze większym tylko stopniem wyzyskiwania" [113].

Te wszystkie zjawiska pisarze-realiści — mimo że ulegają wpływom iluzji „narodnickich" — przedstawiają w plastycznych obrazach. Tę ich zasługę szczególnie podkreśla Białobłocki. Przypisuje ją zwłaszcza Uspieńskiemu, o którym powie: „Naturalnie, można wyodrębnić zjawiska zależące jedynie od specyficznych warunków sfery rolniczej i badać lud niby »sam w sobie«, lecz Uspieński robi lepiej i głębiej patrzy na rzecz, malując całokształt życia ludowego" [114].

Jeszcze na jedną sprawę chciałbym zwrócić uwagę w przenikliwej analizie twórczości Uspieńskiego dokonanej przez Białobłockiego. Pisarz, który mimo wszystkich tragicznych dla niego — jak podkreślała leninowska „Iskra" — przeciwieństw, dowodził obiektywnie, że w środowisku chłopskim niemożliwe jest zastosowanie samodzielnego programu rewolucyjnego, napastowany był zarzutami, że nie umie stworzyć pozytywnego bohatera-nosiciela ideologii narodnickiej wśród chłopstwa. To, co było siłą jego pisarstwa realistycznego, było więc atakowane. Białobłocki na sprawę tę zapatruje się inaczej. „Uspieński — pisze — stworzył całą panoramę obrazów i typowych postaci, na których można badać dzisiejsze życie ludu. Lecz nie dał rdzennych typów, w których by się odbiły wszystkie wybitne cechy i dążenia ludu rosyjskiego. Jedni powiadają, że przyczyną tego jest brak takiego typu w życiu, a inni, że na odtworzenie typu ludowego nie pozwala inteligencji brak znajomości ludu" [115].

Białobłocki obszernie uzasadnia, że Uspieński jest jednym z najświetniejszych znawców ludu, jego życia, procesów w nim się dokonujących. Nie w tym więc tkwi źródło braku w jego twórczości pozytywnego bohatera, ja-

kiego postulowali „narodniccy" krytycy pisarza. W przekonaniu naszego krytyka istota rzeczy tkwi więc w tym, że rzeczywiście takiego „rdzennego bohatera" brak w życiu. W zakończeniu szkicu o Złatowratskim, Białobłocki przedstawia sprawę w ten sposób, że takie typy „zdolne do inicjatywy samodzielnej", wytworzy dopiero przyszłość, gdy nowe stosunki społeczno-ekonomiczne przemogą stare. Bez obsłonek cenzuralnych wyrażając to, co wiemy o ideologicznych poglądach naszego pierwszego marksistowskiego krytyka w Polsce, możemy przypuszczać z najzupełniejszym prawdopodobieństwem, że miał on na myśli przyszłych proletariackich rewolucjonistów w Rosji.

Nie wiedział na pewno, że w powstającej dokładnie w tym czasie plechanowskiej grupie „Wyzwolenia pracy" istniały już kiełki oczekiwanych przez niego plonów, kiełki tego, co miało wyrosnąć w rezultacie procesu, który na miejsce starej, feudalnej Rosji postawił nową kapitalistyczną — wraz ze swym przyszłym grabarzem-proletariatem przemysłowym... Nie wiedząc o tym, co już się rodziło, trafnie oczekiwał historycznie koniecznego pojawienia się projetariackiego bojownika w życiu Rosji, i co za tym idzie, w jej wielkiej literaturze.

Mówiło się tu już dotąd wielokrotnie o ścisłej więzi między siłami rewolucyjnymi Rosji i Polski w okresie działalności „Proletariatu". Podkreślało się także wielokrotnie i to, że Białobłocki był zdecydowanym rzecznikiem internacjonalistycznego współdziałania ruchu rewolucyjnego. Jaki więc sens miała — tak wnikliwa przecież — analiza wielu błędów i złudzeń narodnickich? Czy dostrzegał ujemne wpływy ideologii narodnickiej na polski ruch rewolucyjny? Świetna znajomość stosunków, jakie łączyły polskich rewolucjonistów z rosyjskimi, wyniesione z Petersburga, pozwala — jak sądzę — problem ten rozstrzygnąć pozytywnie. Z tego wynika dalsze istotne świadectwo, jak głęboko nasz krytyk żył problemami ideowymi nurtującymi polski ruch rewolucyjny czasu „Proletariatu", i jak bardzo trafnie pojmował te zagadnienia. Wśród Proletariatczyków i ich zwolenników niewielu miałby — jeśli powyższe sugestie są słuszne—ideologów trafniej zorientowanych w aktualnych problemach ruchu rewolucyjnego w Rosji.

Tak więc znowu z praktyki krytycznoliterackiej Białobłockiego wyłania się ideolog ściśle związany z ruchem rewolucyjnym, żyjący jego problemami, usiłujący w odpowiednim kierunku wskazać ich rozwiązanie. To są najlepsze strony jego działalności. Nie jedyne jednak; znowu trzeba powtórzyć, że pierwszy nasz marksistowski krytyk literacki nie uprawiał polityki na marginesie literatury, lecz w samej literaturze. Jego zajęcie się literaturą rosyjską — takiemu rozumieniu dawał niejednokrotnie wyraz — stanowiło także istotny czynnik walki ideowej w obrębie twórczości literackiej jego własnego narodu. Nie ukrywał, że w wielkim realistycznym pisarstwie rosyjskim, ściśle zespolonym z potrzebami i dążeniami ludu, widział godny przykład i wzór dla literatury polskiej. Pogardliwie pisał wielokrotnie o naśladownictwie cudzych wzorów [118], wzoru zaś i przykładu naturalnie — nie wyrzekał się. W przedostatnim odcinku cyklu kronikarskiego Z ż y c i a i l i t e r a t u r y C e s a r s t w a, dość skrótowo omawiając różne tendencje literatury rosyjskiej i dowodząc zdecydowanej dominanty realistycznych i społecznie zaangażowanych, wyraźnie wskazuje, jakie wartości ceni, w jakich upatruje wzór i przykład: „Ze wszystkiego, com powiedział — sumuje w zakończeniu — zdaje się, mogę zro-

bić wniosek taki jako postulat obecnego prądu literatury rosyjskiej: 1. sztuka »obiektywna«, zadaniem której jest bezcelowe fotografowanie rzeczywistości (pseudorealizm) lub koncepcję jakiegoś ekscentrycznego wypadku dla zabawienia czytelników — jest czcza, bezużyteczna. 2. Pisarz przede wszystkim ma być obywatelem swego społeczeństwa dążącym do jego dobra; własne poglądy ma prawo propagować za pomocą swych utworów estetycznych, jeżeli zaś coś odtwarza, nie wypowiadając swego zdania (bo czasami przecież przyczyny i skutki zjawiska dla niego mogą być zagadką), to zawsze usprawiedliwienie znajduje jedynie w tym, że zwraca uwagę publiczności na rzecz ważną, na którą baczyć należy. 3. Autor może milczeniem pominąć swe tendencje, może nie wydawać sądu o danym fakcie lub może propagować tendencję w powieści, lecz nie może fałszować rzeczywistości i nakręcać jej do raz powziętego przekonania; może być mniej lub więcej utalentowanym, może nawet wcale nie posiadać wyobraźni twórczej, a mimo to pożytek przynieść; nie może jedynie być niesumiennym i indyferentnym na dobro ogółu. 4. Skoro autor zasklepi się w służeniu »czystej sztuce« usunąwszy na bok kwestie żywotne czasu, to pod jakim bądź hasłem wystąpi, czy »sztuki dla sztuki«, czy »obiektywnej, beznamiętnej prawdy«, rezultat będzie ten sam — zdegradowanie sztuki z czynnika postępu na czynnik zabawy, w której postęp chyba przejawi się już jako coś ustalonego, lecz sama sztuka najmniejszego udziału w sprawach ludzkich nie będzie miała“ [117].

Białobłocki referuje te zasady „jako postulat obecnego prądu literatury rosyjskiej“ ale w artykule wskazuje, że nie jeden był „prąd literatury rosyjskiej“, były w niej zjawiska, które moglibyśmy nazwać „czarnosecinnymi“ (Białobłocki wymienia pisarzy skupionych wokół jednego z najbardziej reakcyjnych pism, Russkij Wiestnik, pisarzy-wsteczników, Bolesława Markiewicza, Awsiejenkę), była i wielka literatura realistyczna. Ale tylko tę uznaje za literaturę narodu rosyjskiego. Na jej przykład się powołuje. Ten „prąd literatury“ wskazuje jako wzór. W swojej praktyce krytycznoliterackiej przecież sam głosił takie postulaty. W charakterystyce omawianego nurtu rosyjskiej literatury *mutatis mutandis* odnajdujemy właściwie znaczną część zasad ideowo-artystycznych, które Białobłocki głosił we własnej praktyce krytycznoliterackiej. To wyjaśnia, jaki sens ideologiczny odgrywała literatura rosyjska w działalności pierwszego marksistowskiego krytyka literackiego w Polsce.

Samuel Sandler

PRZYPISY

[40] Br. Białobłocki: Maria Konopnicka: Poezje. Seria Druga.
[41] Maria Konopnicka: Pan Balcer w Brazylii. Pisma Wybrane, t. VII, Warszawa 1952, s. 326.
[42] Br. Białobłocki. Maria Konopnicka... op. cit.
[43] Ib.
[44] Ib.
[45] Ib.
[46] Ib.
[47] Ib.
[48] Ib.
[49] Ib.
[50] Ib.
[51] Ib.
[52] Ib.
[53] „Proletariat“ nr 5 kwiecień 1884. Cyt. wg wydawnictwa „Wielki Proletariat“, op. cit., s. 132.
[54] Julian Łętowski: Firduzi. Obraz dramatyczny w jednej odsłonie, Warszawa 1884, s. 1.
[55] Br. Białobłocki: Taniec krzywego artyzmu z kulawą logiką.
[56] J. Łętowski, op. cit., s. 74.

[57] Ib.
[58] Br. Białobłocki: op. cit.
[59] Ib.
[60] Ib. Podkreślenie moje S. S.
[61] Br. Białobłocki: Zniżenie ideału.
[62] Ib.
[63] Ib.
[64] Ib.
[65] Ib.
[66] Ib.
[67] Ib.
[68] Ib.
[69] Ib.
[70] Ib.
[71] Ib.
[72] Ib.
[73] Ib.
[74] Ib.
[75] Ib.
[76] Ib.
[77] Ib.
[78] Ib.
[79] Listy Elizy Orzeszkowej do Ignacego Kraszewskiego z dn. 25 lutego 1880 r. Cytuję za notą biolograficzną do III tomu Z różnych sfer, Pisma, t. XVIII, 1949, s. 524.
[80] Br. Białobłocki: Zniżenie ideału.
[81] Ib.
[82] Ib.
[83] Ib.
[84] Ib.
[85] Ib. Podkreślenia moje S. S.
[86] Marian Jakubiec: Literatura rosyjska wśród Polaków w okresie pozytywizmu. Pozytywizm, cz. I, Wrocław 1950, s. 295—374. Także w oddzielnej odbitce.
[87] Krzywicki: Na margines e starej fotografii (por. dodatek) s. 223.
[88] Krzywicki w wyżej cytowanym artykule pisze o Białobłockim: „marzył od chwili przyjazdu do Warszawy o wielkim cyklu przyczynków literackich, które by zaznajomiły polski ogół czytelniczy z rosyjską literaturą opozycyjną: ze Szczedrinem, Uspieńskim, Michajłowskim i inn.".
[89] Br. Białobłocki. Współczesna beletrystyka rosyjska.
[90] Br. Białobłocki: M. Albow, Powiesti.
[91] Ib.
[92] Ib. Podkreślenia moje. S. S.
[93] Ib.
[94] Ib. Podkreślenie moje.
[95] Ib.
[96] Br. Białobłocki: Z życia i literatury Cesarstwa.
[97] Br. Białobłocki, Jan Turgieniew. Ateneum (por. dodatek).
[98] M. Jakubiec. op. cit., s. 331.
[99] Br. Białobłocki: Jan Turgieniew. Podkreślenia Białobłockiego
[100] Białobłocki cytuje szkic Dobrolubowa: Kiedy nastanie ów dzień? Obszerne cytaty Białobłockiego z tej pracy jak z dzieł Uspieńskiego i Złatowratskiego wskazują na jego dużą kulturę językową polską i rosyjską.
[101] Br. Białobłocki: Współczesna beletrystyka rosyjska.
[102] Ib.
[103] Por. I. W. Lenin: Co to są „przyjaciele ludu" i jak oni wojują przeciwko socjaldemokratom. Dzieła wyd. pol. t. II, s. 271 w tymże tomie także „Treść ekonomiczna narodnictwa i jej krytyka w książce P. Struvego, s. 366-7. Por. także Lenin: Jakiego dziedzictwa się wyrzekamy. Dzieła, wyd. pol. t. 2.
[104] Iskra 1 maja 1902 nr 2. Cytuję za L. A. Płotkinem: Partia i literatura przekł. pol. Warszawa, 1948, s. 7.
[105] Br. Bia obłocki: Współczesna beletrystyka rosyjska.
[106] Ib.
[107] Ib.
[108] Ib.
[109] Ib.
[110] Ib.
[111] Ib.
[112] Ib.
[113] Ib. Podkreślenia moje.
[114] Ib. Podkreślenia moje.
[115] Ib. Podkreślenia moje.
[116] Ib.
[117] Br. Białobłocki: Z życia i literatury Cesarstwa III.

S. S.

ODPOWIEDŹ NA AKT OSKARŻENIA

To ja — kozioł ofiarny, to ja — ludożerca.
Ja w zamęcie historii — żal ściska wam serca —
Dobry smak i francuskie stare wierszowanie
Podeptałem i rzekłem: niech się ciemność stanie,
I stała się. — Tak głosi wasz akt oskarżenia.
Język, dramat, poezja, prawidła wzruszenia,
By blask ich zbladł, robiłem wszystko, co w mej mocy,
Aż wyczerpałem do dna czarną urnę nocy [1]).
Ja jestem tej lawiny bezmyślną łopatą.
To jest wasz punkt widzenia. Zgadzam się i na to.
Proza wasza wypięła na mnie swoje wdzięki.
Gdy wy krzyczycie: Raka! ja wam mówię: Dzięki!

Bieg czasu, co porzuca starych świątyń progi,
Aby w nowej świątyni wielbić nowe bogi,
Te wielkie zagadnienia sztuki i wolności,
Obejrzyjmy je w całej ich okazałości
Przez szkło powiększające. Cóż, prawdę wam rzekę,
Nie kryję, to ja jestem tym strasznym człowiekiem [2]).
Chociaż mam na sumieniu inne zbrodnie jeszcze,
Które pominęliście w łaskawym rejestrze,
Choć tykałem niejednej ciemnej strony wieku,
Istotę zła badałem, szukając nań leku,
Choć targałem za ośle uszy stare bzdury,
Całą przeszłość wstrząsnąłem od dołu do góry,
Choć tarmosiłem także i treści i formy,
Niech to wystarczy: jam jest ów olbrzym potworny,
Straszliwszy niż niejedno piekielne widziadło,
Wandal, który zdruzgotał stare abecadło.
Porozmawiajmy.

Kiedy z zadumą na czole
Z mięśniami zwiotczałymi nieśmiałe pacholę
Porzuciłem łaciński wiersz i szkolną ławę,
Kiedy pragnąc rozumieć, rozwarłem ciekawe
Oczy me na przyrodę, na sztukę, to język
Miał na obraz królestwa lud, szlachtę i księży.
Poezja była wówczas monarchią, dworakiem,
Diukiem, prałatem słowo było lub pismakiem.
Jak w ciżbie, co zalewa most króla Henryka,
Tłum konnych nigdy z tłumem pieszych się nie styka,
Sylaby były wzajem jak Paryż i Londyn.
„Język to ja" — przed osiemdziesiątym dziewiątym.
Kolor krwi dzielił słowa na zamknięte kasty.

Jedne, błękitne, miały dostęp do Jokasty,
Fedry, Meropy, całej prześwietnej socjety [3]),
Znały Wersal ze stopni królewskiej karety.
Inne, kupa nędzarzy z potępieńczej sfery
Zamieszkiwały gwary, inne znów galery
Żargonu, precz wygnane z mowy i ze sztuki.
Podarte na łachmany w Halach, bez peruki,
Bez pończoch, wprost stworzone dla farsy i prozy,
Motłoch stylu rzucony w czarną otchłań grozy.
Plebs, gmin, pospólstwo, które jako brzydkie słowa
Vaugelas w lochach słownika znakiem F piętnował [4]),
Dzieci upokorzenia poczęte w ruderach,
Rozpustnicy, łajdacy w sam raz dla Moliera.
Racine złym okiem widział każdy wyraz śmielszy.
Gdy Corneille wtulonego w strofy swoich wierszy
Zobaczył, był zbyt wielki, by gniewać się o to.
Wolter krzyczał: Corneille się zadaje z hołotą!
Poczciwina Corneille nie widział w tym nic złego.

Wtedy jak zbój się wdarłem, krzyknąłem: Dlaczego
Tym purpura, a tamtym nędzy ciężkie brzemię?
I na prastarą świetną dumną Akademię,
Kryjącą w swych falbanach tłum tropów strwożonych,
I na aleksandrynów zwarte bataliony
Rewolucyjnym wiatrem z całych sił powiałem.

Na stary słownik czapkę czerwoną nadziałem.
Nie ma słów patrycjuszy ni słów plebejuszy.
W kałamarzu żem niebo i ziemię poruszył
I wśród bicia piorunów dziejowej zawiei
Na czarny lud słów tchnąłem biały rój idei.
Nie będzie słów, na których skąpana w lazurze
Idea by nie mogła siąść tak jak na różę.
Straszne słowa! — Zadrżały elipsa, prolepsa.
Wtedy wszedłem na kopiec Arystotelesa
Mówiąc słowom, że wolne, równe, pełnoletnie.

Złe wspomnienia, od których twarz człowieka blednie,
Tygrysy i Hunowie, pantery i Daki
Wobec mego zuchwalstwa to małe szczeniaki.
Pękło zaczarowane koło. Wzrosła wrzawa.
Po imieniu nazwałem świnię. Nie mam prawa?
Guichardin mógł zwać Borgię, Witeliusa — Tacyt! [5])
Dziki, nieprzejednany, pewien swojej racji
Z szyi psa zdumionego zerwałem obrożę
Epitetów. Sprawiłem, że w cienistym borze
Pokochała jałówka piękna krowę zwykłą.
Krowa była Maryśką, ciele Bereniką.

W objęciach Rabelais'ego odę szał owionął.
Na szczycie góry Pindus *Ça ira* tańczono.
Wszystkie muzy śpiewały chórem *Carmagnolę* [6]).
Emfaza z przerażenia drżała na cokole.
Jasia od gnoju wzięła za męża Carmina.
Usłyszano, jak pytał król: która godzina? [7])
Potłukłem alabastry i wyśmiałem szarmy.
Lśniący gagat wyjąłem ze źrenicy czarnej
I rzekłem piersiom: bądźcie tak białe jak piersi.
Brutal, gwałciłem ciepłe jeszcze zwłoki wierszy,
Wcisnąłem cyfrę, zgroza! Mógłby Mitrydates [8])
Oblężenia Cyzyki zacytować datę!
Czasy grozy! Laidy stały się dziewkami!
Mnóstwo słów przez Restaut czesanych godzinami [9]),
Noszących się z wysoka jak Ludwik Czternasty,
Miało jeszcze perukę. Ze szczytu swej baszty
Rewolucja krzyknęła fałszywej fryzurze:
Czasy twoje minęły! Przemieńże się! Nuże!
Weź duszę słów więzionych, póki jeszcze żywa!
I peruka ryknęła i powstała grzywa.
Wolności! My łagodne, potulne wyżlice
W naszych walkach o ciebie zmieniliśmy w lwice,
I pod huraganowym naszych piersi tchnieniem
Słowa się zapalały gwałtownym płomieniem.
Na wydartej z Lhomonda karcie — manifesty [10])
Pisałem: czas najwyższy skończyć z tym do reszty!
Na śmietnik z Brouhourami, Batteux, Brossette'ami! [11])
To oni myśl człowieka zdławili kneblami.
Do broni! Prozo, wierszu! Do szturmu! Na wroga! [12])
Czy widzicie, że oda pęta ma na nogach,
Dramat w więzieniu, strofa dusić się zaczyna?
Campistron się rozmnaża na trupie Racine'a!
Boileau zębami zgrzytał. Rzekłem: Milcz przeżytku!
Krzyczałem, gromy biły, wiatr ryczał w mym krzyku:
Precz z retoryką! Pokój zawrzyjmy ze składnią! [13])
Dziewięćdziesiąty trzeci podał nam dłoń bratnią.
Zadrżały athos, ithos, drżał patos odważny! [14])
Miast ścigać Pourceaugnaka i Cathodę błazny
Na Dumarsais uwzięły się z wściekłością biesów,
Napełniwszy strzykawki falami Permesu [15]).
Sylaba brudna łamiąc przepisy czystości,
Rzeczownik-cham, czasownik-wyrzutek ludzkości
Nadbiegły. Czara grozy do dna już spełniona!
Wiatr rozwiał prochy opowieści Theramona,
Wygrzebano na wieczność złożony do ziemi
Sen Athalie. Zagasła gwiazda Akademii [16]).
Runął stary porządek, konała tyrania.
Co sił w rękach klaskałem pijany krwią zdania,

Gdy widziałem, jak strofa w walce oszalała
Natchnionym wielkim stylem rzeczy nazywała,
Jak Sztukę Poetycką za kark wzięła mowa [17])
I jak wszystkie przez dobry smak wygnane słowa
Wieszały w oczach tłumu — ogień zemsty buchał —
Literę-monarchistę na latarni ducha.
Tak, jestem Robespierrem, tak jestem Dantonem.
Ja zbuntowałem słowa nisko urodzone
Przeciw słowom-szlachcicom w herbowych karetach
I na trupie Dangeau mordowałem Richeleta [18]).
Oto niektóre tylko z mych zbrodniczych czynów.
Zdobyłem i zburzyłem wam Bastylię rymów.
To nie wszystko. Złamałem żelazne okowy,
Które więziły słowo lud i z piekła mowy
Wyrwałem potępione, prastare wyrazy.
Na strzępy poszarpałem zwoje peryfrazy,
Potargałem i z ziemią zrównałem alfabet,
Wieżycę, co wywodzi się od wieży Babel.
A czyniąc to widziałem, że dłoń, co podpala,
Gdy wolność słowu daje to i myśl wyzwala.

Jedność jest cechą wszystkich wysiłków człowieka.
Wszystko do celu zmierza jak strzała i rzeka.

Tak więc oto wyznaję mym uczciwym słowem
Zbrodnie, którem popełnił i przynoszę głowę.
Musisz być stary tato, bo ja już ojczulka
Dziesiąty raz przepraszam mówiąc mea culpa.
Jeśli Beauzée jest bogiem, to ja ateuszem [19]).
Język był godny, czysty, wyprany ze wzruszeń,
Tristan kurz z niego ścierał, Boileau go pieścił [20]),
Dokoła tronu stało foteli czterdzieści.
Tłukąc wszystko wtargnąłem w tę prześwietną salę.
Ja z imienia własnego, chama, co kapralem
Był zaledwie, zrobiłem pana pułkownika,
Z imiesłowu hienę, hydrę z czasownika.
To podburzony moim natchnieniem i czynem
Zaimek osobowy stał się jakobinem.
To reum confitentem moje. Ostrzcie zęby!
Rzekłem ustom rumianym: wy jesteście gęby!
Zbawczyni Kapitolu rzekłem: jesteś gęsią! [21])
Vaugelasowi pod nosem pogroziwszy pięścią,
Wzywałem słowa: bądźcie Republiką, bądźcie
Wielkim mrowiskiem życia, kochajcie i rządźcie!
I zerwawszy łańcuchy wszystkie i powrozy
Wiersz szlachetny rzuciłem ponurym psom prozy.

A to co ja robiłem, zrobili też inni.
Lepiej niż ja. Opadły z twarzy Polihymnii,
Kaliope, Euterpe maseczki powagi.
Rozhuśtaliśmy w wierszu szale równowagi.
Złorzeczcie nam. Jest za co. Wiersz, którego czoło
Dwanaście piór jak wieniec oplotło wokoło,
Co skakał podbijany podwójną rakietą,
Z jednej strony prozodią, z drugiej etykietą,
Wbrew zasadom wyrywa się — skrzydło wiatraka,
Które nagle zostało przemienione w ptaka —
Z ciasnej klatki średniówki, dosięga przestworzy
I wzbija się w niebiosa jak skowronek boży.

Wszystkie słowa unoszą się dzisiaj w jasności.
Pisarze językowi dali smak wolności.
Dzięki tym terrorystom, tym łotrom występnym
Prawda precz pędzi bandę pedagogów tępych,
Wyobraźnia tysiącem odgłosów wybucha
I szyby tłucze w zdrowym rozsądku mieszczucha.
Poezja o potrójnym czole, co rozbrzmiewa
Pieśnią, wiarą i drwiną, ta, którą zasiewał
Plaut w duszę plebsu, Szekspir kładł na serce moba [22]),
Która w całym szaleństwie swoim mądrość Joba
I rozum Horacego przywraca narodom,
Upojona błękitu ogromną urodą,
Opętana i święta: szalona w dwójnasób,
Wstępuje w wieczność wznosząc się po stopniach czasu.
Muza do życia wraca z natchnieniem i wolą.
Znowu łzy czyste leje nad ludzką niedolą,
Razi, pociesza, sięga szczytów i otchłani,
Na każdym ludzkim czole lśni błyskawicami,
Które z jej liry krzesa huragan natchniony,
A milion skrzydeł wznosi jej oczu miliony.

Bieg zdarzeń się dopełnił, krąg ich jest zamknięty.
Dziś Rewolucja, dzięki ci, postępie święty!
W mowie, myśli, westchnieniu i powietrzu żyje.
Dla niej na kartach książek serce słowa bije.
Ona naucza, wzywa, uśmiecha się, śpiewa.
Myśl niepodległa w wolnym języku rozbrzmiewa.
W powieści szeptem czułym zwraca się do kobiet.
Otwiera swe źrenice, pełne blasku obie,
Na mędrca jedną, drugą na obywatela.
Wolność, siostrę swą ludziom oddaje i wciela
We wszystkie tkanki życia, w krew, trzewia i pory.
Przesądy utworzone tak jak madrepory
Z odpadków zła, z odwiecznie popełnianych zbrodni,
Padają pod ciosami słów, tych które od niej

Przejęły cel i wolę zwycięstwa nad światem.
Ona jest prozą, wierszem, ona jest dramatem.
Stylem jest i wzruszeniem, sercem i pojęciem,
Latarnią na ulicy i na firmamencie.
Zstępuje do podziemi niezgłębionej mowy,
W sztuce rozbrzmiewa echem pobudki bojowej.
Ludom zwróciła dumę, pełniąc Bożą wolę
Stare zmarszczki zatarła na człowieczym czole,
Tłum nędzarzy na duchu podniosła nadzieją,
I przez to że jest prawem, stała się ideją.

przełożył **Zbigniew Bieńkowski**

PRZYPISY

[1]) Czarna urna nocy — ulubiona metafora pseudoklasyków. Tutaj użyta oczywiście w sensie ironicznym.

[2]) Aluzja do Molierowskiego „Świętoszka". Orgon (akt V, scena VI) w ten właśnie sposób wyraża się o Tartuffie.

[3]) Bohaterki tragedii Corneille'a („Edyp"), Racine'a („Fedra") i Woltera („Meropa").

[4]) Vaugelas (1585—1650) siedemnastowieczny autorytet w sprawach języka. Literą „F" (familier) oznaczał słowa potoczne, niegodne zastosowania w dziele literackim. Hugo robi aluzję do piętnowania literą F (forçat) zbrodniarzy wysyłanych na galery.

[5]) Guichardin (1482—1540) — autor „Historii Italii".

[6]) „Ça ira", „La Carmagnole" — pieśni Rewolucji Francuskiej.

[7]) Aluzja do dramatu Hugo „Hernani" (akt II, scena I).

[8]) Aluzja do dramatu „Cromwell", w którym Wiktor Hugo łamie średniówkę (akt I, scena I), aby zmieścić w wierszu datę historyczną: Demain, vingt-cinq juin, mil six cent cinquante-sept. Por. „O realizmie w poezji Wiktora Hugo" — „Twórczość" nr 1/53.

[9]) Restaut (1696—1764) — autor wydanej w 1730 roku gramatyki obowiązującej jeszcze za czasów II Cesarstwa.

[10]) Lhomond (1727—1794) — autor podręcznika szkolnego „Elementy gramatyki francuskiej".

[11]) Księża Bouhours (1628—1702), Batteux (1713—1780), Brossette (1671—1743) — krytycy, komentatorzy Boileau.

[12]) Aluzja do „Marsylianki".

[13]) Słynne sformułowanie stanowiące samo w sobie program literacki Wiktora Hugo walczącego z wynaturzeniem stylu i uznającego jedynie prawidła gramatyki.

[14]) Hugo, ironizując, do pojęć retoryki (ithos, pathos) włącza także górę Athos.

[15]) Aluzja do komedii Moliera „Pan de Pourceaugnac", gdzie bohatera ścigają aptekarze-błazny uzbrojeni w strzykawki. Cathoda (Cathos) — bohaterka komedii Moliera „Pocieszne wykwintnisie", uosobienie przesady właściwej pseudoklasykom. Permes — rzeka w Grecji poświęcona Muzom, fale jej symbolizują natchnienie poetyckie. Dumersais (1676—1756) — gramatyk.

[16]) Opowieść Theramona („Fedra" Racine'a) i sen Athalie („Athalie" Racine'a) — klasyczne typy tyrady w tragedii francuskiej.

[17]) „Sztuka poetycka" Boileau była do czasów romantyzmu kanonem poezji francuskiej.

[18]) Dangeau (1643—1723) — gramatyk; Richelet (1631—1698) — autor „Słownika rymów" i „Zasad wersyfikacji".

[19]) Beauzée (1717—1789) ceniony w XVIII wieku gramatyk francuski.

[20]) Tristan l'Ermite — marszałek dworu Ludwika XI, tutaj uosobienie władzy królewskiej.

[21]) Aluzje do napuszonego stylu pseudoklasyków.

[22]) Mob (ang.) odpowiada rzymskiemu plebs.

RUY BLAS

Dramat w pięciu aktach wierszem

Rzecz dzieje się w Madrycie, w roku 169...

AKT PIERWSZY

Scena trzecia

Don Cezar, Ruy Blas.

DON CEZAR:

Nie! to nie do wiary!
Nie mylę się: to Ruy Blas!

RUY BLAS:

Ach, to ty, Zafari!
Co tutaj robisz?

DON CEZAR:

Miałem małe posiedzenie...
Wnet odlecę — bom ptakiem, co kocha przestrzenie.
Lecz ty! W przebraniu? Cóż to za liberia, proszę?

RUY BLAS *(z goryczą):*

Niestety, jam przebrany — kiedy jej nie noszę.

DON CEZAR:

Jak to?

RUY BLAS:

Daj rękę, niech ją uścisnę czym prędzej —
Jak w owych dobrych czasach radości i nędzy,
Kiedy byłem bezdomny, w dzień dręczony głodem,
Nocą drżący od zimna — lecz miałem swobodę!
Gdyś znał mnie — byłem jeszcze człowiekiem... mój Boże!
Obaj wyszliśmy z ludu. W lat wiosennych porze
Byłeś do mnie podobny niczym brat do brata.
Od świtu się piosenką śmialiśmy do świata,
A wieczorem, oddawszy się w opiekę boską,
Pod rozgwieżdżonym niebem spaliśmy beztrosko.
Dzieliliśmy się wszystkim. Aż los niewzruszony
Rozłączył nas i w różne zaprowadził strony.
Minęły cztery lata... Czas cię nie dościga:
Wciąż wesoły-ś jak dziecko i wolny jak cygan.
Zawsze-ś ten sam, Zafari, co dumą bogaczy
Zaćmiewa, co nic nie ma, a pragnąć nie raczy.
Lecz jakaż zmiana w losach mojego żywota!
Przygarnięty z litości młodziutki sierota...

Szkoła... wiedza... ambicja... — przywilej, co drażni...
Miast pracy rąk poznałem wzloty wyobraźni.
Ty wiesz, jakie pragnienia i myśli z zapałem
Szaleńczymi strofami ku niebu ciskałem.
Nie zdołał mnie ostudzić twój uśmiech wzgardliwy,
W sercu mi się kłębiły dziwaczne porywy,
Wciąż mnie wabiły jakieś cele niewidzialne,
Wszystko mi się zdawało możebne, realne.
A jestem jednym z owych marzeń poławiaczy,
Co dzień cały spędzają w zadumie próżniaczej
Przy wspaniałym pałacu, patrząc, jak przed bramy
Zajeżdżają książęta i wytworne damy.
Aż nadszedł dzień, gdy głodny, ze schylonym czołem,
Po najemniczej służby gorzki chleb sięgnąłem.
Ach, gdym miał lat dwadzieścia, obdarty i bosy,
Ufny w swój geniusz, świata rozważałem losy,
Chciałem zbawić Hiszpanię, dźwignąć ją z niedoli,
Wierzyłem, żem stworzony do wybitnej roli,
Żem potrzebny, że ludzkość czeka na Ruy Blasa...
A wynik? Kogóż widzisz przed sobą? Fagasa!

DON CEZAR:

Tak, głód nam karki zgina. W takich ciężkich chwilach
Bywa, że po kęs chleba najniżej się schyla
Najwyższy, do postawy takiej nienawykły...
Lecz przecie los — jak morze — ma odpływ i przypływ.
Nie smuć się!

RUY BLAS *(potrząsając głową):*

Jestem sługą markiza Bazana.

DON CEZAR:

Znam go. Mieszkasz więc tutaj?

RUY BLAS:

Nie. Ledwo dziś zrana
Przybyłem. W tym pałacu wszystko dla mnie nowe.

DON CEZAR:

Ależ markiz ma tutaj mieszkanie służbowe.

RUY BLAS:

A tak, tego wymaga jego stanowisko:
Dwór wzywa go co chwila, więc chce go mieć blisko.
Lecz ma on drugie locum, nieznane nikomu.
W dzień bodaj tam nie bywa... — W owym małym domu
Niedaleko pałacu właśnie mieszkam. Nieraz
Nocą ukryte drzwiczki markiz sam otwiera
I w jakiejś osobliwej zjawia się kompanii:
Ludzie ci mówią szeptem, są zamaskowani...
Długo coś uradzają, w pokoju zamknięci;
Nigdy nie wiem, co było treścią konferencji...
Mieszkam tam w towarzystwie dwóch Murzynów niemych.
Jam ich panem. Nic nad to o sobie nie wiemy.

DON CEZAR:
Tak, tam zwierzchnik alkadów zbiera swoich szpiegów,
Co służą mu do intryg i krętych zabiegów.
Ten chytry człek w swych rękach wszystko trzyma skrycie.
RUY BLAS:
Wczoraj rzekł mi: „Bądź jutro w pałacu o świcie;
Wejdziesz tędy, złoconą odemknąwszy kratę."
Po czym kazał mi przywdziać tę „dostojną" szatę.
Bo tę wstrętną liberię, cięższą niż łańcuchy,
Noszę dziś po raz pierwszy.
DON CEZAR *(ściskając mu dłoń)*:
Nie trać-że otuchy!
RUY BLAS:
Dla mnie, bracie, to słowo pozbawione treści!
Nie wiesz wszystkiego. Strój ten, co brudzi, bezcześci,
Rezygnacja z radości, życie w poniewierce —
To są drobiazgi wobec... Odsłonię ci serce:
Wiedz, że mi obojętna liberii sromota,
Gdyż w mojej piersi hydra ognista się miota.
Trwoży cię, przyjacielu, to co na widoku...
Ach, gdybyś ujrzał wnętrze, to co skryte oku!
DON CEZAR:
Jak to?
RUY BLAS:
Dziwnej zagadki szukaj rozwiązania,
Najśmielszym przypuszczeniom dostępu nie wzbraniaj,
Wyśnij fatalność losu, co niesamowicie
Drwi z człowieka: olśniewa go łamiąc mu życie.
Sporządź groźną truciznę. Wykop straszną przepaść,
Głębszą niż szał, czarniejszą niźli zbrodnia ślepa... —
A jeszcze się nie zbliżysz do mego sekretu.
Nie zgadłeś? Ha, któż zgadłby? Któż by dognał mnie tu?!
Spójrz w otchłań, w której ginę. Niechaj padnie słowo,
Co mnie przejmuje lękiem: ja kocham królową!
DON CEZAR:
Boże!
RUY BLAS:
W królewskich zamkach, starszych od Wersalu,
Tu lub w Aranjuezie, albo w Eskurialu
Przebywa mocarz... Przestrach budzi jego imię;
Przy nim my tutaj wszyscy: karły przy olbrzymie;
Wszyscyśmy przed nim równi — jak w obliczu Boga;
Służymy mu na klęczkach, wzrok nam mąci trwoga;
Wielkim zaszczytem — przy nim stać z nakrytą głową;
By ścięto ją — wystarczy jedno jego słowo;
Każdą jego fantazję historia stokrotni,
Czyni ją wydarzeniem... W swej dumnej samotni
Człowiek ten trwa zamknięty w cieniu majestatu,

Którego brzemię ciąży nad połową świata...
Otóż — słyszysz! — ja, lokaj, pachołek żałosny,
O niego, tak, o króla... ja jestem zazdrosny!
DON CEZAR:
Ty! o króla?
RUY BLAS:
Cóż robić? Kocham jego żonę.
DON CEZAR:
Biedaku!
RUY BLAS:
Serce moje bije jak szalone,
Gdy co dzień na jej przejście czekam... Nieszczęśliwa
To jest kobieta. Żywot jej smętnie upływa
Na tym dworze, gdzie pełza podłość i obmowa.
Jej mąż-półgłówek spędza wszystek czas na łowach —
Trzydziestoletni starzec, co się nie nadaje
Zgoła ani do życia, ani do rządów krajem.
Zwyrodniałego szczepu pokraczna odnoga...
A ona, taka piękna i młoda — na Boga! —
Jego żoną... Uwierzyć trudno tej ohydzie!
Codziennie na odwieczerz do klasztoru idzie
Sióstr Różańcowych. Widzisz: oto ta ulica.
Jak się we mnie zerwała owa nawałnica —
Sam nie wiem. Lecz posłuchaj: jest pewna odmiana
Błękitnych kwiatów z Niemiec, przez nią ukochana.
Więc co dzień po te kwiatki milę gnam piechotą
Stąd aż do Caramanchel; no tak: tylko po to...
Gdyż jedynie tam rosną; szukałem już wszędzie...
Słuchaj dalej o słodkim tym moim obłędzie:
Jak złoczyńca do parku nocą się zakradam
I na jej ulubionej ławce bukiet składam.
A wczoraj nawet (Boże, jak mi drżały dłonie!)
Wczoraj list między kwiaty wsunąłem — list do niej...
By się tam dostać, muszę wspinać się po murze,
Co park otacza; mur ten najeżony w górze
Żelaznymi kolcami, które szarpią ciało.
Kiedyś może przypłacę życiem swoją śmiałość.
Jaki los mych bukietów? Czy mój list ją doszedł?
Nie wiem. Szaleńczych rojeń co dzień mękę znoszę.
DON CEZAR:
Do licha! Drżę o ciebie — boś mi niemal bratem.
W królowej też się kocha mistrz dworu Ornate;
Strzeże jej i z urzędu i jako wielbiciel.
Łacno się może zdarzyć, że utracisz życie
Z ręki nocnego stróża, który ci z pogardą
Ten twój bukiet do serca przypnie halabardą.
Lecz... kochać się w królowej? Zaiste, dziwaczne
Masz pomysły! Skąd? Czemu?

RUY BLAS *(z uniesieniem):*

Ach! od czegóż zacznę?!
Gotówem na mą duszę zawrzeć pakt z szatanem,
Byle bym stał się takim eleganckim panem
(wskazując przez okno)
Jak tamci — spójrz! — Ten widok jak drwina mnie kole...
Wejść ze szpadą u boku i z dumą na czole!
O, tak! Oddałbym duszę, by zrzucić okowy,
Abym miał tak jak oni przystęp do królowej,
Abym się pozbył stroju, co mnie zerem czyni...
Lecz, przebóg! W tej liberii stanąć przed nią, przy nich!
W liberii, jako lokaj! Lokajem być dla niej!
O, Boże miłosierny, jak to strasznie rani!
(zbliża się do don Cezara)
Pytasz: odkąd ją kocham? — Czyż mam dni obliczać?!
I: czemu? — Cóż ci powiem? Zawsześ miał ten zwyczaj
(W najzacniejszych zamiarach, za to mogę ręczyć)
Tysiącem pytań serce przyjaciela dręczyć...
Lecz do ognia nie trzeba podchodzić zbyt blisko!
Kocham ją do szaleństwa. Kocham ją — to wszystko.

DON CEZAR:

Gniewasz się?

RUY BLAS *(wyczerpany pada na fotel):*

Nie. Lecz cierpię. Wybacz. Albo raczej
Odejdź, bracie, pozostaw mnie mojej rozpaczy:
Żałosnego szaleńca, co z trwogą zataja
Swą królewską namiętność pod strojem lokaja!

DON CEZAR *(kładąc mu dłoń na ramieniu):*

Rzucić cię? Ja, co nie wiem, czym jest ból, czym urok
Miłości; ja — dzwon pusty, milczący ponuro;
Żebrak złudzeń, któremu do sakwy podróżnej
Los od czasu do czasu ciska grosz jałmużny;
Ja, człek o zziębłym sercu, gdzie trwa chłód bez zmiany;
Wczorajszego spektaklu afisz poszarpany —
Wyznaję ci: olśniony blaskiem twej miłości
Druch twój tyleż współczuje ci, ile zazdrości!

(Chwila milczenia. Przyjaciele trzymają się za ręce, patrząc na siebie z wyrazem smutku i serdecznej przyjaźni. Wchodzi don Salluste. Zbliża się zwolna, z natężoną uwagą wpatrując się w don Cezara i Ruy Blasa, którzy go nie widzą. Don Salluste w jednej ręce trzyma kapelusz i szpadę; składa to zaraz po wejściu na fotelu. W drugiej ręce ma worek z pieniędzmi, który kładzie na stół.)

DON SALLUSTE *(do don Cezara):*

Oto pieniądze.

DON CEZAR *(na stronie, pozierając z ukosa na don Salluste):*

Jakoś mi wygląda na to,
Że się nam przysłuchiwał zza drzwi pan senator...

A zresztą, pal go diabli!
(głośno:) Dzięki, don Salluste.

Otwiera worek, wysypuje pieniądze na stół i z zadowoleniem układa je w kupki na aksamitnej narzucie. Podczas gdy je liczy, don Salluste idzie w głąb sceny, oglądając się, czy nie został zauważony przez don Cezara. Otwiera drzwiczki po prawej stronie. Na jego znak wchodzą trzej alguazile uzbrojeni w szpady i czarno odziani. Don Salluste z tajemniczą miną wskazuje im don Cezara. Ruy Blas stoi nieruchomy jak posąg przy stole, nic nie widząc i nie słysząc.)

DON SALLUSTE *(szeptem do alguazilów):*
Kiedy ten człowiek, który siedzi tam pod lustrem,
Wyjdzie, ruszycie za nim i, nie tracąc czasu,
Schwytacie go — gładziutko, zręcznie, bez hałasu.
Potem — prosto do portu. Stamtąd — na okręcie —
Do Denii. *(wręcza im papier z pieczęcią)*
Oto rozkaz: mój podpis, pieczęcie...
Kiedy rozpuści gębę — macie mu ją zatkać...
Afrykańskim korsarzom sprzedacie gagatka.
Tysiąc piastrów nagrody. Żwawo, do roboty!
(trzej policjanci kłaniają się i wychodzą)
DON CEZAR *(kończąc układanie złota):*
Rozkosznie człek się czuje, gdy stos monet złotych
(Własnych!) w takie równiutkie szeregi układa!
(dzieli pieniądze na dwie równe części i zwraca się do Ruy Blasa)
Oto twoja część.
RUY BLAS:
Jak to?
DON CEZAR:
Bierz i nic nie gadaj!
Jesteś wolny.
DON SALLUSTE *(przypatrujący się im z głębi sceny):*
Do diabła!
RUY BLAS *(potrząsając głową przecząco):*
Nie, to nie wyzwoli
Serca... Muszę pozostać. Tu kres mojej doli.
DON CEZAR:
Ha, trudno. Jak chcesz. Kto z nas mądry, kto szaleniec —
Bóg wie...
(zbiera dukaty do worka i chowa go do kieszeni)
DON SALLUSTE *(na stronie, wciąż ich obserwując):*
Dziwnie podobni: postawa, wejrzenie...
DON CEZAR:
Żegnaj.
RUY BLAS:
Daj rękę.
(Ściskają sobie dłonie. Don Cezar wychodzi, nie zauważywszy don Salluste, który wciąż stoi z boku w głębi sceny.)

Scena czwarta

Ruy Blas, don Salluste

DON SALLUSTE:
Ruy Blas.
RUY BLAS:
Słucham.
DON SALLUSTE:
Gdyś przede mną
Przyszedł, już światło?
RUY BLAS:
O, nie, całkiem ciemno
Było jeszcze, gdym mijał wartownię przy placu.
DON SALLUSTE:
Byłeś w płaszczu?
RUY BLAS:
Tak, panie.
DON SALLUSTE:
Nikt zatem w pałacu
Nie widział cię w liberii?
RUY BLAS:
Nikt w całym Madrycie,
Na pewno, jaśnie panie.
DON SALLUSTE:
A, to wyśmienicie.
(wskazując drzwi, którymi wyszedł don Cezar)
Zamknij drzwi, zrzuć ten ubiór.
(Ruy Blas zdejmuje skwapliwie kaftan i rzuca go na fotel)
...Podobno potrafisz
Pięknie pisać. Skorzystać chcę z twej kaligrafii...

(Gestem nakazuje Ruy Blasowi zasiąść przy stole, gdzie rozłożone są przybory do pisania.)

Bądź mi dziś sekretarzem. Siadaj do pisania.
Najpierw słodki bilecik (serce ci odsłaniam!)
Do królowej mych myśli... Ta donna Prakseda —
To anioł, dla którego piekłu bym się sprzedał!
(dyktuje):
„Burza wisi nade mną..." Już? Dyktuję dalej:
„Tylko moja królowa może mnie ocalić —
Jeśli do mego domu raczy przyjść dziś w nocy.
Inaczej zginę. Innej nie czekam pomocy.
Serce me, myśli, życie u stóp twoich składam,
Całując je..."
(przerywa dyktowanie i śmieje się)
Ta burza — to efekt nie lada:
Przyjdzie! Ja znam się na tym: kobiety gest luby

Ratować właśnie tego, kto sprawcą jej zguby.
Dodaj: „Sekretne drzwiczki, z tyłu, przy szpalerze,
Ktoś wierny ci otworzy. Nikt cię nie spostrzeże..."
Dalibóg, epistoła jest całkiem udana!
A... prawda: jeszcze podpis...

RUY BLAS *(domyślnie):*

Imię jaśnie pana?

DON SALLUSTE:

Nie, podpisz „Cezar": to mój „bojowy proporzec"...

RUY BLAS *(wahając się, wreszcie pisze):*

Lecz damę obce pismo gotowe zatrwożyć...

DON SALLUSTE:

Eh! grunt — to pieczęć. System ten stale mi służy.
Dzisiaj wyjeżdżam. Ty masz pozostać tu dłużej.
Szczerze pragnę, by życie twe uległo zmianie.
Lecz — aby się to stało — musisz niezachwianie
Ufać mi i posłusznym być we wszystkim. Świetnie
Zawsześ mi służył: pilnie, wiernie i dyskretnie.
Godnyś wyższego losu...

RUY BLAS *(z pokłonem):*

Ach, panie! Co słyszę?

(po chwili)

A... adres na tym liście?

DON SALLUSTE:

Adres sam dopiszę.

(ze znaczącym spojrzeniem zbliża się do Ruy Blasa)

Chcę twego szczęścia. Teraz...

RUY BLAS:

Słucham jaśnie pana.

DON SALLUSTE *(po chwili, dając mu znak, by znów usiadł przy stoliku):*

Pisz: „Ja, Ruy Blas, służący markiza Bazana,
Przyrzekam każdy jego rozkaz bez dyskusji
Spełnić — tak jak przykładny lokaj czynić musi".

(Ruy Blas pisze)

Podpisz: nazwisko, data...

(Don Salluste chowa do partfelu list i to oświadczenie)

Teraz, przyjacielu,
Przyjrzyjmy się tej szpadzie, o tam, na fotelu.

(wskazuje fotel, po czym podchodzi i bierze szpadę)

Temblak jest wręcz przepiękny — jakem don Salluste! —
Jedwab przedni, haft suty, wykonany z gustem.
A rękojeść: te skręty, te subtelne linie!
Robił ją Gil, mistrz wielki, który z tego słynie,
Że najzgrabniej głowicę rzeźbi. Tu się chowa
Puzderko na pastylki — by damy częstować...

(przywiesza szpadę do boku Ruy Blasowi)

Przymierz ją: sprawdzę, czy się równo pas układa.
Ależ pysznie wyglądasz: pan z dziada pradziada!
(nasłuchuje)
Ktoś idzie... Prawda: wkrótce królowa się zjawi...
Oto markiz del Basto!

(Drzwi w głębi, od galerii, otwierają się. Don Salluste pośpiesznie zdejmuje płaszcz i zarzuca go na ramiona Ruy Blasowi — w chwili gdy się ukazuje markiz del Basto; następnie idzie wprost ku niemu, ciągnąc za sobą osłupiałego Ruy Blasa.)

Scena piąta

Don Salluste; Ruy Blas; Don Pamfilo d'Avalos, markiz del Basto; później: markiz de Santa-Cruz; następnie: hrabia Alba; wreszcie: cały dwór.

DON SALLUSTE *(do markiza del Basto):*
Mam zaszczyt przedstawić:
Kuzynek mój: don Cezar, hrabia de Garofa.
RUY BLAS *(na stronie):*
Boże!
DON SALLUSTE *(szeptem do Ruy Blasa):*
Milcz!
DEL BASTO:
Panie...
(podaje Ruy Blasowi rękę, którą ten ujmuje z zakłopotaniem)
DON SALLUSTE *(jak wyżej):*
Teraz nie wolno się cofać...
Skłoń się.
(Ruy Blas kłania się markizowi)
DEL BASTO *(do Ruy Blasa):*
Wielce rad jestem, że się spotykamy:
Wszak znałem pańską matkę, to wzór wielkiej damy!
(cicho do don Salluste, wskazując mu Ruy Blasa):
Mocno się zmienił. Ledwo poznałem go...
DON SALLUSTE *(cicho do markiza):*
Przecie
Dziesięć lat go nie było...
DEL BASTO *(jak wyżej):*
Prawda!
DON SALLUSTE *(klepiąc Ruy Blasa po ramieniu):*
Gnał po świecie!
Pamiętasz go, markizie? Kapryśny bez miary,
Garściami dookoła rozrzucał talary:
Co wieczór huczna feta w „Gajach Apollina",
Coraz to nowy pomysł, niespodziany finał,

Pływające kapele, pląsy koryfejek,
Maskarady, kiermasze, uczty, gdzie się leje
Najkosztowniejsze wino wprost całymi wiadry...
Szaleństwa, nad którymi zdumiewał się Madryt!
W ciągu trzech lat majątek roztrwonił ze szczętem...
Dziś z Indii pełnym złota powraca okrętem.

RUY BLAS *(z zakłopotaniem):*

Panie...

DON SALLUSTE *(wesoło):*

Mów mi „kuzynie". Więzy krwi szanujmy!
Wywodzić się z Bazanów nie przynosi ujmy!
Naszym wspólnym był przodkiem Iniguez d'Iviza,
Który miał wnuka Pedra de Bazan, markiza,
Co zaślubił Mariannę de Gor; z niej się rodzi
Jan, admirał, co flotą hiszpańską dowodzi
Za króla don Filipa; dwaj synowie Jana —
To dwie odnogi szczepu don Pedra Bazana:
Moja — markizów Finlas i twoja, kuzynie:
Hrabiowska — de Garofa. Krew w nas jedna płynie.
Jam z linii portugalskiej, ty zaś po kądzieli
Z aragońskiej pochodzisz; to tylko nas dzieli.
Twoja gałąź nie niższa, cień jej równie długi,
Jestem owocem pierwszej, a ty — kwiatem drugiej.

RUY BLAS *(na stronie):*

Dokąd mnie wiodą?

(Podczas słów don Salluste, zbliżyli się ku nim: markiz de Santa-Cruz i don Alvar de Bazan'y Benavides, starzec z białymi wąsami i w dużej peruce.)

SANTA-CRUZ *(do don Salluste):*

Nie ma luk w wywodzie takim,
A kuzyn twój mnie także wypada krewniakiem.

DON SALLUSTE:

Prawda, markizie: gniazdo mamy przecie wspólne.

(przedstawiając Ruy Blasa)

Don Cezar. Pan de Santa-Cruz.

SANTA-CRUZ:

A to szczególne:
Chyba nie ten, co pono zmarł gdzieś poza krajem?

DON SALLUSTE:

On właśnie!

SANTA-CRUZ:

Wrócił?

DON SALLUSTE:

Z Indii.

SANTA-CRUZ *(przyglądając się Ruy Blasowi):*

Ach, prawda! Poznaję...

DON SALLUSTE:

Rzeczywiście?

SANTA-CRUZ:

Ja myślę: pamiętam go takim!

DON SALLUSTE *(cicho do Ruy Blasa):*

Dziad niedowidzi, ale kryje się z tym brakiem.
„Poznał cię" — aby dowieść, że ma dobre oczy...

SANTA-CRUZ *(wyciągając rękę do Ruy Blasa):*

Witaj, drogi kuzynie!

RUY BLAS *(z ukłonem):*

Panie...

SANTA-CRUZ *(na stronie do don Salluste):*

Jest uroczy!

(do Ruy Blasa)

Cieszę się, że cię widzę.

DON SALLUSTE *(na stronie do markiza de Santa-Cruz):*

Spłacę jego długi.
Czy nie mógłbyś mi drobnej wyświadczyć przysługi?
Może wakuje jaka posada przy dworze:
Przy królu?... Przy królowej?...

SANTA-CRUZ *(cicho do don Salluste):*

Pomyślę... Być może...
Miły młodzian... I krewniak... Owszem, nie zapomnę.

DON SALLUSTE *(cicho, odprowadzając na bok markiza):*

Przecie w Radzie Kastylii wpływy masz ogromne.
Polecam go twym względom.

(Opuszcza markiza de Santa-Cruz i podchodzi ku innym panom, którym przedstawia Ruy Blasa. Jest wśród nich hrabia Alba, wspaniale ubrany).

Pozwolą panowie:
Don Cezar de Garofa, mój kuzyn.

(Panowie z powagą wymieniają ukłony z zakłopotanym Ruy Blasem. Don Salluste do jednego z nich)

Cóż powiesz
O wczorajszym wieczorze? Prześliczny był balet.
Ta Lindamira! Trudno nie wielbić jej zalet...

(do hrabiego Alba)

Pyszny strój!

HRABIA ALBA:

Miałem lepszy...

DON SALLUSTE:

Czy być może, hrabio?

HRABIA ALBA:

Tak, z różowego, złotem dzianego jedwabiu.
Lecz mi go Matalobos ukradł

ODŹWIERNY DWORU:

Proszę panów
Na miejsca. Dwór nadchodzi.

(Wielkie zasłony szklanej galerii rozsuwają się. Panowie ustawiają się po obu stronach drzwi. Gwardziści stają w szeregu. Ruy Blas, dysząc, w najwyższym podnieceniu, idzie na przód sceny, jak gdyby chroniąc się tam. Don Salluste idzie za nim.)

DON SALLUSTE *(półgłosem do Ruy Blasa):*

Ocknij się, zastanów!
Drżysz — gdy do ciebie nowe uśmiecha się życie!
Słuchaj: dzisiaj wyjeżdżam. Zostajesz w Madrycie.
Oddaję ci na własność ten dom koło mostu.
Nie biorę nic prócz kluczy sekretnych. Po prostu
Wszystko twoje: dom, sprzęty, z Murzynami razem.
Niebawem list otrzymasz z nowym mym rozkazem.
Bądź mi posłuszny: świetna czeka cię kariera.
Śmiało wzwyż się posuwaj. Pora właśnie teraz.
Dwór — to kraj, gdzie niekiedy stąpamy jak ślepi...
Zamknij oczy. Ja patrzę za ciebie. Tak lepiej...

ODŹWIERNY DWORU *(w głębi sceny, gdzie się ukazują nowi gwardziści):*

Królowa!

RUY BLAS *(na stronie):*

Ach! królowa...

(Królowa, wspaniale ubrana, ukazuje się w otoczeniu dam dworu i paziów, pod szkarłatnym baldachimem niesionym przez czterech szlachty — pokojowców królewskich — z gołymi głowami. Przejęty do głębi Ruy Blas wpatruje się w nią, jakby pochłonięty tą urzekającą wizją. Wszyscy grandowie hiszpańscy — markiz del Basto, hrabia Alba, markiz de Santa-Cruz i don Salluste — nakrywają głowy. Don Salluste śpiesznie podchodzi do fotela, na którym leży kapelusz, zabiera kapelusz i wkłada go na głowę Ruy Blasowi.)

Cóż to, przyjacielu?
Jesteś grandem Hiszpanii! Żywo, włóż kapelusz!

RUY BLAS *(ledwo przytomny, szeptem):*

Co jaśnie pan rozkaże, nim się pożegnamy?

DON SALLUSTE *(wskazując mu królowę przechodzącą powoli przez galerię):*

Spodobaj się i zostań kochankiem tej damy.

przełożył **Gabriel Karski**

KRYSTYNA KULICZKOWSKA

O twórczości Władysława Umińskiego

Pisarz trzech pokoleń

Władysław Umiński pierwszą swą powieść dla młodzieży wydaje w roku 1891. W latach dziewięćdziesiątych i pierwszym dziesięcioleciu wieku XX jest jednym z najbardziej płodnych i najbardziej poczytnych pisarzy młodzieżowych. Książki jego, natychmiast wchłaniane przez rynek wydawniczy, wznawiane były częstokroć po upływie roku lub dwóch od chwili ukazania się w druku. Wznawiano je wielokrotnie i w dziesięcioleciach następnych, przeważnie w nieco zmienionej przez autora redakcji, z uwzględnieniem najnowszych badań naukowych. Niektóre jego książki, np. B a l o n e m d o b i e g u n a, ukazały się po wyzwoleniu w dziesiątym już wydaniu i dziesiątej wersji.

W r. 1952 — w uznaniu zasług sześćdziesięcioletniej działalności pisarskiej — Umiński odznaczony został Krzyżem Odrodzenia Polski. Młodzież Polski Ludowej należy do trzeciego już pokolenia jego czytelników. Najcelniejsze jego pozycje do dzisiaj nie utraciły swego waloru poznawczego i mocy oddziaływania wychowawczego. Wiele innych jednak, trzeba od razu dodać, zachowało jedynie wartość dokumentu, i to dokumentu, świadczącego niestety o staczaniu się na manowce ideologiczne pisarza, w którego twórczości znajdujemy skądinąd i głęboką solidarność z losami narodu uciskanego przez zaborców i ostre akcenty krytyki społecznej.

Twórczość Umińskiego jest pełna sprzeczności, które dzieli on wprawdzie z większością burżuazyjnych pisarzy okresu, istnieje tu jednak pewna „specyfika" tych sprzeczności, ze względu na to, że powieść młodzieżowa, traktowana jako drugorzędna i reprezentowana w istocie przez mniej utalentowanych wyrobników pióra, była bardziej związana z „zamówieniem wydawniczym" firm kapitalistycznych i stwarzała bardziej podatne niż w „wielkiej" literaturze pole do kierowania się chwilowym bodaj oportunizmem.

Linia podziału ideologicznego twórczości Umińskiego na te powieści, które cenimy dziś za postępowe wartości, i na te, w których autor stoczył się na pozycje wsteczne, nie jest łatwa do przeprowadzenia, zwłaszcza że linia ta przebiega częstokroć wewnątrz utworu i wikła jego jednoznaczną wymowę ideowo-artystyczną.

Szkic niniejszy jest próbą przeprowadzenia tego podziału z uwypukleniem tych elementów, które uważamy dziś za najbardziej twórcze i trwałe. Zważywszy, że badania historyczno-literackie nie objęły dotąd niezwykle bogatego, a bardzo zachwaszczonego obszaru literatury młodzieżowej, próba ta ma przede wszystkim na celu naświetlenie problemu centralnego: jakie znaczenie ma twórczość Umińskiego jako pisarza „egzotycznego" na tle dominującego nurtu powieści obyczajowej współczesnej, jakie konsekwencje ideologiczne wynikają z zastosowania przez pisarza przede wszystkim tej formy. Nie ma tu miejsca na bliższą analizę poszczególnych pozycji: zostały jedynie wytypowane te, które na przypomnienie i analizę zasługują.

Od programu pozytywistycznego do „powieści przygód"

Czynnikiem decydującym o charakterze twórczości Umińskiego były jego zainteresowania naukowe. Liczne prace popularyzatorskie z zakresu przyrody,

geografii i etnografii, artykuły i odczyty popularno-naukowe — to równoległy do beletrystyki dla młodzieży i rozległy teren jego działalności. Umiński wykorzystywał w swych powieściach najnowsze badania naukowe, chwytał „na gorąco" toczące się w prasie dyskusje i budował w oparciu o nie fabułę powieściową, przedłużając myślą wynikające z nich perspektywy dalszych osiągnięć, dopełniając rzetelnymi studiami realia, których sam nie zaobserwował. „Sięgałem zawsze — mówi sam o sobie — do źródeł z pierwszej ręki, dzięki czemu pierwiastek fantastyczny nie wykracza w moich utworach poza dozwolone granice fikcji. Moje studia przyrodnicze zmuszały mnie do gruntownego zaznajomienia się z etnografią, geografią i etnologią opisywanych krajów i życia jego ludów."

Rzetelny podkład naukowy w powieściach Umińskiego, entuzjazm dla najnowszych zdobyczy wiedzy, kult nauk przyrodniczych — to niewątpliwe dziedzictwo pozytywizmu, dziedzictwo jednak, które nie niosło ze sobą wszystkich ideologicznych konsekwencji „kultu wiedzy" głoszonego przez wyznawców kapitalistycznego postępu z lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych. Od współczesnej produkcji powieściowej dla młodzieży, pisanej na zamówienie pedagogów okresu, twórczość Umińskiego odcina się w sposób zdecydowany.

Przypomnijmy pokrótce, jaki charakter miała ta produkcja.

Doba pozytywizmu i realizmu krytycznego była okresem niezwykle bujnego rozkwitu powieści młodzieżowej. W latach 1870—90 powstały lub rozwinęły się wszystkie możliwe rodzaje tej powieści: obyczajowa współczesna, historyczna, podróżnicza, naukowo-fantastyczna, fantastyczno-przyrodnicza, „dla dorastających panienek", nie mówiąc już o niezliczonych rodzajach beletryzowanych pogadanek. Piszą je początkowo „specjaliści" od literatury młodzieżowej na „zamówienie pedagogiczne" młodej burżuazji, dla której przygotowanie młodzieży do nowych zadań w okresie szybko następujących przemian kapitalistycznych stało się sprawą domagającą się natychmiastowej realizacji. W tworzeniu pozytywistycznego programu literatury dla młodzieży biorą udział najlepsi krytycy i pedagogowie okresu: Piotr Chmielowski, Adolf Dygasiński, Florian Łagowski, Henryk Wernic i inni. Powieść dla młodzieży miała, w myśl ich postulatów, sprzyjać kształtowaniu przyrodniczego poglądu na świat, wyrabiać władze poznawcze, przygotowywać do uprawiania zawodów w nowym układzie sił społecznych, tworzyć nowy typ bohatera-działacza, którym ma być, według wskazówek Chmielowskiego, „szlachetny i rozumny przemysłowiec" (recenzja w „Roczniku Pedagogicznym"). Realizacja tego programu, która w twórczości „dorosłej" święciła krótkotrwałe i wątpliwe triumfy, tutaj ma dłuższy okres trwania i szerszy zasięg: w latach rosnącego już rozczarowania do „podbojów handlowo-przemysłowych", gdy rozwijała się już w pełni literatura realizmu krytycznego, tutaj nadal pozytywny bohater z podupadłej rodziny szlacheckiej dzielnie przezwycięża wszelkie trudności, a panienki z dobrego domu umieją pokazać, że nie należy wstydzić się żadnej pracy i przystosowują się do nowych warunków życia, nie podzielając tragicznego losu Marty z powieści Orzeszkowej.

Mimo iż w latach osiemdziesiątych krytyka pedagogiczna wypowiedziała walkę dydaktyczno - moralizatorskim dziełkom o niskim poziomie artystycznym i w walce o „prawdziwą" literaturę wzięli udział i poparli ją swym piórem tacy autorzy, jak Orzeszkowa, Świętochowski, Konopnicka (zbiorowe pismo Światełko, wydane w roku 1884), należy stwierdzić, że podsta-

wowe tendencje pedagogiczne wyrażające się w tych dziełkach, nie zostały przez nich podważone.

Obserwować tu można typowe dla burżuazyjnej literatury młodzieżowej zjawisko: oto do literatury tej o wiele trudniejszy dostęp miały te treści ideologiczne, które w „dorosłej" twórczości były produktem krytyki własnej klasy, które wypływały z załamania się optymistycznej wiary w postęp kapitalistyczny. Tym samym autorom, którzy w swych utworach dali realistyczny wyraz sprzecznościom, nurtującym burżuazyjne społeczeństwo, czujność pedagogiczna „na niższym piętrze" twórczości nakazywała tuszowanie konfliktów społecznych, izolowanie młodego czytelnika od wszelkich zapalnych problemów życia, stosowanie dydaktycznego wzorca ze sztucznie doczepionym *happy endem*, podtrzymywanie optymistycznych złudzeń i mitu harmonii społecznej w okresie coraz ostrzejszych klasowych sprzeczności.

Tym bardziej interesują nas drogi, którymi przedostawały się do literatury młodzieżowej elementy krytyki społecznej, tym bardziej godny zbadania jest teren twórczy, który sprzyjał ucieczce od owej gloryfikacji istniejącego układu społecznego. Terenem tym była awanturnicza beletrystyka przygodowa, zaś autorem, który najobficiej go eksploatował — był Władysław Umiński.

Twórczość jego wymyka się wyraźnie z kręgu pozytywistycznego programu. Ani jedną pozycją nie wzbogacił szeroko rozpowszechnionej w latach osiemdziesiątych, bałamutnej w sensie naukowym, fantastyki przyrodniczej. Niewiele miał na swoim koncie i szybko się wycofał z pogadanek krajoznawczo-przyrodniczych ujętych w formę beletrystyczną (Z W a r s z a w y d o O j c o w a), lansowanych przez program pozywistyczny w dziedzinie twórczości młodzieżowej i w swym sielankowym charakterze zupełnie z programem tym zgodnych. Nie najlepiej udawały mu się „swojskie" powieści przygód, jak S y n o w i e p u s z c z y, gdzie wyprawa bohaterów na pocztę po książki jest sztucznie rozdęta i naiwna. Współczesna rzeczywistość nie pobudzała go do stworzenia nowej heroiki. Czuł się w swoim żywiole, gdy pisał o dalekich wędrówkach, o odkrywczych badaniach, o nieznanych terenach.

„Egzotyczno - przygodowa" tematyka pociągnęła też innych pisarzy młodzieżowych okresu, zaangażowali się tutaj jednak przede wszystkim jako tłumacze. Recepcja zachodnio-europejskiej „powieści przygód" przybrała bowiem w ostatnim dwudziestopięcioleciu wieku XIX niebywałe rozmiary.

W ciągu dziesięciolecia rynek wchłonął i wznowienia osiemnastowiecznych klasyków „powieści przygód" — Defoe'go i Swifta, i niezliczone nowe robinsonady, i powieści pionierskie Coopera, i dziesiątki innych książek podróżniczo-awanturniczych: Stewensona, Mayne Reida, Birda, Jacolliota. Na tym tle krzewi się bujnie najbardziej reprezentatywna dla okresu, wchłaniająca w siebie wszystkie niemal elementy wyliczonych powyżej powieści — twórczość Juliusza Verne'a (ponad 40 powieści w latach 1870—1900).

Reakcja pedagogów doby pozytywizmu na tę istotną powódź przekładowej „literatury przygód" nie dała na siebie długo czekać. Rozmiary tej produkcji wybiegały daleko poza założenia wychowawcze, stawiane przez nich książce dla młodzieży. W programie ich było miejsce i na tematykę podróżniczą, i na fantastykę „opartą na prawdopodobieństwie", lecz tylko do pewnej granicy. Adolf Dygasiński pochwala opowiadania o zwyczajach i obyczajach różnych ludów, akceptuje książki zaznajomiające młodzież z egzotyczną przyrodą, lecz zaraz dodaje: „Nie tylko same przygody

i podróże należy dawać młodzieży... poza tym wszystkim istnieje jeszcze świat ludzki, do którego wprowadza nas historia."

Zaznaczają się tutaj wyraźnie granice burżuazyjnego humanizmu pisarzy pozytywistycznych. „Świat ludzki" — ubożeje na tle przygód i podróży po dalekich krajach, obejmuje on bowiem przede wszystkim dążenia i przeżycia człowieka, którego wychowuje się do nowych zadań w społeczeństwie kapitalistycznym, który realizuje w życiu ideał rozumnego, użytecznego pracownika, umie łączyć zdobywanie majątku ze szlachetną działalnością filantropijną, by nie zakłócać solidarystycznej wizji harmonii społecznej. Nie przypadkiem właśnie Dygasiński przenosi „egzotykę" na grunt polski, pisząc Robinsona Polskiego czyli Przygody młodzieńca (1896) i nie przypadkiem próba stworzenia nowej heroiki na tle warunków życia w kraju, w myśl konsekwentnie podtrzymywanej ideologii pozytywistycznej — nabiera akcentów skrajnego pesymizmu. Życie w „Robinsonie" jest dżunglą, w której rządzi nieubłagane prawo walki o byt, prawo siły, sprytu i podstępu; jedynym środkiem samoobrony, uchronienia się przed ostatecznym zepchnięciem na dno i podeptaniem, jest jednostkowa, najzupełniej „prywatna" szlachetność, traktowana jako wieczne i niezmienne „prawo ekonomiczne" w przeciwstawieniu do praw ekonomicznych, głoszonych przez socjalistów.

Dygasiński jako autor głosił kapitulancką filozofię życiową — zaś jako pedagog podzielał poglądy tych, którzy pod hasłem podniesienia poziomu literatury młodzieżowej przeciwstawiali się „szkodliwej egzotyce", i traktowali jako dezerterów polskich autorów, poświęcających przede wszystkim tej tematyce swą twórczość. „Egzotyka" była niebezpieczna: ingerencja treści wymykających się z kręgu pozytywistycznego programu była tutaj o wiele trudniejsza do opanowania od strony krytyki pedagogicznej.

Umiński był właśnie traktowany po trosze jako dezerter. Jeszcze w r. 1904 Aniela Szycówna, omawiając szczegółowo w swym Rysie historycznym literatury dziecięcej twórczość pisarzy ostatniego trzydziestolecia, Umińskiemu poświęca zaledwie wzmiankę. Podzielił on los wielu autorów obcych, którzy zarzucali rynek literaturą „rozrywkową", uznaną za bezproduktywną pedagogicznie tandetę. Nie przypadkiem uznano go „tylko" za naśladowcę i obdarzono przydomkiem „polskiego Verne'a."

Czy „polski Verne"?

W latach dziewięćdziesiątych na rynku nasycanym już od lat dwudziestu przekładami Verne'a pojawia się powieść polska, odpowiadająca tematem na temat. Porywające przygody na morzu kapitana Nemo czy dzieci kapitana Granta znajdują odpowiednik w Zwycięzcach oceanu i Przygodach łodzi podwodnej, w odpowiedzi na 5 tygodni balonem nad Afryką pojawia się Balonem do bieguna, na Podróż dokoła księżyca — W nieznane światy; odpowiednikiem egzotycznych powieści Verne'a osnutych na wydarzeniach z niedawnej przeszłości, jak Walka Północy z Południem — są takie powieści Umińskiego jak Flibustierowie czy Tajemnicza bandera. Za vernowską Szkołą Robinsonów idą liczne robinsonady Umińskiego, jak W ędrowna wyspa, Czarodziejski okręt, Na falach Atlantyku i inne. W powieściach fantastyczno-naukowych polski autor dorównuje francuskiemu w pomysłach nowych, wspaniałych wynalazków: aero-

statku rozwijającego niespotykaną dotąd szybkość, potężnej lunety, przez którą można obserwować zjawiska na Marsie, telegrafu zdolnego przesłać wiadomość na 5000 km itd.

Ten pobieżny rejestr tematyczny służy wykazaniu, jak szerokie były podstawy do obdarzenia Władysława Umińskiego mianem „polskiego Verne'a", a zarazem ma być punktem wyjścia rozważań zmierzających do udowodnienia, że były to jednak podstawy zbyt skąpe i dla naszego autora krzywdzące, gdyż obniżające ścisły jego związek z warunkami polskiego życia, reprezentatywność jego twórczości dla przemian ideologicznych, jakim ulegała polska burżuazja w dwudziestoleciu obejmującym przełom wieków. Burżuazyjna krytyka, sprowadzająca do zachodnio-europejskich wzorów twórczość większości naszych pisarzy, i tutaj znalazła poparcie dla swych teorii.

Jak przedstawiała się sprawa w rzeczywistości? Vernowska „powieść przygód" podobnie jak angielska powieść Stewensona — wyrosła na gruncie schyłkowej już w tym okresie kultury mieszczańskiej, która w egzotyce i fantastyce próbuje odrodzić optymistyczną wiarę w rozwój społeczny w ramach ustroju kapitalistycznego, w człowieka czynu, w nieograniczoną moc ludzkiej energii pasującej się z siłami natury, z przeciwnościami losu. Na dalekich od cywilizacji terenach było jeszcze miejsce na pionierów i zdobywców, na „wolnych", romantycznych bohaterów, którzy w starej Europie mogli się stać jedynie niewolnikami pieniądza, przyziemnymi zjadaczami chleba. Wskrzeszony romans awanturniczy nie był więc jedynie formą ucieczki od rzeczywistości, jak stało się to np. u Lotiego. „Kostium egzotyczny", pozwalający na pewne sprymitywizowanie układu faktów i ludzkich przeżyć, dawał zarazem okazję do prostej i surowej oceny czynów człowieka, do krytyki stosunków społecznych, które nie zapewniają mu warunków rozwoju i wprzęgają w niewolę silne indywidualności, przerastające swój czas.

Bohaterowie powieści Verne'a — to częstokroć ludzie skłóceni ze społeczeństwem, to tragiczne jednostki o wszelkich znamionach wielkości, jak kapitan Nemo; linia podziału między takimi ludźmi a uprawiającymi rozbój awanturnikami, jak bracia-bliźniacy z *Walki Północy z Południem*, jest przeprowadzona bardzo wyraźnie. W Vernowskiej „fantastyce przyszłości" zawierają się nie tylko optymistyczne perspektywy rozwoju nauki i postępu, lecz zarazem krytyczny osąd możliwości urzeczywistnienia się tego postępu w istniejących warunkach. Znamienna jest tutaj jedna z późniejszych powieści Verne'a — *Król przestrzeni* (tłum. 1909), w której genialny wynalazek Robura — maszyna powietrzna, będąca zarazem pojazdem, statkiem i łodzią podwodną — ginie wraz ze swym wynalazcą. „Ludzkość szarpią i dzielą interesy najsprzeczniejsze — mówi bohater przed śmiercią. — ...Gdy stanie na takim stopniu rozwoju, że wynalazku swego nadużyć nie zechce, dowie się o nim".

Nie trzeba, oczywiście, akcentów takich przeceniać i traktować ich zbyt zasadniczo. Elementy krytyki społecznej i antykapitalistycznego protestu splatają się w twórczości Verne'a z akcentami niedwuznacznej apoteozy mądrego i dobrego kapitalisty jak np. w *Czarnym węglu*, lub z beztroskim ujęciem kolonialnych zaborów (*W puszczach Afryki*). Ważna jest główna ideologiczna oś krystalizacyjna: Francuz w powieści Verne'a nigdy nie staje się bohaterem najbardziej atrakcyjnej, pobudzającej dumę „patriotyczną" awantury, jaką były imperialistyczne podboje, utworów jego żadne ogniwo nie łączy z Kiplingiem w swej genezie ideo-

logicznej, choć — praktycznie biorąc — siła wewnątrzklasowego protestu jego powieści malała z każdym rokiem nasilania się podbojów politycznych i cywilizacyjnych. „Egzotyka" stała się w końcu stulecia niebezpiecznie śliska dla głosicieli postępu techniki i wiedzy w duchu filozofii Comte'a, Spencera i Darwina. Pisarz francuski i pisarz polski umieli uchronić temat „egzotyczny" swej twórczości przed przekształceniem go w temat kolonialny, przed „zdobywczą" ideologią imperializmu i pod tym względem stoją w jednym szeregu.

Tutaj jednak kończą się podobieństwa, inne bowiem były drogi uniknięcia tych niebezpieczeństw u francuskiego pisarza, inne u polskiego, jak inne były drogi radykalizowania się i uwstecznienia francuskiej i polskiej burżuazji. Domeną twórczości Verne'a była fantastyka przyszłości, utopijne wizje wspaniałych technicznych osiągnięć, wykorzystanych dla dobra ludzkości. „Egzotyka" Umińskiego obracała się w kręgu podstawowego problemu polskiego życia narodowego — walki z uciskiem zaborców. Dlatego też trzeba wziąć w cudzysłów i potraktować jako odnośnik historyczny koncepcję „polskiego Verne'a".

„Egzotyka" przeciw ugodzie

Byłoby rzeczą co najmniej ryzykowną twierdzić, że „kostium egzotyczny" w twórczości Umińskiego był świadomie zostosowaną formą mającą służyć wyrażeniu protestu przeciw kreowanym przez młodzieżową literaturę pozytywistyczną bohaterom. Jest natomiast faktem, że większość bohaterów jego powieści walczy o zupełnie inne ideały, zakreśla sobie zupełnie inne cele życiowe niż pozytywni działacze dydaktyczno-moralizatorskiej produkcji Urbanowskiej, Morawskiej, Teresy Jadwigi Papi i wielu innych autorów (a zwłaszcza autorek) współczesnych.

Z jakich warstw rekrutują się ci bohaterowie, z jakich pobudek wyruszają w podróż, jaką rolę gra w jego powieściach Polak na dalekim świecie? Spróbujmy to prześledzić.

Pierwsza kategoria — to podróżnicy-amatorzy, którzy ze strzelbą lub aparatem fotograficznym wyprawiają się w dalekie kraje, gnani żądzą poznania dzikiej przyrody, nieznanych okazów zwierząt i obyczajów egzotycznych ludów. Ci przedstawiciele średnich warstw społeczeństwa najbardziej byli zbliżeni w swym „amatorskim" stylu podróży do wymagań, jakie bohaterowi powieści egzotycznej stawiała pedagogika pozytywistyczna, już tutaj jednak znajdujemy wyraźne przytyki pod adresem snobizmu podróżujących „z wygodami" milionerów (np. W podobłocznych krainach). Wśród tego typu podróżników są jeszcze w pierwszych powieściach Umińskiego tacy wątpliwi bohaterowie jak inżynier Elski ze Zwycięzców oceanu, który z poświęceniem broni honoru flagi amerykańskiej w walce o rekord podróżniczy z konkurencyjną wyprawą angielską, już jednak w powieściach nieco późniejszych (Podróż bez pieniędzy, książka, do której wznowienia przystępuje obecnie „Nasza Księgarnia"), awanturnicze koleje losu poszukiwacza przygód przetykane są gęsto złośliwymi docinkami pod adresem amerykańskiej reklamy i polującej na sensację prasy, autor ukazuje w krzywym zwierciadle władców pieniądza — milionerów i businessmanów — oraz „bandytów-gentlemanów".

Typ bohatera — dzielnego Polaka na obczyźnie ma już o wiele głębszy sens społeczny tam, gdzie występują polscy emigranci, przeważnie chłopi lub rzemieślnicy. Wyprawa w świat nie jest dla nich problemem „luksusowym", lecz wypływa z twardej konieczności życiowej: poszukiwania lepszych warunków bytowania. We wcześniejszych utworach

Umińskiego są to przeważnie rozczarowani emigranci, powracający do ojczyzny. Tak jest w robinsonadzie W ędrowna wyspa (1883) i w opowiadaniu W kraju ludożerców (1896). Morał jest tutaj podobny jak u Dygasińskiego w powieści Na złamanie karku: nie spodziewaj się, że można zdobyć fortunę łatwym sposobem, dorobić się czegoś można tylko ciężką pracą. W opowiadaniu Mój pierwszy jaguar morał ten otrzymuje znamienną korekturę: bohater dlatego musiał emigrować do Ameryki, że nie zdobył fachu i nie mógł dostać zajęcia w Warszawie. Tutaj autor jest jeszcze optymistą, wierzy w możliwości, jakie otwiera przed człowiekiem nauka i zdobycie kwalifikacji zawodowych, przyczynę konfliktu jednostki ze społeczeństwem widzi — w niedołęstwie i lenistwie. W charakterystyczny sposób przesuwa się ten punkt widzenia w późniejszych jego powieściach.

Przyczyną emigracji bohatera W puszczach Kanady jest utrata pracy w fabryce. Walka o przydzielony kawałek gruntu i borykanie się osiedleńców z ciężkimi warunkami bytu ma tutaj patos tułaczej epopei. Bohater wlecze do Ameryki swą nędzę: grunt nie wystarcza na wyżywienie, ojciec rodziny musi jako cieśla pracować u obcych ludzi, syn przechodzi twardą szkołę życia. „Takie biedne dzieci jak my, wcześniej może od innych dzieci wychowanych w dobrobycie, zaczynają myśleć o sobie i o tym, co je otacza". Ciężki los kolonizatorów w relacji autora niewiele różni się od losu Indian, potraktowanych tu jako tragiczne, ginące plemię; wobec „przeludnienia" Europy autor uważa niszczenie ich za taką samą konieczność jak wysiedlanie tych, których ręce były w kraju zbędne. Wniosek: Nie trzeba poddawać się, lecz walczyć do końca, pamiętając, że jest się Polakiem, którego ojczyzna cierpi w niewoli i wskutek tego nie może zapewnić obywatelom możliwości rozwoju, potrzebnych środków do życia.

Najbardziej charakterystyczne dla drugiego okresu twórczości Umińskiego są te postacie bohaterów, którzy uosabiają nie ideę przetrwania, lecz ideę walki narodowo-wyzwoleńczej. O skłanianiu się ku tej problematyce świadczy już Bohater spod Spionskopu (1901), przekład powieści holenderskiego pisarza Holdensteina dokonany przez Umińskiego, w której młody Holender bierze udział w wojnie burskiej przeciwko Anglikom.

We Flibustierach (książce, którą po pierwszym powojennym wydaniu gebethnerowskim wznawia obecnie „Nasza Księgarnia"), bohaterami są chłopi, synowie emigranta, którzy jako rozbitkowie znaleźli się na Kubie i zaciągają się do powstańczych oddziałów partyzanckich. Wypowiedzi o hiszpańskich ciemiężcach są przejrzystą aluzją do sytuacji Polski. „A kto chce najeźdźcę wypędzić, prędzej czy później swego dopnie, byle tylko bił, bił, bił bez odpoczynku. Czyż może być większe nieszczęście, dola gorsza od niewoli? Polak, który utracił własną ojczyznę, wie, jak to boli, czy to raz nasi walczyli o wolność ciemiężonych narodów?" Sens ideologiczny sprzyjania powstańcom mógłby ulec zaciemnieniu przez to, że wspomagała ich potężna Ameryka — tutaj jednak autor umie dostrzec główny motor wojen imperialistycznych.

Potępienie obejmuje tutaj dwa kręgi, węższy i szerszy. Pierwszy dotyczy przekupionych przez rząd amerykański flibustierów — handlarzy i spekulantów, którzy chcą zarobić na wojnie, drugi — zorganizowanych już amerykańskich oddziałów sojuszniczych. Umiński jednym z bohaterów czyni Polaka, Oreta, który ma odwagę rzucić flibustierom prawdę w oczy i ginie za swe przekonania. „Unurzaliście w błocie ten sztandar, bo-

ście nie żołnierze, lecz kujoty, bo zetknięcie z wami upodla". Rozczarowanie do Ameryki jako sojuszniczki powstańców — obejmuje szerszy krąg oskarżenia. Źródłem tej interwencji są interesy gospodarcze. „Przebywasz w kraju, w którym bożyszczem jest pieniądz — mówi bohater. — Kapitaliści poświęcają setki tysięcy, by zarobić miliony. Spodziewają się oni, że w razie wypędzenia Hiszpanów z Kuby zakwitnie tam handel, otworzą się nowe ujścia dla leżących kapitałów; albo są to cukrownicy grający na zwyżkę swego towaru; życzą oni sobie, by powstanie trwało, jak najdłużej, bo wtedy Kuba przestanie produkować cukier, wskutek tego artykuł ten pójdzie w cenę, a oni nagromadzili go duże zapasy. Ba, mogą to być jeszcze plantatorowie tytoniu, którym oczy kole konkurencja hawańskich cygar, którzy by radzi spalili wszystkie plantacje kubańskie."

Zdemaskowanie amerykańskich geszeftów wojennych, odkrycie grabieżczej roli rekinów kapitalistycznych, nigdzie w twórczości Umińskiego nie znalazło tak dobitnego wyrazu. Na tym tle żołnierz-Polak, który bierze udział w walce narodowo-wyzwoleńczej, i to chłop z pruskiego zaboru, doświadczający na sobie podwójnego ucisku, społecznego i narodowego, jest niewątpliwie nowym bohaterem o postępowej, choć dalekiej od rewolucyjności mocy oddziaływania wychowawczego na młodego czytelnika owych czasów. Bohater ten bije się wszędzie tam, gdzie widzi słuszną, sprawiedliwą walkę, po stronie słabszych, uciśnionych, w walce tej widzi cel życia, porzucając wszelkie inne możliwości rozwiązania swych problemów osobistych, umie iść po tej drodze bezkompromisowo, docierając do dna oszustwa, jakim jest nadużywanie frazesu humanitarnego i niepodległościowego dla celów imperialistycznych. Gdy rozczarował się do Ameryki, jako sojuszniczki powstańców, jedzie na Filipiny, by tam stanąć po stronie tych, którzy biją się o wolność przeciw Amerykanom. „Dziś z Amerykanami, jutro przeciwko nim, to jakoś głupio się wydaje." „Głupio albo i nie — odpowiada bohater. — Dla mnie, prawdę mówiąc, nie ma na świecie ani Amerykanów, ani Hiszpanów, ani nawet Filipińczyków. Wiem tylko, że istnieje na świecie sprawiedliwość."

Ta czysta linia zamąca się w innych powieściach, tam gdzie autor bliżej dotyka spraw związanych z centralnym problemem klasowym epoki. W Znojnym chlebie robotnik Polak, dezerter z wojska pruskiego, na gruncie amerykańskim przeżywa najcięższe koleje człowieka pracy gnębionego przez ustrój kapitalistyczny: na plantacjach kawy traktowany jest jak ludzkie bydlę, w stalowni pracę jego do najdalszych możliwych granic eksploatuje fabrykant, przez długie miesiące jest członkiem wielomilionowej armii chicagowskich bezrobotnych. Demaskując wyzysk i obnażając istotę „demokracji" amerykańskiej, autor nie wyciąga z tych realistycznych obserwacji dalszych konsekwencji: jego robotnicy cofają się przed strajkiem, dają się przekupić obietnicami, nie dorastają do zrozumienia metod solidarnej walki o swobody burżuazyjno-demokratyczne, nie w tym jednak tkwi wypaczenie linii ideologicznej poprzedniej powieści, gdyż postawa pisarza w całej jego twórczości nie świadczyła o tym, by mógł on stanąć na tych pozycjach. Wypaczenie to przejawia się w tym, że bohaterowie, walczący z narodowym uciskiem pruskim zaciągają się wreszcie w szeregi wojska amerykańskiego, by tłumić to samo powstanie na Kubie, które wspomagali bohaterowie Flibustierów, i akcent społeczny, że muszą to robić „dla chleba" gubi się w beztroskim ujęciu owej wojaczki, w ustabilizowaniu się życio-

wym bohaterów na gruncie amerykańskim.

Sprzeczności tych nie należy zaciemniać. W wielu książkach Umińskiego z niekłamanym patriotyzmem sąsiadują akcenty nacjonalistyczne, z postawą humanistyczną — zaznaczanie odrębności rasowych. Wielokrotnie bohater, buntownik i żołnierz wolności, rezygnuje z wszelkiej walki, gdy uzyska jakie takie warunki życiowe i na ołtarzu dawnych ideałów uroni co najwyżej nieszkodliwą łezkę.

Cóż z tego, że w Czarodziejskim okręcie są akcenty ostrej satyry wymierzonej przeciw rozkapryszonej milionerce, żonie „króla nafty", pragnącej zabawić się w Robinsona na bezludnej wyspie, cóż z tego, że moment spędzenia całej ludności wyspy na statek, by dać jej pole do samotnych polowań i rozmyślań — jest wprost wstrząsający, skoro w rezultacie całą sympatię czytelnika uzyskuje prawdziwie „ludzki" w swym cierpieniu małżonek, który odnajdując swą zgubę przyrzeka, że mimo wielkiego „przepracowania" — prowadzi bowiem kilkanaście zakładów przemysłowych, trzy banki, dwadzieścia farm itd. — znajdzie jednak nieco więcej czasu dla ukochanej żoneczki, by nie powtórzył się więcej wypadek jej ucieczki.

Sympatia dla tych, którzy uciekają od cywilizacji, wyrażająca się tutaj w na pół fantastycznej, nieszkodliwie ironicznej opowieści awanturniczej, wypływa z tych samych źródeł ideologicznych, co głębokie współczucie dla rozbitków dworu szlacheckiego, którzy uciekają z „dżungli" wielkiego miasta, by schronić się w wiejskim domku z ogródkiem, jak dzieje się to we współczesnej powieści dla dorosłych, napisanej przez Umińskiego w r. 1909 (Wygnańcy). Wersja „młodzieżowa" podsuwała zamiast pesymizmu i rezygnacji — optymistyczne, sielankowe rozwiązanie. „Sielanką" jest obraz słonecznej Japonii, odtworzony w nasyconych barwach „kolorytu egzotycznego" (W krainie wschodzącego słońca) i „uwznioślony" akcentami nacjonalistycznymi w związku z wojną rosyjsko-japońską. Nie przypadkiem rodzina polskich emigrantów, która podczas powstania bokserów stała się ofiarą napaści „sfanatyzowanych tłumów" (Biały mandaryn) schroniła się właśnie w „słonecznej Japonii". Jak widzimy, są wśród powieści Umińskiego i takie, w których Polak staje po przeciwnej stronie barykady niż bohaterowie Flibustierów.

Nie trzeba też przymykać oczu na fakt, że do powieści Umińskiego wtargnęło wiele elementów „awantury dla awantury", że ulegał on nieraz pokusie wykorzystania każdego atrakcyjnego tematu, który mógł „wziąć" czytelnika. To wielokrotnie wypaczało ideologiczny sens jego powieści, obniżało ich wartość artystyczną.

Ważny jest jednak — i obiektywnie liczący się — fakt, że w większości swoich powieści Umiński umiał stworzyć postać bohatera walczącego z narodowym uciskiem, że beztroski podróżnik-naukowiec przekształca się w warunkach zaostrzających się sprzeczności klasowych w żołnierza wolności. Ważne jest, że przy swej „pogoni za fabułą" umiał wielokrotnie przemycić niezwykle cięte i ostre wycieczki przeciwko trickom amerykańskiej reklamy, ośmieszyć amerykański styl życia, a niejednokrotnie, jak we Flibustierach lub Znojnym chlebie umiał zdobyć się na dużą siłę oskarżenia w stosunku do systemu kapitalistycznego ucisku i czynił to z dużą siłą artystycznego wyrazu. Są więc niewątpliwie w jego twórczości elementy antyugodowe i akcenty krytyki społecznej, odcinające się wyraźnie od optymistycznej, tuszującej sprzeczności klasowe i usiłującej przy-

stosować młodzież do warunków życia w niewoli — powieści zrodzonej w duchu pozytywistycznego programu.

I to jest postępowy sens jego pisarstwa.

Sześćdziesięciolecie twórczości

Omówiliśmy lata najsilniejszego rozkwitu twórczości Umińskiego, gdyż warunki tych lat ukształtowały jej oblicze ideologiczne, mimo iż autor pisał i później (jest czynny do dzisiaj). Prześledzenie recepcji jego niezwykle bogatego dorobku byłoby osobnym i ciekawym zagadnieniem. Odpowiedzi na pytania, jakie jego książki i dlaczego uległy zapomnieniu, jakie i kiedy wznawiane, i jakie po dziś dzień zachowały największą żywotność i poczytność mogłyby w interesujący sposób naświetlić przemiany ideologiczne i tendencje pedagogiczne na odcinku powieści młodzieżowej. Powyższa analiza jest próbą odpowiedzi na pytanie trzecie: jakie treści ideologiczne zapewniają pisarstwu Umińskiego trwałość, jakie elementy cenimy tu jako żywotne tradycje. Tego rodzaju próby są szczególnie ważne, choć z góry skazane na niepełność — wobec aktualnego stanu badań nad dziedziną literatury młodzieżowej. Wiadomo, że problematyką literatury dla młodzieży w sensie historycznym zajmowano się niewiele, że wiele książek zostało gruntownie „zaczytanych", gdy spełniły się aktualne „zamówienia pedagogiczne", że wznawiano je po latach w sposób zupełnie nieraz przypadkowy, jako „samograje" na rynku wydawniczym, a jeśli przywoływano je świadomie, pod kontrolą pedagogiczną, służyły one aktualnym burżuazyjnym celom wychowawczym i w większości wypadków, zacierano starannie związek twórczości autora z epoką, czyniąc z nich jakiś ahistoryczny, oderwany produkt.

Odszukanie i przypomnienie wielu wartościowych pozycji młodzieżowych sprzed wielu nieraz dziesiątków lat, przywrócenie każdej z wielokrotnie wznawianych książek jej miejsca w rozwoju historycznym tego gatunku — jest dzisiaj zadaniem pierwszorzędnej wagi. Nie powinno się wznawiać ani W pustyni i w puszczy ani Flibustierów bez krótkiego choćby wprowadzenia czytelnika w problemy epoki, bez uprzytomnienia mu, dlaczego wznawia się dzisiaj te książki, za co je cenimy.

Należy też postawić jako problem do dyskusji sprawę zaktualizowanych wersji książek dla młodzieży, problem szczególnie istotny przy Umińskim. Trzeba by tu przede wszystkim sprostować wypaczenia, jakim uległy jego książki w okresie międzywojennym, gdy powieści marynistyczne czy lotnicze przystosowywał do potrzeb aktualnej polityki, naprawić błędy pierwszych powojennych wydań gebethnerowskich, które opierały się na ostatniej wersji. Trzeba sięgnąć do pierwszych wydań, zachować nie unowocześnione ujęcie od strony badań naukowych okresu, nie skorygowaną według zrealizowanych już zdobyczy — fantastykę naukową. Twórczość Umińskiego, przypomniana w tej formie, niewątpliwie zyska, zostanie oczyszczona z wtórnych nalotów i będzie w niej można na pewno odnaleźć więcej interesujących i wartościowych pozycji niż tych kilka książek, które uznano za godne wznowienia.

Krystyna Kuliczkowska

WŚRÓD KSIĄŻEK

MARIAN BRANDYS: *Wyprawa do Arteku;* Warszawa, 1953, „Nasza Księgarnia"; str. 153. *Dom odzyskanego dzieciństwa;* Warszawa, 1953, „Nasza Księgarnia"; str. 231.

Założeniem, cechą znamienną i ideałem literatury realizmu socjalistycznego jest ukazanie człowieka budującego w walce ze starym nową rzeczywistość społeczną. Bohater socjalistycznej literatury to sprawca, a jednocześnie zwierciadło rewolucji. W nurcie przemian rzeczywistości zmienia się sam człowiek. Rozjaśnić problem dialektycznych uwarunkowań człowieka i historii — to sfera dążeń wielkiej literatury socjalistycznej. Człowiek, który dochodzi do świadomości socjalistycznej, który kształtuje w sobie ideał komunisty, jest najbardziej charakterystycznym bohaterem literatury realizmu socjalistycznego. Piszę o tym po to, by uchwycić specyfikę w dwóch ostatnich książkach już w pełni dojrzałego pisarstwa Mariana Brandysa, którego widzenie świata jest na wskroś optymistyczne, heroizujące i syntetyczne. Brandysa urzekają perspektywy przyszłości, walki w obronie nowego, rzeczywisty trud jest o tyle ważny, o ile jego miarą określa się wielkość osiągnięć. Człowiek u Brandysa nie staje się komunistą, ale jest komunistą.

Słabości P o c z ą t k u o p o w i e ś c i wypływały stąd, że bezpośrednia obserwacja narzuciła pisarzowi problem kształtowania się nowego człowieka, że chciał on problem ten rozwiązać i że w rozwiązaniach uległ łatwemu optymizmowi, wyminął rzeczywiste trudności, uprościł istotne konflikty.

W W y p r a w i e d o A r t e k u razić może pewna „arkadyjskość" obrazu rzeczywistości, wyłaniającej się z bezpretensjonalnych na oko, a w istocie doskonałych w swej prostocie N o t a t e k z p o d r ó ż y d o Z. S. R. R. — jak pisze Brandys w podtytule swojej książki. Konflikty, wynikające z obawy, czy pociecha Heleny Michajłowny dostanie miejsce w samolocie, czy matka smutnego Sierioży zgodzi się na jego zabawy z innymi dziećmi, czy wreszcie całe towarzystwo — to znaczy bohaterowie plus narrator-autor — będą mogli zwiedzić cudowną krymską republikę dziecięcą — Artek, to konflikty podkreślające, że jedynie w kraju socjalizmu dziecko może być dzieckiem. Iście pogańską urodę świata potęguje Brandys przez uwzględnianie (w pozornie odautorskich opisach) ogromu dziecięcej wrażliwości na otaczające piękno, potęguje przez konstruowanie obrazu rzeczywistości z elementów dziecięcej wyobraźni.

„W tych salach wyczuwało się słony zapach morza. W ich ciepłym, spokojnym powietrzu drzemały utajone wiatry i sztormy dalekich oceanów. Na progu tych sal opadały cię wspomnienia ze wszystkich przeczytanych w życiu książek podróżniczych. Zdawało ci się, że podłoga kołysze pod twoimi stopami jak pokład okrętu — i ani spostrzegałeś się, jak sam zaczynałeś chodzić kołyszącym się krokiem marynarza" (opis sal z warsztatami okrętowymi w Pałacu Pioniera w Leningradzie — W y p r a w a d o A r t e k u, str. 122). Świat ukazywany oczyma dziecka jest u Brandysa bogatszy niż rzeczywisty. Książki Brandysa — to doskonały wzór dojrzałego pisarstwa młodzieżowego zwłaszcza dla tych pisarzy, którzy pisząc dla młodzieży mają skłonność do upraszczania, zubożania i prymitywizacji obrazu rzeczywistości. W Brandysowskiej koncepcji świat oglądany oczyma dziecka jest jedynie

pogatszy w kształty, barwy, w rzeczy godne uwagi i podziwu, a młodzi bohaterowie posiadają jedynie większą niż starsi zdolność przyjmowania wrażeń, z większym natężeniem emocjonalnym przeżywają i reagują na zdarzenia. Sprawa obejrzenia jedynego wszechzwiązkowego obozu pionierskiego w Arteku staje się dla bohaterów książki Brandysa kwestią być albo nie być. Autor potrafi bez wszelkiego kokietowania powabami dziecięcego naiwniactwa i infantylności z wyrozumiałą powagą pisać o marzeniu każdego pioniera olbrzymiego kraju radzieckiego, by zasłużyć na pobyt w dziecięcej republice u stóp Ajudahu nad brzegiem Morza Czarnego. Kiedy wizyta w Arteku dojdzie do skutku, autor dyskretnie poskąpi szczegółów w obrazie pionierskiej republiki, by nie zmącić trochę bajkowego, tajemniczego piękna, osnuwającego życie w dziecięcym państwie, do którego dostają się tylko ci, co nauką i pracą zasłużą na największe dla pioniera wyróżnienie. Dobrze się stało, że Brandys książkę o szczęśliwym życiu dziecka radzieckiego zamknął opowiadaniem o Mikołaju Ostrowskim, jak gdyby dla podkreślenia, że u podstaw osiągniętej szczęśliwości leży najwyższe bohaterstwo, największe poświęcenie, najbardziej nieugięty hart woli człowieka radzieckiego.

Dom odzyskanego dzieciństwa — w sposób najbardziej klasyczny zademonstrował tu Brandys istotne cechy swojego talentu pisarskiego, wykazał, że jego widzenie pisarskie znamionuje nie łatwy optymizm, jakby niejednokrotnie można było przypuszczać, ale postawa piewcy harmonii socjalistycznego świata, piękna moralnego człowieka socjalizmu. Z Domu odzyskanego dzieciństwa wyłania się obraz najbardziej niesamowitego okrucieństwa ludzkiego, zbrodni najbardziej hańbiącej, krzywdy najbardziej niezasłużonej, a jednocześnie książka tchnie atmosferą zupełnej równowagi w sferze wartości moralnych. Zło, uwiecznione w świadomości koreańskich dzieci w postaci amerykańskiego samolotu niosącego zagładę ludziom, kulturze, przyrodzie, w postaci amerykańskiego czołgu, miażdżącego żywe ciało dziewczyny, w postaci amerykańskiego żołdaka, zabijającego bezbronnego starca — jest obce, zewnętrzne, nieludzkie, zasługujące na bezkompromisowe, zupełne i natychmiastowe unicestwienie. Mały partyzant z Domu Dziecka w Sonczenie, Li Chio-sik, nauczyciel Czan, który ratował czternastoletnią pianistkę, gdy ta w drodze do granicy chińskiej błagała o śmierć, Li-wan, śpiewający swemu umierającemu przyjacielowi wzniosłą pieśń wiary w życie, Rin Kon-chum, wierzący w swój talent poetycki, choć trzeba „duzo pracować, barsoduzo pracować" — są bohaterscy, wznioślі, wspaniali. Książka o dzieciach-sierotach przeradza się w epos bohaterski, opiewający walkę kilkunastoletnich herosów w imię prawdy, szczęścia i sprawiedliwości, w imię najchlubniejszych ideałów ludzkiej moralności. Doskonałość moralna, pełna równowaga wewnętrzna, dojrzałość duchowa — oto najistotniejsze cechy młodocianych bohaterów książki Brandysa. I na tym polega specyfika pisarstwa Mariana Brandysa, który nie bardzo potrafi pokazać człowieka rewolucji, przezwyciężającego to, co stare, ale potrafi pokazać piękno nowego człowieka. Nie bez przyczyny przecież grawituje Brandys ku pisarstwu młodzieżowemu, w którym tego typu heroizacja bohatera jest znamieniem nowego, można by powiedzieć porewolucyjnego, widzenia rzeczywistości. W literaturze radzieckiej ten typ bohatera jest zresztą właściwy nie tylko literaturze młodzieżowej, choć w Młodej Gwar-

d i i znalazł chyba najpełniejsze upostaciowanie. Brandys w większym, niż inni nasi pisarze stopniu jest predystynowany na piewcę socjalizmu. O wiele trudniej byłoby mu zostać piewcą rewolucji socjalistycznej, choć rozgraniczam pojęcie piewcy socjalizmu i rewolucji socjalistycznej niemal wyłącznie dla celów doraźnej analizy jego pisarstwa, dla uchwycenia przede wszystkim specyfiki typu jego bohatera literackiego. Nie chcę przy tym wyrokować, czy ten nurt pisarstwa realizmu socjalistycznego, który reprezentuje twórczość Mariana Brandysa, ma największe perspektywy rozwoju.

Powiedziałby ktoś, że te ogólne na poły rozważania są robione odrobinę na wyrost, bo przecież książka Brandysa jest, formalnie rzecz biorąc reportażem, autor napisał w niej to wszystko, czego się w Domu Dziecka w Gołotczyźnie o koreańskich dzieciach dowiedział, wszystko, co się w książce znalazło — to tak zwana szczera prawda. Otóż D o m o d z y s k a n e g o d z i e c i ń s t w a jest tylko pozornie reportażem, w rzeczywistości reportażu w nim tyle, co w większości wybitnych dzieł literackich, w których autentyczne fakty zostają przetworzone i ukształtowane według określonej uogólniającej koncepcji ideowej. Nie wiem, czy mama Parypińska z potężną warząchwią rzeczywiście króluje w wybornej kuchni gołotczyńskiego Domu Dziecka i na swym potężnym łonie hołubi „korejskie niebożątka", ale wiem z pewnością, że zarówno mama Parypińska jak sędziwy dziadek, który w czasie wojny japońskiej oglądał „Korejców", jak filmowiec Urban, który brakiem zrozumienia dla wymogów koreańskiego tańca „Nodr Kan-bion" sprawił młodym artystom uzasadnioną, choć łatwą do wybaczenia, przykrość — służą wyrażeniu wiary w rzeczywistą dobroć ludzką, służą uwypukleniu tej prawdy, że najnaturalniejszym, najzwyklejszym uczuciem człowieka jest miłość do dziecka, służą wreszcie — w całym kontekście przedstawianych spraw i ludzi — wyrażeniu niezachwianej wiary w zwycięstwo dobra nad złem. Dla tych wszystkich funkcji kwestia reportażowego autentyzmu tych postaci jest najzupełniej obojętna. Wszyscy ci bohaterowie mieszczą się zresztą w jednolitej koncepcji artystycznej gołotczyńskiego światka, ukazywanego w dickensowski, dobrodusznie humorystyczny sposób. Rzeczywistość gołotczyńska nie jest zresztą w D o m u o d z y s k a n e g o d z i e c i ń s t w a najważniejsza, kontrastuje ona przede wszystkim z heroicznymi i patetycznymi obrazami wojny koreańskiej, malowanej w oprawionych często w konstrukcję ramową rzutach retrospektywnych. Humorystyczne obrazki życia w Gołotczyźnie stanowią w poszczególnych rozdziałach jedynie ramy, zamykające narrację pozornie uboczną, a w istocie zasadniczą, o wojnie w Korei. Kucharka Parypińska, filmowiec Urban, mechanik Pet, stary dziadek, postacie dla humorystycznego efektu przerysowane, rozładowują patetyczność i heroikę partii retrospektywnych. Brandys posługuje się nawet parodią dla rozładowania patosu i podkreślenia pogody, panującej w „domu odzyskanego dzieciństwa". W świetnym, stylizowanym na opisach homeryckich bojów obrazie dzikiej zabawy „takara" posłuży się Brandys dla spotęgowania komizmu heroicznej, toczonej z największą pasją walki homerycką apostrofą. („Ale nie trać odwagi, dzielny Pan Te-ionie!" „Podstępny wrogu, drżyj!" str. 66). Wstrząsająca i wzniosła śmierć Son Ha-sopa, któremu przyjaciel Li-wan śpiewa pieśń zwycięstwa i braterstwa, nie roniąc ani jednej łzy, bo „czy wolno było płakać Li-wanowi, jeżeli nie płakał on —

któremu odebrano trąbkę i odcięto nogi?" przypomina najwspanialsze opisy śmierci na polu chwały w literaturze nie tylko polskiej. Obraz pochodu wezwanych przez radio Phenian do udania się do Sinidzu nad granicą chińską sierot koreańskich tchnie przy klasycznej prostocie opisu biblijną grozą i tragicznym dostojeństwem. Niesposób nie zacytować przynajmniej jednego fragmentu tego opisu, bo będzie to zarazem próbka klasycznej polszczyzny, którą zwłaszcza w Domu odzyskanego dzieciństwa posługuje się Brandys po mistrzowsku. „Posłuszni wezwaniu — mali, zgłodniali pustelnicy opuszczali lasy, które uratowały ich od śmierci. Mali partyzanci z chmurnie ściągniętymi brwiami schodzili niechętnie ze swych górskich fortec. W stronę Sinidzu ruszył pochód, jakiego nie było jeszcze w historii. Tworzyło go czterysta zrozpaczonych, głodnych i obdartych dzieci, z których najstarsze liczyło czternaście lat, a najmłodsze dziewięć.

Mali wędrowcy maszerowali nocą, a spali dniem. Szli przez czerwone morze nie gasnących pożarów. Rozryta pociskami ziemia raniła ich bose nogi. Niebo nad ich głowami trzeszczało jak walący się dach. Żelazne sępy z białymi gwiazdami na skrzydłach tropiły ich w dzień i w nocy. Skoro niebo wszczynało swój nienawistny pomruk, czterysta dzieci przypadało drżąc do ziemi. Nie wszystkim udawało się ukryć na czas. Bywali zabici i ranni. Wiele dziewcząt błagało kierowników pochodu: „Nie każcie nam już dalej maszerować! Pozwólcie nam tu zostać i umrzeć!" (str. 25-26). Nie znam potężniejszego artystycznie oskarżenia imperializmu amerykańskiego. Bezbronne ofiary sępów z białymi krzyżami wstrząsają tragizmem swej krzywdy, demaskują siły wrogie człowieczeństwu, oskarżają wojnę. Ostrość i celność polityczna książki Brandysa to zagadnienie zbyt rozległe, by je tu móc rozwinąć. Wielkością trudu pisarskiego i miarą ukazanego piękna rzeczy ludzkich określać trzeba polityczną doniosłość utworu literackiego.

Henryk Bereza

TEODOR FONTANE: *Schach z Wuthenow*. Z języka niemieckiego tłumaczyła Teresa Jętkiewicz. Posłowie Marcelego Ranickiego. Warszawa, 1953. „Czytelnik"; str. 194.

A więc wreszcie Fontane!

Nie zaglądałem do rejestrów bibliograficznych, ale wydaje mi się, że upłynęło dobrych kilka dziesiątków lat, odkąd w Polsce przestano wymieniać to nazwisko, tak kompletna jest dziś jego nieznajomość nawet w kręgach amatorów specjalnych, żyjących literaturą jak chlebem powszednim, czytających wszystko, cokolwiek mądrego i pięknego stworzyły w ciągu swej historii narody świata. A tymczasem Fontane jest pisarzem wyśmienitym artystycznie, jego zaś proza stanowi doniosłą część realistycznej i postępowej tradycji w niemieckiej literaturze narodowej.

Osiągnął swą dojrzałość i rozbudował swe horyzonty światopoglądowe dopiero w późnej starości, już dobrze po sześćdziesiątce (żył w latach 1819—1898). To zjawisko, niezwykłe w dziejach rozwoju indywidualności literackich, tak określił Tomasz Mann, mówiąc właśnie o Fontanem: „Jak bywają urodzeni młodzieńcy, którzy wcześnie urzeczywistniają swoje możliwości i już nie dojrzewają, a nawet starzejąc się przeżywają samych siebie, tak bywają również natury, dla których starość jest okresem jedynie właściwym, bywają — żeby się tak wyrazić — klasyczni starcy, których powołaniem jest

ukazać ludzkim oczom w sposób możliwie najdoskonalszy idealne przymioty tego wieku, jako to łagodność, dobroć sprawiedliwość, humor i roztropność, ów — krótko mówiąc — dostojny powrót dziecięcej swobody i niewinności".

Jednym z pierwszych dzieł, powstałych w starości Fontanego jest Schach z Wuthenow, niewielka rozmiarami powieść co prawda historyczna, ale posiadająca zarazem jasną wymowę dla czasów współczesnych Fontanemu, albowiem była przypieczętowaniem aktualnego zjawiska społecznego.

Treścią fabularną powieści jest przygoda junkra pruskiego, tytułowego Schacha von Wuthenow, rzucona na tło dworsko-arystokratycznej obyczajowości Berlina, stolicy Prus. Rzecz rozpoczyna się wiosną roku 1806, kończy zaś późnym latem tegoż roku. Jest to okres złudnego pokoju po bitwie pod Austerlitz. Napoleon, będący dla przedstawicieli feudalnej i dynastycznej armii pruskiej wcieleniem diabła czyli plebejusza na tronie, ukazuje się czytelnikowi w niewielu, ale wymownych aluzjach. Poza akcją właściwą, spiętrzoną na terenie kilku miesięcy, pozostają dwa rozdziały końcowe, stawiające diagnozę wydarzeń z pewnego już oddalenia.

Poznajmy wprzód chorobę, czyli rzućmy okiem na samą fabułę, aby diagnoza nie zawisła w pustce.

Schach von Wuthenow, potomek starej rodziny, rotmistrz pułku gwardii królewskiej, odznaczający się wybitną urodą i świetną pozycją mężczyzna trzydziestokilkoletni, człowiek poza tym o umyśle miernym, ale dzięki intrygującym urokom swego oschłego charakteru jakby stworzony do odgrywania roli półbożka w świecie dworskim, bywa stałym gościem w arystokratycznym domu pań von Carayon, matki i córki. Matka jest młodą i piękną wdową, urodę młodziutkiej córki przyćmiła przebyta niedawno ospa. Schach skłania się najpierw ku matce, ale podmiejska wycieczka któregoś z pierwszych dni wiosny kieruje jego zapędy i ku córce. Schach uwodzi pannę von Carayon. Subtelnie przyparty przez matkę do muru, godzi się na małżeństwo z uwiedzioną, ale tymczasem złość ludzka nie próżnuje. Jej działanie w zamkniętym środowisku arystokracji dworskiej jest błyskawiczne. Rozpowszechniono karykatury ośmieszające sytuację, w jakiej znalazł się Schach, i wyszydzające jego wybór. Rotmistrz ucieka do swego rodzinnego Wuthenowa, łamiąc w ten sposób dane przed tym słowo. Matka prosi o interwencję „najłaskawszego króla i pana", który nakazuje Schachowi zawrzeć małżeństwo z panną von Carayon, grożąc mu — w razie nieposłuszeństwa — dymisją ze służby wojskowej. Posłuszny swemu feudalnemu władcy Schach bierze ślub z uwiedzioną, ale natychmiast po uczcie weselnej popełnia samobójstwo.

Komentarz autorski, wypowiedziany w liście jednej z rezonujących osób, nadaje sprawie charakter ogólny. Ta w fabularnym wydźwięku sensacyjna historia (oparta zresztą na fakcie autentycznym) jest w swej istocie zjawiskiem typowym dla czasu i klasy społecznej. Mogła się wydarzyć jedynie — jak powiada autor — w stolicy Jego Wysokości Króla Prus i w korpusie oficerskim armii pruskiej, gdzie honor jest pychą, a dusze ludzkie — mechanizmami zegarowymi, w których niezadługo przestaną działać rozkręcone do końca sprężyny. Oficer pruski przysięga stale „na honor" lub daje „słowo honoru", na „słowo honoru" poleca nawet kolegom byle lichwiarza. „To ustawiczne powoływanie się na honor — dodaje autor — na honor fałszywy, doprowadziło do pomieszania pojęć i zabiło honor prawdziwy".

Krytykując wszechstronnie tak zwaną istotę pruskiego honoru wojskowego, Fontane mówi obrazowo o lotnych piaskach opinii towarzyskiej, której ofiarą padają najświętsze przykazania, najpiękniejsze i najbardziej naturalne uczucia ludzkie. I Schach, nie najgorszy wśród złych, padł ofiarą bożka pojęć towarzyskich, bożka próżności, uląkł się chwilowego ośmieszenia swej osoby w oczach dworsko-arystokratycznych kół stolicy.

Jeżeli uświadomimy sobie, że Schach z Wuthenow ukazał się na początku lat osiemdziesiątych ubiegłego wieku, spotęguje się od razu doniosłość przedstawionego w nim zagadnienia. Pisząc o fałszywym honorze oficera pruskiego z czasów napoleońskich, o „kłamstwie, które prowadzi do śmierci", Fontane miał niewątpliwie na myśli analogiczne zjawiska swej współczesności, pychę i zakłamanie współczesnej armii pruskiej, która upajała się odniesionym niedawno zwycięstwem nad Francją i politycznym zjednoczeniem Niemiec drogą podporządkowania całego narodu dynastii Hohenzollernów. Najdobitniej można te czasy określić słowami Karola Marksa z jego listu do Brunszwickiego Komitetu Socjaldemokratycznej Partii Robotniczej Niemiec: „To, że Niemcy zdobywają na razie swą jedność w koszarach pruskich, jest zasłużoną w pełni karą".

Schach z Wuthenow uderzał we współczesny patriotyzm pruski i jednocześnie obnażał historyczne pierwiastki legendy owej armii fryderycjańskiej, o której mówiło się w malowniczym porównaniu przysłowiowym, że państwo spoczywa na niej równie bezpiecznie, jak świat na barkach starożytnego Atlasa.

Wszelkie głosy, które podnosiły się wówczas przeciwko militaryzmowi, były piętnowane jako propaganda antynarodowa, jako brak uczuć patriotycznych. Dzień i noc czuwała cenzura, tym chętniej więc Fontane przerzucił swoją krytykę na przeszłość, a domyślny czytelnik łatwo stawiał sobie znak równości między dawnymi i nowymi laty, pojmując groźną aktualność tak śmiałych formuł, jak chociażby ta:

„Gdyż państwo Fryderyka Wielkiego nie jest krajem z armią, lecz armią z krajem. Nasz kraj jest tylko miejscem postoju i magazynem furażu. W sobie samym nie posiada poważniejszych resursów. Jeśli zwyciężymy, to jakoś to będzie; ale wojnę wolno prowadzić tylko takim krajom, które mogą przetrwać i klęskę. Nas na to nie stać. Jeśli armia zostanie rozbita, będzie po wszystkim. A jak szybko może armia zostać rozbita, tego nas nauczyło Austerlitz. Jedno tchnienie może nas uśmiercić, właśnie nas".

Czytelnik polski, który widział dotychczas świat pruski poprzez trafne, lecz suche, publicystyczne opracowania historyczne, ujrzy poprzez Schacha z Wuthenow spory wycinek historii pruskiej niejako od wewnątrz, w szerokim obrazie beletrystycznym. Pod względem artystycznym rzecz napisana jest świetnie. Doskonale zarysowane są charaktery ludzkie, a lekkie dialogi, w których Fontane zawsze celuje, i piękne opisy przyrody nastręczają nieomal na każdej stronicy całe mnóstwo czystych uroków literackich.

Omawiana książka zapoczątkowała w twórczości „starego Fontanego" szereg utworów powieściowych, w których krytyka społeczna staje się coraz ostrzejsza i przybiera coraz konkretniejsze formy. Należy tu wymienić takie dzieła jak Stine, Irrungen Wirrungen, Mathilde Möhring i Effi Briest.

Widzimy w nich rozkład świata feudalnego, któremu władza wymyka się

z rąk, bo chociaż jest zbiorowiskiem ludzi nieźle jeszcze okopanych, to jednak zdeprawowanych i na pół bezsilnych. Prawdziwa władza spoczywa już w rękach potężnej burżuazji, do której świat feudalny odnosi się z podziwem. Burżuazja imponuje mu swym bogactwem, a zmysł praktyczny, biorący górę nad uprzedzeniami herbowymi, wskazuje mu, że trzeba jej w niejednym ustąpić, że trzeba z nią zawrzeć sojusz.

Specjalną uwagę powieściopisarską Fontane poświęca drobnomieszczaństwu, które rozszczepia i komplikuje w pomysłowych perypetiach fabularnych. Zgodnie ze swą genealogią społeczną drobnomieszczaństwo stoi u Fontanego na pograniczu proletariatu, wykazując jednak tu i ówdzie tendencje przechodzenia do mieszczaństwa jako pełnej już klasy burżuazyjnej. Jednocześnie widzimy deklasowanie się poszczególnych jednostek z drobnomieszczaństwa i schodzenie do lumpenproletariatu.

Właściwy proletariat stoi jeszcze poza granicami bezpośrednich zainteresowań powieściopisarza, chociaż dzięki rozsianym tu i ówdzie napomknieniom tworzymy sobie jednak daleki obraz ludzi z fabryk, którzy wtargną kiedyś do centrów wielkich miast i społeczeństw, aby rozwiązać podstawowe konflikty.

Jedno w każdym razie nie ulega wątpliwości: świat feudalno-burżuazyjny musi upaść. Fontane mówi o tym wyraźnie i dobitnie, obejmując mimo woli odnośną formułą i samego siebie jako przedstawiciela klasy, przeciwko której się buntował:

„Nadejdą może już w niezbyt dalekiej przyszłości czasy uregulowania wszystkich rzeczy... nastaną może znowu czasy Adama i Ewy... Ale czy my żyjemy w tym celu, aby to wielkie koło przemian historycznych gwałtownie popychać naprzód lub — mniejsza z tym! — w tył? Pozostaw to innym. Dziś jesteśmy tylko *beati possidentes...*"

*

Przekład S c h a c h a z W u t h e n o w nastręczył niewątpliwie tłumaczce szereg trudności nie co dzień spotykanych.

Fontane jest przecież znakomitym stylistą, jest również — jak zaznaczyłem — mistrzem lekkiego, lecz bogatego w treść dialogu, w którym iskrzy się przychylna człowiekowi ironia i święci swe tryumfy intelekt mądrego, doświadczonego starca. Już to by wystarczyło, aby uczynić przekład trudnym.

Jednakże do zwykłych cech prozy Fontanego dołączają się tu jeszcze dwie trudności dodatkowe. Pierwsza — to makaroniczność stylu niektórych dialogów, mających oddać niemiecko-francuski żargon arystokracji, nie pozbawiony również cech wykształcenia klasycznego, elementów łaciny i mitologii starożytnej. Druga — to prowincjonalizmy, które dla stworzenia kolorytu lokalnego autor podsuwa w dialogach swym bohaterom, i to nie tylko wtedy, gdy oddaje głos przedstawicielom ludu. Stara arystokracja pruska szczyciła się przecież tym, że ongi jej przodkowie sami ustawiali pierwsze palisady swych warownych dworzyszcz nad jeziorami, toteż kultywowała i przynosiła z sobą do salonów niejeden zwrot ludowy, dymiący wspomnieniem pierwotnego nurtu etymologicznego słów.

Teresie Jętkiewicz jako tłumaczce udało się pokonać te wszystkie trudności. Pierwszy Fontane trafił w dobre ręce. Przekład jest nienaganny.

Tekst S c h a c h a z W u n t h e n o w opatrzył posłowiem Marceli Ranicki, dając dzieje twórczości Fontanego na tle epoki i osiągając chwalebną lekkość wykładu popularnego.

Adolf Sowiński

T E A T R

NA SCENACH WARSZAWSKICH

W drugim kwartale br. na scenach warszawskich ukazały się między innymi cztery sztuki — Choynowskiego, Kisielewskiego, Zegadłowicza i Brandysa — ukazujące fragmentarycznie życie społeczeństwa polskiego od początku naszego wieku do drugiej wojny światowej. Jest to pewnego rodzaju novum, ponieważ w dotychczasowych sezonach powojennych najczęstszymi przedstawicielami wcześniejszego okresu (reprezentowanego tu przez Choynowskiego i Kisielewskiego) byli u nas tylko Zapolska i Perzyński, a utworu o sanacji nie mieliśmy wcale. Nic dziwnego — dramatopisarstwo z okresu schyłku imperializmu, dręczone różnymi antyrealistycznymi „izmami" i fałszujące prawdę o świecie, niewiele zawiera pozycji, które mogłyby nas dzisiaj zainteresować, a nasi współcześni autorzy nie kwapili się jakoś do poruszenia zagadnień tych lat.

Tym większe zainteresowanie budzą owe cztery premiery. Czy ukazują one centralne problemy epoki, czy teatr przyczynił się do ich jaśniejszego i lepszego ukazania? Trzeba bowiem dodać, że w sztukach owego okresu natrafia inscenizator na materiał, który sprawia wiele trudności. Myśl autora, nieraz bezradnie uwikłaną w sprzecznościach życia społecznego i zbaczającą na manowce fałszywych filozofii trzeba dopiero wyłuskać z tych osłonek i związać z realistyczną treścią zawartego w dziele obrazu. Sporo przy tym okazji do nieporozumień, tym łatwiejszych, że teatry nasze dopiero próbują metod scenicznego opracowania takich utworów.

R u c h o m e p i a s k i Choynowskiego nie były dotychczas nigdy grane w Warszawie i w ogóle od czasów nieudanej premiery krakowskiej (1913) przeleżały w zapomnieniu aż do chwili, gdy je wygrzebał kierownik literacki Teatrów Poznańskich, Stanisław Hebanowski. Przedstawienie poznańskie nie było wprawdzie spektaklem świetnym, z takich, co potrafią całkowicie zaprzyjaźnić widownię z utworem przez ukazanie jego wszystkich zalet, a ukrycie wad — niemniej było ono staranne i dało kilka wybornych postaci. Kubacki w swojej recenzji z owego przedstawienia słusznie wskazywał, ile jest w R u c h o m y c h p i a s k a c h prawdziwej relacji o procesie upadku drobniejszego ziemiaństwa, niszczonego przez rozwijający się kapitalizm. Zgodzić się trzeba z Kubackim, że rozległością horyzontu obraz Choynowskiego przewyższa sztuki Zapolskiej, w porównaniu z nią wiele jednak nie dostaje R u c h o m y m p i a s k o m, jeśli chodzi o prawdziwość i sygestywność ludzkich postaci.

Istotna problematyka tej sztuki jest w pewnym sensie wcześniejsza od zagadnień, które poruszała Zapolska, ukazująca proces moralnego rozkładu wewnątrz środowiska drobnoburżuazyjnego. Tu mamy przede wszystkim obraz bankructwa ekonomicznego i „małomieszczanienia" warstwy drobnoszlacheckiej, obraz przypominający pod wieloma względami literaturę realizmu krytycznego w Rosji. Czasy jednak i upodobania literackie, w których atmosferze utwór Choynowskiego powstawał, sprawiły, że autor chwilami zaciemnia sens sztuki młodopolską retoryką. Retoryki tej usunąć nie podobna, maluje ona zresztą w jakimś stopniu charakter poszczególnych postaci. Chodzi więc o takie jej podanie, aby

dając barwę pewnym momentom i sytuacjom, nie odwodziła uwagi widza od tego, co na scenie istotne.

Przedstawienie poznańskie pokazało, że Ruchome piaski, choć nie stanowią niespodzianie odkrytego arcydzieła, godne są zapamiętania i pokazania od czasu do czasu na scenie. Dobrze, że część ludzi pióra i teatru miała możność oglądać tamten spektakl, bo niestety widowisko w Teatrze Powszechnym w Warszawie bynajmniej do sztuki nie zachęca. Nie dlatego, aby sens utworu został zasadniczo źle zrozumiany przez reżysera Słotwińskiego, ale po prostu, ponieważ sens ten nie ujawnił się w przedstawieniu dość wyraźnie, zamazywany przez słabe ujęcie aktorskie, przez często wadliwą obsadę, przez nieumiejętność wydobycia wyrazu z konkretnych sytuacji. Bardzo szkodziło również spektaklowi, że zupełnie nie dano atmosfery środowiska, w którym rozgrywa się dramat Choynowskiego, że zostało ono obniżone. W rezultacie oglądamy obraz drobnomieszczaństwa, a nie zbankrutowanych ziemian (może z wyjątkiem Pachońskiej, która dość szczęśliwie podchwyciła w roli Jadwigi niektóre rysy „panny z dworku"), i widzimy nie inteligentnego, dowcipnego, pełnego towarzyskiej inwencji adwokata, który dopiero w ostateczności wyszczerza zęby rekina — lecz brutalnego od początku kupczyka, kokietującego tanim demonizmem. Ujęciem takim — zwłaszcza jeśli chodzi o Przyciechowskiego — chciano może ostrzej ujawnić ideologiczny sens utworu, przez powiększenie ofiary Jadwigi, sprzedającej się dla ratowania rodziny takiemu aż indywiduum? Byłaby to naiwna interpretacja wymowy utworu, o którą reżysera nie posądzam i wolę rzecz całą wytłumaczyć nieszczęśliwą obsadą.

W każdym razie teatry nasze powinny lepiej — i częściej — pamiętać, że usiłowanie wydobycia myśli ideologicznej, wbrew obiektywnej wymowie utworu, to sprawa nie tylko niesłuszna, ale na ogół z góry skazana na niepowodzenie. Wyborny przykład, dobitnie potwierdzający słuszność powyższej tezy, znaleźć możemy w przedstawieniu Karykatur Jana Augusta Kisielewskiego w Teatrze Narodowym. Reżyserował je słuchacz Państwowej Wyższej Szkoły Teatralnej Jerzy Rakowiecki, i sądzę, że jako adept sztuki reżyserskiej, powinien otrzymać za nie wysoki stopień, ponieważ myśl swoją udało mu się wyrazić w kształcie scenicznym zupełnie jasno, a niektórym scenom dał wyborną atmosferę. Nie wydaje mi się jednak, aby myśl ta zmierzała we właściwym kierunku. Prawda, że teren, w którym Rakowiecki się poruszał, jest trudny. Kisielewski przeprowadza krytykę różnych środowisk, na które my dziś patrzymy również — i jeszcze bardziej — krytycznie, ale oczywiście nasz punkt widzenia jest zupełnie inny. Kisielewskiemu jasną ocenę sytuacji mącą opary modernistycznej filozofii indywidualizmu, której frazeologia budzi w nas raczej nuty humoru.

Nowoczesny reżyser, zabierający się do Karykatur, musi oczywiście spojrzeć na ukazany w nich materiał życiowy, na samą akcję utworu, oczami dzisiejszego człowieka. Musi nieraz odrzucić mylący komentarz autora i nie liczyć się z jego sympatiami. Od takiego wszakże punktu wyjścia bardzo daleko jest do wpisywania w kanwę tekstu historii, której autor nie napisał. W tym ostatnim wypadku teatr w sposób niebezpieczny przekracza swoje kompetencje.

W ogóle, jeśli chodzi o rewizjonizm teatralny, jedynym słusznym założeniem wydaje się następujące: albo dany utwór zawiera w samej swej osnowie prawdziwy obraz człowieka i

życia i wówczas możemy się starać oczyścić z ograniczających złudzeń autora tę prawdę, ale nie mamy potrzeby zmieniać niczego w treści; albo też sam obraz życia jest w utworze fałszywy i wówczas nie mamy powodu się nim interesować — a co za tym idzie, zmiany są niepotrzebne.

Kisielewski zamierzał, być może, dać w swej komedii obraz mieszczańskiego, płaskiego środowiska, co ściąga ideały w błoto i przeszkadza wybitnej jednostce w jej rozwoju. Jego punkt widzenia na pewno nas dziś nie obowiązuje, skoro realistyczny materiał, z którego utkał swój obraz, mówi co innego. Dzisiaj nie dostrzegamy w sztuce tragedii twórczej duszy, lecz troje zasadniczo uczciwych i wartościowych ludzi, wplątanych w perypetię miłosną, z której nie znajdują drogi wyjścia, przy czym położenie ich pogarsza fakt, że każde z nich ciągnie za sobą ogon odrębnego kołtuństwa. Postacie z owych trzech kręgów kołtuństwa — to przedmioty karykatury, natomiast trójka bohaterów (choć i oni ukażą czasem jakiś rys komiczny) przedstawia się całkiem serio i cierpienia jej mają charakter poważny. Romans z Zosią np. naprawdę przeszkadza Relskiemu, nie tylko w małżeństwie ze Stefanią i nie tylko w urojonym „rozwinięciu skrzydeł", ale i w rzeczywistym rozwoju życiowym; na pokazaniu tych konfliktów, wynikających ze sprzeczności ustroju, polega między innymi realistyczna wartość sztuki. Jeśli tę sprawę zlekceważymy, jeśli damy Relskiemu za wiele ciemnych stron charakteru, sens dramatu życiowego tych ludzi wypacza się i staje się dwuznaczny, nietypowy. Tak samo, jeśli — jak to zrobił Rakowiecki — uznamy Stefanię za głupiutką kabotynkę, pozbawioną wszelkiej szczerości. Wymowa społeczna utworu stanie się wówczas prymitywna, otrzymamy jeszcze jedną wersję o uczciwej dziewczynie, uwiedzionej przez łobuza z wyższej sfery.

Takie koncepcje można na scenie realizować z dostateczną dozą konsekwencji, aby pomysł reżysera był czytelny, ale nie wystarczy jej, aby widz w ten pomysł uwierzył, aby przejął się prawdą ukazanych na scenie postaci i uczuć. Walka reżysera z utworem nie da się bowiem zataić. Toteż mimo inteligentnej, kulturalnej i pełnej inwencji pracy samego Rakowieckiego i mimo udanych wielu ról, wśród których szczególną uwagę budzą ujęcia Perzanowskiej (Walentowa), Kuniny (Borkowska), Brackiego (Borkowski), Łomnickiego (Ignaś) — odczuwa się w tym spektaklu jakiś niedostatek prawdy.

Teatr Współczesny, przystępując do opracowania sztuki Zegadłowicza D o m e k z k a r t, również musiał się zdecydować na pewnego rodzaju rewizję utworu. Zadanie to polegało na czym innym, niż w wypadkach omówionych poprzednio. Tam chodziło wyłącznie o trafną interpretację tekstu, którego kształt był zamknięty i gotowy, tu przede wszystkim o opracowanie dramaturgiczne. Utwór Zegadłowicza jest szkicem wybornej realistycznej satyry o wielkim ładunku politycznym, zwróconej przeciwko wrogiemu wobec mas ludowych Polski rządowi sanacji. D o m e k z k a r t pokazuje całą nicość tego rządu, jego tromtadrację i strusią politykę, pokazuje tchórzostwo aparatu ucisku, służącego do utrzymania przy władzy kliki i wyśmiewa bezradność intelektualną inteligencji stojącej poza polskim ludem, nie rozumiejącej nic z tego, co się dzieje na świecie, a rozprawiającej o wszystkim w abstrakcyjnie wyrafinowanych kategoriach bełkotu. Ale właśnie jako szkic, zawiera satyra Zegadłowicza zbyt wiele jak na jedno

przedstawienie materiału o nierównej artystycznie wartości, a nawet partie, zaciemniające wymowę ideologiczną lub odwracające uwagę od głównego nurtu akcji.

Opracowanie literackie D o m k u z k a r t, jakie dał Teatr Współczesny, na pewno nie będąc jedynie możliwym i najlepszym, daje jednak całość konsekwentną i wyrazistą, upraszcza obraz akcji i równocześnie czyni go bardziej dramatycznym. Nie było to bynajmniej „wyostrzanie" utworu, bo tego sztuka Zegadłowicza nie potrzebowała, ale przede wszystkim jego uporządkowanie. Myśl twórców widowiska zmierzała przy tym dokładnie w tym samym kierunku, jaki wytyczył autor. Ujawnia się to zarówno w opracowaniu literackim, jak i w interpretacji poszczególnych ról, w szukaniu specyficznego stylu gry, odpowiadającego wyostrzeniom i wyolbrzymieniom satyrycznym, toteż spektakl wywołuje w rezultacie wrażenie wielkiej jednolitości i prawdy.

Do sukcesu przedstawienia bardzo przyczyniła się reżyseria Erwina Axera, umiejętnie stopniująca środki satyrycznej ekspresji i dobrze przekazująca ideologiczną treść sztuki, Axer, jako reżyser, ma jeszcze i tę zaletę, że umie ukryć lub zatuszować słabe miejsca i role, a uwydatnić dobre, przez co „sprzedaje" swoje dzieła bardzo wysoko. Za najciekawsze ujęcia aktorskie uważam role Borowskiego (Korbicki), Szaflarskiej (Kiti), Meliny (Literat), Kwaskowskiego (Kłeczek), i Jaśkiewicza (Sławoj-Składkowski).

Wreszcie ostatnia ze sztuk, ukazujących życie polskie w okresie schyłku kapitalizmu — to S p r a w i e d l i w i l u d z i e Kazimierza Brandysa w Teatrze Kameralnym. Tutaj już nie mogło być problemów takich, jak opisane powyżej, a polegających na pewnej interpretacji tekstu autora, pomagającej znaleźć dla sztuki konsekwentny i prawdziwy kształt sceniczny. A jednak i tutaj praca dramaturgiczna teatru jest tak duża, że zwraca na siebie uwagę — przynajmniej tego, kto miał w ręku tekst pierwotny sztuki i porównuje go z tekstem przedstawienia.

S p r a w i e d l i w y c h l u d z i napisał wybitny prozaik jako debiut sceniczny. Ukazał on bardzo wyraźnie i plastycznie ludzi różnych obozów z okresu rewolucji 1905 r. Osiągnął również sukces w tym, że sprawy ideologiczne nie robią w sztuce wrażenia „doczepionych" do sytuacji i słów, lecz wynikają bezpośrednio z toku zdarzeń. Nie jest to więc utwór schematyczny, nie ma w nim deklaratywności i moralizatorstwa. Sztuka posiada jednak braki konstrukcyjne, które położone na szalę, bodajże dorównują owym zaletom. Cały niemal najważniejszy nurt akcji toczy się poza samą sztuką, na scenie słyszymy za to masę relacji. Wiele fragmentów nie rozwija w ogóle akcji, a jedynie charakteryzuje jakąś osobę, i to osobę, która później nie bierze udziału w rozwoju wypadków, lecz została ukazana raczej dla pełni wachlarza ludzkich postaw. Mamy więc wiele postaci, które uznajemy za świetne epizody, plastycznie malujące tło, na którym główni bohaterowie powinni rozegrać swą walkę; ale tych głównych bohaterów nie widzimy, są oni zarysowani zaledwie odrobinę dokładniej, niż reszta. Główną słabością S p r a w i e d l i w y c h l u d z i wydaje mi się to, że najwartościowsze ideologiczne środowisko, na którym autor pragnąłby zapewne skupić najwięcej światła (to znaczy robotnicy z SDKPiL), zupełnie niemal nie działa na scenie, nie staje się w dostatecznym stopniu antagonistą w rozgrywającym się konflikcie. Widzimy tylko pewne skutki działania ro-

botników, natomiast środowiskiem, które bierze w akcji najżywszy udział, staje się grupa prawicowych pepesowców, usiłująca przeszkodzić strajkowi.

Oni na pewno stanowiliby najplastyczniejsze artystyczne, najżywsze postaci sztuki, gdyby autor nie ustrzegł się przy ich kreacji od pewnego uproszczenia. Pokazując mianowicie słusznie objektywną rolę, jaką ich robota spełnia w ruchu robotniczym, nie dał im Brandys — zwłaszcza ich przywódcy — najmniejszego stopnia wiary w rewolucyjny frazes; przez to demaskuje w nich nie tyko obiektywnych, ale i subjektywnych zdrajców proletariatu, agentów, a nie fałszywych ideologów, którzy dopiero zmuszeni logiką wypadków, stoczyli się na agenturalne pozycje. Co prawda, wprowadza autor postać Profesora, który ma równoważyć tę przesadę, ale jest to postać w zamyśle autora tak epizodyczna, że nie pozostaje w pamięci widza mimo udanej interpretacji Żeleńskiego.

Mimo tych braków utwór Brandysa stanowi jedną z cenniejszych pozycji naszego dzisiejszego repeftuaru. Czuje się w nim rzecz pisaną przez autora, który nie wyzwolił się jeszcze w pracy dla teatru z techniki powieściopisarskiej, ale który jest pisarzem ciekawym i mającym wiele do powiedzenia o człowieku. W teatrze, jak w całej literaturze, ta cecha ważniejsza jest od niedomogów rzemiosła i te walory w rezultacie decydują o naszym zainteresowaniu.

Dlatego też reżyser Bardini słusznie postąpił, starając się możliwie udoskonalić wyraz dramaturgiczny sztuki. Nie mógł oczywiście dodać działania postaciom, którym go nie dał autor, dążył jednak do tego, aby ujawnić w dialogu dramatyczne pierwiastki (niektórzy z aktorów robią to nawet trochę natrętnie) zatarte przez nieteatralny sposób jego podania, i aby poszczególne sceny ukształtować w możliwie najlepszą plastykę obrazu.

Nie wiem, jak rozwijała się konkretnie współpraca reżysera z autorem, rezultaty jednak widoczne w przedstawieniu są w tej dziedzinie bardzo poważne. Możemy być pewni, że autor na tej współpracy wiele skorzystał, co powinno się ujawnić w jego następnych sztukach. Również i sama inscenizacja widowiska w Teatrze Kameralnym reprezentowała wysoki poziom scenicznego wykonawstwa, tak że widz ujęty prawdziwością poszczególnych fragmentów i sytuacji, zapominał o niedostatkach akcji dramatycznej. Z wyrównanego zespołu najbardziej zostają w pamięci: rola Zelwerowicza (Dziadek), Gorczyńskiej (Ewelina Kraus), Ciecierskiego (Drwęcki), Dominiaka (Budny), Świderskiego (Andrzej), Kondrata (Kostek), Broniszówny (Wysocka), Nalberczaka (Janek) i Przesmyckiej (Władzia). Wartość przedstawienia bardzo podnoszą również dekoracje Strzeleckiego, ukazujące wierny, a przy tym ładny plastycznie obraz brzydoty łódzkich wnętrz.

Edward Csato

NA WIDNOKRĘGU

O NIEKTÓRYCH ASPEKTACH KRYZYSU NAUKI AMERYKAŃSKIEJ

W ramach ogólnej militaryzacji życia gospodarczego, społecznego i politycznego Stany Zjednoczone są dziś również terenem daleko idącej militaryzacji nauki. Militaryzacja ta w sposób zasadniczy przyśpiesza proces podporządkowania nauki amerykańskiej interesom maksymalnych zysków monopolistycznych.

Gospodarzami nauki amerykańskiej są wielkie monopole. Z grubsza rzecz biorąc, to ich panowanie nad nauką opiera się na trzech filarach: kierownictwie uniwersytetami, tzw. prywatnych funduszach naukowo-wychowawczych i wreszcie dotacjach państwowych.

Parę przykładów może zilustrować zakres opanowania uniwersytetów w USA przez wielki kapitał. Tak więc dwa największe uniwersytety USA, Harward i Columbia, są w praktyce własnością Morgana, uniwersytet w Chicago należy do Rockeffelera, znany uniwersytet w Yale jest wspólną domeną obu tych grup monopolistycznych, słynnym Instytutem Technologii Massachussettes gospodaruje koncern Duponta, uniwersytet w Pittsburgu oraz Instytut Technologii Carnegie'go należą do Mellona, uniwersytet Rochester jest po prostu filią firmy Eastman Kodak itd. Aby zapewnić sobie władzę nad uniwersytetami, monopole bynajmniej nie potrzebują czynić wielkich wydatków, gdyż szereg uniwersytetów stanowi dziś dobrze zorganizowane przedsiębiorstwa zarobkowe. Uniwersytet w Harward np. posiada kapitał wartości 300 milionów dolarów, z czego $^2/_3$ ulokowane są w akcjach, obligacjach itd., dając roczny dochód ok. 30 milionów dolarów.

Uniwersytety wreszcie traktują dziś swe prace badawcze jako zajęcie przynoszące pokaźne dochody.

Wspomniane fundusze naukowo-wychowawcze pełnią złożoną rolę z jednej strony rozsadników ideologii sprzyjającej monopolom, z drugiej zaś centrów nadających swymi dotacjami kierunek badaniom nauki amerykańskiej. Omawiając np. działalność słynnego Funduszu Forda, który przed wojną zajmował się propagandą hitleryzmu w USA, a po wojnie szeroko uczestniczył w propagowaniu ideologii planu Marshalla i tak zwanego punktu czwartego Trumana tygodniowy dodatek New York Times stwierdził, że Fundusz „wzmacnia wszystkimi swymi środkami zasoby, jakie można przeciwstawić... komunizmowi i rewolucyjnemu ruchowi w Azji".

Dotacje państwowe stanowią trzecie źródło opanowania nauki amerykańskiej przez monopolistów. Z 3,5 miliarda dolarów wydatkowanych w roku ubiegłym w USA na wszelkiego typu prace naukowo-badawcze, trzy piąte pochodziło z budżetu państwa. Z sumy tej zaledwie $^1/_6$ otrzymały tzw. „instytucje pracujące bez zysku", pod którym to określeniem kryją się również, niesłusznie, uniwersytety. $^5/_6$ przypadło instytucjom technologicznym i laboratoriom bezpośrednio będącym własnością wielkich koncernów. Dało to oczywiście tym ostatnim możność dyktowania naukowcom amerykańskim kierunku badań tak, by zapewniały one jak najszybszy i jak największy zysk monopolom.

W warunkach powszechnego kryzysu kapitalizmu, a specjalnie w drugim etapie tego kryzysu mamy w krajach kapitalistycznych do czynienia z coraz szerszym hamowaniem rozwoju techniki i nauki nie służącej bezpośrednio celom wojennym. Technika wojenna pozostaje jedyną dziedziną, której rozwój jest przez monopole usilnie forsowany. Stąd właśnie militaryzacja nauki w Stanach Zjednoczonych — w jaki sposób

zaś monopole mają możność narzucania tej militaryzacji wskazano wyżej.

Coraz to nowe ogłoszenia w prasie i radio amerykańskim popularyzujące coraz to nowe „cuda techniki" w rodzaju automatycznych podwiązek, soku z pomidorów o mieszanym smaku bananowo-jajecznym itp. — nie powinny łudzić nikogo co do zakresu rozwoju sił wytwórczych w pokojowej gospodarce, ani też co do zakresu postępów pokojowej nauki amerykańskiej. Wszystkie owe sypiące się setkami na konsumenta „wynalazki" nie stanowią żadnego kroku naprzód pod względem istoty technicznej. Ich „wynalazczość" leży przede wszystkim w dziedzinie reklamy. Warto może wskazać, że tak potężny amerykański przemysł samochodowy od roku 1938 nie wprowadził do produkcji ani jednego nowego udoskonalenia. I tzw. automatyczne skrzynki biegów, i tzw. motory V o zwiększonej kompresji pochodzą z lat 1936 — 1938. I jakkolwiek lata wojenne przyniosły burzliwy rozwój techniki motoryzacyjnej — żadne z tych osiągnięć nie zostało po wojnie zastosowane w produkcji samochodów. Najnowsze modele amerykańskie z 1953 r. różnią się od modeli z 1938 r. li tylko budową karoserii i ustawieniem szyb. Co oczywiście nie przeszkadza specjalistom od reklamy w ogłaszaniu, że „jeżeli natychmiast nie kupisz naszego najnowszego modelu 1953, stracisz poważanie w świecie poważnych ludzi interesu".

Innym przykładem tego samego zjawiska może być stałe pogarszanie od 1945 r. jakości tkanin nylonowych do użytku cywilnego — tajemnicą poliszynela w USA jest fakt, że posiadający monopol produkcji nylonu koncern Duponta wydał ładnych parę milionów dolarów na badania laboratoryjne zmierzające do zmniejszenia trwałości przędzy nylonowej przy zachowaniu wszystkich innych cech (połysku, chwytliwości barwników itd.). Nie trzeba chyba tłumaczyć, dlaczego koncernowi Duponta zależało na zmniejszeniu trwałości nylonu.

W okresie powojennym wszystkie realne nowe zdobycze techniczno-naukowe w Stanach Zjednoczonych związane są z potrzebami wojskowości i najczęściej pozostają też w swym zastosowaniu ograniczone do tej dziedziny: tak ma się sprawa i z nowymi włóknami sztucznymi, i z nowymi farmaceutykami, i z nowymi sposobami obróbki metali, stopami o wysokiej odporności itd. Klasycznym zresztą już dziś przykładem jest pod tym względem energia atomowa.

Z punktu widzenia rozwoju nauki sytuacja ta ma jednak głębiej sięgające konsekwencje. W wyniku militaryzacji badań naukowych następuje zaniedbanie podstawowych badań teoretycznych w dziedzinie nauk przyrodniczych, nie mówiąc już o humanistyce. W ubiegłym roku gospodarczym z 1.839 milionów dolarów wydatkowanych z budżetu państwa na cele naukowo-badawcze 1.315 mln. przypadało na wydatki departamentu obrony, 292 mln. — na wydatki Komisji Energii Atomowej, 67 mln. — na badania komitetu dla spraw lotnictwa wojskowego — łącznie na cele wojskowe 91,1% wszystkich państwowych wydatków naukowo-badawczych. Według projektu budżetu na bieżący rok gospodarczy (od 1 lipca br.), procent ten wzrosnąć ma do 92,3. Rzecz charakterystyczna: sekretarz departamentu obrony, Wilson, zeznając w jednej z komisji parlamentarnych w sprawie projektowanych oszczędności budżetowych, oświadczył, że widzi możność zredukowania również wydatków na cele naukowo-badawcze. W jakiej dziedzinie? W dziedzinie podstawowych badań teoretycznych. Minister Wilson „nie jest zainteresowany jako przedstawiciel resortu wojskowego w zagadnieniach takich,

jak np. dlaczego zamrożone kartofle brązowieją". Komentując to oświadczenie ministra New York Herald Tribune dodał, że najwyraźniej „uważa on, iż cały szereg problemów badawczych stanowi nie tylko tzw. czystą naukę, ale po prostu głupotę". I rzecz podwójnie charakterystyczna: naukowcy amerykańscy, którzy wystąpili w obronie badań nad zamrożonymi kartoflami (np. dr Leroy Veris, sekretarz Urzędu Żywności i Wyżywienia Narodowej Rady Badań) nie poważyli się wskazać ministrowi, że problem brązowienia zamrażanych kartofli, identyczny z problemem brązowienia obranych ziemniaków w normalnej temperaturze, posiada poważne implikacje teoretyczne i w dziedzinie chemii i w dziedzinie biologii. Głównym ich argumentem było wskazywanie, że i takie pozornie abstrakcyjne badania mogą się przydać... głównej intendenturze armii USA. W takiej atmosferze nic dziwnego, że z całej sumy rządowych wydatków na cele naukowo-badawcze — podstawowe badania teoretyczne otrzymują niespełna 4%. Agencja rządowa National Science Foundation, która rozdziela dotacje na takie właśnie badania, jest każdorazowym *bête noire* oszczędnościowych tendencji Kongresu. W ubiegłym roku gospodarczym Fundacja prosiła o 15 milionów dolarów, a dostała tylko 4,75 mln. W bieżącym roku gospodarczym, prosząc również o 15 milionów, dostała od komisji kredytowej Izby Reprezentantów (budżet jeszcze na plenum nie jest uchwalony) — 5,7 miliona.

Dodatkowym rezultatem zaniedbania wszelkich badań naukowych, wyjąwszy militarne, jest ciągła redukcja dopływu nowych kadr naukowych. Bardzo interesujące dane zawiera w tym względzie ostatni raport National Man-Power Commission dla prezydenta Eisenhowera. Raport ocenia, że tylko niespełna połowa „odpowiednio uzdolnionej młodzieży" (oczywiście chodzi tu o młodzież posiadającą odpowiednie środki materialne, gdyż szkolnictwo wyższe w USA jest płatne i to dość słono), wstępuje na wyższe studia na szczeblu kolegium. Tylko $^2/_3$ z tych, którzy wstępują na te studia — dociągają do końca. Tylko 4% z tych, którzy kończą studia na szczeblu kolegialnym, przystępuje do zdawania doktoratów. W rezultacie w dziedzinie nauk przyrodniczych w całych Stanach Zjednoczonych uzyskiwanych jest rocznie zaledwie 3.600 doktoratów. Stale również zmniejsza się liczba naukowców pracujących choćby częściowo w dziedzinie badań teoretycznych, badań, mówiąc językiem omawianego raportu, „rozszerzających granice ludzkiej wiedzy": w chwili obecnej zaledwie 9% pracowników naukowych zatrudnionych jest przy tego rodzaju badaniach.

Taki rozwój w dziedzinie kształcenia i dopływu nowych kadr naukowych jest ściśle związany z kierunkiem zainteresowań uniwersytetów. American Council on Education w swoim ostatnim raporcie dochodzi do wniosku, że kolegia i uniwersytety po prostu przestają się zajmować naukowym wychowaniem młodzieży i przekształcają się w laboratoria wielkich monopoli i departamentu obrony. Raport notuje, że zamówienia udzielane uniwersytetom i kolegiom w dziedzinie badań wojskowych „zagrażają niezależności całego szeregu szkół zawodowych i uniwersytetów". Zamówienia te „zabierają wykładowców studentom" i prowadzą do lekceważenia w ogóle zadań wychowawczych. Brytyjski The Economist zauważa w związku z tym, że „można wątpić, czy instytucje wychowawcze mogą przekształcać się w fabryki do badań i ciągle jeszcze wychowywać młodzież".

Powyższy przegląd dotyczy w zasadzie nauk przyrodniczych. Nie można jednak pominąć milczeniem jeszcze dwóch aspektów militaryzacji życia naukowego w USA. Pierwszy z tych aspektów — to

całkowite pomijanie w dotacjach państwowych i prywatnych nauk humanistycznych. Cytowana American Council on Education stwierdza: „Koncentracja dotacji na naukach fizykalnych z wykluczeniem w praktyce dziedzin humanistycznych i społecznych... stworzyła wielki problem o olbrzymim znaczeniu dla całego narodu". Co więcej — i to jest drugi aspekt zagadnienia — zanika nawet formalna samodzielność pracy naukowo-badawczej nie tylko w dziedzinie nauk przyrodniczych, lecz również humanistycznych. Trudno sobie faktycznie wyobrazić, by uniwersytet, który żyje z zamówień departamentu obrony bądź monopolu Duponta, zezwalał swym socjologom na minimum swobody myślenia. The Economist pisze o bankructwie „całego szeregu małych tradycyjnie liberalnych kolegiów", które nie dostają żadnych dotacji i nie mogą przyciągnąć studentów. Jak tragicznie wygląda sytuacja, wskazuje fakt, że liberalizująca Social Research Council bijąc na alarm woła: „Nieco swobody dla niezależnych badań".

Militaryzacja stała się narzędziem sprzyjającym politycznej czystce na wyższych uczelniach amerykańskich. Jak wiadomo, senator Mac Carthy dopiero zaczyna wielką kampanię na temat czystki na uniwersytetach. Już w tej chwili jednak dziekan State College w stanie Michigan był zmuszony oświadczyć: „Owe śledztwa rzuciły wielki cień na uniwersytety, gdyż każdy dziś pyta się, do jakiego w ogóle stopnia można dyskutować nad przeciwstawnymi opiniami". W stanowym uniwersytecie w Texasie wydarzył się bardzo znamienny wypadek: jednego z docentów rada uniwersytetu postanowiła zwolnić z pracy za nieudolność. W odpowiedzi na to ów docent zapowiedział, że zaraz jedzie do senatora Mac Carthy i zadenuncjuje całą radę uniwersytecką jako „parszywych komunistów". Nie można się dziwić, że po takim *verbum acerbum* docent pozostał na stanowisku: podziałał nie tylko lęk przed senatorem Mac Carthy, lecz również obawa utraty zamówień departamentu obrony.

Byłoby błędem mniemać, że w świecie naukowym Stanów Zjednoczonych nie ma sił występujących przeciw militaryzacji nauki i jej pełnemu bezpośredniemu podporządkowaniu monopolistom. Nawet w cytowanym raporcie American Council on Education znalazło się nieśmiałe żądanie, by „unikać badań mających sprecyzowanie wojskowy charakter". Takich wystąpień jest wiele. Jak pisze The Economist, „zaczyna się w nich, choć bardzo rzadko, pojawiać słowo „kultura"! Zdrowe odruchy oporu amerykańskiego świata nauki świadczą o istnieniu tam — słabego i niezorganizowanego jeszcze — niemniej sojusznika światowego frontu walki o pokój.

Krzysztof Wolicki

AKTUALNE ZAGADNIENIA TEORII REALIZMU SOCJALISTYCZNEGO W ZWIĄZKU RADZIECKIM

Dnia 9 czerwca br. ukazał się w Prawdzie artykuł wstępny, poświęcony aktualnym problemom literaturoznawczym. Po omówieniu szeregu osiągnięć radzieckiego literaturoznawstwa Prawda podkreśliła wciąż jeszcze niezadowalający stan badań w dziedzinie teorii literatury, estetyki marksistowsko-leninowskiej, teorii realizmu socjalistycznego. W omawianym artykule Prawdy czytamy: „Nie ma prac z dziedziny teorii realizmu socjalistycznego, książek poświęconych historii estetyki, a zwłaszcza dorobkowi wielkich demokratów rewolucyjnych — Bielińskiego, Czernyszewskiego, Dobrolubowa, którzy wnieśli olbrzymi wkład do nauki o sztuce i literaturze".

W dalszym ciągu artykułu Prawda podkreśliła, że wciąż jeszcze w nauce o literaturze panuje niewłaściwy podział na krytykę i literaturoznawstwo, co oczywiście powoduje zwłokę w opracowaniu zagadnień teoretycznych. W artykule Niektóre problemy krytyki literackiej (Oktiabr nr 5/53) poruszył również to zagadnienie W. Ozierow, wyrażając pogląd, że udział badaczy literatury w rozwoju literatury radzieckiej mógłby być znacznie pełniejszy, gdyby uczeni uchwycili żywą więź między dziejami literatury a jej dniem dzisiejszym. Twierdzenie, że podwyższenie poziomu badań nad teorią realizmu socjalistycznego pozostaje w ścisłym związku z ogólnym stanem badań literaturoznawczych, znajdujemy u autorów wielu artykułów opublikowanych na ten temat w ostatnich czasach.

Jednocześnie, w dwóch miesięcznikach Związku Pisarzy Radzieckich ukazały się artykuły o realizmie socjalistycznym: w Trybunie pisarza na łamach Oktiabr'a (nr 4/53) O niektórych zagadnieniach teorii realizmu socjalistycznego E. Gorbunowej i artykuł T. Trifonowej — pod takim samym tytułem na łamach Zwiezdy (nr 4/53). Zaczniemy te omówienia od dyskusyjnego artykułu Gorbunowej (wszystkie artykuły w dziale Trybuna pisarza miesięcznika Oktiabr są dyskusyjne). Nawiązując do znanej wypowiedzi Malenkowa na XIX Zjeździe KPZR o tym, że „...świadome przejaskrawienie, wyostrzenie obrazu nie wyklucza typowości, lecz w pełniejszym stopniu ujawnia ją i podkreśla" (Nowe Drogi, nr specjalny, październik 1952, str. 55), Gorbunowa ostrzega przed niewłaściwym interpretowaniem tej niezwykle ważnej w literaturze realizmu socjalistycznego zasady.

Zdaniem autorki omawianego artykułu — przy komentowaniu słów Malenkowa niektórzy dochodzą do fałszywych wniosków, na przykład: „...usiłują je interpretować w tym znaczeniu, że otwierają one drogę do stosowania w realizmie — że się tak wyrażę —„specjalnych metod romantycznych". Ktoś nawet doszedł do wniosku, że ten postulat (Malenkowa — J. S.) zawiera w sobie wezwanie do „monumentalnej sztuki klasycznej", do „uroczystej nastrojowości". Gorbunowa zwalcza te błędne poglądy, wyczuwając w nich echa dawno wygasłego sporu o „rewolucyjnej romantyce w realizmie socjalistycznym".

Gorbunowa polemizuje z wybitnym poetą i dramaturgiem azerbajdżańskim Samed Wurgunem, który w n-rze 2/53 Oktiabr'a zamieścił artykuł o zadaniach literatury realizmu socjalistycznego pt. Zagadnienia wielkiej sztuki. Zastanawiając się nad tym, czym jest „świadome przejaskrawienie", wyolbrzymienie rysunku postaci, Wurgun wyraził pogląd, że „... jest to swoisty „nawrót" do dawno znanej, ale przez wielu zapomnianej prawdy, że nie ma wielkiej sztuki bez wielkich uogólnień artystycznych, bez wzniosłych ideałów".

Przeciwko tej słusznej wypowiedzi Wurguna Gorbunowa, oczywiście, nie występuje; zastrzeżenia budzi w niej jednak inne twierdzenie Wurguna, które świadczy o pewnym zwężaniu i jednostronnym interpretowaniu pojęcia typowości. Mówiąc o literaturze przeszłości, o literaturze realizmu krytycznego Wurgun zaakcentował, iż wówczas „...mogły być też zaostrzone postacie ludzi „maluczkich", poniżonych, okaleczonych przez kapitalizm. Ale dla naszej, radzieckiej sztuki sprawą główną jest odtworzenie wielkich charakterów, ludzi obdarzonych silnymi namiętnościami". Przedstawić takie natury można — kontynuuje Wurgun — przy pomocy od-

powiednich, silnych i wyrazistych — środków i odpowiedniego, poetycznego — języka.

Zdaniem Gorbunowej, Wurgun wysuwając postulat odtwarzania tylko silnych, namiętnych, wyjątkowych natur, komponowania wzniosłych wątków i motywów, używania uroczystego, nastrojowego języka — wykazuje, iż nie docenia typowości w stosunku do zjawisk bardziej powszednich. Zdaniem Gorbunowej — nie tak należy stawiać zagadnienie i nie na tym polega zadanie pisarza w literaturze realizmu socjalistycznego.

„Zadaniem literatury radzieckiej — pisze Gorbunowa — jest głoszenie, utrwalanie, wzmacnianie zdobyczy naszego narodu, rozsiewanie drogocennych ziaren nowego. Pisarz powinien kochać życie, rozumieć naszych skromnych ludzi pracy, w ich codziennej, zwykłej postawie doszukiwać się i znajdować rysy szlachetnego patriotyzmu radzieckiego, piękno czynów i pomysłów". O to właśnie chodzi, ażeby środkami literackimi odmalować plastycznie te rysy charakteru, te zalety człowieka radzieckiego, które sprawiają, że szeregowy pracownik, prosty człowiek pracy staje się bohaterem.

Na marginesie zaznaczam, że w Prawdzie z 19.VI br. ukazał się na ten sam temat artykuł autora Żurbinów W. Koczetowa pt. Problem charakteru postaci. W tych Uwagach pisarza Koczetow konstatuje, że „...w ostatnich latach zaczęły się ukazywać powieści i nowele, których autorzy ze wszystkich sił starają się rozwiązywać zagadnienia ściśle techniczne. W takich utworach znaczenie człowieka maleje, postać kurczy się do roli „rozwiązywacza" konkretnych zagadnień technicznych, natomiast sprawy i konflikty ludzkie, życiowe — bardzo często zastępuje się problemami i konfliktami technicznymi. Stwarza to dodatkową... „trudność" odmalowania ludzi radzieckich.

„Ażeby iść drogą twórczej metody realizmu socjalistycznego — kończy ten wywód Koczetow — ażeby spełnić zadania, jakie przed naszą literaturą i sztuką postawiła partia, ażeby tworzyć takie postacie ludzi radzieckich, które mogłyby stać się przykładem do naśladowania, powinniśmy brać człowieka w całej pełni jego natury, rozpoczynając od poszczególnych, pojedynczych jej przejawów — do całkowitego, pełnego ogarnięcia jego charakteru".

Po tej dygresji wracam do artykułu Gorbunowej, która w rozważaniach nad tworzeniem postaci bohaterów literatury realizmu socjalistycznego, powołuje się na jasne wskazania partii. W referacie na XIX Zjeździe Malenkow powiedział: „Siła i znaczenie sztuki realistycznej polega na tym, że może ona i powinna wykrywać i ukazywać wysokie walory moralne oraz typowe, pozytywne cechy charakteru prostego człowieka, malować jego wyrazisty obraz artystyczny, godny tego, aby stać się dla ludzi przykładem i wzorem do naśladowania." Nowe Drogi, j. w., strona 55).

Literatura realizmu socjalistycznego ucieleśnia w realistycznych obrazach artystycznych rozkwit indywidualności ludzkiej w warunkach socjalistycznych; pisarze w swojej działalności twórczej kierują się ideałami partii Lenina-Stalina, odnajdują, pokazują, popierają i wysuwają na czoło — wszystko to co jest nowe i przodujące w rzeczywistości radzieckiej. „Przeczuć w „małym" wielkie — pisze Gorbunowa — opowiedzieć poetycznie o pięknie i szlachetności życia prostego robotnika, kołchoźnika, inteligenta radzieckiego, uczynić jego portret emocjonującym, wzruszającym — oto szlachetne i zaszczytne zadanie artysty. Wymaga to talentu i mistrzostwa, wszechstronnej różnorod-

ności środków artystycznego typizowania, wzniosłej ideowości".

Podstawowa zasada realizmu socjalistycznego — historycznie konkretne ustosunkowanie się do rzeczywistości, odtwarzanie jej w całym bogactwie i różnorodności, w jej rewolucyjnym rozwoju — obowiązuje pisarzy bez względu na ich osobiste gusty i zainteresowania, których zresztą bynajmniej nie krępuje. „Metoda realizmu socjalistycznego — wywodzi Gorbunowa — nie narzuca artystom jakiegoś określonego systemu środków artystycznych, jakiegoś jednolitego stylu. Na odwrót, metoda realizmu socjalistycznego sprzyja rozwijaniu różnorodnych środków artystycznych, otwiera możliwości dla użycia barw i tonów różnej intensywności, stwarza warunki dla pełnego ujawnienia twórczej indywidualności artysty".

W dalszym ciągu swojego artykułu polemizując z Wurgunem, Gorbunowa stawia zarzut, że w artykule Z a g a d n i e n i e w i e l k i e j s z t u k i z bardzo ścisłego, prostego i wyczerpującego sformułowania typowości w znanym określeniu Malenkowa Wurgun uwzględnił tylko jeden moment — prawo artysty do przejaskrawiania, do wyolbrzymiania. W związku z tym Gorbunowa zastanawia się nad pytaniem, czym w istocie swojej jest użyte przez Wurguna wyrażenie „świadome wyolbrzymianie postaci i zjawisk".

Gorbunowa powołuje się na znany wywód Lenina w sprawie istoty obrazów. Lenin, jak wiadomo, zbija idealistyczną teorię symbolów i hieroglifów twierdzeniem, że — w przeciwieństwie do tych umownych oznaczeń rzeczy i zjawisk — obrazy stanowią odbicie realnej rzeczywistości w świadomości ludzi. Lenin określał obrazy mianem kopii rzeczywistych rzeczy i procesów w przyrodzie i społeczeństwie, nazywał je ich odbitką, wyobrażeniem. Kreśląc obrazy życia artysta - literat odtwarza obiektywną realność.

Może on — oczywiście — podać obraz ściśle zgodny z realnym przedmiotem, może też go zniekształcić: uwypuklić pewne strony, pozostawić w cieniu — inne, zależy to od stosowanej przezeń metody twórczej, a przede wszystkim, od jego światopoglądu — zawsze jednak u kolebki wszelkiej twórczości artystycznej jako jej praźródło bije odczuwanie realnej rzeczywistości, życia ludzkiego, stosunków społecznych.

W pracy twórczej realista nie fotografuje rzeczywistości, ale dokonuje doboru rzeczy i zjawisk, odtwarza zaś to, co jest istotne, charakterystyczne, typowe. Według określenia Gorkiego pisarze uzdolnieni „...świetnie władają sposobami obserwacji, zestawienia, doboru najbardziej charakterystycznych cech klasowych, oraz metodami zespolenia — wyobrażenia — tych właściwości w jednej osobie: tak powstaje postać literacka, typ społeczny".

Ażeby najpełniej i najostrzej oddać w obrazach artystycznych istotę określonej siły społecznej zawartej w zjawisku typowym, pisarz-realista skupia, koncentruje w obrazach najistotniejsze strony rzeczywistości ujęte w perspektywie jej tendencji rozwojowych, odmalowane w ogniu walki stanowiącej rdzeń tego rozwoju. W tym celu pisarz zaostrza, przejaskrawia, wyolbrzymia obrazy artystyczne w porównaniu z ich realnymi pierwowzorami w życiu.

„U podstaw tego, co typowe — wywodzi Gorbunowa — leży uogólnienie wielu zjawisk, wielu cech, koncentracja życiowych spostrzeżeń i obserwacji wielu zjawisk." Nie są to jedyne drogi poznania tego, co typowe. Gorbunowa dowodzi, że artysta może również odkryć i odsłonić to, co typowe, także wówczas, kiedy odnajduje je tylko w jednym jakimś konkretnym przypadku lub postaci, kiedy jeszcze zjawisko to

nie znalazło szerokiego rozpowszechnienia. W dostrzeżeniu i ocenieniu tych poszczególnych przejawów nowego, jako przejawów typowych, właściwych typowej istocie zjawiska społecznego — dopomoże pisarzowi jego spostrzegawczość, dar orientacji w rzeczywistości społecznej, zdolność pojmowania istoty obiektywnych praw rozwoju i tendencji dziejowych. Które — wzięte z rzeczywistości — zjawiska wybierze pisarz jako istotne, które oceni trafnie w płaszczyźnie rzeczywistości historycznej — to zależy od jego światopoglądu, od jego partyjności.

Czy tylko do tego ma się ograniczyć proces twórczy w literaturze realizmu socjalistycznego? Bynajmniej. „Bardzo ważną rolę — twierdzi Gorbunowa — spełnia tu fantazja artysty, jego zdolność dopełniania obrazów i postaci własną myślą — pod warunkiem, że pisarz wychodzi z właściwego rozumienia istoty zjawisk społecznych, obiektywnych prawidłowości świata, z pojmowania i znajomości natury ludzkiej".

O znaczeniu fantazji twórczej w realistycznej sztuce i literaturze pisał A. Jegorow w artykule Właściwości sztuki i jej znaczenie w życiu społecznym (Komunist nr 6/53): „W procesie poznania artystycznego wielką rolę spełnia fantazja twórcza, wyobraźnia artysty. Obraz artystyczny stworzony na podstawie obiektywnie wiernego odbicia życia zawsze różni się od tego, co daje nam bezpośrednie odczucie. Artysta tworzy obrazy, w których uogólnił podobne, bliskie i pokrewne przejawy, istotne cechy i tendencje w rozwoju charakterów ludzkich i stosunków międzyludzkich, w typowych okolicznościach i warunkach życia ludzi — a zatem coś odmiennego od tego, co spotyka się bezpośrednio w rzeczywistości". (j. w. str. 79) .

W dalszym ciągu swojego artykułu Gorbunowa analizuje znaczenie syntezy ideowej w literaturze realizmu socjalistycznego. Wewnętrzny patos realistycznego utworu artystycznego tkwi w szerokich uogólnieniach, w ideowej syntezie, w ideałach społecznych pisarza. Im głębsza, bardziej wnikliwa i ważka jest synteza ideowa, im bardziej przodująca i szlachetna jest idea utworu — tym większej mocy nabiera jasność i ścisłość, tym bardziej sugestywna jest siła artystycznego przekonania i wiarygodności utworu, indywidualna konkretność i niepowtarzalność obrazów i postaci. Zdaniem Gorbunowej — nasyceniu utworu literackiego ideą, jej uwypukleniu i zaostrzeniu sprzyja precyzyjna, plastyczna forma artystyczna. Ideowym uogólnieniom utworu nie szkodzi, czystości i precyzji syntezy nie mąci zaakcentowanie w utworze pierwiastka indywidualnego, swoistego, konkretnego; wprost przeciwnie: uwypukla typowość, nadaje jej wyraz konkretny i zabarwienie uczuciowe.

Wypływa to z założeń filozofii marksistowskiej, z określenia przez Lenina wzajemnego stosunku tego, co ogólne — do poszczególnego*). W artykule O sztukach teatralnych Gorki radził dramaturgom, ażeby w każdej pokazanej postaci — prócz jej cech ogólnoklasowych, typowych — widz odnalazł ten „rdzeń indywidualny", który jest w niej najbardziej charakterystyczny, który ostatecznie określa jej społeczne oblicze, postępowanie. „Wyłącznie tylko „cecha klasowa" nie daje jeszcze żywego, całkowitego człowieka, artystycznie ukształtowanego charakteru". Gorki wywodził, że pisarza otacza korowód ludzi o różnych charakterach i usposobieniach, cechach i zaletach. „Dramaturg ma prawo — twierdził —

*) Bliższe szczegóły o filozoficznej stronie zagadnienia i poznawczych właściwościach sztuki realizmu socjalistycznego znajdzie czytelnik w n-rze 1 Twórczości z ub. r. Na widnokręgu. Aktualne problemy estetyki w Związku Radzieckim.

wziąwszy którąkolwiek z tych właściwości, pogłębić ją, rozwinąć, dodać jej ostrości i jaskrawości, uczynić z niej cechę główną i wytyczającą charakter tej czy innej postaci sztuki. Właśnie na tym polega praca nad stworzeniem charakteru postaci".

Jedynie zespolenie w postaci cech indywidualnych i społecznych, jedynie plastyczne i jaskrawe, ostre wcielenie najbardziej charakterystycznych cech klasowych skojarzonych z niepowtarzalną swoistością, odrębnością indywidualną — stwarza postać-typ. Takie postacie-typy wykraczają daleko poza ramy swojej epoki; zachowując „atmosferę epoki" żyją nadal jako wyodrębnione ludzkie charaktery, posiadające zarazem przymioty pospolite. By stworzyć takie postacie typowe — kontynuuje Gorbunowa — potrzeba, przede wszystkim, istotnie głębokiej i wszechstronnej znajomości życia. Znajomości tej nie zastąpi żadna wydedukowana abstrakcja. Gorbunowa uprzedza pisarzy, że jeśli spróbują zbliżyć się do żywego strumienia życia z miarkami „ogólnoludzkimi", ponadczasowymi, pozadziejowymi — narażą się na to, iż nigdy w ogóle nie pojmą dnia dzisiejszego.

Zagadnieniem ciągłości metod realizmu i stosunku realizmu socjalistycznego do krytycznego zajęła się szczegółowo w swoim artykule O niektórych zagadnieniach realizmu socjalistycznego (j. w.) — Trifonowa. Na wstępie Trifonowa zbija twierdzenie L. Timofiejewa, zawarte w podręczniku uniwersyteckim Teoria literatury, iż realizm socjalistyczny różni się od realizmu krytycznego tym, że dąży do odtwarzania „przeważnie charakterów i postaci socjalistycznych w warunkach socjalistycznych". Tego rodzaju sformułowanie — wywodzi Trifonowa — jest błędne, zwęża bowiem rozległe możliwości metody realizmu socjalistycznego.

Nie będę szczegółowo omawiał argumentów Trifonowej, wymienię tylko kilka: 1) Definicja Timofiejewa prowadzi z logiczną konsekwencją do teorii bezkonfliktowości. 2) W definicji tej nie mieści się ani satyra, ani powieść historyczna, ani utwory o współczesnym świecie kapitalistycznym. 3) Takie wąskie i ograniczone określenie metody realizmu socjalistycznego zwęża kryterium oceny utworów literackich li tylko do przekroju tematycznego, materiałowego; stwarza korzystny pretekst dla wartościowania twórczości pod kątem widzenia zwulgaryzowanego socjologizmu, dla ignorowania artystycznej specyficzności utworu. O definicji Timofiejewa pisze Trifonowa w dalszym ciągu swego artykułu w ten sposób: „...Przy bliższym rozpatrzeniu nie trudno zauważyć, że wiedzie ona do zubożenia literatury, do zastąpienia rozważań o metodzie rozstrząsaniami o przedmiocie wyobrażenia literackiego."

Były różne — niekiedy nawet uproszczone i wulgaryzatorskie — próby ujęcia różnic między realizmem socjalistycznym a krytycznym. Trifonowa podkreśla, że istotne i jakościowe różnice są uchwytne i zrozumiałe wyłącznie w świetle rozwiniętej twórczo przez J. Stalina marksistowskiej nauki o bazie i nadbudowie, w świetle pracy J. Stalina Ekonomiczne problemy socjalizmu w ZSRR. Można zrozumieć te różnice wychodząc z przesłanki, że literatura realizmu socjalistycznego rozwija najlepsze tradycje otrzymane w spadku po klasycznej literaturze rosyjskiej — na podwalinach takiego światopoglądu filozoficznego i naukowo-poznawczych praw rozwojowych, jakich nie znali, nie mogli znać pisarze przeszłości.

Przede wszystkim — literaturę realizmu socjalistycznego cechuje nieznana dotychczas, niebywale ścisła więź z życiem, z rzeczywistością, niespotkany ni-

gdy i nigdzie udział w kształtowaniu tego życia. Nigdy i nigdzie nie mogła być literatura tak powiązana ze wszystkimi dziedzinami teorii i praktyki.

Kontynuując analizę różnic między literaturą realizmu socjalistycznego a realizmem krytycznym Trifonowa zatrzymuje się przykładowo na dwóch pojęciach: na patriotyzmie i humanizmie. Wiadomo, że patriotyzm pisarzy w literaturze realizmu krytycznego zespolił się z walką przeciwko ustrojowi carsko-obszarniczemu, natomiast patriotyzm literatury radzieckiej wypływa z poczucia i pojmowania wielkich zadań Kraju Rad i jego literatury w dziele wyzwolenia ludzi pracy na całym świecie — patriotyzm radziecki jest nieodłączny od proletariackiego internacjonalizmu.

W przeciwieństwie do opartego głównie na współczuciu — humanizmu literatury realizmu krytycznego, humanizm literatury realizmu socjalistycznego wypływa z podstawowych praw socjalizmu traktujących człowieka i jego dobro jako główny cel. Jest to humanizm socjalistyczny, jak pisze Trifonowa — „...aktywny, skuteczny, konkretny, który nie daje się pogodzić z pojednawczością, nie ma nic wspólnego ze łzawym współczuciem, bezlitośnie chłoszcze zło, w walce głosi i utrwala prawa człowieka. Sztuka realizmu socjalistycznego opiewa nie abstrakcyjną miłość do człowieka, ale szacunek dla człowieka-twórcy, człowieka-bojownika". Jak już wyżej zaznaczyłem, najistotniejsze różnice między literaturą realizmu krytycznego a socjalistycznego tkwią w podstawowych zasadach ideologicznych. Krótko mówiąc — literaturę realizmu socjalistycznego uzbraja i uskrzydla marksizm-leninizm.

Oceniając realizm krytyczny z pozycji dzisiejszych Trifonowa pisze: „Wielcy realiści przeszłości nie mogli nie odzwierciedlić w swojej twórczości wielu istotnych zjawisk życiowych, ale potrzebny był geniusz Marksa, ażeby wyciągnąć wnioski naukowe z tego, co zobaczył i zobrazował Balzak, potrzebny był geniusz Lenina, ażeby odsłonić obiektywny sens twórczości Tołstoja".

Autor wspomnianego wyżej artykułu W ł a ś c i w o ś c i s z t u k i i j e j z n a c z e n i e w ż y c i u s p o ł e c z n y m A. Jegorow wyjaśnia demaskatorską rolę realistów przeszłości w ten sposób: „Żywe tworzywo, nad jakim pracuje artysta, posiada — jak słusznie wskazywał Gorki — zdolność „stawiania oporu" samowładzy jego sympatyj i antypatyj. Właśnie tą siłą „wytrzymałości" żywego materiału na subiektywną samowolę artysty można wyjaśnić takie fakty, że wielcy realiści przeszłości niekiedy wznosili się w swoich utworach — ponad ograniczenia wypływające z ich sympatyj osobistych i przekonań klasowych, ponad przesądy klasowe". (Kommunist nr 6/53, str. 84).

Literatura realizmu socjalistycznego głosi prawdę obiektywnie, uczciwie. Literatura realizmu socjalistycznego — czytamy w artykule badacza literatury G. Łomidze O p r a w d z i e ż y c i a i t y p o w o ś c i w l i t e r a t u r z e (Drużba Narodow nr 1/53) — „...mówi głośno zarówno o wzniosłych zasadach naszego życia jak i o trudnościach budownictwa socjalistycznego. Literatura realizmu socjalistycznego nie lakieruje rzeczywistości, lecz wzywa ludzi do walki z trudnościami, brakami i niedociągnięciami, bez ich przezwyciężenia nie można posuwać się naprzód."

Na licznych przykładach, w drodze analizy najlepszych utworów realizmu socjalistycznego, wziętych z różnych etapów rozwojowych literatury radzieckiej — Łomidze zilustrował, w jaki sposób najistotniejsze cechy realizmu socjalistycznego odzwierciedliły się w doborze typowych zjawisk i postaci, w konstrukcji wątka i kompozycji, w budowie

stylu i w języku utworów. Autor artykułu dochodzi do wniosku, że mimo dużych różnic w manierze twórczej — idea tych utworów w istocie swej jest jedna: jest to idea triumfu sprawy komunizmu.

„Siła realizmu socjalistycznego — czytamy w artykule Łomidze — tkwi w tym, że (jak głosi statut Związku Pisarzy Radzieckich) stwarza i zapewnia twórczości artystycznej... „wyjątkowe możliwości wyładowania inicjatywy twórczej, wyboru różnorodnych form, stylów i rodzajów twórczych. Zwycięstwo socjalizmu, niespotykany w dziejach ludzkości burzliwy rozwój sił wytwórczych... wreszcie niebywałe sukcesy w rozwoju nauki, techniki i kultury — stwarzają nieograniczone możliwości jakościowego i ilościowego wzrostu sił twórczych i rozkwitu wszelkich rodzajów sztuki i literatury".

Józef Spinc

RABIES AMERICANA

Ach! Waszyngtonów i Kościuszków cienie,
Mężów, co z kończyn obcego narodu
Niańczyć ci przyszli, Ameryko! z młodu,
By nie zwać c u d z e m, cudze wyzwolenie —
Czy patrząc z szczytów, gdzie jest źródło wzroku,
Cienie te czasem nie zmylą się raczej?—
I wołającym o pomoc, w rozpaczy,
Czarny pokażą sztandar na obłoku —
A ludzie bladzi, stłumieni i cisi,
Rzekną iż: w Brownie Ameryka wisi?

Cyprian Kamil Norwid

J o h n B r o w n.

Ociężały bieg wieków raz po raz przerywa błysk. Spadają nawałnice pędząc naprzód rzekę historii. Coraz trudniej wznosić na niej zapory i sam ród budowniczych wstecznictwa karleje. Dawniej milionerzy przenosili pod smutne niebo Stanów Zjednoczonych zamki znad Loary i Renu. Dziś w Białym Domu wznoszą replikę Braune Haus, a pięć koncentracyjnych obozów stoi w pogotowiu, by pochłonąć wszystko, co szlachetne: w Avon Park (stan Floryda), El Reno (Oklahoma), Wickenburg i Florence (Arizona), Tule Lake (Kalifornia). Na początek zmieszczą sto tysięcy więźniów. Prezydent Eisenhower z dumą przywdział zetlały mundur Hindenburga, a pierwsza dziś po nim osoba — senator Mac Carthy—ceruje już i łata krwawy łachman brunatny Hitlera. Potrzeba tylko iskry, by po najdalsze krańce republiki zapłonęły całopalne stosy, by z automatycznej puszki współczesnej Pandory wylała się na kraj cuchnąca faszystowska zgnilizna.

Iskrą miał być ulepszony, doskonalszy pożar Reichstagu. Na rozkaz jawnie i bezpośrednio rządzących obecnie Ameryką trzech wielkich grup finansowych — Morgana, Du Ponta i Rockefellera — trust kryminologicznych i kryminalnych mózgów przystąpił do ułożenia szczegółowych planów. Precyzją wykonania, śmiałością innowacji i zmian, miały nieskończenie przewyższyć pierwowzór procesu lipskiego, zapobiec błędom, gwarantować niezawodność działania.

W obliczu wydarzeń, które znaczą godziny dziejów, cisną się porównania. Lecz gdzie ich szukać na widok ohydy, jaką z miedzianym czołem popełnia klasa rządząca imperium Ameryki? Spoglądamy w najgłębsze czeluście minionych epok. Na próżno. Nie było takiej hańby. Dreyfusowi pozwolono doczekać się rehabilitacji. Jean Calas, zamordowany przez tępy katolicki fanatyzm, ze strachu kłamał przed sądem i tym przypieczętował swą zgubę. Ale na głos Woltera parlament w Paryżu zrewidował sprawę i ofiarę ciemnoty przywrócił pośmiertnie do czci.

Odtąd, a było to przed dwoma wieka-

mi, świat cywilizowany nie znał już morderstw sądowych. Dopiero faszyzm poważył się zmienić trybunały w katownie, z ministrów i sędziów uczynił siepaczy, a głowie państwa i senatorom kazał wznosić modły dziękczynne za pomyślne dokonanie zbrodni. W piecach ognistych chciał spalić postęp, drągiem żelaznym zatrzymać obroty ziemi. A tym, co mu staną na drodze, barbarzyńca gotował zagładę. Tak przyszło do tego wyroku.

Zawiodły rachuby. Mord na Rosenbergach stał się największą klęską faszyzmu. Głębszą nawet niż katastrofa prowokacji berlińskiej i katastrofa wojenna w Korei, trwalszą jeszcze niż klęska wyborów włoskich. Dlaczego? Zbadajmy przesłanki planu, a ujrzymy błędy.

Sprawa Rosenbergów nie tworzyła sama w sobie celu. Miała być uwerturą do akcji wychodzącej daleko poza salę rozpraw, wstępem, prologiem i chmurą, z której dopiero uderzyć miał piorun, oszołomić i znieczulić opinię, by nie stawiała już więcej oporu i w martwej, przerażonej ciszy mógł dopełnić się akt ostatni miażdżąc resztki przeszkód na posępnym szlaku panowania ginącej klasy, wszechwładzy monopoli.

Faszyzacja Ameryki szła klasycznym już torem zbrojeń, terroru i wojny. Trzy lata temu doszła do punktu, gdy jawna dyktatura stała się koniecznością. Wówczas sięgnięto po nie mniej klasyczny środek dywersji i prowokacji.

Zanim jednak pójdziemy dalej, uprzytomnijmy sobie charakter nie bohaterów, lecz autorów dramatu. Milionerzy podobni są królom: żadni, nijacy, bez kośćca i twarzy, ani źli, ani dobrzy. Ale że ich istnienie uwarunkowane jest zbrodnią, trwać mogą tylko tak długo, pokąd mają do swych usług zbrodniarzy. Otóż w specyfice zbrodni leży zarówno niewymierność dolnej granicy upadku, jak i ścisła wymierność, ciasnota myśli przestępcy, wąskość jego zdolności poznawczych. Znamy nędzników bezgranicznie nikczemnych, próżno by jednak szukać wśród nich umysłu wielkiego. Hitler i Goering, i cała reszta, to przede wszystkim wykolejeńcy, odpadki ludzkie, „śmiecie, wichrem historii podniesione na tron", jakby rzekł Słowacki. A tacy sami są Coughlin i Mac Carthy, Rebecca West i Mac Carran i bracia Dulles. Nawet kiedy drapują się w stare cnoty republikańskie, nawet gdy donaszają laskę proroków, z daleka podobną do pałki wielkiego Fryderyka, z bliska — do rózeg liktorskich Mussoliniego. Albowiem każdy z nich pozostaje sobą choćby wspiął się na górę i przemawiał językiem gorejącego krzaka. Skoro zatem nadeszła chwila rozstrzygnięć i spadła maska — strażnik prawa, niczym nazbyt gorliwy dozorca więzienny, sam kieruje kaźnią godności narodu.

Tajemne prawa przyrody

Torowanie drogi takim brudom ludzkim nie było rzeczą łatwą. Bezsens podwójnej wojny — zimnej i gorącej — rysował się coraz jaskrawiej, jej ciężar coraz dotkliwiej przygniatał społeczeństwo i budził rosnący opór, zbrojenia zamiast oddalać zbliżały katastrofę, widmo kryzysu nadciągało krokami olbrzyma. „Wielka prowokacja" była palącą potrzebą.

Prostota jej koncepcji stanowić miała dodatkową rękojmię powodzenia. Eksperci FBI nie pominęli najmniejszego drobiazgu, przewidzieli każdą okoliczność, nic nie pozostawili działaniu przypadku. Nie uwzględnili tylko wielkości człowieka.

Tok myślowy ujęli w żelazną moc sylogizmu. „Rosjanie zabrali nam Chiny i wykradli ostatni nasz pancerz ochronny: bombę atomową. Gdy ją wytworzą w dostatecznej ilości, będziemy na ich

łasce i niełasce. Uderzać więc trzeba póki czas, na Korei i gdzie tylko można. Nie ma ofiar zbyt wielkich, aby zdążyć. Najpierw zaś zniszczyć musimy czających się pośród nas agentów Moskwy. Wskazują ich własne ich narzędzia — oto oni!"

Głos bóstwa i prowokacja, to broń stara jak świat. Głosem bóstwa rozbrzmiewa biblia i dzieje bajeczne wszystkich narodów. Bogowie zawsze wskazują winnych i zawsze są nimi wrogowie rządzącej klasy. Z biegiem stuleci wyszedł z użycia zwyczaj bezpośrednich audycji z zaświata. W średniowieczu zastąpiły je objawienia, inkwizycja wprowadziła zeznania narzędzi szatana. FBI za przykładem gestapo wznawia procesy czarownic.

Długo układano scenariusz. Zastosowano wszelkie efekty Hollywood, jupitery, napięcia dramatyczne, czynnik niespodzianki. Punktem szczytowym miał być „nieprzewidziany" zwrot: przyznanie się oskarżonych i rewelacyjne ujawnienie „właściwych sprawców".

Gdzie jednak szukać aktorów do głównej roli? Nie między komunistami, wytrzymałymi na każdą presję. FBI miało już smutne dla siebie doświadczenia — w procesie 11-tu na Foley Square i szeregu innych. Pamiętało, że sam wielki Goering opadł niczym przekłuty balon pod gradem ciosów zadanych dłonią Dymitrowa. Zakłady psychiatryczne też nie będą pomocne, nowy van der Lubbe w Ameryce nie zda się na nic. Umysłowo chorego powiązać można tylko z jedną grupą, zwartą organizacyjnie. Tu zaś chodziło o tak szerokie zarzucenie sieci, by móc pochwycić każdego, kto znajdzie się w czarnych spisach kartotek Edgara Hoovera.

Trust mózgów sięgnął do socjologii. I tam znalazł odpowiedź. Istnieje warstwa narodu płynna i amorfna, której powiązania biegną do wyżyn i dołów społecznych. Warstwa, wśród której Hitler tworzył swą bazę działania. Miękka i uległa, pozbawiona tradycji walki, a zatem najłatwiejsza do zastraszenia: drobnomieszczaństwo. Warstwa niezmiernie liczna w Stanach Zjednoczonych, warstwa, której marzeniem jest kilka groszy na czarną godzinę, piwo w niedzielę, kino dwa razy w tygodniu i, oczywiście, skromna, lecz pewna przyszłość dla dzieci. A nade wszystko, a przede wszystkim warstwa ta ceni swój mizerny dobrobyt i spokój.

Skoro obrane zostało już środowisko, przystąpiono do wyszukania odpowiedniej ofiary. Rosenbergowie wydali się ideałem. Właściciele drobnego warsztatu pracy, rodzice dwojga dzieci powinni okazać się woskiem w palcach FBI. Poglądy mieli umiarkowane, ale wyraźną niechęć do faszyzmu. Podpisali apel pokoju, jak kiedyś podpisali zbiórkę na rzecz Międzynarodowej Brygady w Hiszpanii; w swoim czasie, może pod wpływem słów Roosevelta, mówili o potrzebie drugiego frontu w Europie i głośno wyrażali radość z powodu klęski Hitlera w Stalingradzie. Wspomnienie tych „zbrodni" gwarantować powinno uległość, a przy tym otwierało perspektywy związków z całym światem postępu, któremu miał być zadany śmiertelny cios.

Z drugiej strony FBI miało w ręku szwagra i brata. Wyrodek familii, półanalfabeta, były sierżant a teraz niebieski ptak, był jakiś czas monterem w zakładach atomowych Los Alamos, coś tam przeskrobał i obecnie skwapliwie odgrywał się na swojej „porządnej" mieszczańskiej rodzinie, sypiąc na ile tylko pozwalał niski poziom inteligencji tej swoistej przystosowanej do potrzeb odmiany van der Lubbe.

Przy ogłuszających bębnach reklamy rozpoczął się proces. 123 świadków, rzeczoznawcy najpierwszej wody. Ale to był jedynie sztafaż. Scenariusz, jak

wiemy, już na samym początku przewidywał dramatyczny zwrot. Zwróćmy uwagę, że akt oskarżenia nie zarzucał żadnych określonych czynów, choć Eisenhower wykrzykiwał później o „działaniach szpiegowskich" Rosenbergów. Akt oskarżenia mówił ogólnikowo i głucho o „spisku dla wejścia w posiadanie tajemnic atomowych". Owe tajemnice wynotować miał tępak Greenglass na kawałku papieru na podstawie, jak zeznał, „urywków rozmów uczonych, zasłyszanych gdy przechodzili przez warsztat". W warsztacie zaś mechanicznym pracowało kilkunastu robotników, w tej liczbie i podrzędny mechanik Greenglass.

Nikt na świecie w bajeczkę tę nie uwierzył. Nie wierzyli w nią jej autorzy. Chodziło im przecież o co innego.

Nie miało i nie mogło być zeznań 123 świadków, ani wyczerpującej opinii biegłych, gdyż wówczas cały akt oskarżenia rozsypałby się jak domek z kart. Spośród rządowych ekspertów dr. Harold Urey stwierdził już wcześniej, że zeznania Greenglassa są „historyjką śmiesznie niewiarygodną", a z poglądem tym zgodził się w zupełności prof. Albert Einstein. „Metody (nie zasady) produkcji bomby atomowej — oświadczył dr. Ralph Lapp — nie podobna opisać ani na kawałku, ani nawet na tonie papieru". Co zaś do zasady, wszelkie wątpliwości rozstrzygnął prof. Robert Oppenheimer: „Nie ma nieopublikowanych tajemnic dotyczących broni atomowych, ani tajemnych praw przyrody znanych tylko nielicznym".

Rosenbergowie nie wykradli więc bomby, ani żadnego z nieistniejących sekretów. „Śmieszna historyjka" Greenglassa trzymać się miała tylko tak długo, aż w dusznym klimacie sądowej sali dojrzeje groza i jupitery zapłoną dla sceny przełomowej. W uszach inscenizatorów brzmiała już słodka melodia zeznań Rosenbergów, już widzieli jak ciężka pokrywa faszyzmu opada na wolność Ameryki.

I tu nastąpił wybuch. Wychowani w mieszczańskiej wierze w szlachetność Ameryki, w niewzruszoność etycznych norm, jakie w ich przekonaniu legły u podstaw jej budowy, Rosenbergowie odmówili udziału w burzeniu świętego dla nich gmachu. Czekali sprawiedliwości i o nią walczyli, życie własne rzucając na szalę. Pamiętajmy, że nie żądano od nich przyznania się do winy, choćby niepopełnionej. Żądano fałszywych zeznań oskarżających in blanco każdego, kto dyktaturze stanie na zawadzie. Proces, który otworzyć miał bramy terroru, wrócił do punktu wyjścia. Przemienił się z powrotem w sprawę dwojga ludzi stojących pod zarzutem groteskowo nieprawdziwych oskarżeń.

Kunsztownie montowany spisek polityczny runął wyłaniając problem moralny. FBI stanęło w obliczu klęski, tym trudniejszej do odwrócenia, że dla nich niepojętej. Nie mogą bowiem zrozumieć odmowy kupczenia sumieniem ludzie, którzy dlatego tylko nie handlują własnym, że go nie mają.

Upadek Bastylii

Narastał proces, a w narodzie rósł lęk. Opadał na ciche farmy siedzące z dala od wielkiej polityki, bił w nędzę murzyńskich chałup i rojowiska Harlemu, hulał po ludnych arteriach New Yorku, kołował w plątaninie podmiejskich uliczek, skradał się do zacisznych domków mieszczańskich, burzył spokój, dzielił rodziny, szalał. Lepki i gęsty, odrażający i jadowity, podstępny i zdradziecki, niewidzialny i nieuchwytny, a wszechobecny i wszystkowidzący — FBI.

Faszyzm na różny sposób walczy z demokracją. Czasem uderza jawnie i zuchwale, z całą butą otwartego wroga. Tak było w Niemczech i Włoszech, tak

u nas działały Ozony i Oenery. Gdzie indziej napada skrycie, drąży od wewnątrz, truje, przeżera, rozkłada. Faszyzm amerykański starannie wyreżyserował atak, niczym ów szturm pokazowy na froncie koreańskim. Trumanizm stanowił ogień zaporowy przed wielką ofensywą. Zwycięstwo wyborcze republikanów miało być hasłem końcowego natarcia. Role podzielono dokładnie. Prezydent dzisiejszy głosi pokój, a szykuje wojnę, ściera się z prezydentem jutrzejszym, Mac Carthym, a słucha jego rozkazów. FBI żelazną obręczą strachu okuwa społeczeństwo. Monopole wojenne wysysają gospodarkę kraju, podcinają przemysł cywilny, oplątują farmera, by dostawcę żywności zmienić w dostawcę armatniego mięsa. Ku Klux Klan w glorii zbrodni zasiada na Kapitolu i wespół z rządem chce rzucić sobie do stóp cały naród. Wciąga w swoją służbę narzędzia opinii i środki wychowania, literaturę i sztukę, szkołę i kościoły. Nie ma granic oszczerstwom i podejrzeniom. „Kto usiłuje żyć podług nauk Chrystusa, tego piętnują jako komunistę" — woła z kazalnicy w Detroit wielebny Charles Hill.

Piętnują ateistów i chrześcijan, uczonych i prostaczków, ludzi wielkich i małych — jeśli tylko nie stają przy czarnej chorągwi śmierci. „Obłęd polityczny nawiedził nasz kraj" — rozpacza wyższy urzędnik Departamentu Stanu, widząc jak druzgocą jego ojczyznę. „Nie mamy już usprawiedliwień dla przeciągania wojny" — odpowiada prezydent Eisenhower, a jego podwładni szukają nowych pozorów.

Jak w starej baśni arabskiej trupy nie chcą odejść od stołu. W mroku gęstszym niż ciemnie średniowiecza pożerają Republikę, która niegdyś dała im życie. Nie ma ocalenia dla szaleńców, gdy wiążą lekarza. Powlekli przed trybunał sędziego Douglasa i jakby ścigani przekleństwem grożą zgubą każdemu, kto broni wolności i demokracji. Lecz nie budzą już strachu, budzą pogardę u ludzi.

Nie przekleństwo bowiem ich ściga, a twarda historyczna konieczność. Sami wpisali się w koło, z którego wyjścia znaleźć nie mogą. Umieją wysyłać na śmierć, nie umieją przywracać do życia. I dlatego, gdy rozległ się protest ludzkości i okrzyk bólu własnego ich narodu, ponieśli na szafot sumienie swego kraju.

Kiedy John Brown zawisł na szubienicy, wołał Wiktor Hugo: „Niechże Ameryka wie i niech pamięta, że straszliwszym niż Kain zabijający Abla jest Waszyngton, gdy Spartakusa morduje". Na tamtej półkuli przemawiał w obronie skazańca wielki moralista chrześcijański, Emerson: „Święty, którego męczeństwo, jeśli będzie spełnione, okryje Szubienicę chwałą równie promienną jak chwała Krzyża". Dziś z elektrycznego narzędzia kaźni bije blask nie mniejszy.

Sprawa Rosenbergów — to przykład bohaterstwa najwyższego rzędu. Nie teatralna pogarda świata, krewna samobójstwu i z bezmiernej pychy zrodzona pogarda życia bohaterów Carlyle'a, nie gest wspaniały herosów starożytności, lecz męstwo najtrudniejsze — męstwo wytrwania.

Ale w kontekście dziejów ten proces i wyrok jest sprawą zarazem faszyzmu Ameryki, sprawą Einsenhowera i Mac Carthy'ego. Więcej. „Ta sprawa jest naszą sprawą" — mówi Jean-Paul Sartre, imieniem nie tylko Francji, ale i wszystkich związanych z Ameryką krajów Zachodu — gdy mordują niewinnych, to sprawa całego świata. Wy, co rościcie sobie prawo być panami globu, mogliście dowieść przynajmniej, że jesteście panami samych siebie. Wiemy odtąd, ile ważymy na waszej wadze. Na jednej

szali położyliście wszechświat, na drugiej legł Mac Carthy. W godzinie, gdy Rosenberg usiadł na elektrycznym krześle, szala przechyliła się na stronę Mac Carthy'ego. Czy myślicie, że będziemy umierać za Mac Carthy'ego? Krwawić ze wszystkich żył, aby mu ofiarować armię europejską? Czy myślicie, że chcemy bronić kultury Mac Carthy'ego? Wolności Mac Carthy'ego? Sprawiedliwości Mac Carthy'ego? Że z Europy zrobimy pole bitwy, aby ten krwawy głupiec mógł palić wszystkie książki? By mógł mordować niewinnych i więzić sędziów, którzy protestują? Nie łudźcie się: nigdy nie damy przywództwa zachodniego świata mordercy Rosenbergów. I nie dziwcie się, gdy wołamy z krańca po kraniec Europy: Uwaga! Ameryka ma wściekliznę! Przetnijmy wszystkie więzy, które nas z nią łączą. Inaczej pogryzie nas i my z kolei zarażeni będziemy wścieklizną!"

Przebrała się miara. Jeszcze zdołali zabić. Jeszcze prowokują w Korei i Berlinie. Komiwojażer wojny nawiedza stolice świata. Ale z krwi niewinnych rodzi się inna przyszłość. Mylą się ci, którzy liczą na otępienie Ameryki, ciemnotę i nieświadomość jej ludu. Po śmierci Johna Browna przyszło wyzwolenie Murzynów. Płacze Wolność u wjazdu do miasta-więzienia, lecz są łzy, które mają siłę pioruna. „Na krześle elektrycznym umarła demokracja" — mówi obrońca Rosenbergów. Otóż nie umarła, lecz śpi. I powstanie, kiedy usłyszy wołanie ludzkości. Zbudzi się, by oskarżyć morderców. A wówczas wszystko będzie policzone, policzone będą dni Domu Śmierci.

Runęła Bastylia i runie Sing-Sing. Takie jest prawo rozwoju świata, taki jego nieodwołalny wyrok.

Julian Stawiński

KSIĄŻKI NADESŁANE

HISTORIA

Łukaszewicz Witold — Targowica i powstanie kościuszkowskie. Ze studiów nad historią Polski XVIII wieku. Warszawa, 1953; Ministerstwo Obrony Narodowej; str. 298, 2 nlb.

Kuchowicz Z. i Spieralski Z. — Stefan Czarniecki pogromca Szwedów. Warszawa, 1953; Ministerstwo Obrony Narodowej; str. 77, 3 nlb.

KULTURA I SZTUKA

Husarski Wacław — Kazimierz Dolny. Warszawa, 1953. Towarzystwo Naukowe Warszawskie; str. 143, 1 nlb.

LITERATURA NAUKOWA

Kant Immanuel — Uzasadnienie metafizyki moralności. Z oryginału niemieckiego przełożył Mścisław Wartenberg. Przekład przejrzał Roman Ingarden. Warszawa, 1953; Państwowe Wydawnictwo Naukowe; str. 126, 2 nlb.

Kuzniecow B. — Fryderyk Jolliot-Curie uczony i bojownik o pokój. Warszawa, 1953. „Iskry"; str. 105, 3 nlb.

Meloch Maksymilian — Sprawa włościańska w powstaniu listopadowym. Warszawa, 1953. Państwowy Instytut Wydawniczy; str. 242, 2 nlb.

La Mettrie Julien Offray de — Człowiek-maszyna. W przekładzie i z przedmową Stefana Rudniańskiego. Wydanie nowe przejrzane i uzupełnione. Warszawa, 1953. Państwowe Wydawnictwo Naukowe; str. 103, 1 nlb.

POLSKA LUDOWA (ZAGADNIENIA POLITYCZNE)

Werner Henryk — Marszałek Polski Konstanty Rokossowski. Warszawa, 1953. Ministerstwo Obrony Narodowej; str. 25, 3 nlb.

REPORTAŻE

Małcużyński Karol — Spotkanie z Planem 6-letnim. Wyd. II. Warszawa, 1953; Ministerstwo Obrony Narodowej; str. 144.

PAMIĘTNIKI, BIOGRAFIE, LISTY, WSPOMNIENIA

Farge Yves — Prawda o Chinach i Korei. Z franc. tłum. Janina i Erwin Wolfowie. Okładkę proj. Jerzy Jaworowski. Warszawa, 1953. „Czytelnik"; str. 142, 2 nl.

Różewicz Tadeusz — Kartki z Węgier. Okładkę proj. Jerzy Jaworowski. Warszawa, 1953. „Czytelnik"; str. 89, 3 nl.

SATYRA

Lencz Leonid — Zabawne opowiadania. Ilustrował Antoni Perzyk. Z ros. tłum. Zofia Bystrzycka. Okładkę proj. Jan Młodożeniec. Kartę tytułową Andrzej Heidrich. Warszawa, 1953. „Czytelnik"; str. 261, 3 nl.

Marianowicz Antoni — Na udeptanej ziemi. Ilustr. Zbigniew Lengren. Okładkę proj. Jan Młodożeniec. Warszawa, 1953. „Czytelnik"; str. 78, 2 nl.

Zagórski Włodzimierz — Z teki chochlika. Wyboru wierszy i humoresek dokonał Julian Tuwim. Wstępem opatrzył Zbigniew Mitzner. Ilustrowała Maja Berezowska. Kartę tytułową proj. Andrzej Heidrich. Warszawa, 1953. „Czytelnik"; str. 194, 2 nl.

Załucki Marian — Przejażdżki wierszem. Ilustr. Zbigniew Lengren. Okładkę proj. Jan Młodożeniec. Warszawa, 1953. „Czytelnik"; str. 169, 3 nl.

LITERATURA DLA DZIECI I MŁODZIEŻY

Astawin S. — O pracy komsomołu w szkołach rzemieślniczych i zawodowych. Warszawa, 1953. „Iskry"; str. 54, 2 nl.

Bażow Paweł — Konik polny. Przekł. z ros. Marii Jezierskiej. Ilustr. W. Bajuskina reprod. z wyd. ros. Wyd. III. Warszawa, 1953; „Nasza Księgarnia"; str. 87, 3 nl.

Bobińska Helena — Zemsta rodu Kabunauri. Ilustr. Edmunda Bartłomiejczyka. Wyd. III. Warszawa, 1953; „Nasza Księgarnia"; str. 259, 3 nl.

Broniewska Janina — Czołg porucznika Kukułki. Ilustr. S. Rozwadowskiego. Wyd. II. Warszawa, 1953; „Nasza Księgarnia"; str. 27, 4 nl.

— Filip i jego załoga na kółkach. Ilustr. Danuty Staszewskiej. Wyd. II. Warszawa, 1953; „Nasza Księgarnia"; str. 32.

Czapek Karol — Bajka o dobrym listonoszu. Przekł. z czesk. Marii Kann. Ilustr. B. Różańskiej. Wyd. II. Warszawa 1953; „Nasza Księgarnia"; str. 43, 5 nl.

Wittlin Jerzy — Dotrzymana przysięga. Montaż sceniczny ku czci Józefa Stalina. Warszawa, 1953. „Iskry"; str. 120, 4 nl.

Dumas Aleksander — Wicehrabia de Bragelonne. Powieść historyczna z XVII wieku. Tom I i II. Warszawa, 1953. „Iskry", t. I str. 597, 3 nl.; t. II, str. 703, 1 nl.

Fiec A. — Piotruś Potupa. Przekł. z ros. Janiny Planerowej. Ilustr. reprod. z wyd. ros. Warszawa, 1953; „Nasza Księgarnia"; str. 151, 4 nl.

Fiedler Arkady — Rio de Oro. Na ścieżkach

Indian brazylijskich. Wyd. II, poprawione. Warszawa, 1952; „Nasza Księgarnia". str. 253, 4 nl.

Gajdar A. — Czuk i Hek. Inscenizacja W. Gauszyna. Przekł. W. Komarnickiej. Ilustr. M. Antuszewicza. Cykl: Teatr szkolny. Warszawa 1953; „Nasza Księgarnia"; str. 63.

Garwolińska Krystyna — Nowe palto. Opowiadanie. Ilustr. Bronisława Kieszkowskiego. Cykl: Od książeczki do biblioteczki. Warszawa, 1952; „Nasza Księgarnia", str. 28, 3 nl.

Górska Maria — Bajka o koguciku i kurze. Ilustr. Józefa Czerwińskiego. Wyd. II, Warszawa, 1952. „Nasza Księgarnia", str. 14.

Grabowski Jan — Reksio i Pucek. Historia psich figlów. Wyd. V. Warszawa, 1953; „Nasza Księgarnia"; str. 43, 2 nl.

Hugo Wiktor — Wyprawa Gilliatta (Pracownicy morza) z ilustr. autora. Przekł. z franc. Zygmunta Glinki. Wstęp Macieja Żurowskiego. Oprac. redak. i objaśnienia Zdzisława Rytko. Warszawa 1953; „Nasza Księgarnia"; 251, 1 nl. i 1 fotogr.

Iłowski Stanisław — Budowa i urządzenie sceny w teatrze szkolnym i świetlicowym. Fotografie wykonali: Tadeusz Zygler, Stanisław Iłowski i E. Hartwig. Ryciny Eugeniusza Bożyka i Stanisława Iłowskiego. Wyd. II. Warszawa 1953; „Nasza Księgarnia"; str. 85, 2 nl.

Jacek i jego rodzina. Rysowała Maria Hiszpańska-Neumann. Warszawa, 1952; „Nasza Księgarnia", str. 14.

Jaworczakowa Mira — Hasło: „Szkoła"! Ilustr. Bronisława Kieszkowskiego. Cykl: Od książeczki do biblioteczki. Warszawa, 1953; „Nasza Księgarnia"; str. 29, 2 nl.

Karnauchowa I. — Najcudniejsza piękność. Spolszczył Cz. Jastrzębiec-Kozłowski. Ilustr. Antoniego Uniechowskiego. Wyd. II. Warszawa, 1952; „Nasza Księgarnia"; str. 147, 3 nl.

Krajowa narada aktywu ZMP przemysłu węglowego. Stalinogród. 12. IV. 1953. Materiały. Warszawa, 1953. „Iskry"; str. 54, 2 nl.

Koszutska Halina — Podróże Maćka. Ilustr. Tadeusza Jodłowskiego. Wyd. II. Warszawa, 1953. „Nasza Księgarnia"; str. 106, 4 nl.

Kożewoikow A. W. — Wiosna i jesień w życiu roślin. Wyd. II, pod red. i z uzupełnieniami J. G. Sieriebriakowa. Przekł. z ros. Zofii Bohuszewicz. Ilustr. reprod. z wyd. ros. Warszawa, 1953. „Nasza Księgarnia"; str. 254, 1 nl.

Krasicki Ignacy — Powiastki wschodnie. Redakcja, wstęp i objaśnienia Bogdana Wojdowskiego. Ilustr. Antoniego Pucka. Warszawa, 1952. „Nasza Księgarnia"; str. 73, 2 nl, 1 portret.

Krzemieniecka Lucyna — Dzieci. Ilustr. A. Kopczyńskiej. Warszawa, 1953. „Nasza Księgarnia"; str. 14, 2 nl.

— Leśne rachuneczki. O krasnoludku Hałabale. Ilustr. M. Stańczaka. Cykl: Teatr szkolny. Warszawa, 1953. „Nasza Księgarnia"; str. 77, 2 nl.

Makowiecki Witold — Diossos. Ilustr. Zofii Wacławikowej. Wyd. II. Warszawa, 1953. „Nasza Księgarnia"; str. 247, 2 nl.

— Przygody Meliklesa Greka. Ilustr. Zofii Wacławikowej. Wyd. IV. Warszawa, 1952. „Nasza Księgarnia"; str. 295, 2 nl.

Marszak S. — Czym jest rok? Spolszczył Janusz Minkiewicz. Ilustr. O. Wierejskiego reprod. z wyd. ros. Wyd. II. Warszawa, 1952. „Nasza Księgarnia", str. 15.

Mickiewicz Adam — Bajki. Ilustr. Ludwika Maciąga. Wyd. II. Warszawa, 1952. „Nasza Księgarnia"; str. 44, 2 nl.

Nagiszkin D. — Mężny Azmun. Bajki amurskie. Przekł. z ros. S. Furmanika. Ilustr. autora, przedruk z wyd. ros. Wyd. II. Warszawa, 1953. „Nasza Księgarnia"; str. 212, 3 nl.

Osiejewa B. — Wasiek Trubaczow i jego koledzy. Przekł. z ros. Zenona Hawskiego. Ilustr. N. Pietrowej, reprod. z wyd. ros. Wyd. II. Warszawa, 1952. „Nasza Księgarnia"; str. 242, 2 nl.

Piórkowski Jerzy — Prawdziwa uroda życia. Warszawa, 1953. „Iskry"; str. 71, 1 nl.

Porazińska Janina — Agata nogą zamiata. Ilustr. Bogdana Zielenieca. Warszawa, 1953. „Nasza Księgarnia"; str. 13, 3 nl.

Przyrowski Zbigniew — Kolorowy wierszyk. Wyd. II. Warszawa, 1952. „Nasza Księgarnia"; str. 16.

Rydel Lucjan — Ferenike i Pejsidoros. Wyd. III poprawione. Ilustr. J. Czerwińskiego. Wstęp Zbigniewa Mitznera. Warszawa, 1953. „Nasza Księgarnia"; str. 102, 2 nl. i ilustr.

Steinhaus Hugo — Orzeł czy reszka? Warszawa, 1953. „Nasza Księgarnia"; str. 37, 2 nl.

Štorch Edward — Osada kruków. Przekł. z czesk. J. Bułakowskiej. Ilustr. reprod. z oryg. czesk. Warszawa, 1953. „Nasza Księgarnia"; str. 168, 2 nl.

Sumiński Michał i Wojsznis Grażyna — Żeglarskie zwycięstwo. Ilustr. Jerzego Ostrowskiego. Wyd. II. Warszawa, 1953. „Nasza Księgarnia"; str. 71, 2 nl.

Szklany chłopiec. Wg fragmentu powieści „Ogniwo" Janiny Broniewskiej. Adaptacja sceniczna Marii Gryf. Ilustr. M. Stańczaka. Warszawa, 1953. „Nasza Księgarnia"; str. 20 i 6 str. ilustracji.

SPIS TREŚCI

str.

Nagrody Państwowe w dziale literatury za rok 1953 3

Przemówienie Jarosława Iwaszkiewicza na Sesji Światowej Rady Pokoju w Budapeszcie 4

Listy Ethel i Juliusza Rosenbergów 7

Ludmiła Mariańska: Ethel 35

Henryk Hubert: Drogi 37

Danuta Bieńkowska: Dach nad głową 45

Kuo Mo-żo: Czu Juan — poeta i patriota dawnych Chin 120

Czu Juan: Elegia na opuszczenie stolicy; Oda do pomarańczy; Do tych którzy zginęli za ojczyznę. — Przeł. Anna Baranowska . . 123

Samuel Sandler: Z praktyki pierwszego marksistowskiego krytyka literackiego w Polsce 127

Wiktor Hugo: Odpowiedź na akt oskarżenia. — Przeł. Zbigniew Bieńkowski 150

Ruy Blas, sceny III, IV, V. — Przeł. Gabriel Karski 156

Krystyna Kuliczkowska: O twórczości Władysława Umińskiego 168

WŚRÓD KSIĄŻEK: Henryk Bereza — Marian Brandys „Wyprawa do Arteku", „Dom odzyskanego dzieciństwa"; Adolf Sowiński — Teodor Fontane „Schach z Wuthenow" 178

TEATR: Edward Csato — Na scenach warszawskich 185

NA WIDNOKRĘGU: Krzysztof Wolicki, Józef Spinc, Julian Stawiński 190

KSIĄŻKI NADESŁANE 206

Wydaje Instytut Prasy „Czytelnik"

Redaktor Naczelny: Adam Ważyk

Adres redakcji: Warszawa, Wiejska 16, tel. 8-95-07, centr. 8-00-81/83, wewnętrzny 2

Administracja: Wiejska 12, tel. 8-00-81.

Cena zeszytu zł 7.—. Prenumerata kwartalna zł 21.—, półroczna zł 42.—

Rękopisów nie zamówionych redakcja nie zwraca

NOWOŚCI

CZYTELNIK

Tomasz Atkins i Tadeusz Rojek

POD OKUPACJĄ DOLARA

Książka omawia sytuację w krajach Europy Zachodniej, podporządkowanych dyktatowi USA.

Str. 220 zł 5,50

* * *

Roman Bratny

ILE SERCE WYTRZYMA

Cykl opowiadań obrazujących przemiany wsi dzisiejszej.

Str. 168 zł 5,—

* * *

Henryk Korotyński

PYTANIA, KTÓRE CZEKAJĄ NA ODPOWIEDŹ

Praca publicystyczna omawiająca stanowisko Episkopatu wobec najżywotniejszych problemów narodu polskiego.

Str. 104 zł 1,20

* * *

Jarosław Iwaszkiewicz

CZTERY SZKICE LITERACKIE

1. Leonardo da Vinci, 2. Wiktor Hugo, 3. Karol Szymanowski a literatura, 4. Do Zofii Nałkowskiej.

Str. 92 zł 4,—

* * *

Mirosław Żuławski

RZEKA CZERWONA

Powieść, której tematem jest „brudna wojna" w Vietnamie

Str. 186 zł 8,—

Józef Ignacy Kraszewski

JAK SIĘ DAWNIEJ LISTY PISAŁY

Krótki szkic obyczajowy; satyra na ciemnotę szlachty w końcu XVIII w.

Str. 24. zł 1,—

* * *

Irena Krzywicka

SIEW PRZYSZŁOŚCI

powieść

Trzeci tom cyklu powieściowego pt. „Skuci i wolni" (t. I. „Rodzina Martenów", t. II. „Bunt Kamila Martena") ukazujący początki robotniczego ruchu rewolucyjnego w Polsce oraz przemiany i dojrzewanie ideologiczne postępowego odłamu inteligencji.

Str. 400 zł. 15,—

* * *

Weronika Wilbik-Jagusztynowa

NIE JESTEŚMY SAMI

Opowiadania o buntach i strajkach chłopskich w okresie międzywojennym.

Str. 188 zł 6,—

* * *

Stanisław Zieliński

JESZCZE POLSKA...

Druga część powieści pt. „Ostatnie ognie". Akcja toczy się głównie w Polsce w r. 1947.

Str. 328 zł 15,—

„CZYTELNIK"